

**f**  
**fabryka**  
**bestsellerów**

*Piękna, wzruszająca historia  
o traceniu tego, co najbardziej kochamy  
i zyskiwaniu nowych przyjaciół.*

**Światowy bestseller**

# studnia życzeń



**david baldacci**

# **studnia życzeń**

przełożył  
Jacek Manicki

**david baldacci**



Warszawa 2012

Tytuł oryginału:

*Wish You Well*

Copyright © 1999 by Columbus Rose Ltd.

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Copyright © for the Polish translation by

Jacek Manicki

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński

Skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

ISBN 978-83-7670-521-7



Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14,

02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

[www.buchmann.pl](http://www.buchmann.pl)

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

[virtualo.eu](http://virtualo.eu)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Od autora](#)

[Podziękowania](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[Dzisiaj](#)

[Przypisy](#)

Mojej matce, inspiratorce tej powieści

# Od autora

Fabula „Studni życzeń” jest fikcyjna, ale jej tło, wyjąwszy nazwy miejsc, jest jak najbardziej prawdziwe. Byłem w tych górach i miałem też szczęście dorastać pod okiem dwóch kobiet, które nazywały owe góry swoim domem. Cora Rose, babka od strony matki, dziesięć ostatnich lat życia przemieszkała z nami w Richmond, ale przedtem sześć dekad spędziła w górach południowo-zachodniej Wirginii. Czepiając się jej spódnicy, poznawałem tę ziemię i właśnie na niej uczyłem się życia. Matka moja, najmłodsza z dziesięciorga rodzeństwa, mieszkała w tamtejszych górach do siedemnastego roku życia; kiedy byłem mały, opowiadała mi fascynujące historie ze swego dzieciństwa. Jestem przekonany, że w perypetiach i przygodach, których doświadczają bohaterowie mojej powieści, dostrzeże coś nieodparcie znajomego.

Przygotowując się do pisania „Studni życzeń”, nie poprzestałem na tym, co zasłyszałem w dzieciństwie. Przeprowadziłem dużo rozmów z matką i były one dla mnie pod wieloma względami ogromnym przeżyciem. Większość z nas, osiągając wiek dojrzały, zakłada, że wie już wszystko o swoich rodzicach i pozostałych członkach rodziny. Jeśli jednak zdobędziemy się na dociekliwość, może się okazać, że wiedza o ludziach, skądinąd sobie bliskich, jest mimo wszystko niewielka. Niniejszą opowieść po części tworzą przelane na papier wspomnienia mojej matki. Ustny przekaz to zamierająca sztuka, a szkoda, bo jej kultywowanie stanowi wyraz szacunku dla losów i doświadczeń tych, którzy byli tu przed nami. I,



co ważniejsze, stanowi formę dokumentacji wspomnień ludzi, pozwala uchronić od zapomnienia wiedzę, którą zgromadzili za życia. Żyjemy niestety w czasach, kiedy każdy patrzy tylko przed siebie, tak jakby przeszłość się nie liczyła. Przyszłość jest zawsze świeża i niezbadana, wywołuje w nas dreszczyk podniecenia, którego nie da nam rozpamiętywanie tego, co już było. Mało kto ma świadomość, że to, co w nas najcenniejsze, odkryć możemy, oglądając się za siebie.

Zyskałem pewien rozgłos jako autor powieści sensacyjnych, ale zawsze pociągały mnie opowieści o przeszłości mojej rodzinnej Wirginii i o losach ludzi zamieszkujących miejsca, które z jednej strony drastycznie ograniczają ich perspektywy, z drugiej zaś wzbogacają o wiedzę i mądrość życiową, niedostępne innym. O ironio, przez ostatnie dwadzieścia kilka lat szukałem uporczywie tematu na dobrą książkę, a nie dostrzegałem go na własnym podwórku. Ale lepiej późno niż wcale. Pisałem tę powieść z satysfakcją, jakiej dotąd nie dane mi było doświadczać.

# Podziękowania

Byłbym niewdzięcznikiem, nie pamiętając o tych, którzy pomagali mi w pracy nad tą powieścią. W pierwszym rzędzie dziękuję pracownikom Warner Books, a zwłaszcza mojej drogiej przyjaciółce Maureen Egen, której udało się nakłonić mnie do spróbowania czegoś innego i która wspaniale zredagowała tę powieść. Dziękuję również Aaronowi Priestowi i Lisie Vance za pomoc i zachętę. Oboje bardzo ułatwili mi życie. I Molly Friedrich za poświęcenie cennego czasu na przeczytanie pierwszego szkicu powieści oraz za wiele wnikliwych komentarzy. Oraz Frances Jalet-Miller, która wniosła do fabuły swój redaktorski kunszt i niekłamany entuzjazm. A także mojemu kuzynowi Steve'owi za przeczytanie całości, słowo po słowie.

Dziękuję też Michelle za wszystko, co robi. Wiadomo wszem i wobec, że zginąłbym bez niej marnie. A Spencerowi i Collin za to, że stali się dla mnie Lou i Ozem.

Jestem wdzięczny mojej drogiej przyjaciółce Karen Spiegel za pomoc i zachętę. Dzięki tobie, Karen, powieść naprawdę nabrała rumieńców i być może ujrzymy ją kiedyś na wielkim ekranie.

Składam podziękowania wszystkim wspaniałym pracownikom biblioteki stanowej w Wirginii za udostępnienie mi archiwów, ustronnego miejsca do pracy i wskazanie wielu bezcennych tropów: wspomnień spisanych przez ludzi gór; ustnych przekazów zarejestrowanych w roku 1930 przez pracowite WPA; obrazkowych historii z życia rolniczych okręgów Wirginii oraz pierwszej stanowej publikacji na temat akuszerstwa.

Szczególnie wdzięczny jestem Deborah Hocutt, dyrektorce Ośrodka Centrum Książki w Wirginii przy bibliotece stanowej, za pomoc w pracy nad tą powieścią oraz wszystkim mieszkańcom Wirginii, którzy przyczynili się do jej powstania.

# 1

W powietrzu wisiała wilgoć; tłuste, szare chmury nasuwające się na błękitne niebo zwiastowały deszcz. Czterodrzwiowy lincoln zephyr rocznik 1936 toczył się bez pośpiechu krętą drogą. Wnętrze wozu wypełniały kuszące zapachy świeżego razowego chleba, pieczonego kurczaka, brzoskwiń i cynamonowego placka. Wydobywały się z piknikowego koszyka, który spoczywał między dwójką dzieci siedzących na tylnej kanapie.

Na Louise Mae Cardinal, dwunastoletnią, wysoką, długonogą dziewczynkę o włosach koloru wyblakłej na słońcu słomy i błękitnych oczach, wołano po prostu Lou. Widać już było, że wyrośnie na piękną kobietę. Lou zdawała sobie sprawę ze swojej urody, ale nie przywiązywała do tego wagi. Narcyzm nie leżał w jej naturze.

Teraz trzymała na kolanach zeszyt i w natchnieniu zappełniała czyste kartki tym, co podsuwała jej wyobraźnia. Zamiłowanie do pisania miała we krwi, odziedziczyła je po ojcu.

Z drugiej strony piknikowego koszyka siedział brat Lou, Oz. Tak go wszyscy nazywali, choć naprawdę na imię miał Oscar. Był drobny jak na swoje siedem lat, ale, sądząc po wielkości stóp, powinien w przyszłości wyrosnąć na wysokiego mężczyznę. Sylwetką w niczym nie przypominał smukłej, wysportowanej siostry. Brak mu było również tej pewności siebie, która płonęła w oczach Lou. W zapaśniczym uścisku tulił do piersi obszarpanego pluszowego misia. W całej jego postawie kryło się coś rozbrajającego. Każdy, kto poznał Oza Cardinala, nabierał przekonania, że ten chłopiec ma

wielkie, dobre serce, którym Bóg obdarza jedynie skromnych, wrażliwych śmiertelników.

Jack Cardinal prowadził. Zdawał się nie zwracać uwagi ani na nadciągającą burzę, ani na swoich pasażerów. Opuszki szczupłych palców, którymi bębnił teraz o kierownicę, miał stwardniałe od wieloletniego stukania w klawisze maszyny do pisania, na środkowym palcu prawej dłoni, w miejscu, na które napiera wieczne pióro, widniał dorodny odcisk. Jack był dumny z tych zwyrodnień i nazywał je zaszczytnymi.

W swoich powieściach i opowiadaniach snuł złożone fabuły, gęsto zaludnione wziętymi z życia postaciami, które, strona po stronie, stawały się coraz bardziej wyraziste. Tematy w prozie Jacka Cardinala były niebanalne, a piękno języka nigdy nie przesłaniało brutalnej wymowy opowieści. Czytelnikowi często łza kręciła się w oku, kiedy jego ulubiony bohater ginął uśmiercony przez autora. A zaraz potem jakieś umiejętnie skonstruowane i wplecione zdanie wywoływało uśmiech na jego twarzy, nawet pobudzało do głośnego śmiechu, uświadamiając, że szczypta humoru bywa często najskuteczniejszym sposobem przekazania jakiegoś ważnego przesłania.

Talent literacki przynosił Jackowi Cardinalowi wielki poklask krytyki i bardzo mało pieniędzy. Lincoln zephyr nie był jego własnością. Luksusy, takie jak auta - czy to zbyt kosztowne, czy zwyczajne - pozostawały poza jego zasięgiem i nic nie zapowiadało, by ów stan rzeczy miał ulec zmianie. Pożyczył na tę wycieczkę samochód od przyjaciela i wielbiciela jego twórczości. Siedząca obok kobieta z pewnością nie wyszła za Jacka dla pieniędzy.

Amanda Cardinal odnosiła się zwykle z wyrozumiałością do wędrówek lotnego umysłu męża. W tej chwili jej mina też wyrażała pobłażanie. Ale później, kiedy rozłożą już koc, rozdzielą piknikowe smakołyki i dzieci będą chciały się bawić, ściągnie męża z obłoków

na ziemię. Amanda była dzisiaj dziwnie nieswoja. Potrzebny był im ten wypad za miasto... i to nie tylko po to, by odetchnąć świeżym powietrzem. Kończyła się zima, dzień był zaskakująco ciepły. Amanda spojrzała w chmurzące się niebo.

Odejdź, burzo, proszę cię, odejdź.

Otrząsnęła się z zadumy, odwróciła i spojrzała z uśmiechem na Oza. Trudno było nie poczuć się lepiej, kiedy patrzyło się na tego malca. Chłopiec był bojaźliwy, często dręczyły go senne koszmary. Budził się wtedy z płaczem, lecz kiedy brała go na ręce, uspokajał się szybko i uśmiechał do niej. W takich chwilach przychodziło jej na myśl, że mogłaby go tak tulić przez całą wieczność i przez wieczność chronić.

Oz był podobny do matki, podczas gdy Lou po matce odziedziczyła wysokie czoło, po ojcu zaś nos i kształt szczęki. Rezultat był wspaniały. Lou jednak twierdziła, że jest podobna tylko do ojca. Nie oznaczało to braku szacunku do matki, ale sygnalizowało, że Lou zawsze będzie się uważała za córkę Jacka Cardinala.

Amanda przeniosła wzrok z powrotem na męża.

- Chodzi ci po głowie nowe opowiadanie? - spytała, dotykając jego przedramienia.

Jack, wyrwany z zamyślenia, zerknął na nią i uśmiechnął się. Pełne usta były jego najatrakcyjniejszą cechą fizyczną, zaraz po błyszczących szarych oczach.

- To silniejsze ode mnie - powiedział.

- Więzień własnej wyobraźni - mruknęła cicho Amanda i cofnęła rękę.

Jack znowu odpłynął myślami do swojego światka, a Amanda obejrzała się na Lou. Dziewczynka wciąż pisała.

- Jak tam twoje opowiadanie, Lou?

- Dobrze - mruknęła Lou, nie podnosząc wzroku.

Amanda wyczuła przesłanie zawarte w jej tonie: „O pisaniu nie

dyskutuje się z tymi, którzy nie piszą”. Przeszła nad tym do porządku dziennego, tak jak nad innymi dziwactwami swojej nieobliczalnej córki. Żeby poprawić sobie humor, poczochnęła jasną główkę Oza. Chłopcy byli o wiele mniej skomplikowani, a poza tym Lou potrafiła ją czasem zdołować, Oz natomiast zawsze działał na nią ożywczo.

- I co tam u ciebie, Oz? - spytała.

Malec zapał i zatrzepotał energicznie rękami, wyrywając z zamyślenia nawet zubożniałego na wszystko Jacka.

- Pani od angielskiego powiedziała, że jestem najlepszym kogucikiem, o jakim słyszała - oznajmił Oz, po czym znowu zapał i zatrzepotał rękami. Amanda się roześmiała, a Jack obejrzał się na synka i uśmiechnął.

Lou posłała bratu gniewne spojrzenie, ale zaraz wyciągnęła rękę i pogłaskała go czule po dłoni.

- Bo jesteś najlepszym kogucikiem, Oz - zapewniła go. - O wiele lepszym niż ja w twoim wieku.

Amanda się uśmiechnęła i zwróciła do Jacka.

- Przyjdiesz do szkoły na przedstawienie, prawda, Jack? - zapytała.

- Mamo, przecież wiesz, że tato pracuje nad opowiadaniem - upomniała ją Lou. - Nie ma czasu na oglądanie Oza w roli kogucika.

- Postaram się, Amando. Tym razem naprawdę się postaram - obiecał Jack.

Amanda jednak wychwyciła w jego tonie nieszczerą nutkę. W powietrzu wisiał kolejny zawód dla Oza. I dla niej. Spojrzała znowu przez przednią szybę. Z jej twarzy można było czytać jak z książki: Stara śpiewka Jacka Cardinala: „Postaram się”.

Entuzjazm Oza nie gasł.

- A następnym razem będę Wielkanocnym Królikiem. Przyjdziecie, prawda, mamusiu?

Amanda spojrzała na niego z szerokim uśmiechem.

- Przecież wiesz, że mamusia za nic nie opuściłaby przedstawienia z twoim udziałem - powiedziała i znowu poczochnęła malca po czuprynce.

A jednak opuściła. Wszyscy je opuścili.



## 2

Zapadał zmrok. Amanda patrzyła w zamyśleniu przez przednią szybę samochodu. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Burza przeszła bokiem. Pokropiło tylko parę razy, a sporadyczne podmuchy wiatru nie były nawet w stanie rozkołysać konarów drzew. Wybiegali się za wszystkie czasy. Jack wyszedł wreszcie ze swojej skorupy i ścigał się z dziećmi po parkowych alejkach, a potem dał pokaz akrobacji na drabinkach. Tego właśnie było trzeba rodzinie Cardinalów.

Pod koniec dnia dzieci opadły z sił. Położyli się całą czwórką na kocu i, przytuleni do siebie, odpoczywali. Amanda mogłaby tak leżeć przez resztę życia, była szczęśliwa.

Teraz wracali do miasta, do swojego bardzo skromnego, ale przytulnego, dwusypialniowego mieszkanca w bloku bez windy na Brooklynie, gdzie już długo nie pomieszkają, i Amandę ogarniał coraz większy niepokój. Nie przepadała za poważnymi rozmowami, ale wychodziła z założenia, że w niektórych sprawach nie da się ich uniknąć. Obejrzała się przez ramię. Oz spał na tylnej kanapie. Lou siedziała z twarzą zwróconą ku oknu i chyba też drzemała. Amanda, która tak rzadko miała męża tylko dla siebie, uznała, że to odpowiedni moment.

- Musimy porozmawiać o tej Kalifornii - zwróciła się do Jacka przyciszonym głosem.

Jack skrzywił się z niesmakiem.

- Wytwórnia filmowa przygotowała już kontrakt na piśmie - wymruczał.

Zauważyła, że powiedział to bez cienia entuzjazmu. Ośmielona,

podjęła:

- Jesteś uznanym powieściopisarzem. Twoje książki wchodzą już do kanonu lektur szkolnych. Cieszysz się opinią najbardziej utalentowanego prozaika swojego pokolenia.

- I co z tego? - Chyba pochlebiały mu te pochwały.

- A chcesz jechać do Kalifornii, żeby pisać tam pod dyktando?

Oczy mu pociemniały.

- Nie mam innego wyjścia.

Amanda chwyciła go za ramię.

- To też nie jest wyjście, Jack. Nie łudź się, że pisanie scenariuszy rozwiąże wszystkie nasze problemy, bo nie rozwiąże!

Podniesiony głos matki obudził Lou. Otworzyła powoli oczy i spojrzała na rodziców.

- Dzięki za słowa otuchy - powiedział z przekąsem Jack. - Bardzo mi ich było trzeba, Amando. Zwłaszcza teraz. Przecież wiesz, że to nie jest dla mnie łatwa decyzja.

- Nie o to mi chodziło. Gdybyś się tylko dobrze zastanowił. - Urwała, bo w tym momencie Lou wychyliła się w przód i chwyciła ojca za ramię. Na jej twarzy malował się szeroki, ale bezsprzecznie wymuszony uśmiech.

- A ja myślę, że w Kalifornii będzie wspaniale, tato.

Jack uśmiechnął się i poklepał Lou po dłoni. Amanda wyczuła, że ta drobna pieśczoła dodała Lou skrzydeł. Jack nie zdawał sobie nawet sprawy, jaką władzę ma nad córką; Lou starała się go zadowolić we wszystkim, co robiła. I to niepokoiło Amandę.

- Jack, Kalifornia nie jest wyjściem, mówię ci. Zrozum to wreszcie. Nie będziesz tam szczęśliwy.

Spochmurniał.

- Co mi po entuzjastycznych recenzjach i nagrodach, skoro nie potrafię utrzymać rodziny. Całej rodziny.

Zerknął na Lou i na jego twarzy pojawił się grymas, który Amanda

zinterpretowała jako wstyd. Zapragnęła go objąć, powiedzieć mu, że jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego zna. Lecz mówiła mu to już tyle razy, a decyzja o wyjeździe do Kalifornii wciąż pozostawała w mocy.

- Jestem nauczycielką. Mogę wrócić do szkoły. Dałoby ci to swobodę pisania. My już dawno odejdziemy, a ludzie nadal będą czytali Jacka Cardinala.

- Chciałbym coś osiągnąć i zostać doceniony jeszcze za życia.

- Ty jesteś doceniany. Chyba że nasza opinia dla ciebie się nie liczy.

Jack spojrział na nią zaskoczony. Pisarz, który dał się złapać za słowo.

- Nie to miałem na myśli, Amando. Przepraszam.

Lou sięgnęła po swój zeszyt.

- Tato, skończyłam już opowiadanie, o którym ci mówiłam.

Jack nie spuszczał wzroku z Amandy.

- Rozmawiam z mamą, Lou.

18 uaidacci Amanda rozmyślała o tym od paru tygodni, od kiedy powiedział jej, że zamierza za godziwe wynagrodzenie pisać scenariusze filmowe pod błękitnym niebem i palmami Kalifornii. Intuicja podpowiadała jej, że, ubierając w słowa wizje innych, pisząc nie z potrzeby serca, lecz dla pieniędzy, Jack roztrwoni swój talent.

- A może przeprowadzilibyśmy się do Wirginii? - rzuciła i wstrzymała oddech.

Jack mocniej ścisnął kierownicę. Na szosie nie było żadnych innych samochodów, oświetlały ją tylko reflektory zephyra. Przez unoszącą się w powietrzu mgiełkę nie prześwitywała ani jedna gwiazda, niebo zlewało się z ziemią. Łatwo było ulec złudzeniu, że płyną przez granatową próżnię, która nie ma ani początku, ani końca.

- A co jest w Wirginii? - spytał ostrożnie Jack.

Frustracja Amandy rosła. Ścisnęła męża za ramię.

- Twoja babka! Farma w górach. Tłó wszystkich twoich pięknych powieści. Przez całe życie piszesz o tamtych stronach, a ani razu do nich nie wróciłeś. Dzieci znają Louise tylko z opowiadań. Boże, ja sama nigdy jej nie widziałam. Nie sądzisz, że już najwyższy czas?

Podniesiony głos matki wybudził ze snu Oza. Lou uspokajającym gestem położyła mu dłoń na piersi. Zrobiła to odruchowo. Oz miał protektorkę już nie tylko w Amandzie.

Jack patrzył przed siebie, wyraźnie wytrącony z równowagi tą rozmową.

- Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli - powiedział - sprowadzimy ją do siebie. Zaopiekujemy się nią. Louisa jest już w tym wieku, że sama sobie nie poradzi - dodał ponuro. - Niełatwo tam żyć.

Amanda pokręciła głową.

- Louisa nigdy nie opuści gór. Znam ją tylko z listów i z twoich opowieści, ale jestem tego więcej niż pewna.

- Cóż, nie można żyć wiecznie przeszłością. A do Kalifornii tak czy inaczej pojedziemy. Będzie nam tam dobrze.

- Jack, chyba sam w to nie wierzysz! Przecież nie jesteś aż tak naiwny.

Lou znowu się przechyliła nad oparciem przedniego siedzenia.

- Tato, przeczytać ci moje opowiadanie?

Amanda położyła dłoń na ramieniu córki i jednocześnie uśmiechnęła się uspokajająco do Oza, chociaż była wewnętrznie rozdygotana. To nie był jednak czas ani miejsce na tego rodzaju dyskusje.

- Za momencik, Lou, kochanie. Porozmawiamy później, Jack. Nie przy dzieciach. - Odeszła ją nagle ochota do drażenia tego tematu.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że sam w to nie wierzę? - spytał.

- Nie teraz, Jack.

- Ty zaczęłaś tę rozmowę, nie wiń mnie, że chcę ją doprowadzić

do końca.

- Proszę cię, Jack...

- Teraz, Amando!

Nigdy nie słyszała u niego takiego tonu. Nie przestraszył jej jednak, lecz jeszcze bardziej zdenerwował.

- Już teraz jesteś gościem w domu. Podróże, wykłady, spotkania. Wszyscy rozchwytują Jacka Cardinala, tylko mu za to nie płacą. Naprawdę sądzisz, że w Kalifornii będzie lepiej? Lou i Oz w ogóle nie będą cię tam widywali.

Twarz Jacka stężała. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała wybuchowa mieszanka własnej frustracji i chęci przerwania na żonę części odpowiedzialności.

- Twierdzisz, że zaniedbuję dzieci?

Amanda przejrzała jego taktykę, ale przeszła nad tym do porządku dziennego.

- Może nierozmyślnie - odezwała się cicho - lecz jesteś tak pochłonięty pisaniem...

Lou omal nie przeleciała przez oparcie przedniego siedzenia.

- On nas wcale nie zaniedbuje. Nie wiesz sama, co mówisz. To nieprawda! Nieprawda!

Jack posłał jej gniewne spojrzenie.

- Nie waż się odzywać tym tonem do matki! Nigdy!

Amanda zerknęła na Lou. Chciała powiedzieć coś, co rozładowałoby atmosferę, ale Lou była szybsza.

- Tato, to naprawdę najlepsze opowiadanie, jakie napisałam. Przysięgam. Chcesz posłuchać, jak się zaczyna?

Jack Cardinal chyba po raz pierwszy w życiu nie był zainteresowany żadnym opowiadaniem. Odwrócił się i popatrzył groźnie na córkę. Pod jego przeszywającym spojrzeniem nadzieja na jej twarzy w mgnieniu oka ustąpiła miejsca rozczarowaniu.

- Powiedziałem: nie teraz, Lou!

Jack odwrócił się powoli, by znowu spojrzeć na drogę. Zobaczyli to z Amandą jednocześnie i obojgu krew odpłynęła z twarzy. Nad otwartym bagażnikiem stojącego na szosie samochodu pochyłał się jakiś mężczyzna. Byli tak blisko, że Amanda widziała wyraźnie prostokątne wybrzuszenie portfela wsuniętego w tylną kieszeń spodni. Nieszczęśnik nie zdążył się nawet odwrócić i spojrzeć w oczy śmierci nadjeżdżającej z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

- Boże! - krzyknął Jack.

Skreślił ostro w lewo. Zephyr zareagował nadspodziewanie posłusznie i ominęli o włos zawałodrogę, darując lekkomyślnemu mężczyźnie jeszcze jeden dzień życia. Ale wyniosło ich na przeciwległe pobocze. Pędzili wprost na wznoszącą się stromo, zalesioną skarpe. Jack odbił kierownicą w prawo.

Wóz przechylił się niebezpiecznie. Amanda krzyknęła, odwróciła się i wyciągnęła ręce do siedzących z tyłu dzieci. Wyczuła instynktownie, że nawet ciężki, niewywrotny zephyr nie może wyjść z tego wirażu bez szwanku.

Jack wstrzymał oddech, z jego wytrzeszczonych oczu wзираła panika. Kiedy wóz, przeciąwszy w poprzek śliską szosę, wpadał na piaszczyste pobocze po przeciwnej stronie, Amanda przeskoczyła szczipakiem na tylną kanapę. Zagarnęła ramionami dzieci i przyciągnęła je do siebie, osłaniając własnym ciałem przed wszystkim tym, co we wnętrzu samochodu twarde i niebezpieczne. Jack odbił kierownicą w drugą stronę, ale zephyr stracił już przyczepność, hamulce nie spełniały swej funkcji. Wóz przemknął szczęśliwie obok kępy drzew, a potem stało się to, czego Amanda od początku najbardziej się obawiała - przekoziółkował.

Wstrząs, z jakim dach uderzył o ziemię, był tak silny, że otworzyły się drzwiczki od strony kierowcy i Jack Cardinal wyleciał przez nie niczym pływak wessany przez zdradliwy wir. Zephyr przekoziółkował jeszcze raz, ściał młode drzewko i to trochę

wyhamowało jego pęd. Na Amandę i dzieci posypały się kaskady okruchów szkła z rozbitych szyb. Zgrzyt metalu, zmieszany z krzykiem pasażerów, był straszny; w nozdrza bił smród wyciekającej benzyny, gęsty dym gryzł w oczy, Amanda z nadludzką siłą przyciskała Oza i Lou do oparcia tylnej kanapy turlającego się auta. Chroniąc dzieci, absorbowała własnym ciałem siłę każdego wstrząsu, każdego uderzenia.

Stalowa karoseria zephyra, tocząca nierówny bój z ubitą ziemią, w końcu dała za wygraną. Dach i prawe drzwiczki wgięły się do środka. Ostry kant blachy uderzył Amandę w głowę. Polała się krew. Amanda straciła na chwilę przytomność, a wóz wywinął jeszcze jednego kozła i znieruchomiał, leżąc na dachu, zwrócony przodem w kierunku, z którego jechali.

Oz tulił się do omdlałej matki. Tylko szok sprawiał, że nie wpadł jeszcze w panikę.

Lou z młodzieńczą zwinnością wydostała się z pogruchotanego wraka. Reflektory zephyra o dziwo paliły się. Stojąc pośród rozpraszanych przez nie ciemności, oszołomiona Lou wypatrywała gorączkowo ojca. Kiedy usłyszała zbliżające się kroki, zaczęła odmawiać modlitwę, dziękując Bogu za jego ocalenie. I nagle urwała. W snopach światła reflektorów zobaczyła rozciągnięte na ziemi ciało. Człowiek z tak skręconym karkiem nie mógł przeżyć. Ktoś zabębnił pięścią w karoserię wywróconego samochodu. Był to mężczyzna, na którego omal nie najechali. Coś krzyczał. Lou nawet nie starała się zrozumieć, co mówi człowiek, którego nierozwaga okazała się tak tragiczna w skutkach dla jej rodziny. Odwróciła się i spojrzała na matkę.

Amanda Cardinal doszła już trochę do siebie. Ona też dostrzegła trupa męża leżącego w beznamiętnym blasku reflektorów.

Przez niewiarygodnie długą chwilę matka i córka patrzyły sobie w oczy. To, co czytała Amanda w oczach córki – wyrzut, gniew,

nienawiść – przytłaczało ją, odcinało od świata niczym kamienna płyta nasuwana na kryptę; było gorsze od wszystkich koszmarów, jakie do tej pory przeżyła, razem wziętych. Lou oderwała w końcu wzrok od zdruzgotanej matki. Zamykając powieki, Amanda usłyszała jeszcze, jak Lou woła ojca, żeby przyszedł. Żeby ich nie opuszczał. A potem dla Amandy Cardinal wszystko przestało istnieć.



# 3

W miarowym, donośnym biciu kościelnego dzwonu pobrzmiwała uroczysta powaga. Jego mocny dźwięk rozchodził się po okolicy, spływał na puszczające pierwsze pączki drzewa i trawę budzącą się z zimowego snu. Wysoko w górze spotykały się dymy z kominów pobliskiego osiedla. Na południu, na tle błękitnego nieba, rysowały się strzeliste iglice i minarety Nowego Jorku.

W wielkim kamiennym kościele chór śpiewał „Najwyższą łaskę”, drobny organista z zadziwiającą jak na swój wiek energią naciskał w natchnieniu pedały i klawisze instrumentu. Ściany świątyni zdobiły portrety mężczyzn w koloratkach, ludzi, którym życie upłynęło na wysłuchiwanie spowiedzi skruszonych grzeszników i zadawaniu im pokuty w postaci zależnej od przewin liczby zdrowasiek. Na obrazy padało światło przesączone przez barwne witraże, które wzbudzały taki zachwyt u dzieci przychodzących z rodzicami na msze.

Kapłan przy ołtarzu, wyciągając ramiona ku niebu, odmawiał modlitwę nadziei. W tej chwili szczególnie potrzebował nadprzyrodzonej pomocy, bo niełatwo tłumaczyć tragedię wolą Bożą.

U stopni ołtarza stała lśniąca mahoniowa trumna obsypana kwiatami. W tym samym kościele Jack i Amanda Cardinal brali przed czternastu laty ślub. Od tamtego czasu ani razu tutaj nie zajrzeli i ani im przez myśl wtedy nie przeszło, że śmierć ich tak szybko rozłączy.

Kościół był wypełniony. Lou i Oz siedzieli w pierwszej ławce. Oz

tulił do piersi pluszowego misia, głowę miał zwieszoną, po policzkach płynęły mu łzy.

Lou otaczała brata ramieniem, ale nie odrywała oczu od zamkniętej trumny. Wyobrażała sobie leżące w niej ciało. Włożyła dzisiaj sukienkę, co zdarzało się niezmiernie rzadko, jeśli nie liczyć znienawidzonych mundurków wymaganych w katolickiej szkole, do której chodziła z bratem. Ojciec lubił ją w sukienkach, raz naszkicował nawet jej portret do książki dla dzieci, którą planował, ale nie zdążył napisać. Na nogach miała białe podkolanówki i nowe czarne lakierki, które cisnęły ją w stopy.

Lou nie śpiewała „Najwyższej łaski”. Wysłuchiwała księdza, który mówił, że śmierć to tylko początek, że to powód do radości, a nie smutku. Dalej już nie słuchała. Nie modliła się nawet za duszę ojca. Wiedziała, że Jack Cardinal był dobrym człowiekiem, wspaniałym pisarzem i gawędziarzem. Wiedziała, że będzie jej go brakowało. Żaden chór, żaden mężczyzna w ornacie, żaden Bóg nie musiał jej tego wszystkiego uświadamiać.

Pieśń umilkła, ksiądz podjął swój wywód i w tym momencie do uszu Lou dobiegła prowadzona zniżonymi głosami rozmowa dwóch siedzących za nimi mężczyzn. Ojciec przykładał w swych powieściach niezmierną wagę do autentyzmu dialogów, w związku z czym był bezwstydnym podsłuchiwcem. Lou odziedziczyła po nim tę niewinną przywarę. I ta się teraz objawiła.

- I jak, wymyśliłeś już coś? - szepnął jeden z mężczyzn do swojego młodszego towarzysza.

- A co tu można wymyślić? Nie da się ukryć, że jesteśmy egzekutorami ostatniej woli człowieka, który nic nie zostawił - padła zniecierpliwiona odpowiedź.

Starszy mężczyzna pokręcił głową i jeszcze bardziej zniżył głos. Lou musiała wyteńczyć słuch, żeby zrozumieć, co mówi.

- Jak to nic? A jego dwoje dzieci i żona?

Młodszy z mężczyzn zerknął w bok i wysyczał:

- Żona? Te dzieciaki można śmiało nazwać podwójnymi sierotami.

Lou nie miała pewności, czy Oz też usłyszał te słowa, w każdym razie uniósł głowę i położył dłoń na ramieniu matki siedzącej obok niego na wózku inwalidzkim. Po jej drugiej stronie, z rękami splecionymi na podolku, siedziała biodrzasta pielęgniarka, której śmierć obcego człowieka wyraźnie nie poruszała.

Kasztanowe włosy Amandy były krótko obcięte, jej głowę spowijał gruby bandaż. Oczy miała zamknięte. Od wypadku nie otworzyła ich ani razu. Lekarze powiedzieli Lou i Ozowi, że od strony fizycznej ich matka jest już w dobrej formie. Pozostawał problem psychiki.

Kiedy karawan uwoził ojca sprzed kościoła, Lou nawet nie odprowadziła trumny wzrokiem. W duchu już dawno się z nim pożegnała. W sercu zachowała go na zawsze. Pociągnęła Oza przez labirynt ciemnych płaszczy i żałobnych sukien. Miała serdecznie dosyć smutnych twarzy, współczujących, wilgotnych oczu, które szukały kontaktu z jej suchymi oczami, warg wygłaszających banały o niepowetowanej stracie dla świata literackiego. To nie ich ojcowie leżeli w tej trumnie. To była jej strata, jej i braciszka. Nie mogła już słuchać ludzi ubolewających nad tragedią, której nie byli w stanie ogarnąć.

„Tak mi przykro - szeptali. - Jakież to smutne. Wielki człowiek. Wspaniały człowiek. Odszedł w kwiecie wieku. Tyle miał jeszcze do opowiedzenia”.

- Nie smućcie się - odpowiadała. - Nie słyszeliście, co mówił ksiądz? Należy się radować. Śmierć jest wybawieniem. Zaśpiewajcie ze mną.

Patrzyli na nią dziwnie, uśmiechali się nerwowo i odchodzili „radować się” z kimś obdarzonym wrażliwszą naturą.

Żałobnicy mieli jeszcze iść do mogiły, gdzie ksiądz bez wątpienia wygłosi kolejną podnoszącą na duchu mowę, pobłogosławi dzieci,

rzuci na trumnę garść poświęconej ziemi; potem głęboki na sześć stóp dół zostanie zasypany zwyczajną już ziemią i ten osobliwy ponury spektakl dobiegnie końca. Śmierć musi mieć swoje rytuały, bo tego żąda społeczeństwo. Lou nie zamierzała brać w tym udziału, miała w tej chwili ważniejszą sprawę do załatwienia.

Dwaj mężczyźni, których rozmowę Lou podsłuchiwała w kościele, stali na trawiastym parkingu. Nieskrępowani już ceremoniałem kościelnym, debatowali normalnymi głosami nad przyszłością osieroconej rodziny Cardinalów.

- Że też akurat nas Jack musiał wyznaczyć na egzekutorów swojej ostatniej woli - mówił starszy, wyciągając z kieszonki koszuli paczkę papierosów. Przypalił sobie papierosa i zdusił płomień zapałki między kciukiem i palcem wskazującym. - Myślałem, że kiedy Jack się przekreśli, mnie już dawno nie będzie wśród żywych.

- Nie możemy ich tak zostawić - powiedział młodszy, opuszczając wzrok na swoje wyglancowane buty - oddać pod opiekę obcym. Dzieciaki potrzebują kogoś.

Starszy wydmuchnął dym i popatrzył za oddalającym się karawanem. W górze formował się luźny dywizjon kruków, nieformalny orszak żałobny Jacka Cardinala. Mężczyzna strzepnął popiół.

- Dzieci powinny być otoczone opieką rodziny. Sęk w tym, że tych dwoje nikogo już nie ma.

- Przepraszam.

Mężczyźni odwrócili się jak na komendę. Za nimi stała Lou trzymająca za rękę Oza.

- My mamy rodzinę - powiedziała Lou. - Prababcię. Nazywa się Louisa Mae Cardinal i mieszka w Wirginii. Mój tato tam się wychował.

W oczach młodszego z mężczyzn pojawiła się nadzieja, że jednak

brzemie świata, a przynajmniej tych dwojga dzieci, zostanie zdjęte z jego wątłych barków. Ale starszy nie krył sceptycyzmu.

- Prababcie? - spytał. - To ona jeszcze żyje?

- Tuż przed wypadkiem rodzice rozmawiali o przeniesieniu się do niej, do Wirginii.

- A weźmie was? - spytał młodszy.

- Oczywiście - odparła bez zawahania Lou, chociaż wcale nie była tego taka pewna.

- Wszystkich? - wtrącił się Oz.

Lou wiedziała, że, zadając to pytanie, braciszek miał na myśli przykutą do inwalidzkiego wózka matkę.

- Wszystkich - powiedziała stanowczo, patrząc na mężczyznę.

## 4

Wyglądając przez okno wagonu, Lou uświadamiała sobie, że wcale jej nie żal opuścić Nowego Jorku. To prawda, że w dzieciństwie wiele skorzystała na tym, co miał do zaoferowania... Bywała w muzeach, w zoo, w kinach. Oglądała świat z wyżyn tarasu widokowego Empire State Building, śmieszyły ją i drażniły przeróżne dziwactwa i huśtawki nastrojów mieszkańców miasta, była naocznym świadkiem zarówno przejawów powszechnej euforii, jak i wybuchów społecznego niezadowolenia. Często spacerowała po ulicach z ojcem, który mawiał, że decyzja o zostaniu pisarzem to nie tylko wybór zajęcia, ale i specyficznego stylu życia, nastawienie się na chłonięcie z otoczenia dosłownie wszystkiego. Podkreślał, że pisarstwo to kwintesencja życia... z wszelkimi jego wzlotami i upadkami.

Z matką zwiedzili wszystkie dzielnice miasta. Amanda Cardinal zapoznawała ich stopniowo z różnymi poziomami ekonomicznymi i społecznymi miejskiej cywilizacji. Była kobietą dobrze wykształconą i bardzo ciekawą takich spraw. Dbała o edukację swoich dzieci i wpajała Lou szacunek do ludzi oraz wrażliwość na ich los.

A jednak dziewczynka nie odczuwała więzi z tym miastem. Bardziej pociągały ją strony, w które się teraz udawała. Jack Cardinal, chociaż większą część swego dorosłego życia spędził w Nowym Jorku, otoczony nieprzebrany bogactwem materiału na powieści i opowiadania, materiału, który inni pisarze przekuwali w sukces zarówno prestiżowy, jak i finansowy, wolał osadzać akcję

swoich powieści w krainie, do której pociąg uwoził teraz jego rodzinę: pośród gór wyrastających pod niebo z czubka topograficznego buta stanu Wirginia. I Lou bez wahania podjęła decyzję o przeniesieniu się do miejsc, które z taką pasją opisywał jej ukochany ojciec.

Zmieniła nieco pozycję, żeby Oz też mógł zobaczyć krajobraz przesuwany się za oknem. Jeśli nadzieja i lęk potrafią w ogóle złączyć się w jedną emocję, to właśnie ona malowała się teraz na twarzyczce chłopca. Oz Cardinal wyglądał tak, jakby miał za chwilę wybuchnąć śmiechem, a jednocześnie zemdleć z przerażenia. Na razie w oczach kręciły mu się łzy.

- Stąd jest jakiś mniejszy - skomentował, odprowadzając wzrokiem zostający w tyle Nowy Jork, z jego sztucznym oświetleniem i betonowymi olbrzymami o szkieletach ze stali.

Lou pokiwała głową.

- Zaczekaj, aż zobaczysz góry Wirginii... one to są dopiero wielkie. I to nawet jak patrzysz z daleka.

- Skąd wiesz? Nigdy ich nie widziałas.

- Wiem z książek.

- I były tam takie duże? - spytał zupełnie poważnie Oz.

- Są duże, możesz mi wierzyć. W książkach taty też o nich czytałam.

- Ale wszystkich książek taty nie przeczytałaś. Powiedział, że jesteś jeszcze za mała.

- Jedną przeczytałam całą. A fragmenty wszystkich innych sam mi czytał.

- Rozmawiałaś z tą panią?

- Z jaką panią? Z Louisą Mae? Nie, ale ludzie, którzy do niej napisali, powiedzieli, że się zgadza na to, żebyśmy przyjechali.

Oz zastanawiał się przez chwilę.

- To chyba dobrze?

- Tak, dobrze.

- Jest podobna do taty?

Lou zaskoczyło to pytanie.

- Nie wiem. Nigdy jej nie widziałam, nawet na zdjęciu.

Chłopiec wyraźnie się zafrasował.

- A jak się okaże, że jest zła i brzydka, to będziemy mogli wrócić do domu?

- Naszym domem jest teraz Wirginia, Oz. - Lou uśmiechnęła się do brata pokrzepiająco. - Bez obawy. Nie będzie brzydka. Zła też nie będzie. Gdyby taka była, to nie zgodziłaby się nas przyjąć.

- Ale czarownice czasami tak robią, Lou. Pamiętasz Jasia i Małgosię? Podstępnie zwabiają do siebie dzieci, bo chcą je zjeść. Wszystkie takie są. Wiem... ja też czytam książki.

- Dopóki jesteś ze mną, żadna czarownica nie tknie cię palcem. - Ścisnęła go mocno za ramię, żeby poczuł, jaka jest silna.

Uspokoił się trochę i rozejrzał po przedziale sypialnym.

Podróż tę sfinansowali przyjaciele Jacka i Amandy Cardinalów. Nie liczyli się z kosztami, byle tylko zapewnić dzieciom bezstresowy start w nowe życie. Wynajęli nawet pielęgniarkę, która jechała teraz z nimi i miała pozostać przez jakiś czas w Wirginii, by opiekować się Amandą. Niestety, ta chuda koścista kobieta postawiła sobie dodatkowo za punkt honoru zdyscyplinowanie rozpuszczonych, jej zdaniem, dzieci.

- Czy moglibyśmy na chwilę zostać z mamą sami? - zwrócił się do niej nieśmiało Oz.

W pielęgniarce widział po części jadowitą żmiję, po części złego ducha z bajek. Bał się jej panicznie. Wydawało mu się, że w rękę kobiety lada moment pojawi się nóż, którym go dźgnie. Obawa, że prababka może się okazać czarownicą, nie brała się jedynie z lektury nieszczęsnej bajki o Jasiu i Małgosi. Oz nie spodziewał się, że pielęgniarka spełni jego prośbę, ale, o dziwo, posłuchała.



Kiedy zasuwawała za sobą drzwi przedziału, Oz spojrział na Lou i z nadzieją w głosie powiedział:

- Ona chyba nie jest taka zła.
- Poszła tylko zapalić.
- Skąd wiesz, że pali?
- Ma palce żółte od nikotyny, a poza tym na milę cuchnie od niej tytoniem.

Oz usiadł obok matki, która, oddychając płytko, leżała na dolnym łóżku, z rękami splecionymi na brzuchu i zamkniętymi oczami.

- To my, mamó, ja i Lou.

Lou przewróciła oczami.

- Oz, ona ciebie nie słyszy.
- A właśnie że słyszy!

Zawziętość w głosie braciszka zaskoczyła Lou. Założyła ręce na piersi i odwróciła wzrok. Kiedy spojrzała znowu, Oz otwierał pudełeczko, które wyjął przed chwilą z walizki. Wyciągnął z niego łańcuszek z małym kryształkiem kwarcu.

- Proszę cię, Oz - jęknęła Lou - przestań.

Puścił jej słowa mimo uszu i wyciągnął rękę. Łańcuszek, który w niej trzymał, zadyndał nad matką.

Amanda jadła i piła, ale z jakiegoś niezrozumiałego dla dzieci powodu nie mogła się poruszać ani mówić, i nigdy nie otwierała oczu. Oza bardzo to przygnębiało, a jednocześnie napawało nadzieją. Wyobrażał sobie, że powodem tego jest jakaś niewielka przeszkoda, coś w rodzaju kamyka w bucie albo kawałka mydła, który zapchał odpływ umywalki. Wystarczy usunąć tę przeszkodę i mama znowu będzie z nimi.

- Oz, ty głuptasie. Skończ z tym wreszcie.

Oz zerknął na nią przelotnie.

- Ty w nic nie wierzysz, Lou.
- Za to ty wierzysz we wszystko.

Oz wprawił łańcuszek w ruch wahadłowy. Potem przymknął powieki i zaczął mamrotać pod nosem jakieś słowa, których znaczenia sam chyba nie rozumiał.

Lou skrzywiła się i wstała. Drażniło ją zachowanie brata.

- Gdyby ktoś cię teraz zobaczył, pomyślałby, że jesteś stuknięty. I wiesz, co ci powiem? Ty jesteś stuknięty!

Oz przerwał zamawianie i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Wszystko popsułaś. Żeby kuracja się udała, musi być zupełnie cicho.

- Kuracja? Jaka kuracja? Co ty bredzisz?

- Chcesz, żeby mama już taka została?

- Sama jest sobie winna - fuknęła Lou. - Gdyby się nie kłóciła wtedy z tatą, nie doszłoby do wypadku.

Oza zamurowało. Lou nie chciało się wierzyć, że mogła coś takiego powiedzieć. Ale cofanie raz wypowiedzianych słów nie leżało w jej naturze.

Gdyby spojrzeli w tej chwili na Amandę, zauważyliby, że powieki drgnęły jej ledwie dostrzegalnie, co mogło sugerować, że usłyszała córkę, a potem zapadła jeszcze głębiej w otchłań, w której była już pogrążona.

Pędzący pociąg skręcał stopniowo, niewyczuwalnie dla pasażerów, na południe. Pod wpływem siły odśrodkowej ręka Amandy zsunęła się powoli z brzucha i zwiśla z łóżka.

Oz stał przez chwilę jak skamieniały. Widać było, że w jego mniemaniu doszło właśnie do iście biblijnego cudu.

- Mamo! Mamusiu! - krzyknął i podniecony omal nie przewrócił siostry. - Widziałaś, Lou?

Lou nie mogła dobyć z siebie głosu. Nie spodziewała się, że matka będzie kiedykolwiek zdolna do wykonania choćby takiego ruchu. Drzwi odsunęły się i do przedziału wparowała odziana na biało, naburmuszona pielęgniarka. Nad jej głową unosiły się smużki

papierosowego dymu, tak jakby za chwilę miała się samoistnie zapalić. Gdyby Oz nie był tak zaaferowany matką, na jej widok wyskoczyłby chyba przez okno.

- Co tu się wyprawia? - Wagonem zatrzęsło i pielęgniarka zatoczyła się.

Oz wypuścił z ręki łańcuszek i pokazał palcem na matkę.

- Mama się poruszyła. Poruszyła ręką. Oboje widzieliśmy, prawda, Lou?

Lou popatrywała to na matkę, to na Oza. Krtań miała ściśniętą, nie była w stanie wykrztusić słowa.

Pielęgniarka pochyliła się nad Amandą. Po chwili wyprostowała się z jeszcze bardziej skwaszoną miną. Najwyraźniej miała, dzieciom za złe, że nie dały jej wypalić do końca papierosa. Położyła rękę Amandy z powrotem na brzuchu i przykryła ją kocem.

- Pociąg zakręcał i tyle - burknęła. Schylając się ponownie, żeby poprawić koc, zobaczyła na podłodze łańcuszek, rekwizyt do niekonwencjonalnych praktyk, za pomocą których Oz usiłował przyspieszyć powrót matki do zdrowia. - A to co? - spytała groźnym tonem, podnosząc łańcuszek i potrząsając nim wystraszonemu chłopcu przed nosem.

- Chciałem tylko pomóc mamusi. To takie. - Oz zerknął nerwowo na siostrę - ...takie czary.

- Bzdury.

- Mogłaby mi go pani oddać?

- Twoja matka znajduje się w stanie śpiączki - wycedziła kobieta chłodnym, pedantycznym tonem, obliczonym na zastraszenie słabych i bezbronnych. W wypadku Oza udało jej się to bez trudu. - Mała jest nadzieja, że odzyska przytomność. A już na pewno nie stanie się to za sprawą jakiegoś łańcuszka, młodzieńcze.

- Proszę mi go oddać - odezwał się płaczliwym głosem Oz, składając ręce jak do modlitwy.

- Powiedziała ci już... - pielęgniarka urwała, bo w tym momencie ktoś postukał ją w ramię.

Odwróciła się i stanęła oko w oko z Lou. Dziewczynka jakby urosła przez kilka ostatnich sekund.

- Niech mu go pani odda!

Pielęgniarka poczerwieniała.

- Tylko nie tym tonem, moja panno!

Lou błyskawicznym ruchem sięgnęła po łańcuszek, ale pielęgniarka wykazała się zadziwiającym refleksem i zdążyła go schować do kieszeni.

- To nie pomoże waszej matce - warknęła, zionąc z ust smrodem lucky strike'ów. - A teraz proszę siadać i nie hałasować!

Oz spojrział z rozpaczą na matkę. Stracił swój bezcenny łańcuszek. Usiedli z Lou przy oknie i przez kilka mil jazdy obserwowali zachód słońca. Potem Oz zaczął się niespokojnie wiercić.

- O co chodzi? - spytała go Lou.

- Głupio mi, że zostawiamy tam tatusia samego.

- On nie jest sam, Oz.

- Ale w trumnie był sam. Już się robi ciemno. Może się boi. To nie w porządku, Lou.

- Jego nie ma w trumnie, jest z Panem Bogiem. Rozmawiają sobie teraz tam w niebie i patrzą na nas z góry.

Oz spojrział na niebo. Uniósł rękę, żeby pomachać, lecz coś go powstrzymało.

- Możesz mu pomachać, Oz. On tam jest.

- Naprawdę?

- Naprawdę. No, pomachaj.

Oz posłuchał i zaraz uśmiechnął się szeroko.

- Co? - spytała siostra.

- Sam nie wiem, jakoś przyjemnie mi się zrobiło. Myślisz, że on też mi pomachał?

- Oczywiście. I Pan Bóg również. Wiesz, jaki jest tato, jak ciekawie potrafi opowiadać i w ogóle. Są już na pewno dobrymi przyjaciółmi.  
- Lou też pomachała niebu, wmawiając sobie, że wierzy święcie we wszystko, co przed chwilą powiedziała. I jej również zrobiło się dziwnie przyjemnie.

Kończyła się zima. Od śmierci ojca upłynęło już sporo czasu, a jej z każdym dniem coraz bardziej go brakowało, nie potrafiła niczym wypełnić pustki, jaka po nim została. Ileż by dała, żeby ojciec był teraz cały i zdrowy, i z nimi. Nie mogła się pogodzić z myślą, że odszedł na zawsze. Spojrzała znowu w niebo.

„Cześć, tatku. Nie zapominaj o mnie, bo ja ciebie nigdy nie zapomnę”. Wypowiedziała te słowa w duchu, żeby Oz ich nie usłyszał. O mało się przy tym nie rozplakała. Całą siłą woli powstrzymała łzy.

- Jak to jest być umarłym, Lou? - zapytał Oz, patrząc w noc za oknem.

- Przypuszczam - powiedziała po chwili - że umarły niczego nie odczuwa. Ale z drugiej strony czuje wszystko. Wszystko, co dobre. Jeśli żył uczciwie. Jeśli nie, to... no, sam wiesz.

- Idzie do piekła? - szepnął Oz i na jego twarzyczce odmalował się strach.

- Tobie to nie grozi. Tacie też nie.

Oz przeniósł powoli wzrok na Amandę.

- Czy mama umrze?

- Wszyscy kiedyś umrzemy. - Lou otoczyła braciszka ramieniem i przytuliła go mocno. - Lecz nie tak szybko. Jeszcze mnóstwo czasu przed nami.

Obejmując Oza, patrzyła w okno. Zdawała sobie sprawę, że nic nie trwa wiecznie.

# 5

Świtało. Ptaki właśnie się obudziły i rozprostowywały zdrętwiałe skrzydła, zimna mgła snuła się nad ziemią, zorza pierwszego brzasku rozjaśniała niebo nad wschodnim widnokręgiem. Zatrzymali się tylko raz, w Richmond, gdzie zmieniono lokomotywy i pociąg potoczył się dalej doliną Shenandoah, słynącą z żyznej gleby i umiarkowanego klimatu, dzięki czemu rośnie tam praktycznie wszystko. Teraz teren zaczynał się wznosić.

Lou przez całą noc prawie nie zmrużyła oka, bo dzieliła górne łóżko z Ozem, który sen miał niespokojny nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, a co dopiero w roztrzęsionym pociągu, pędzącym ku nowemu, wzbudzającemu grozę światu. Rzucił się tak, że chociaż tuliła go przez cały czas do siebie, ręce i nogi miała posiniaczone. I wydawał co chwila dramatyczny okrzyk, choć szeptała mu do ucha kojące słowa. W końcu zsunęła się z łóżka, dotknęła bosymi stopami podłogi, podeszła po omacku do okna, rozsunęła zasłonki i po raz pierwszy ujrzała na własne oczy góry Wirginii.

Jack Cardinal opowiadał jej kiedyś, że podobno istniały dwa pasma Appalachów. Pierwsze wyłoniło się przed milionami lat spod cofających się mórz i wypiętrzyło na wysokość współczesnych Gór Skalistych. Później, pod wpływem erozji wywołanej nieprzerwanym naporem wzburzonych wód, zostało doszczętnie zniszczone i utworzyła się lekko falista równina. A potem świat znowu zadrżał i skały ponownie się wypiętrzyły, tworząc obecne Appalache, które oddzielają Wirginię od Wirginii Zachodniej i ciągną się od Kanady

aż po Alabamę.

Appalachy przeszkodziły w szybkiej ekspansji osadników na zachód, dzięki czemu populacja pierwszych amerykańskich kolonii nie rozproszyła się po całym kontynencie. Osadnicy, połączywszy siły, byli w stanie stoczyć zwycięską walkę o niepodległość z monarchią angielską. Nieprzebrane bogactwa naturalne tych gór umożliwiły powstanie największych stref przemysłowych, jakie widział świat. Mimo to, dodawał ze smutnym uśmiechem ojciec, człowiek nigdy nie dostrzegął znaczącego wpływu Appalachów na swoje losy.

Jack Cardinal kochał góry Wirginii i darzył ich strzeliste turnie najwyższą czcią. Często powtarzał córce, że jest w nich coś magicznego. Wierzył, że mają moc, której nie da się racjonalnie wyjaśnić. Lou dziwiło, jak te zwały ziemi i skał mogły aż tak zauroczyć ojca. Teraz po raz pierwszy zaczynała go rozumieć, bo nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziała.

Zadrzewione wzgórza ze skalnymi płytami wyzierającymi spod warstwy gleby, te, które teraz mijali, można było nazwać dzieciarnią; dopiero za tymi „dziećmi” Lou dostrzegała zarysy roślących rodziców – gór właściwych. Ziemia i niebo zdawały się ich nie ograniczać. Były tak wielkie i rozległe, że aż nienaturalne w swym majestacie, zupełnie jakby zrodziły się bezpośrednio z pierwotnego planetarnego gruzu. I gdzieś tam mieszkała kobieta, której Lou była imienniczką, a której nigdy nie widziała. Świadomość, że wkrótce się spotkają, napawała z jednej strony otuchą, z drugiej treścią. I nagle Lou ogarnęła panika. Miała wrażenie, że ten pociąg postukujący kołami na złączach szyn przenosi ją do innego układu planetarnego.

Dopiero kiedy obok stanął Oz, jakoś różnie zrobiło jej się na duszy, choć chłopiec nie należał do osób, które swoją obecnością wpływają na innych podbudowująco.

- Chyba dojeżdżamy - powiedziała, masując mu wątle ramionka, by usunąć z nich napięcie wywołane kolejną dawką sennych koszmarów.

Były w tym z matką specjalistkami. Amanda twierdziła, że nie widziała jeszcze nikogo, kto sypiałby tak źle jak Oz. Powtarzała, że nie wolno załamywać rąk ani przechodzić nad tym do porządku dziennego. Że trzeba nad chłopcem pracować, starać się rozpoznać i wykorzenić psychiczne i fizyczne urazy, które są podłożem jego nocnych lęków.

Lou wzięła to sobie do serca i rozszerzyła dekalog o jeszcze jedno osobiste przykazanie: „Nie będziesz miała ważniejszego obowiązku nad opiekowanie się swoim bratem Ozem”. I dała mu priorytet.

- Gdzie to jest? - spytał chłopiec, chłonąc oczyma krajobraz. - Gdzie będziemy mieszkali?

Lou pokazała za okno.

- Gdzieś tam.

- I pociąg podwiezie nas pod sam dom?

- Nie - mruknęła z rozbawieniem Lou. - Tylko do stacji, na której ktoś nas spotka.

Pociąg wjechał w tunel wykuty w jednym ze wzgórz i zrobiło się jeszcze ciemniej. W chwilę później wypadli z tunelu i rozpoczęli wspinaczkę - i to jaką! Stromizna zapierała dech w piersiach. Przed nimi zamajaczył most przerzucony nad przepaścią. Pociąg zwolnił, wjeżdżając ostrożnie na most. Dzieci spojrzały w dół, ale w szarówce przedświtów dna wąwozu nie było widać. Odnosiły wrażenie, że płyną w powietrzu, niesione przez ważącego wiele ton żelaznego ptaka. Jakiś czas potem pociąg, poczuwszy pod kołami twardego gruntu, przyspieszył i podjął wspinaczkę. Oz odetchnął z ulgą i ziewnął szeroko.

- Podoba mi się tutaj - powiedział do swojego pluszowego bezimiennego misia, przysuwając go do szyby. - Wyjrzyj sobie. -



A potem wsunął kciuk do buzi i zaczął go ssać. Walczył zawzięcie z tym nawykiem, ale ostatnio tyle się działo, że wciąż się zapominał.

- Będzie dobrze, prawda, Lou? - wymamrotał.

Lou wzięła braciszka na kolana i potarła brodą o jego kark.

- Damy sobie radę - powiedziała z przekonaniem.

# 6

Szumnym mianem stacji kolejowej na Rainwater Ridge określano drewnianą budkę z pękniętą szybą w jedynym, zasnutym pajęczyną okienku i z otworem na drzwi, ale bez drzwi. Od torów dzielił ją zaledwie skok. Dął porywisty wiatr. O jego sile świadczyły zaczerwienione twarze kilkorga kulących się za węglem ludzi.

Lou i Oz odprowadzili wzrokiem matkę, którą sanitariusze wsuwali na noszach do starego ambulansu. Pielęgniarka, wsiadając do samochodu, zerknęła spode łba na swoich podopiecznych. Najwyraźniej nie wybaczyła im jeszcze wczorajszej konfrontacji.

Kiedy zatrzasnęła za sobą drzwiczki, Lou wyciągnęła z kieszeni łańcuszek z kryształkiem kwarcu i oddała go Ozowi.

- Zakradłam się do jej przedziału, kiedy jeszcze spała. Miała go wciąż w kieszeni fartucha.

Oz uśmiechnął się, schował swój cenny rekwizyt do kieszeni, a potem wspiął się na palce i cmoknął siostrę w policzek. Umyci, uczesani, ubrani w to, co mieli najlepszego, stali przy swoich bagażach, czekając cierpliwie na Louise Mae Cardinal. Serca waliły im młotem. Nagle wyczuli, że za ich plecami ktoś się zatrzymał.

Był to młody, wysoki, potężnie zbudowany Murzyn. Miał szerokie bary, mocną klatkę piersiową, imponujące bicepsy, wąską talię i długie nogi, z których jedna była dziwnie wygięta w kolanie. Jego skóra miała miły dla oka kolor ciemnej rdzy. Patrzył na swoje stopy i Lou mimowolnie też na nie spojrzała. Na nogach miał stare robocze buty, tak wielkie, że w każdym z powodzeniem zmieściłby się noworodek. Ogrodniczki były równie znoszone jak buty, ale

czyste, a przynajmniej na tyle czyste, na ile było to możliwe przy hulających tu wiatrach i tumanach kurzu. Lou wyciągnęła rękę, on jednak jej nie uścisnął.

Zamiast tego schylił się, jednym zamaszystym ruchem zagarnął wszystkie ich torby i wskazał ruchem głowy na drogę. Lou zinterpretowała wymowę tego gestu jako „cześć, chodźcie” i „może potem wam powiem, jak się nazywam”. Pokuśtykał przodem, powłócząc chromą nogą. Lou i Oz spojrzeli po sobie i ruszyli za nim. Oz tulił do piersi swojego misia i kurczowo ścisnął Lou za rękę. Gdyby to tylko było możliwe, pociągnąłby za sobą pociąg, żeby na wszelki wypadek zapewnić sobie szybki odwrót.

Na drodze stał długi, czterodrzwiowy hudson koloru pikli. Samochód był stary, ale czysty w środku. Wysoka, nieosłonięta atrapą chłodnica przywodziła na myśl nagrobek, obu przednich błotników nie było, brakowało też szyby w tylnym oknie. Lou z Ozem usadowili się z tyłu, mężczyzna zajął miejsce za kierownicą. Długim drążkiem zmiany biegów wrzucił wprawnie jedynekę.

Lou, mając wciąż przed oczami nędzną stację kolejową, nie spodziewała się spotkać tutaj znaczących przejawów cywilizacji. Jednak po zaledwie dwudziestu minutach dojechali do sporego miasteczka, choć nie dało się ukryć, że to skromne skupisko domków nie zapełniłoby w Nowym Jorku nawet jednego kwartału.

Tablica przy drodze informowała, że wjeżdżają do miasta Dickens w stanie Wirginia. Główna ulica była szeroka i wylana asfaltem. Po obu jej stronach ciągnęły się zadbane drewniane i murowane budyneczki. Jeden strzelał w niebo na całe cztery piętra. Z szyldu nad drzwiami wynikało, że to hotel z wolnymi pokojami po przystępnych cenach. Aut było mnóstwo. Większość stanowiły pękate czterodrzwiowe fordy i chryslery oraz solidne, ochlapane błotem półciężarówki rozmaitych marek. Wszystkie parkowały ukośnie do frontonów budynków.

Na parterach tych budynków mieściły się sklepy, restauracje i magazyny. Przez otwarte drzwi tych ostatnich widać było stosy kartonów z cukrem Domino, serwetkami Quick, grzankami Post Toasties, płatkami Quaker. Na rogu znajdował się salon samochodowy z lśniącymi lakierem autami, a tuż obok stacja benzynowa Esso z dwoma dystrybutorami i uśmiechniętym od ucha do ucha pracownikiem lejącym paliwo do baku poobijanego, czterodrzwiowego la salle'a, za którym czekał na swoją kolejkę zakurzony dwudrzwiowy nash. Nad wejściem do kafejki wisiał neon reklamujący coca-cole, a przy drzwiach sąsiedniego sklepu przemysłowego plakat zachwalający baterie Eveready. Wzdłuż jednej strony ulicy stały równym szeregiem elektryczne i telefoniczne słupy z topolowego drewna, od których do każdego budynku odbiegały czarne kable. Reklama nad jeszcze jednym sklepem zachęcała do kupowania pianin i organów po okazyjnej cenie. Na rogu mieściło się kino, a naprzeciwko pralnia. Po obu stronach ulicy stały w równych odstępach gazowe latarnie przypominające olbrzymie zapałki.

Chodniki były zatłoczone. Wśród przechodniów widziało się zarówno elegancko ubrane, starannie uczesane kobiety w modnych kapeluszach, jak i przygarbionych, usmolonych mężczyzn, prawdopodobnie górników z okolicznych kopalni węgla.

Ostatni z budynków, które mijali, był najokazalszy w całym miasteczku. Wzniesiono go z czerwonej cegły, miał elegancki piętrowy portyk wsparty na jońskich kolumnach i dwuspadowy dach, kryty cynkową blachą pomalowaną na czarno. Wieńczyła go murowana zegarowa wieża. Na frontonie budynku powiewały flagi Wirginii i Stanów Zjednoczonych. Z elegancką czerwoną cegłą kontrastował rażąco brzydki fundament z porowatego betonu. Lou skojarzył się z brudnymi butami włożonymi do idealnie odprasowanych spodni. Litery wykute nad kolumnami układały się

w słowo „Sąd”. W chwilę potem byli już poza granicami Dickens.

Lou coś tu nie pasowało. W książkach ojca roilo się od opisów surowych górskich krajobrazów i prymitywnego życia; myśliwi piekli nad ogniskami swoją zdobycz, popijając zbożową kawę; farmerzy wstawali przed wschodem słońca i harowali w pocie czoła w polu; górnicy ryli w ziemi, wciągając w płuca węglowy pył, który w końcu ich zabijał; drwale siekierami i piłami wycinali dziewicze lasy. Tu trzeba było mieć przede wszystkim spryt, dogłębną znajomość tej krainy i twardy kark. Na stromych zboczach i w ilastych dolinach niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku, a majestatyczne skaliste szczyty rządziły losem zarówno ludzi, jak i zwierząt, wytyczając granice ich ambicji, ich egzystencji. Miejsca takiego jak Dickens, z asfaltowymi ulicami, hotelem, reklamami coca-coli i niedrogich pianin za gotówkę, nie miało prawa tu być. I naraz Lou uświadomiła sobie, że ojciec opisywał tę krainę taką, jaka była przed ponad dwudziestu laty.

Westchnęła. Najwyraźniej od tamtego czasu zmieniło się wszystko, nawet góry i żyjący w nich ludzie. Prababka mieszka pewnie w całkiem zwyczajnym domku i ma całkiem zwyczajnych sąsiadów. Może trzyma kota i w każdą sobotę chodzi się uczesać do zakładu fryzjerskiego, który pachnie perfumami i papierosowym dymem. Ona i Oz będą popijali na ganku oranżadę, chodzili w niedzielę do kościoła, machali do ludzi w przejeżdżających przed ich domem samochodach, krótko mówiąc, ich życie tutaj niewiele się będzie różniło od nowojorskiego. I chociaż nie było w tym nic złego, Lou, nastawiona na zmaganie się z rozbuchaną, zapierającą dech w piersiach dziczą, poczuła rozczarowanie. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie to życie, którego doświadczył, a potem opisywał jej ojciec.

Po kilku milach jazdy pośród lasów, wspinania się na strome wzniesienia i zjeżdżania w doliny Lou zobaczyła kolejną tablicę

z nazwą miasta. Nazywało się Tremont. Tu już lepiej, pomyślała. Tremont było ze trzy razy mniejsze od Dickens. Przed sklepikami, podobnymi do tych w Dickens, parkowało ukosem kilkanaście samochodów, ale nie było tu żadnego wysokiego budynku, żadnego gmachu sądu, a ulic nie wyasfaltowano, lecz utwardzono tłuczniem i żwirem. Lou zdążyła jeszcze wypatrzeć kilku jeźdźców na koniach i zaraz Tremont zostało za nimi, a droga pięła się wciąż pod górę. Prababka mieszkała widocznie gdzieś na peryferiach Tremont.

Następna miejscowość, którą mijali, nie miała tablicy z nazwą, bo i szkoda było nazwy dla tych kilku budyneków i garstki ludzi. Droga była tu gruntowa i hudson kołysał się na boki na wykrotach. Lou zobaczyła najpierw niski budynek poczty, a zaraz za nim nędzny drewniany baraczek bez żadnego szyldu, do którego prowadziły przegniłe schodki. Dalej był spory sklep wielobranżowy z szyldem „McKenzie’s” na ścianie; przed nim piętrzyły się stosy skrzyń z cukrem, mąką, solą i pieprzem. W jednej z witryn wyeksponowano niebieskie ogrodniczki, końską uprzęż i naftową lampę. I to by było wszystko, jeśli chodzi o bezimienną osadę przy wyboistej drodze.

Jechali, mijając milczących mężczyzn o zapadniętych oczach i zarośniętych twarzach, w brudnych ogrodniczkach, kapeluszach i rozdeptanych trzewikach; szli poboczem albo podróżowali na mułach, ewentualnie konno. Minęli mały, zaprzężony w dwa muły wóz, którym powoziła kobieta o nieobecnych oczach, wychudłej twarzy i chudych rękach, ubrana w wełnianą bluzkę i spódnicę spiętą w talii agrafką. Stos jutowych worków z ziarnem, piętrzący się na wozie, obsiadła gromadka małych dzieci. Równoległe do drogi biegły tory kolejowe. Pod wieżą ciśnień stał długi pociąg z wagonami wyładowanymi węglem; parowóz pochłaniał łapczywie wodę, przy każdym haście z jego gardzieli buchały kłęby pary. Na wznoszącej się przed nimi górze Lou widziała nadszybie kopalni,

wsparte na drewnianych palach, i jeszcze jeden szereg węglarek przesuwających się pod tą konstrukcją niczym karna kolumna mrówek.

Przed wjazdem na duży most stała blaszana tablica informująca, że trzydzieści stóp niżej przepływa rzeka McCloud. Woda różowiła się w blasku wschodzącego słońca i przypominała długi na mile, kręty jezior. Szczyty gór były błękitne jak dym, tuż pod nimi snuła się mgiełka.

Nic nie wskazywało, by spotkali na swej drodze jeszcze jakieś miasteczko, Lou uznała więc, że nadszedł odpowiedni moment na zawarcie bliższej znajomości z siedzącym za kierownicą dżentelmenem.

- Jak się pan nazywa? - zapytała.

Znała wielu czarnych. Byli to przeważnie pisarze, poeci, muzycy i aktorzy, przyjaciele rodziców, ale nie tylko. Podczas wędrówek z matką po mieście poznawała również kolorowych pracujących jako śmieciarze, taksówkarze, tragarze, opiekunowie do dzieci, zamiatacze ulic, czyściciele okien, pucybuci, kucharze, pracze; wszyscy z niezmaconą pogodą ducha znosili obelgi swoich klientów oraz przyjmowali od nich napiwki.

Ten był jakiś inny, bo najwyraźniej nie lubił rozmawiać. W Nowym Jorku Lou przyjaźniła się z pewnym starszym panem, który był pracownikiem fizycznym na Yankee Stadium, gdzie czasem chodziła z ojcem na mecze. Ten znajomy, tylko o jeden odcień jaśniejszy od orzeszków ziemnych, które sprzedawał, powiedział jej kiedyś, że kolorowym mężczyznom przez sześć dni w tygodniu gęba się nie zamyka i jedynie w niedzielę pozwalają się wygadać Panu Bogu i kobietom.

Potężnie zbudowany kierowca nie reagował; zagadnięty przez Lou, nie zerknął nawet we wsteczne lustro. Takiego kompletnego braku zainteresowania Lou nie mogła tolerować.

- Rodzice nadali mi imiona Louisa Mae - podjęła. - To po mojej prababci. Ale wszyscy mówią mi Lou, po prostu Lou. Moim tatą jest John Jacob Cardinal. Bardzo słynny pisarz. Musiał pan o nim słyszeć.

Mężczyzna za kierownicą w dalszym ciągu nie reagował. Najwyraźniej obserwacja sytuacji na drodze fascynowała go o wiele bardziej od informacji o rodzinie Cardinalów.

- Tylko że on umarł - dorzucił Oz - ale mama żyje.

Zgromiony przez Lou spojrzeniem, szybko odwrócił głowę i zaczął ostentacyjnie podziwiać przesuwający się za szybą krajobraz.

Kawałek dalej hudson przyhamował ostro i zatrzymał się.

Na poboczu stał chłopiec trochę starszy od Lou, ale tego samego co ona wzrostu. Spod strzechy rozwichrzonych, płomiennorudych włosów sterczały odstające jak u nietoperza uszy. Miał na sobie długą koszulę wyrzuconą na brudne, przykrótkie, niesięgające chudych kostek ogrodniczki. Pomimo chłodu był boso. W jednej ręce trzymał długą wędkę własnej roboty, w drugiej pogiętą skrzynkę na narzędzia, która kiedyś była chyba niebieska. Przy jego nodze siedział czarnobrazowy kundel z wywieszonym na brodę językiem. Chłopiec wsunął wędkę i skrzynkę na narzędzia przez tylne, pozbawione szyby okno hudsona i, nie pytając o pozwolenie, usiadł z przodu. Pies wskoczył mu na kolana.

- Cześć, czołem, Za Cholerę - zwrócił się poufale do kierowcy, a ten ledwie zauważalnie kiwnął głową.

Lou i Oz wymienili spojrzenia, zdumieni tym osobliwym powitaniem.

Chłopiec wykręcił się raptownie, wychylił przez oparcie przedniego siedzenia i zaczął się im bacznie przyglądać. Płaskie policzki miał usiane piegami, mały perkaty nosek też cały w piegach. Jego włosy podświetlane przez słońce wydawały się jeszcze bardziej czerwone, niż były w istocie. Oczy miał koloru zielonego groszku, i te oczy, w połączeniu z włosami, przywiodły Lou na myśl papier do



pakowania gwiazdkowych prezentów.

- Założę się, że wiem, cośta za jedni. Krewniacy panny Louisy, dobrze mówię? - powiedział z miłym dla ucha zaśpiewem i uśmiechnął się ujmująco.

Lou skinęła powoli głową.

- Jestem Lou. A to mój braciszek Oz - odparła, siląc się na swobodny ton, bo nie chciała, żeby nieznajomy pomyślał sobie, że jest zdenerwowana.

Chłopiec błyskawicznym ruchem wyciągnął rękę i uścisnął im dłonie. Palce miał silne i tak niemiłosiernie brudne, że nie widać było na nich paznokci. Lou i Oz gapili się na nie jak zahipnotyzowani.

Chyba to zauważył, bo oznajmił:

- Kopałem od szarego świtu robaki. W jednej ręce świeczka, w drugiej puszka. No, wiecie, brudna robota. - Powiedział to takim tonem, jakby od lat klęczeli we trójkę ramię w ramię i kopali robaki na przynętę.

Oz spojrział na swoje dłonie i zobaczył na nich ślady żyznej gleby, pozostałe po wymianie uścisków. Uśmiechnął się, bo poczuł się tak, jakby przed chwilą połączyło go z chłopcem braterstwo krwi. Brat! To było coś!

Rudzielec wyszczerzył w uśmiechu zęby, z których większość znajdowała się na miejscu, ale żadnego nie dało się nazwać prostym ani śnieżnobiałym.

- Jestem Jimmy Skinner - przedstawił się - ale wołają mnie Diament. Mój tato powiedział kiedyś, że mam łepetynę twardą jak diament, i tak już zostało. A pies wabi się Jeb.

Na dźwięk swego imienia Jeb przełożył kudłaty łeb przez oparcie przedniego siedzenia. Diament potarł go pieszczotliwie najpierw za jedno, potem za drugie ucho, następnie spojrział na Oza.

- Fikuśne masz imię. Oz.

Oz speszył się pod badawczym spojrzeniem swojego „brata krwi”. Czyżby ich braterstwo miało jednak nie dojść do skutku?

W sukurs przyszła mu Lou.

- Tak naprawdę to ma na imię Oscar. Jak Oscar Wilde. Oz to jego przydomek, jak ta kraina, z której pochodził Czarnoksiężnik.

Diament wbił wzrok w sufit hudsona. Widać było, że wyteża pamięć.

- Tu w okolicy nie ma żadnych Wilde'ów. - Urwał i zmarszczył czoło. Na jego twarzy ponownie malował się wysiłek umysłowy. - Jaki znowu czarnoksiężnik?

- Nie czytałeś tej książki? Nie widziałeś filmu? Z Judy Garland?

- Blaszyński Człowiek? Tchórzliwy Lew? - odpowiedział Oz.

- Nigdy nie byłem w kinematografie. - Diament spojrział z dezaprobatą na misia w ręku Oza. - Nie jesteś na to za duży, synku?

To przypieczętowało sprawę. Oz ze smutkiem wytarł dłoń o tapicerkę, anulując tym samym podniosły pakt zawarty z Diamentem.

Lou nachyliła się do Diamenta tak blisko, że czuła zapach jego oddechu.

- To nie twój interes, zrozumiano?

Przywołany do porządku Diament odwrócił się i siedział przez chwilę zgaszony, nie zwracając uwagi na Jeba, który zlizywał mu z palców brud i śluz po robakach.

Ambulans, choć jechał wolno, wyprzedził ich znacznie.

- Szkoda mi waszej chorej mamy - odezwał się znowu Diament pojednawczym tonem.

- Wyzdrowieje - powiedział z przekonaniem Oz.

Lou siedziała z założonymi na piersiach rękami i patrzyła w okno.

- Za Cholerę - zwrócił się Diament do kierowcy - wyrzuć mnie przy mostku. Jak coś złapię, to przyniosę wam na kolację. Powiesz

pannie Louisie?

Mężczyzna wysunął szczękę, co miało zapewne oznaczać: „A jakże, Diament, powiem!”.

Chłopiec przechylił się znowu przez oparcie.

- Hej, chcecie smażoną rybkę na kolację?

Na jego twarzy malowała się nadzieja, intencje miał bez wątpienia szczerne, ale Lou nie była teraz w nastroju do zawierania przyjaźni.

- Pewnie, że chcemy, Diament. A po kolacji poszukamy może jakiegoś kinematografu w tej zabitej dechami dziurze - powiedziała z pogardą i od razu tego pożałowała. Zrobiło jej się głupio, że wyraża się tak niepochlebnie o rodzinnych stronach taty. Odruchowo spojrzała w niebo, wypatrując na nim błyskawic albo gradowej chmury.

- Jesteście z jakiegoś dużego miasta, dobrze mówię? - spytał Diament.

Lou oderwała wzrok od nieba.

- Z największego. Z Nowego Jorku - odparła.

- Hę... tak... lepiej nie przyznawajcie się do tego miejscowym.

Oz spojrzał ze zdziwieniem na swojego byłego „brata”.

- Dlaczego?

- Tutaj będzie w sam raz, Za Cholerę. Wysiadamy, Jeb.

Za Cholerę zatrzymał auto przed mostkiem nie wzbudzającym w Lou ani krzty zaufania. Mógł mieć około dwudziestu stóp długości, a wykonany był ze spaczonych desek, ułożonych na smołowanych belkach. Pordzewiałe metalowe poręcze z obu stron miały chyba chronić korzystających z niego wędrowców przed upadkiem z wysokości pięciu stóp do strumienia, w którym więcej było płaskich kamieni niż wody. Ten, kto chciałby popełnić samobójstwo, skacząc z tego mostka, nie mógł raczej liczyć na sukces. A płytkość wody nie dawała większych nadziei na to, że na kolację będzie smażona ryba. Ale to akurat nie martwiło Lou, bo za rybami nie

przepadała.

Kiedy Diament wyciągał z hudsona swój sprzęt, Lou, dręczona wyrzutami sumienia, że tak niegrzecznie się wobec niego zachowała, a jeszcze bardziej wiedzona ciekawością, wykręciła się i szepnęła przez wybite tyle okno:

- Dlaczego nazywasz go Za Cholere?

To nieoczekiwane pytanie przywróciło Diamentowi dobry humor.

- Bo on się tak nazywa - odparł z uśmiechem. - Mieszka z panną Louisą.

- Kto go tak nazwał?

Diament zerknął ukradkiem na kierowcę i zaczął udawać, że szuka czegoś w skrzynce na narzędzia. Zniżając głos, powiedział:

- Za Cholere był jeszcze małym szkrabem, gdy jego tato umyślił sobie ruszyć w szeroki świat. Ale nie chciał zabrać synka ze sobą. No i ktoś go pyta: „Wrócisz kiedy po dzieciaka?”. A on na to: „Za cholere”. Za Cholere nie zrobił nikomu nic złego. Mało jest takich ludzi. A wśród bogatych ani jednego.

Dźwignął z ziemi swoją skrzynkę na narzędzia, wziął na ramię wędkę i, pogwizdując, pomaszerował w kierunku mostka. Za Cholere wrzucił bieg i ruszył za nim. Mostek jęknął i zaskrzypiał pod kołami hudsona. Diament pomachał im i w Ozie obudziła się nadzieja, że może z przyjaźni z Jimmym „Diamentem” Skinnerem, płomiennowłosym wędkarzem z gór, coś jeszcze wyjdzie. On też pomachał mu brudną ręką.

Lou przyglądała się siedzącemu za kierownicą mężczyźnie imieniem Za Cholere.

Droga pięła się skrajem mającej tysiąc stóp przepaści. Appalachy bledną może w zestawieniu z niebotycznymi Górami Skalistymi, ale dla rodzeństwa Cardinalów były aż nadto wysokie.

Ledwie zginął im z oczu mały rachityczny mostek, a wraz z nim Diament, dziewięćdziesięciosześciokonny silnik hudsona zaczął się krztusić i przerywać i Za Cholerę zredukował bieg. Protesty auta były zrozumiałe, bo wyboista gruntowa droga wznosiła się teraz pod kątem prawie czterdziestu pięciu stopni i owijała wokół góry niczym grzechotnik. Z założenia dwukierunkowa, miała jeden pas, z tym że trochę szerszy. Pobocze usłane było kamieniami, które niczym stężałe łyzy odrywały się co jakiś czas od lica góry.

Oz spojrział przez okno tylko raz i to mu wystarczyło. Na Lou ta wspinaczka do nieba zdawała się nie robić większego wrażenia.

I nagle z za zakrętu wyjechał wprost na nich farmerski ciągnik. Był to zżarty przez korozję, zdezelowany, ledwie trzymający się kupy gruchot, powiązany kawałkami zardzewiałego drutu i posztukowany czym popadnie. Sam ledwie się mieścił na wąskiej drodze, i dla pełznącego pod górę hudsona nie było już na niej miejsca. Pojazd oblepiony był z obu stron dziećmi jak drabinki na placu zabaw. Chłopiec w wieku Lou, wiszący praktycznie nad otchłanią i powierzający swoje życie tylko własnym dziesięciu palcom i opatrności Bożej, zaśmiewał się do rozpuku! Pozostała dwójka – mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka i chłopczyk w wieku Oza – trzymała się kurczowo, czego mogła, z buziami wykrzywionymi śmiertelnym przerażeniem.

O wiele większą zgrozę niż wizja maszyny wymykającej się spod kontroli i spadającej w przepaść wraz z małoletnimi zakładnikami wzbudzał prowadzący tę maszynę człowiek. Na głowie miał stary, do cna przepocony pilśniowy kapelusz. Ogorzałą, pomarszczoną od słońca gębę okalała mu niechlujna, skołtuniona broda. Był niski, tęgi i muskularny. I on, i dzieci odziani byli w łachmany.

Traktor walił prosto na hudsona. Oz, oniemiały ze strachu, zakrył dłońmi oczy. Lou krzyknęła przeraźliwie.

Za Cholereę ze stoickim spokojem zjechał na bok, ustępując traktorowi z drogi. Zatrzymali się tak blisko skraju urwiska, że opony hudsona jedną trzecią swojej szerokości znalazły się w powietrzu. Kamyki i ziemię, która obsunęła się spod nich w otchłań, rozproszył natychmiast wir powietrza. Lou, przekonana, że oni również runą zaraz w przepaść, z całych sił przytuliła do siebie Oza, jakby to mogło coś zmienić.

Kierowca przewalającego się obok traktora obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem i, wbijając wzrok w Za Cholereę, wrzasnął:  
- Ty durny czar.

Resztę zagłuszył na szczęście ryk traktora oraz śmiech i dzikie pohukiwania uczeplonego maszyny chłopca. Lou spojrzała na Za Cholereę, któremu nie drgnął nawet jeden mięsień. Chyba nie pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji.

Po chwili po tym cyrku na kółkach nie zostało nawet śladu; przeminął jak letnia burza. Za Cholereę wrzucił bieg i ruszył.

Ochłonawszy trochę, Lou spojrzała w dół i zobaczyła węglarki sunące wolno jedną stroną drogi, a po jej drugiej stronie puste ciężarówki, wracające jak pszczoły po kolejną porcję ładunku. Gdziekolwiek spojrzeć, w zboczach gór ziały dziury, wokół których wykarczowano drzewa i usunięto do gołej skały warstwę gleby. Z tych dziur, niczym krople poczerńiałej krwi, wypełzały wózki z węglem, który przeładowywano następnie na ciężarówki.

- Mam na imię Eugene.

Lou i Oz spojrzeli jednocześnie na kierowcę. Mężczyzna patrzył na nich za pośrednictwem wstecznego lusterka.

- Mam na imię Eugene - powtórzył. - Diament czasami zapomina. Ale to dobry chłopiec. Mój przyjaciel.

- Cześć, Eugene - powiedział Oz.

Lou też się z nim wreszcie przywitała.

- Mało widuję ludzi. Nie jestem za bardzo wymowny. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi, Eugene - zapewniła go Lou. - Z obcymi trudno się rozmawia.

- Panna Louisa i ja bardzo się cieszymy, że przyjechaliście. To dobra kobieta. Przygarnęła mnie, kiedy nie miałem się gdzie podziąć. Macie szczęście, że jest waszą krewniaczką.

- To dobrze, bo ostatnio szczęście niezbyt nam sprzyjało - powiedziała Lou.

- Dużo od niej o was słyszałem. O waszym tacie i mamie też. Zaopiekuje się waszą mamą. Panna Louisa zna się na leczeniu chorych.

Oz spojrział na siostrę z nową nadzieją, ale Lou pokręciła głową.

Kilka mil dalej Eugene skręcił w polną dróżkę. Były to właściwie dwie równoległe koleiny, między którymi rosła drzemiąca jeszcze trawa, z obu stron otoczone dzikimi zaroślami. Chyba zbliżali się już do celu. Lou i Oz popatrzyli po sobie. Na ich twarzach malowała się mieszanina podniecenia, tremy, paniki i nadziei.

Polna dróżka wspięła się na niewielkie wzniesienie i, biegnąc dalej na północ, zaczęła opadać w rozległą, zachwycającą surowym pięknem dolinę. Ujrzeni przed sobą zielone łąki, okolone lasami ze wszystkimi gatunkami drzew, jakimi szczycił się stan. Za łąkami ciągnęła się szachownica pól uprawnych, a za nimi widać było korrale otoczone poszarzałymi ze starości ogrodzeniami, po których

pięły się pnącza dzikiej róży. Między korralami stała wielka, piętrowa stodoła z dwuspadowym dachem i okapem, pokrytymi cedrowym gontem. Z obu jej końców znajdowały się szerokie, dwuskrzydłowe wrota, a nad nimi drzwiczki na strych, na którym przechowywano siano. W jednym korralu leżały na trawie trzy krowy, w drugim, mniejszym, pasł się dereszowaty koń. W trzeciej zagrodzie Lou naliczyła tuzin ostrzyżonych owiec. A w jeszcze jednej w błocie tarzały się jak dzieci olbrzymie świnie. Pod stodołą stał duży wóz zaprzężony w dwa muły. W żelaznych obręczach drewnianych kół odbijało się słońce. W pewnej odległości od stodoły wznosił się niewielki wiejski dom.

Zabudowań gospodarskich i przybudówek, dużych i małych, w większości drewnianych, było tu więcej. Jeden z tych budynków, stojący w cieniu klonów, zbity z drewnianych bali uszczelnionych gliną, zdawał się na wpół zagrzebany w ziemi. Od centralnych zabudowań farmy, niczym szprychy koła, odbiegały pola uprawne, wyginające się na krańcach ku górze. A nad tym wszystkim górowały Appalachy, przy których owa spora farma wyglądała jak dziecinna makieta.

Lou zobaczyła wreszcie na własne oczy miejsce, o którym ojciec tak dużo pisał, a do którego nigdy nie powrócił. Odetchnęła kilka razy głęboko i usiadła prosto. Dojeżdżali do domu Louisy Mae Cardinal, kobiety, która wychowała ich ojca.



## 8

Pielęgniarka była już w domu i wygłaszała pogadankę o stanie Amandy oraz o innych podstawowych sprawach. Gospodyni słuchała uważnie i od czasu do czasu zadawała jakieś uściślające pytanie.

- I może załatwmy od razu kwestię moich wymagań - powiedziała na koniec pielęgniarka. - Mam alergię na zwierzęcą sierść i pyłki roślin. Musi pani zadbać o to, żebym jak najmniej się z nimi stykała. Zwierzęta pod żadnym pozorem nie mogą być wpuszczane do domu. Mam też pewne określone wymagania dietetyczne. Dam pani ich listę. Chcę się również zająć dziećmi. Wiem, że to wykracza poza zakres moich obowiązków, ale tych dwoje trzeba nauczyć karności i zamierzam to uczynić. Popracować należy zwłaszcza nad dziewczynką. Jestem pewna, że będzie mi pani za to wdzięczna. Teraz proszę mi pokazać mój pokój.

- A ja będę pani wdzięczna - powiedziała pielęgniarce Louisa Mae Cardinal - jeśli opuści pani mój dom. Prawda jest taka, że nie mamy dla pani pokoju.

Pielęgniarka wyprężyła się na całą wysokość, ale i tak była niższa od Louisy Mae Cardinal.

- Słucham? - spytała z oburzeniem.

- Niech pani powie Samowi, żeby odwiózł panią z powrotem na stację. Do czasu nadejścia pociągu zmierzającego na północ będzie pani sobie mogła pospacerować po pięknej okolicy i pooddychać świeżym powietrzem.

- Wynajęto mnie, żebym tu przyjechała i opiekowała się moją pacjentką.

- Sama potrafię się nią zająć.

- Nie ma pani kwalifikacji.

- Sam i Hank muszą już wracać, słońko.

- Gdzie tu jest telefon? Muszę powiadomić o tym kogo trzeba. - Pielęgniarka była tak czerwona na twarzy, że zachodziła obawa, iż za chwilę sama stanie się pacjentką.

- Najbliższy telefon jest u stóp tej góry, w Tremont. I może sobie pani dzwonić do samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. To jeszcze mój dom. - Louisa Mae chwyciła pielęgniarkę za łokieć z taką siłą, że ta zatrzepotała powiekami, i wyprowadziła z izby, zamykając za sobą drzwi.

- Chce mi pani wmówić, że nie ma telefonu? - spytała pielęgniarka.

- Nie mam też elektryczności i jakoś sobie bez niej radzę. Jeszcze raz dziękuję i życzę przyjemnej podróży. - Wepchnęła pielęgniarce w dłoń trzy zniszczone banknoty dolarowe. - Dałabym ci więcej, słońko, ale tylko tyle dostałam za jaja.

Pielęgniarka patrzyła przez chwilę na pieniądze, a potem powiedziała:

- Zostanę tu do czasu, kiedy będę pewna, że moja pacjentka.

Louisa Mae ponownie chwyciła ją za łokieć i poprowadziła do drzwi frontowych.

- Większość miejscowych nie lubi, kiedy ktoś obcy wchodzi na ich teren. Strzał ostrzegawczy nad głową. Jeśli to nie pomaga, następny jest celniejszy. Ja jestem już za stara, żeby tracić czas na strzał ostrzegawczy, a jeszcze ani razu nie spudłowałam. Chyba wyrażam się jasno?

Hudson zatrzymał się za ambulansem, który stał jeszcze przed głęboką, cienistą werandą. Lou z Ozem wysiedli i spojrzeli na swój nowy dom. Był mniejszy, niż wydawało się im z daleka. Lou zauważyła kilka przybudówek po bokach i od tyłu, wszystko to

postawione na podmurówce z polnych kamieni. Płaski gładz wkopany w ziemię służył za stopień prowadzący na werandę. Dach kryty był papą. Zapadającą się miejscami werandę otaczała balustrada ze sztachet. Komin wzniesiono z ręcznie formowanych cegieł i pokryto tynkiem, który tu i ówdzie odpadał płatami. Farba na drewnianych ścianach łuszczyła się i wybrzuszała, deski wypaczyły się w miejscach, gdzie wpełzła wilgoć.

Nie dało się ukryć, że dom miał już swoje lata, przeszedł wiele rozmaitych reinkarnacji i od dawien dawna opierał się bezlitosnym żywiołom. Ale trawa przed frontem była równo przystrzyżona, szyby w oknach i podłoga werandy czyste, a w szklanych słoikach i drewnianych doniczkach ustawionych na balustradzie werandy oraz w skrzynkach na parapetach okien rosły wiosenne kwiaty, słupki zaś oplecione były pnączami róż. Część werandy przesłaniały nierozkwitłe jeszcze passiflory, a po ścianie pięły się wici kapryfolium. Stał tam także stół warsztatowy z rozrzuconymi na blacie narzędziami, a przy nim krzesło z amerykańskiego białego orzecha, z pękniętym siedziskiem.

Brązowe kury kręcące się pod nogami rozpierzchły się w popłochu z przeraźliwym gdakaniem, zaatakowane przez dwa bojowo nastawione, rozgęgane gąsiory. Wtedy do akcji wkroczył żółtonogi kogut. Odpędził gąsiory, potem, przekrzywiając łeppek, łypnął jednym okiem na Lou i Oza, zapiał buńczucznie i odszedł z godnością tam, skąd przybył. Klacz zarżała na powitanie ze swego korralu, a para smoliście czarnych mułów stała zapatrzona w przestrzeń. Oz chciał podejść bliżej, żeby lepiej się im przyjrzeć, ale zatrzymał się w pół kroku, kiedy jeden z mułów parsknął ostrzegawczo.

Drzwi domu otworzyły się z impetem, przyciągając uwagę dzieci. Na werandę wymaszerowała pielęgniarka ich matki. Przeszła obok nich wyciągniętym krokiem, wymachując przesadnie rękoma.

- Za żadne skarby! - wrzasnęła w stronę Appalachów. Wsiadła do ambulansu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Wóz ruszył.

Lou i Oz spojrzeli zdezorientowani na dom i zobaczyli w progu Louise Mae Cardinal. Była bardzo wysoka i szczupła, ale emanowała z niej niepospolita siła i determinacja. Ta kobieta byłaby w stanie gołymi rękami zadusić niedźwiedzia. Twarz miała pociągłą, pociętą pajęczyną drobnych zmarszczek, kości policzkowe wydatne, choć zbliżała się już do osiemdziesiątki. Zarys szczęki też nic nie stracił ze swego zdecydowania, tylko usta trochę się zapadły. Siwe włosy miała związane na karku w koński ogon sięgający talii.

Dla Lou miłym zaskoczeniem był fakt, że prababka zamiast sukienki nosi workowate, wypłowiałe, denimowe spodnie i indygową połataną koszulę, a na nogach ma stare trzewiki z cholewkami. Louisa Mae Cardinal przypominała majestatyczną statwę, a jej bystrym piwnym oczom zapewne nic nie mogło umknąć.

Lou podeszła do niej śmiało, Oz podreptał za siostrą, kryjąc się skwapliwie za jej plecami.

- Jestem Louisa Mae Cardinal. A to mój brat, Oscar - powiedziała. Głos jej drżał, ale patrzyła odważnie na swoją imienniczkę i teraz, kiedy stały naprzeciwko siebie, okazywało się, że mają niemal identyczne profile. Gdyby nie trzy pokolenia, które je dzieliły, wyglądałyby jak bliźniaczki.

Louisa nic nie odpowiedziała. Odprowadzała wzrokiem ambulans.

Lou zauważyła to i dodała:

- Ona miała chyba zostać i opiekować się naszą mamą. Ma wielkie wymagania i musimy jej zapewnić wszelkie wygody.

Prababka przeniosła wzrok na hudsona.

- Eugene - zakomenderowała z ledwie zauważalnym zaśpiewem, ale jej akcent był niezaprzeczalnie południowy - wnieś bagaże do domu, słonko. - Dopiero teraz spojrzała na Lou i chociaż było to spojrzenie twarde, w jej oczach tliło się coś, co upewniło Lou, że są

tu mile widziani. - A waszą matką sami się zajmujemy.

Louisa Mae Cardinal odwróciła się i zniknęła w głębi domu. Obładowany bagażami Eugene wszedł tam za nią. Oz koncentrował się całkowicie na swoim misiu i kciuku. Wytrzeszczał błękitne oczy i mrugał szybko powiekami, co znaczyło, że nerwy ma napięte jak postronki. Widać było po nim, że najchętniej rzuciłby się do ucieczki i uciekał tak aż do Nowego Jorku. I może nawet by to zrobił, gdyby tylko wiedział, w którą stronę się kierować.

## 9

Do urządzonej po spartańsku sypialni przygotowanej dla Lou prowadziły tylne schody i była to jedyna izba na pięterku. Miała wielkie okno wychodzące na podwórko. Ukośne ściany i niski sufit wytapetowano gazetami i stronicami wyrwanymi z czasopism. Większość pozółkła już ze starości, niektóre rogi odkleiły się i odstawały. Umeblowanie stanowiło proste łóżko z orzechowego drewna, poobijana sosnowa komódka oraz małe, własnej roboty biurczko pod oknem, na które padało teraz poranne światło. Biurko samo w sobie było niepozorne, ale przyciągnęło natychmiast uwagę Lou, tak jakby wykonano je ze złota i inkrustowano drogimi kamieniami.

Na blacie widniały inicjały jej ojca: „JJC”. John Jacob Cardinal. Przy tym biurku stawiał zapewne swoje pierwsze literackie kroki. Wyobraziła go sobie jako chłopca, który, przygryzając wargę, wycina kozikiem w blacie swoje inicjały. Przyłożyła do nich dłoń i wydało jej się, że dotyka dłoni ojca. Podejrzewała, że prababka z rozmysłem zakwaterowała ją w tej izbie.

Ojciec niewiele opowiadał o spędzonej tu młodości. Ale ilekroć Lou pytała go o prababkę, odpowiadał z emfazą: „To najwspanialsza kobieta, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi”. A potem raczył ją okruchami wspomnień, wyłącznie okruchami. Najwyraźniej resztę rezerwował dla swoich fabuł. Z książek, które napisał, pozwolił jej przeczytać w całości tylko jedną. Z lekturą pozostałych miała się wstrzymać do pełnoletności. Pytań, na które nie znała jeszcze odpowiedzi, było więc bez liku.

Otworzyła walizkę i wyjęła z niej małą fotografię w drewnianych ramkach. Matka uśmiechała się promiennie i chociaż zdjęcie było czarno-białe, Lou wiedziała, że jej oczy są bursztynowe, a ich spojrzenie ma niemal hipnotyczną siłę. Uwielbiała ten kolor, czasami wyobrażała sobie nawet, że pewnego ranka budzi się i stwierdza, że zamiast niebieskich ma właśnie takie. Zdjęcie zrobione zostało w dzień urodzin matki. Amanda obejmowała czule Lou stawiającą wtedy pierwsze kroczki. Fotografia utrwałała dla przyszłych pokoleń ich radosne uśmiechy. Lou nie mogła przeboleć, że nic a nic z tamtego dnia nie pamięta.

Do izby wszedł Oz i Lou schowała fotografię z powrotem do walizki. Braciszek jak zwykle wyglądał na zafrasowanego.

- Mogę się przenieść do twojego pokoju? - zapytał.

- A co ci nie odpowiada w twoim?

- Jestem tam przez ścianę z nią.

- Z kim? Z Louisą? - Oz z powagą pokiwał głową. - I co z tego?

- Boję się jej - wyznał. - Naprawdę się boję, Lou.

- Przyjęła nas pod swój dach.

- I naprawdę jestem rada, że przyjechaliście - rozległ się głos Louisy. Stała w progu. - Przepraszam, że nie przywitałam się z wami jak należy. Myślałam o waszej matce. - Popatrzyła na Lou. - I jej potrzebach.

- Nic nie szkodzi - bąknął Oz, przysuwając się do Lou. - Przestraszyła pani trochę moją siostrę, ale chyba już wszystko w porządku.

Lou przyglądała się twarzy kobiety, doszukując się w niej czegoś, co przypominałoby jej ojca, lecz bezskutecznie.

- Nikogo więcej nie mamy - powiedziała.

- Macie mnie - odparła Louisa Mae.

Podeszła bliżej i dopiero teraz Lou dostrzegła w jej rysach pewne podobieństwo do ojca. Wyjaśniło się też, dlaczego kobieta ma

zapadnięte usta. Zostało jej zaledwie kilka pożółkłych, poczerniałych zębów.

- Przepraszam, że nie byłam na pogrzebie. Wieści wolno tu docierają, o ile w ogóle docierają. - Wpatrywała się przez chwilę w podłogę, jakby zaintrygowana czymś niewidocznym dla Lou. - Masz na imię Oz. A ty jesteś Lou. - Odezwała się w końcu, wskazując ich kolejno palcem.

- Ludzie, którzy organizowali nasz przyjazd, chyba pani powiedzieli.

- Wiedziałam już wcześniej. Mów mi Louisa. Na farmie jest codziennie dużo roboty. Prawie wszystko, co nam potrzebne, robimy i uprawiamy sami. Śniadanie o piątej. Kolacja o zachodzie słońca.

- O piątej rano! - wykrzyknął Oz.

- A co ze szkołą? - spytała Lou.

- Jest w Big Spruce. Pierwszego dnia Eugene zawiezie was tam wozem, potem będziecie chodzili piechotą. Albo brali kłacz. Mułów nie mogę wam dać, bo pracują tutaj jako zwierzęta pociągowe. Ale kobyła wam wystarczy.

Oz pobladł.

- Nie umiemy jeździć na koniu.

- Nauczycie się. Koń i muł to tutaj najpewniejsze środki transportu. Nie licząc własnych nóg.

- A samochód? - spytała Lou.

Louisa pokręciła głową.

- Jest niepraktyczny. Pożera pieniądze, których za wiele nie mamy. Eugene wie, jak działa, i zbudował dla niego mały garaż. Uruchamia go od czasu do czasu, żeby się nie zastał. Dostaliśmy tego kłamota od Williama i Jane Gilesów, kiedy się wyprowadzali. Mieszkali kawałek stąd. Ja nie potrafię nim jeździć i ani mi w głowie się uczyć.



- Czy nasz tato też chodził do szkoły w Big Spruce? - spytała Lou.
- Tak, ale tej szkoły już nie ma. Budynek był starszy ode mnie i się zawalił. Za to nauczycielkę będziecie mieli tę samą. Zmiany, podobnie jak wieści, powoli tu docierają. Jesteście głodni?
- Jedliśmy w pociągu - odparła Lou. Nie mogła oderwać oczu od twarzy kobiety.
- To dobrze. Wasza mama jest już urządzona. Idźcie do niej.
- Wolałabym zostać tutaj i trochę się rozejrzeć - powiedziała Lou. Louisa otworzyła drzwi.
- Najpierw zajrzycie do mamy - powiedziała głosem łagodnym, lecz stanowczym.

Izba była przytulna, jasna, okno otwarte. Lekki wietrzyk poruszał ręcznie robionymi firankami, które pomarszczyły się od wilgoci i wypłówiały na słońcu. Widać było, że zadano sobie wiele trudu, żeby przygotować to pomieszczenie dla chorej. Odświeżono niektóre sprzęty, wyszorowano podłogę, w powietrzu unosił się jeszcze zapach farby; w kącie stał poobijany fotel na biegunach, przykryty grubym kocem.

Na ścianach wisiały stare ferrotypy przedstawiające ludzi w odświętnych strojach - mężczyzn w białych koszulach z ukrochmalonymi kołnierzykami i w melonikach, kobiety w długich spódnicach i czepkach, dziewczynki tonące w koronkach i falbankach, chłopców w dziecięcych garniturkach, z aksamitkami. Lou oglądała je z zaciekawieniem. Miała przed sobą całą kolekcję min, od uroczystych, poprzez skwaszone, do wesołych. Najbardziej podniecone były dzieci, kobiety spozierały w obiektyw podejrzliwie, tak jakby się obawiały, że coś im z jego strony zagraża.

Amanda siedziała na łóżku o ramie z topolowego drewna, podparta wypchanymi pierzem poduchami i przykryta kołdrą. Oczy miała zamknięte. Pasiasty, również wypchany pierzem materac, był

trochę ubity, ale jeszcze miękki. Przy łóżku leżał spłowiały dywanik, żeby chora, wstając rano, nie dotykała bosą stopą zimnej podłogi. Ale Lou wiedziała, że ten dywanik nie będzie raczej matce potrzebny. Na wbitych w ścianę kołkach wisiały części garderoby. W kącie stała stara komoda, a na niej malowany w kwiatki porcelanowy dzbanek i taka sama misa. Lou chodziła po izbie, patrzyła, dotykała. Zauważyła, że okienna rama jest trochę wypaczona, a szyby w oknie zmętniały, jakby zaszły mgłą.

Oz usiadł obok matki i pocałował ją.

- Cześć, mammo.

- Ona cię nie słyszy - mruknęła pod nosem Lou, zatrzymując się przy oknie. Odetchnęła głęboko. Takim czystym powietrzem jeszcze nie oddychała; unosił się w nim zapach drzew i kwiatów, dymu, trawy oraz zwierząt dużych i małych.

- Ładnie tutaj. - Oz spojrzał na Lou.

- Wirginia - mruknęła, nie oglądając się.

- Wirginia - powtórzył Oz i wyjął z kieszeni łańcuszek.

Louisa przyglądała się im od progu.

Lou odwróciła się od okna i widząc, do czego szykuje się braciszek, fuknęła:

- Oz, ten głupi naszyjnik nic nie pomoże.

- To po co go dla mnie wykradłaś? - odparował.

Tym pytaniem zamknął Lou usta; nie miała na nie gotowej odpowiedzi. Oz przystąpił do odprawiania nad Amandą swojego rytuału. Zdaniem Lou ten kołyszący się kryształek kwarcu i te zaklęcia mrużane przez Oza były jak próba stopienia góry lodowej jedną zapałką; nie chciała brać w tym udziału. Mijając prababkę, wybiegła na korytarz.

Louisa weszła do izby i usiadła obok Oza.

- Czemu to ma służyć, Oz? - spytała, wskazując na łańcuszek.

Oz zebrał łańcuszek w dłoń i przyjrzał mu się uważnie, tak jakby

to był zegarek, a on sprawdzał, która godzina.

- Słyszałem o tym od kolegi. Podobno mamusi ma się od tego polepszyć. Ale Lou w to nie wierzy. - Zawiesił na chwilę głos. - Ja też nie wiem, czy wierzyć.

Louisa pogłaskała go po główce.

- Ludzie mawiają, że wiara przenosi góry. I ja się pod tym podpisuję.

Na szczęście Oz miał taką naturę, że po chwilach zwątpienia wstępowała w niego otucha. Wsunął łańcuszek pod materac.

- Może jak będzie tu leżał, to jego moc przejdzie na mamę. Ona wyzdrowieje, prawda?

Louisa popatrzyła na malca, a potem na jego leżącą w bezruchu matkę. Przyłożyła czule starą, spracowaną dłoń do świeżego, rumianego policzka Oza.

- Nie trać wiary, Oz. Nigdy nie trać wiary.

# 10

Półki w kuchni były sfatygowane, zbite z sękatych sosnowych deszczulek. Sosnowe deski podłogi poskrzypywały przy każdym kroku. Na ścianie wisiały pękate, okopcone żelazne kociołki. Oz zamiatał miotłą na krótkim kijku, Lou napychała szczapami drewna żelazny brzuch pieca zajmującego całą jedną ścianę małego pomieszczenia. Promienie zachodzącego słońca wpadały przez okno i przeciskały się przez liczne szpary w okiennej ścianie. Na kołku wisiała stara węglowo-naftowa lampa. W kącie stała spizarka z poobijanymi metalowymi drzwiczkami, a na niej, obok warkocza suszonej cebuli, szklany dzbanek z naftą.

Lou przed wrzuceniem w ogień każdego orzechowego albo dębowego polana oglądała je na wszystkie strony, tak jakby próbowała odgadnąć jego dzieje, jakby żegnała się z nim, zanim zostanie strawione przez płomień. W kuchni panował półmrok, pachniało wilgocią i płonącym drewnem. Lou obejrzała się na kominek. Otwór był duży i domyślała się, że to na nim gotowano strawę, kiedy nie było jeszcze pieca z katalogu Searsa. Ściana aż po sufit wymurowana była cegłami i otynkowana, na wbitych w nią gwoździach wisiały kuchenne przybory, garnki i inne przedmioty niewiadomego przeznaczenia, ale porządnie zużyte. Pośrodku tej ceglanej ściany, na dwóch osadzonych w tynku podpórkach spoczywała długa strzelba.

Znieruchomieli oboje, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Kto spodziewałby się gości o tej porze, tak wysoko ponad poziomem morza? Lou otrząsnęła się z pierwszego szoku i otworzyła. W progu

stał uśmiechnięty od ucha do ucha Diament Skinner. W wyciągniętych rękach trzymał okazałego okonia. Przy jego nodze siedział z zadartym łbem wierny Jeb i wciągał w nozdrza kuszący rybi zapach.

Od strony stodoły nadchodziła wyciągniętym krokiem Louisa. Czoło lśniło jej od potu, rękawice, które miała na dłoniach, i trzewiki powalane były tłustym czarnoziemem. Ściągnęła rękawice, wyszarpnęła z tylnej kieszeni spodni szmatkę i otarła nią spoconą twarz. Spod chusty, którą obwiązała sobie głowę, wysuwały się tu i ówdzie kosmyki siwych włosów.

- No, Diament, to chyba najdorodniejszy okoń, jakiego widziałam, synu. - Poglaskała po łbie Jeba. - Co słysząc, mister Jeb? Pomagasz panu łowić rybki?

Uśmiech Diamenta był teraz tak szeroki, że gdyby nie odstające uszy, rozciągnąłby się chyba naokoło głowy.

- A jakże, panno Louiso. Czy Za Cholerę.

- Eugene - poprawiła go Louisa, unosząc ostrzegawczo palec.

Diament stropił się i spuścił oczy.

- No, tak, przepraszam - wybąkał. - Czy Eugene powiedział pani.

- Że przyniesiesz coś na kolację? Owszem. I zostaniesz tu z tym, co złapałeś. Zapoznasz się przy okazji z Lou i Ozem. Na pewno się zaprzyjaźnicie.

- My się już poznaliśmy - wtrąciła wyniośle Lou.

Louisa spojrzała na nią, a potem znowu na Diamenta.

- No, to dobrze. Diament jest w twoim wieku. A Oz będzie się lepiej czuł, mając tu kolegę.

- Ma mnie - burknęła Lou.

- Tak, ma - przyznała Louisa. - Więc jak będzie, Diament, zostaniesz na kolacji?

Chłopiec się zastanowił.

- Nie mam już dzisiaj nic do roboty, to i czemu miałbym nie

zostać. - Zerknął na Lou, a potem otarł dłonią umorusaną twarz i przygładził rozwichrzone włosy.

Lou zignorowała te wysiłki i odwróciła się do niego plecami.

Na stole porozstawiano szklane talerze i kubki, które pamiętały jeszcze czasy wielkiego kryzysu. Dołączano je kiedyś do pudełek z płatkami owsianymi Crystal Winter, a Louisa, jak z dumą oznajmiła, skrzętnie je przez lata zbierała. Talerze były zielone, różowe, niebieskie, bursztynowe i czerwone. Ale nikt ze stołowników nie zwracał uwagi na ich urodę, wszyscy pałaszowali pośród szczęku cynowych widelców i noży. Kiedy Louisa skończyła modlitwę dziękczynną, Lou i Oz przeżegnali się. Diament i Eugene popatrzyli na nich dziwnie, lecz nic nie powiedzieli. Jeb leżał w kącie i czekał cierpliwie na resztki. Eugene siedział przy końcu stołu i metodycznie przeżuwał posiłek. Oz pochłaniał swoją porcję tak łapczywie, że Lou zaczęła się poważnie obawiać, że może połknąć i widelec.

Louisa dołożyła Ozowi ostatni kawałek smażonej ryby i jeszcze jedną pajdę maczanego w tłuszczu chleba z mąki kukurydzianej, który smakował Lou bardziej niż lody.

Sobie Louisa nic nie nakładała.

- A ty nie bierzesz ryby, Louiso? - spytał Oz, patrząc z poczuciem winy na swoją dokładkę. - Nie jesteś głodna?

- Syci mnie sam widok chłopca jedzącego z apetytem, by wyrosnąć na prawdziwego mężczyznę. Podjadłam sobie, gotując, słonko. Zawsze tak robię.

Eugene rzucił jej pytające spojrzenie, ale zaraz pochylił się z powrotem nad talerzem.

Diament popatrywał to na Lou, to na Oza. Chyba chciał odnowić nadszarpnięte więzy znajomości, lecz nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

- Będziesz mi mogła pokazać miejsca, w których bywał tato? - zwróciła się Lou do Louisy. - Opowiedzieć, co lubił robić? Bo ja też piszę.

- Wiem - odparła Louisa i Lou spojrzała na nią ze zdziwieniem. Louisa odstawiła kubek z wodą i przez chwilę wodziła wzrokiem po twarzy Lou. - Twój tato lubił opisywać tę krainę. Ale zanim zaczął, zrobił coś naprawdę roztropnego.

- Co takiego? - zapytała Lou.

- Nauczył się rozumieć tę ziemię.

- Rozumieć... ziemię?

- Ona kryje wiele tajemnic... i to nie tylko tych niewinnych. Za brak rozwagi można tu zapłacić zdrowiem, a nawet życiem. Pogoda jest bardzo kapryśna, potrafi się zmieniać w mgnieniu oka. Ziemia nie lubi tych, którzy nie próbują się w nią wczuwać. - Tu zerknęła na Eugene'a. - Eugene'owi przyda się pomoc. Gdyby nie on, ta farma dawno by już podupadła.

Eugene przełknął przezutą rybę i popił wodą, którą nalał sobie do kubka prosto z wiadra. Wargi mu drżały i Lou zinterpretowała to drżenie jako szeroki uśmiech.

- Prawda jest taka - ciągnęła Louisa - że wasz przyjazd to dla nas błogosławieństwo. Niektórzy mogliby powiedzieć, że wam pomagam, ale to nieprawda. Wy pomagacie mi o wiele bardziej niż ja wam. I za to dziękuję.

- Pewnie - powiedział z galanterią Oz. - Chętnie pomożemy.

- Wspomniałaś, że na farmie jest codziennie mnóstwo do zrobienia - zauważyła Lou.

Louisa spojrzała na Eugene'a.

- Zamiast o tym mówić lepiej pokazać. Jutro rano zacznę pokazywać.

Diament nie mógł już dłużej utrzymać języka za zębami.

- Tato Johnny'ego Bookera powiedział, że kręcą się tu jacyś tacy -

wypalił.



# 11

Diament i Oz stali przy korralu, w którym past się koń. Na widok wychodzącej z domu Lou Diament wyciągnął z kieszeni strzęp gazetowego papieru i puszkę z tytoniem, skręcił papierosa, skleił go śliną i przypalił zapalką, którą potarł o deskę ogrodzenia.

Oz i Lou zrobili wielkie oczy.

- Jesteś za młody, żeby palić! - krzyknęła z oburzeniem Lou.

Diament machnął lekceważąco ręką i zaciągnął się z błogim uśmiechem.

- Eee, już dawno dorosłem. Mężczyzna ze mnie pełną gębą.

- Przecież jesteś w moim wieku.

- Tutaj, w górach, czas liczy się inaczej.

- Gdzie mieszkasz? - zmieniła temat Lou.

- Kawalek stąd drogą.

Diament cisnął daleko wytartą baseballową piłeczkę, którą wyciągnął z kieszeni. Jeb puścił się za nią w pogoń i po chwili wrócił z piłką w pysku.

- Dostałem tę piłkę od jednego takiego, bo przepowiedziałem mu przyszłość.

- I co mu było pisane? - spytała Lou.

- Że da jednemu takiemu, co go wołają Diament, swoją starą piłkę.

- Późno się robi - zauważyła Lou. - Twoi rodzice nie będą się niepokoić?

Diament przygasił skręta o ogrodniczki, wepchnął go sobie za ucho i złożył się znowu do rzutu.

- Gdzie by tam. Przecie mówię, że już dorosły. Mogę robić, co mi

się podoba.

- A co to? - Lou pokazała palcem obiekt dyndający u kieszeni ogrodniczków Diamenta.

Spuścił wzrok i uśmiechnął się.

- Lewa zadnia łapka cmentarnego królika. Przynosi szczęście. Czego oni was uczą w tych miastowych szkołach?

- Cmentarnego królika? - powtórzył Oz.

- No, tak. Złapanego i zabitego o północy na cmentarzu. - Diament odczepił króliczą łapkę od kieszeni i podał ją Ozowi. - Masz, synu, ja sobie skombinuję drugą.

- O jejku, wielkie dzięki, Diament.

Oz z nabożną czcią przyjął prezent. Jeb wrócił z piłką i położył ją u stóp Diamenta.

- Mądry pies, ten twój Jeb - zauważył Oz. - Aportuje za każdym razem.

Diament podniósł piłkę z ziemi i podał ją Ozowi.

- Smyrgnij sobie, synu. W mieście pewnie nie macie gdzie porzucić.

Oz popatrzył na piłkę, jakby pierwszy raz taką widział. Potem zerknął niepewnie na Lou.

- No, Oz - zachęciła go. - Przecież potrafisz.

Oz wziął szeroki zamach i rzucił. Piłka wyprysnęła z jego małej dłoni niczym spuszczonej z uwięzi ptak i poszybowała wysoko, coraz wyżej. Jeb puścił się za nią w pogoń. Zdumiony Oz patrzył za piłką, jakby nie dowierzał własnym oczom. Lou również.

Zdębiałemu Diamentowi niedopałek wypadł z za ucha.

- O, psia kostka, gdzieś się nauczył tak rzucać?

Oz posłał mu tylko zachwycony uśmiech chłopca, który właśnie odkrył w sobie sportowy talent. Potem odwrócił się i pobiegł za piłką. Lou i Diament milczeli. Po chwili z zapadających ciemności nadleciała piłka. Nie widzieli jeszcze Oza, ale słyszeli, jak nadbiega

w towarzystwie Jeba.

- Co tu robicie dla rozrywki, Diament? - spytała Lou.

- Przeważnie chodzimy na ryby. Hej, kąpałaś się kiedy na żwirowni?

- W Nowym Jorku nie ma żwirowni. I co jeszcze robicie?

- No... - Diament zawiesił dramatycznie głos - ...mamy studnię duchów.

- Studnię duchów?! - wykrzyknął Oz, zatrzymując się przy nich.

- Gdzie? - spytała Lou.

- Chodźta, to wam pokażę.

Kapitan Diament wyprowadził swoją kompanię piechoty z lasu na otwartą przestrzeń. Rosła tu wysoka trawa, tak jedwabista i gęsta, że przywodziła na myśl świeżo umyte i uczesane włosy. Wiał chłodny wiatr, ale oni byli podekscytowani do tego stopnia, że nie zwracali uwagi na tę drobną niedogodność.

- Gdzie to jest? - spytała Lou biegnąca obok Diamenta.

- Ciii! Już niedaleko i trzeba być cicho jak mysz pod miotłą. Pełno tu duchów.

Biegli dalej w milczeniu.

- Padnij! - krzyknął nagle Diament.

Przypadli do ziemi jak podcięci.

- Co się stało, Diament? - spytał zduszonym szeptem Oz.

Diament ukrył uśmiech.

- Zdawało mi się, że coś usłyszałem. Z duchami nie ma żartów. Ostrożności nigdy za wiele.

Podnieśli się.

- A wy co tu robicie?

Zza kępy drzew wyszedł mężczyzna ze strzelbą w prawej ręce i ruszył w ich kierunku. Stali jak wrośnięci w ziemię. Lou ujrzała parę złych oczu, które błysnęły w świetle księżyca, i rozpoznała

w zbliżającym się mężczyźnie kierowcę traktora szalejącego na górskiej drodze. Nieznajomy zatrzymał się i splunął im pod nogi.

- Nie mata tu nic do roboty - wycedził, unosząc strzelbę. Wycelował w nich, podparł lufę lewym przedramieniem i położył palec na spuście.

Diament wysunął się naprzód.

- My nic takiego nie robimy, panie Davis. Biegamy sobie tylko, a tego prawo nie zabrania.

- Stul dziób, Diamencie Skinner, bo ci go pięścią rozkwaszę. - Mężczyzna spojrzał z góry na Oza i ten cofnął się przerażony, chwytając siostrę za rękę.

- To te dzieciaki, co ich wzięła Louisa, tak? Co mają matkę kalekę?

- Nic panu nie zrobili - rzucił Diament. - Niech ich pan puści.

Davis zbliżył się do Oza.

- Kuguar się tu wałęsa, chłopcze - powiedział cicho, z przejęciem, a potem wrzasnął. - Chcesz, żeby cię zeżarł?! - I udał, że skacze na chłopca.

Oz runął na ziemię i skulił się w wysokiej trawie. Davis zarechotał złośliwie, zadowolony, że udało mu się nastraszyć malca.

Lou wsunęła się między niego i brata.

- Niech pan się od nas odczepi!

- Do pioruna, dziewczyno! - fuknął Davis. - Jeszcze mi tu podskakujesz? - Spojrzał na Diamenta. - Jesteście na mojej ziemi, chłopcze.

- To nie jest pana ziemia! - zawołał Diament, zaciskając pięści. Nie spuszczał oczu ze strzelby. - Ona jest niczyja.

- Chcesz powiedzieć, że kłamię? - warknął groźnie Davis.

I w tym momencie dał się słyszeć ryk. Wznosił się coraz wyżej i wyżej i Lou przemknęło przez myśl, że od jego siły poprzewracają się zaraz drzewa albo z górskiego zbocza runie kamienna lawina, która przy odrobinie szczęścia zmiażdży ich antagonistę. Jeb

warknął i zjeżył się. Davis obejrzał się niespokojnie na las.

- Ma pan strzelbę - odezwał się Diament - to niech pan idzie i ustrzeli tego swojego kuguara. Chyba że się pan boi.

Davis przeszył chłopca wściekłym spojrzeniem. Ryk rozległ się znowu. Mężczyzna ruszył truchtem w kierunku drzew.

- W nogi! - krzyknął Diament i pognali skrajem lasu.

Nad ich głowami pohukiwały sowy, pokrzykiwały przepiórki. Stworzenia, których nie widzieli, biegały tam i z powrotem po pniach wysokich dębów, przemykały przed nimi, ale żadne nie było w stanie przestraszyć ich bardziej niż Davis ze swoją strzelbą. Lou pędziła jak wiatr, zostawiła w tyle nawet Diamenta. Ale kiedy Oz potknął się i upadł, zawróciła, żeby mu pomóc.

Zatrzymali się w końcu i przykucnęli w wysokiej trawie, dysząc ciężko i nasłuchując, czy nie ściga ich tamten szalony mężczyzna albo dziki kot.

- Kim był ten zbir? - spytała Lou.

Diament obejrzał się najpierw, a potem powiedział:

- To George Davis. Ma farmę po sąsiedzku z panną Louisą. Nieużyty z niego człowiek. Zły człowiek! Upadł na głowę, kiedy był dzieckiem, czy może muł go kopnął. Jedno albo drugie. Pędzi gdzieś tu w kotlinie bimber z kukurydzy i nie lubi, jak ludzie się tu kręcą. Wcale bym się nie zmartwił, gdyby go ktoś zastrzelił.

Ruszyli dalej i wkrótce dotarli do kolejnej polanki. Diament uniósł rękę na znak, że mają się zatrzymać, a potem wskazał przed siebie z taką dumą, jakby odkrył właśnie arkę Noego na szczycie góry w Wirginii.

- To tam.

Studnia miała omszałą, kruszącą się miejscami, murowaną cembrowinę i bez wątpienia robiła niesamowite wrażenie. Podeszli do niej ostrożnie; Jeb zaczął buszować w trawie.

Przechylili się przez cembrowinę i zajrzeli do studni. Było w niej

czarno jak w kominie, zdawała się bez dna. Zupełnie jakby patrzyli na drugą stronę świata. Licho wiedziało, co może z niej zaraz wychynąć.

- Dlaczego mówisz, że to studnia duchów? - spytał drżącym głosem Oz.

Diament położył się w trawie obok studni. Usiedli koło niego.

- Jakieś tysiąc milionów lat temu - zaczął powoli, uroczystym tonem, który sprawił, że oczy Oza zrobiły się okrągłe i zaszły łzami, a powieki zatrzepotały - żyli tutaj chłopak i dziewczyna. I byli w sobie bardzo zakochani. No i chcieli się ochajtnąć. Ale ich rodziny się nienawidziły i im nie pozwalały. Nie było gadania. Więc postanowili uciec. Coś im jednak nie wyszło i chłopak myślał, że dziewczyna odebrała sobie życie. Taki był załamany, że przyszedł tutaj i skoczył do studni. Sami widzieliście, jaka jest głęboka. I utopił się. Jak dziewczyna się o tym dowiedziała, to też tu przyszła i skoczyła. Nigdy nie znaleźli ich trupów, bo to tak, jakby pofrunęli na Słońce. Przepadli bez śladu.

Na Lou ta smutna opowieść nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

- To mi trochę za bardzo przypomina historię Romea i Julii.

Diament spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- To jacyś wasi krewni?

- Wszystko zmyśliłeś - prychnęła.

W tym momencie podniósł się szczególny gwar, przywodzący na myśl miliony cienkich głosików próbujących się wzajemnie przekrzykiwać. Zupełnie jakby mrówkom wykształciły się nagle struny głosowe.

- Co to? - jęknął Oz, tuląc się do Lou.

- Nie wyśmiewaj się z tego, co powiedziałem, Lou - syknął Diament, błędąc. - Wkurzasz duchy.

- Tak, Lou - pisnął Oz, wypatrując w ciemnościach zbliżających się demonów z piekła rodem. - Nie wkurzaj duchów.

Wrzawa w końcu ucichła i Diament, odzyskując pewność siebie, spojrział z tryumfem na Lou.

- No i co, każdy głupi od razu się połapie, że ta studnia jest zaczarowana. Widzisz tu jakiś dom? Nie, i powiem ci dlaczego. Ta studnia sama wyrosła z ziemi, ot dlaczego. I to nie jest jakaś tam zwyczajna studnia duchów. To studnia życzeń.

- Studnia życzeń? - podchwycił Oz. - Jak to?

- Tych dwoje się utopiło, ale wciąż się kochają. Bo ludzie umierają, ale miłość nigdy. I przez to studnia jest teraz zaczarowana.

Jak ktoś ma jakieś życzenie, to przychodzi tutaj, wypowiada je i życzenie się spełnia. Za każdym razem. Deszcz czy słońce.

Oz chwycił go za ramię.

- Każde życzenie? Na pewno?

- Na pewno. Ale jest jeden mały warunek.

- Tak myślałam - wtrąciła ironicznie Lou. - No, jaki?

- Ponieważ ta studnia stała się studnią życzeń, bo utopiło się w niej tamtych dwoje, każdy, kto chce, żeby jego życzenie się spełniło, musi coś oddać.

- Co oddać? - spytał podniecony Oz.

Diament wzniosł ramiona do ciemnego nieba.

- Najwspanialszą, najważniejszą rzecz, jaką ma na świecie.

Oz pociągnął Lou za rękaw.

- Lou, może byśmy tak.

- Nic! - warknęła. - Oz, zrozum wreszcie, że żadne dyndające łańcuszki i studnie życzeń nic nie pomogą.

- Ale. Lou.

Dziewczynka wstała i podała braciszkowi rękę.

- Nie bądź głupi, Oz. Zaraz znowu się rozbeczysz.

I puściła się biegiem. Po chwili wahania Oz ruszył za nią.

Diament został. Chyba nie wszystko poszło tak, jak chciał, bo na jego twarzy malował się zawód. Rozejrzał się i gwizdnął. Nadbiegł

Jeb.

- Chodź, Jeb, wracamy do domu - powiedział cicho Diament.

I pobiegli w kierunku przeciwnym do obranego przez Lou i Oza.

Góry układały się do snu.



# 12

Za oknem jeszcze nawet nie świtało, kiedy zatrzeszczały schody. Lou usiadła na łóżku. Drzwi otworzyły się powoli i do izby, przyświecając sobie latarnią, weszła kompletnie ubrana Louisa. W migotliwym blasku płomyka, padającym na jej rozpuszczone siwe włosy, wydała się zaspanej Lou wysłanniczką niebios. W izbie panował straszny ziąb; Lou gotowa była przysiąc, że widzi parę własnego oddechu.

- Pomyślałam sobie, że dam tobie i Ozowi pospać dzisiaj trochę dłużej - powiedziała cicho Louisa, siadając obok Lou.

Lou stłumiła ziewnięcie i spojrzała w czerń za szybą.

- Która to godzina?

- Piąta dochodzi.

- Piąta?! - Lou opadła z powrotem na poduszkę i naciągnęła sobie kołdrę na głowę.

Louisa uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Eugene doi już krowy. Dobrze by było, gdybyś podpatrzyła, jak się to robi.

- A nie mogłabym trochę później? - wymamrotała spod kołdry Lou.

- Krowy nie będą czekać - odparła Louisa. - Muczą, dopóki nie opróżni się im wymion. Oz już się ubrał.

Lou usiadła jak pchnięta sprężyną.

- Mamie nigdy się nie udało ściągnąć go z łóżka bez walki przed ósmą!

- Pałaszuj teraz melasę z kukurydzianym chlebem i popija

mlekiem. Dobrze by było, gdybyś do nas zeszła.

Dziewczynka odrzuciła kołdrę, spuściła nogi na podłogę i dreszcz przeszedł ją od stóp do głów. Podłoga była lodowato zimna. Teraz naprawdę widziała parę swojego oddechu.

- Za pięć minut - powiedziała dzielnie, szcękając zębami.

Nie uszło to uwagi Louisy.

- W nocy był przymrozek - powiedziała. - Tu, w górach, chłody dłużej się utrzymują. Ziąb potrafi jeszcze przeniknąć do szpiku kości. Ale tylko patrzeć, jak się ociepli, a kiedy przyjdzie zima, przeniesiemy ciebie i Oza do frontowej izby, pod kominek. Napali się w nim węglem i przez całą noc będzie wam ciepło jak w uchu. Nie zamarzniecie. - Przerwała i rozejrzała się po izbie. - Nie możemy ci zapewnić warunków, jakie miałaś w mieście, lecz się staramy. - Podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi. - Nalałam ci już do miednicy wrzątku do mycia.

- Louiso?

Louisa odwróciła się, zataczając latarnią szeroki łuk. Po ścianach przemknął jej powiększony cień.

- Tak, słonko?

- To był pokój mojego taty, prawda?

Louisa przesunęła wzrokiem po ścianach i zawróciła do łóżka.

- Od kiedy skończył cztery latka, aż do wyjazdu. Potem nikt już tu nie mieszkał.

Lou wskazała na wyklejone gazetami ściany.

- To dzieło taty?

Louisa kiwnęła głową.

- Wędrował dziesięć mil, żeby kupić gazetę albo książkę. Czytał je po tuzin razy od deski do deski, a potem naklejał na ściany i dalej czytał. W całym swoim życiu nie widziałam chłopca tak ciekawego świata. - Louisa obrzuciła Lou taksującym spojrzeniem. - Coś mi się widzi, że się w niego wdałaś.

- Chciałam ci podziękować, że przyjąłś mnie i Oza.

Louisa obejrzała się na drzwi.

- Waszej matce też będzie tu dobrze. Pod naszą opieką dojdzie do siebie.

Lou odwróciła wzrok i zaczęła ściągać nocną koszulę.

- Za chwilę do was zejdem - burknęła.

Stara kobieta bez komentarza przyjęła zmianę w nastroju dziewczynki i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy Lou zeszła na dół, Oz kończył już śniadanie. Ubrany był w to, co ona - spłowiałe ogrodniczki, długą, wyrzuconą na wierzch flanelową koszulę i sznurowane trzewiki, które wyfasowała im Louisa. Izbę oświetlała tylko latarnia wisząca na wbitym w ścianę haku i ogień płonący na kominku. Lou spojrzała na staroświecki, drewniany zegar skrzynkowy, stojący na obramowaniu kominka. Było parę minut po piątej. Kto by pomyślał, że krowy tak wcześnie się budzą?

- Hej, Lou - przywitał ją Oz. - Musisz spróbować tego mleka. Przepyszne.

Louisa spojrzała z uśmiechem na Lou.

- Moje modlitwy zostały wysłuchane. Ubranie leży na tobie jak ulał. Tylko buty chyba trochę za duże. Ale to nic, wypchamy je gałganami.

- Są w sam raz - powiedziała Lou, chociaż trzewiki były w rzeczywistości za małe i uwierały.

Louisa dźwignęła z podłogi wiadro i wzięła z półki szklanę. Postawiła ją na stole, przykryła szmatką i napełniła mlekiem z wiadra. Na szmatce utworzyła się skwiercząca piana.

- Zalać ci chleb melasą? - spytała. - Zobaczysz, że ci zasmakuje. I wypełni żołądek.

- Przepyszne - wymamrotał Oz, przełykając po raz ostatni

i popijając resztkę mleka.

Lou patrzyła podejrzliwie na swoją szklanę.

- Po co ta szmatka?

- Żeby odcedzić z mleka to, co niepotrzebne - odparła Louisa.

- To ono nie jest pasteryzowane? - zachnęła się Lou, a zaalarmowany jej tonem Oz spojrział na swoją pustą szklanę z taką miną, jakby za chwilę miał paść trupem.

- Zaszkodzi mi? - spytał z niepokojem.

- Od tego mleka nic wam nie będzie - oświadczyła spokojnie Louisa. - Piję je przez całe życie. I wasz tata też je pił.

Te słowa uspokoiły Oza. Oparł się wygodnie i odetchnął z ulgą. Lou powąchała mleko, upiła na próbę kilka małych łyčzków, a potem pociągnęła większy.

- A nie mówiłem, że dobre? - powiedział Oz. - Założę się, że od tego pastowania robi się gorsze.

- Nie pastowania, tylko pasteryzacji. To termin od nazwiska Ludwika Pasteura, uczonego i odkrywcy procesu, w którym giną bakterie i mleko staje się bezpieczniejsze do picia.

- To na pewno był mądry człowiek - wtrąciła się Louisa, stawiając przed Lou miskę z melasą i pokruszonym kukurydzianym chlebem. - Ale my wygotowujemy szmatkę po każdym użyciu i też włos nam z głowy nie spada. - Ton, jakim to powiedziała, odebrał Lou ochotę do dalszej dyskusji na ten temat.

Nabrała pełen widelec, doniosła go do ust i oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdumienia. Oz nie przesadzał, smakowało wybornie.

- Gdzie to kupujesz? - spytała Louise.

- Co?

- No, to. Naprawdę smaczne.

- A nie mówiłem? - ponownie zawołał Oz.

- Ja tego nie kupuję, słonko. Sama robię.

- A jak?

- Lepiej pokazać, niż opowiadać. A teraz się pospiesz. Zapoznacie się zaraz z krową, która ma na imię Bran. Stara Bran zaniemogła. Pomożecie ją Eugene'owi wykurować.

Lou szybko dokończyła śniadanie i pobiegli z Ozem do drzwi.

- Zaczekajcie, dzieci - zawołała za nimi Louisa. - Najpierw talerze do zlewu, no i to może wam się przydać. - Zdjęła z haka drugą latarnię i zapaliła ją. Izbę wypełnił swąd płonącej nafty.

- W tym domu naprawdę nie ma elektryczności? - spytała Lou.

- Parę rodzin z Tremont założyło sobie ten diabelski wynalazek. Od czasu do czasu światło im gaśnie i siedzą wtedy jak bąki w kobyli zadku, bo pozapominali już, jak się obchodzić z naftową lampą. Mnie tam do szczęścia wystarczy dobra latarnia.

Oz i Lou wstawili swoje talerze do zlewu.

- Jak skończycie w oborze, pokażę wam źródółko. Czerpiemy stamtąd wodę. Dwa razy dziennie. To będzie jeden z waszych obowiązków.

Lou spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Przecież masz pompę przy zlewie.

- Ona jest tylko do zmywania statków i takich tam. A wody potrzeba do wielu innych rzeczy. Dla zwierząt, do prania, do polewania osetki, do kąpieli. W pompie nie ma ciśnienia. Trzeba by całego dnia, żeby napełnić z niej spore wiadro. - Louisa uśmiechnęła się. - Bywa, że siódme poty na nas wychodzą od dźwigania drewna i wody. Do dziesiątego roku życia myślałam, że mam na imię Przynieś.

Mieli już wychodzić, ale niosąca latarnię Lou odwróciła się jeszcze w progu.

- Zaraz, a gdzie ta obora z krowami?

- Lepiej was zaprowadzę.

Na zewnątrz panował przenikliwy ziąb. Lou dziękowała Bogu, że ma

na sobie grubą flanelową koszulę, ale i tak dłonie musiała trzymać pod pachami, żeby jej nie zgrabiały. Louisa szła przodem, przyświecając sobie latarnią. Minęli kurnik, korrале i skręcili w stronę obory, dużego budynku z dwuspadowym dachem i szerokimi, podwójnymi wrotami. Wrota stały otworem, w środku paliło się samotne światełko. Dochodziły stamtąd parskania i ryki zwierząt, nerwowy tupot kopyt po klepisku, a z kurnika trzepot skrzydeł spłoszonych kur. Niebo było miejscami ciemniejsze niż gdzie indziej. Dopiero po chwili Lou uprzytomniła sobie, że te ciemniejsze zacieki na nieboskłonie to Appalachy.

Nigdy jeszcze nie widziała takiej nocy. Bez ulicznych latarni, bez rozświetlonych okien, bez samochodowych reflektorów, bez mrugających neonów. Tylko kilka gwiazd na niebie, naftowa lampa Louisy i druga taka sama w oborze. Ale Lou wcale nie bała się tych ciemności. Wprost przeciwnie, idąc za wysoką postacią prababki, czuła się dziwnie bezpieczna. Trzymającemu ją kurczowo za rękę Ozowi daleko było do takiego nastroju. Lou domyślała się, że jego wyobraźnia zmienia każdy majaczący w mroku kształt w straszliwego potwora.

W oborze pachniało sianem, wilgotną ziemią, dużymi zwierzętami i ciepłym łąjnem. Klepisko wymoszczone było słomą. Na ścianach wisiały uzdy i uprząże, jedne spękane i zużyte, inne dobrze natłuszczone i lśniące. Pod ścianą leżał stos orczyków. Na strych wchodziło się po drewnianej drabinie z wyłamany drugim szczeblem. Strych zajmował większą część poddasza i był wypełniony sianem, zarówno w belach, jak i luzem. Strop podierały pośrodku topolowe belki. Wzdłuż ścian ciągnęły się boksy i zagrody dla kłaczy, mułów, świń i owiec. Z ciepłych zwierzęcych nozdrzy wydobywały się obłoczki pary.

W jednym z boksów, na małym trójnożnym stołeczku siedział Eugene. Obok stała łaciata, czarno-biała krowa. Zamiatła tam

i z powrotem ogonem, łeb miała zanurzony w żłobie.

Louisa zostawiła ich z Eugene'em, a sama wróciła do domu. Oz przywarł do Lou, kiedy krowa w sąsiednim boksie uderzyła bokiem w przepierzenie i zamuczała. Eugene podniósł na nich wzrok.

- Stara Bran ma mleczną gorączkę - powiedział. - Trzeba pomóc Starej Bran. - Pokazał palcem na zardzewiałą pompkę do opon, stojącą w kącie boksu. - Proszę mi podać tę pompkę, panienko Lou.

Lou wykonała polecenie i Eugene docisnął mocno wężyk do dójki Bran.

- A teraz pompujcie.

Oz zaczął pompować, a Eugene dociskał wężyk kolejno do każdej z czterech dójek, masując krowie wymię, które nadymało się jak piłka.

- Dobra dziewczynka, nigdy wcześniej nie zatrzymywałaś mleka. Zaraz temu zaradzimy - przemawiał czule Eugene. - Starczy - rzucił do Oza.

Chłopiec przestał pompować, cofnął się i patrzył, co będzie dalej. Eugene odstawił pompkę i wymownym gestem dał Lou do zrozumienia, że ma zająć jego miejsce na stołeczku. Naprowadził jej dłonie na dójki Bran i pokazał, jak je odpowiednio uciskać i masować, żeby się uelastyczyły i puściły mleko.

- Napompowaliśmy ją, a teraz wydoimy. Proszę ciągnąć mocno, panienko Lou, Stara Bran się o to nie obrazi. Chce się pozbyć mleka. Bo ją bardzo boli, kiedy ono zalega.

Lou z początku szło niesporo, ale szybko złapała rytm. Jej dłonie pracowały sprawnie i po chwili dał się słyszeć syk powietrza uchodzącego z wymienia. Z dójek trysnęły obłoczki pary.

Oz doskoczył do Lou.

- Mogę ja?

Lou wstała, a Eugene posadził Oza na stołeczku i pokazał mu, co robić. Malec, podobnie jak Lou, szybko doszedł do wprawy

i w końcu na czubkach dójek pojawiły się kropelki mleka.

- Dobrze ci idzie, paniczu Oz. Doileś krowy tam u siebie, w mieście?

Roześmieli się wszyscy troje.

Trzy godziny później Lou i Ozowi nie było już do śmiechu. Wydoili pozostałe dwie krowy - w tym jedną cielną - co zajęło im w sumie całą godzinę; przydźwigali ze źródelka cztery wielkie wiadra wody do domu, a potem jeszcze cztery dla zwierząt; następnie napełnili stojące w domu skrzynie na węgiel i na drewno, robiąc dwa kursy z drewnem i trzy z węglem. Teraz karmili wieprze, a lista zajęć zamiast się kurczyć, coraz bardziej się wydłużała.

Oz dotaszczył wiadro do obory i Eugene pomógł mu przenieść je przez ogrodzenie. Lou postawiła swoje i cofnęła się.

- W głowie mi się nie mieści, że karmimy świnie - fuknęła.

- Dużo jedzą - zauważył Oz, przyglądając się, jak zwierzęta rzucają się łapczywie na gęstą breję wypełniającą koryto.

- Są obrzydliwe - mruknęła Lou, ocierając dłonie o ogrodniczki.

- I żywią nas, kiedy jesteśmy w potrzebie.

Odwrócili się. Za nimi stała Louisa z wiadrem pełnym kukurydzianej karmy dla kurcząt. Mimo chłodu po czole ściekały jej strużki potu. Podniosła puste wiadro Lou i podała je dziewczynce.

- Kiedy spadnie śnieg, nie da się zejść z gór. Musimy radzić sobie sami. I to są wieprzki, Lou, nie świnie.

Przez kilka uderzeń serca patrzyły sobie w milczeniu w oczy. Potem usłyszały warkot silnika nadjeżdżającego samochodu i spojrzały w kierunku domu mieszkalnego.

Był to sportowy oldsmobil z czterdziestomasiedmioma kołmi mechanicznymi pod maską i wąskim miejscem na bagaż za oparciami przednich foteli. Tam gdzie odprysł czarny lakier, karoserię zaczynała toczyć rdza, błotniki były powginane, wąskie opony niemal łyse. Pomimo chłodnego poranka kierowca tego



pięknego gruchota nie podniósł składanego dachu.

Auto zatrzymało się przed domem i wysiadł z niego mężczyzna. Był wysoki, może trochę za szczupły, ale jego ruchy sugerowały niepospolitą siłę fizyczną. Zdjął kapelusz. Włosy miał ciemne i proste, elegancko ostrzyżone. Kształtny nos i linia szczęki, łagodne niebieskie oczy i usta okolone drobnymi zmarszczkami, świadczącymi o skłonności do częstego uśmiechania się, nadawały jego twarzy sympatyczny wygląd. Był pod czterdziestkę, miał na sobie dwuczęściowy szary garnitur i czarną kamizelkę, przy której wisiał na grubym łańcuszku kopertowy zegarek wielkości srebrnej dolarówki. Spodnie miał wypchane na kolanach, a buty dawno i na dobre zatraciły swój pierwotny połysk. Postąpił kilka kroków w ich kierunku, zatrzymał się, zawrócił do auta i zabrał z niego wypchaną, zniszczoną teczkę.

Roztargniony, pomyślała Lou, przyglądając się z zaciekawieniem przybyszowi i zastanawiając, jakiego znowu dziwaka stawia na jej drodze los. po poznanych już tutaj Za Cholerę i Diamencie.

- Kto to? - spytał Oz.

- Lou, Oz - powiedziała głośno Louisa - oto Cotton Longfellow, najlepszy prawnik w okolicy.

Mężczyzna uśmiechnął się i podał Louisie rękę.

- Wątpliwe wyróżnienie, Louiso, bo tych prawników w okolicy jak na lekarstwo.

Mówił z mieszaniną południowego zaśpiewu i nowoangielskiej rytmiczności. Lou miała trudności z określeniem, skąd pochodzi, a zwykle była w tym dobra. Cotton Longfellow!<sup>1</sup> Boże, co za nazwisko.

Cotton postawił teczkę na ziemi i uściśnął dzieciom dłonie z powagą, choć w jego oczach igrały iskielki rozbawienia.

- Louisa dużo mi o was opowiadała. Jestem wielce zaszczycony, że mogę was wreszcie osobiście poznać. Długo czekałem na ten dzień.

Szkoda tylko, że spotykamy się w takich okolicznościach. - Powiedział to z nieudawanym żalem.

- Mam z Cottonem do pogadania - oznajmiła Louisa. - Jak już nakarmicie wieprzki, pomóżcie Eugene'owi oporządzić resztę zwierząt i podrzucić im siana.

Cotton z Louisa oddalili się w kierunku domu, a Oz chwycił wiadro i pobiegł w podskokach po następną porcję karmy. Lou, zapominając o wieprzach, chciała już ruszyć za Cottonem i Louisą. Zaintrygował ją ten mężczyzna noszący osobliwe nazwisko, mówiący z dziwnym akcentem i zdający się dużo o nich wiedzieć. Ale spojrzała na czterystufuntowego wieprza, który miał ich podobno w jakiś sposób uchronić w zimie przed śmiercią głodową, i zamiast za prababką i jej gościem pomaszerowała za bratem. Odnosiła wrażenie, że ściany gór zaraz na nią runą.

# 13

Cotton i Louisa weszli do domu tylnymi drzwiami. W korytarzyku prowadzącym do frontowej izby Cotton zatrzymał się i zajrzał przez uchylone drzwi do izby, w której leżała Amanda.

- Co mówią lekarze? - spytał.

- Trau... ma psy... chicz... na - przesylabizowała powoli obce jej słowa Louisa. - Tak to nazwała pielęgniarka.

Weszli do kuchni i usiedli przy stole. Cotton wyjął z teczki plik papierów, a z kieszeni okulary w drucianej oprawce. Nałożył okulary i studiował przez chwilę dokumenty. Potem rozparł się wygodnie na krześle, gotowy do omówienia ich treści. Louisa postawiła przed nim kubek kawy zbożowej. Cotton upił łyk i uśmiechnął się.

- Jeśli to nie postawi człowieka na nogi, to znak, że już nie żyje.

Louisa naląła kawy sobie.

- No i czego się od nich dowiedziałaś? - zapytała.

- Twój wnuk nie zostawił testamentu, Louiso. Ale to nic, bo i tak nie miał żadnych pieniędzy.

Louisa popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Jak to możliwe? Tyle pięknych książek przecież napisał.

Cotton pokiwał powoli głową.

- Były cudowne, ale nie sprzedawały się najlepiej. Musiał brać różne chałtury, żeby związać koniec z końcem. Do tego Oz w pierwszych miesiącach po urodzeniu często chorował. Mnóstwo wydatków. A w Nowym Jorku życie jest drogie.

Louisa spuściła wzrok.

- Nie tylko to - powiedziała cicho i Cotton spojrział na nią z zaciekawieniem. - Jack przysyłał mi przez wszystkie te lata pieniądze. Napisałam kiedyś do niego, by tego nie robił. Że ma swoją rodzinę i w ogóle. Ale odpisał mi, że jest bogaty i go na to stać. Tak mi odpisał! I że chce mi się chociaż tak odwdzińczyć za wszystko, co dla niego uczyniłam. A ja przecież nic takiego nie zrobiłam.

- No, tak... podobno tuż przed wypadkiem Jack planował przenieść się do Kalifornii i pisać tam scenariusze dla jakiejś wytwórni filmowej.

- Do Kalifornii? - Louisa wypowiedziała to słowo z niedowierzaniem, a potem opadła na oparcie krzesła i westchnęła. - Ten chłopiec nigdy nic mi nie mówił. Ale przysyłał pieniądze, chociaż sam ich potrzebował. A ja głupia je przyjmowałam. - Odwróciła wzrok i po chwili podjęła: - Mam kłopoty, Cotton. Ta susza ciągnie się już trzeci rok i z pól zbieramy tyle co nic. Już tylko pięć wieprzków mi zostało, a jednego z nich też będę musiała niedługo zarżnąć. Zostanę z trzema maciorami i jednym knurem. W ostatnim miocie były same maleństwa. Do tego trzy mleczone krowy. Jedną pokryłam, ale się jeszcze nie ocieliła i zaczynam się niepokoić. Bran dostała gorączki. Z owcami więcej kłopotu, niż to warte. Ta stara kobyła do roboty już się nie nadaje i tylko mnie objada. Ale zapracowała sobie przez te lata na dobre traktowanie na starość. - Louisa przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. - A McKenzie ze sklepu nie chce nam już sprzedawać na kredyt.

- Ciężkie czasy nastały, Louiso, nie da się ukryć.

- Wiem, że nie mogę się skarżyć, ta góra dawała mi dotąd, co mogła.

Cotton się przygarbił.

- Cóż, Louiso, masz ziemię. To twój majątek.

- Przecież jej nie sprzedam, Cotton. Kiedy wybije moja godzina,

przejdzie na Lou i Oza. Ich ojciec kochał tę ziemię tak samo jak ja. O Eugenie też nie zapomnę. Jest dla mnie jak rodzina. Harował tu jak wół. Dostanie kawałek ziemi, żeby mógł zacząć na swoim, założyć rodzinę. Tak będzie sprawiedliwie.

- Też tak myślę - przyznał Cotton.

- Jak mogłam odmówić, kiedy ci ludzie napisali do mnie, czy przyjmę dzieci? Amanda nie ma już nikogo ze swoich, poza mną. A ja nie mam już sił gospodarować. - Louisa splotła nerwowo palce i zapatrzyła się w okno. - Myślałam o nich przez te wszystkie lata, zastanawiałam się, jakie są. Czytałam listy Amandy, oglądałam zdjęcia, które mi przysyłała. Duma mnie rozpierała, że Jack tak sobie w życiu radzi. I że ma takie piękne dzieci. - Westchnęła głęboko, jej pocięte zmarszczkami czoło przypominało teraz miniaturowe zaorane pole.

- Wszystko się ułoży, Louiso - powiedział Cotton. - Gdybyś mnie do czegoś potrzebowała, na przykład, żebym przyjechał i pomógł przy sadzeniu albo zajął się dziećmi, to daj mi tylko znać. Będę zaszczycony.

- Daj spokój, Cotton, masz swoją pracę.

- Ludzie tutaj rzadko korzystają z usług prawnika. I może mają rację. Jak ktoś ma problem do rozwiązania, to idzie z nim do sądu, do sędziego Atkinsa, i wyklada kawę na ławę. Prawnicy tylko komplikują sprawy. - Uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni. - Głowa do góry, Louiso. A że wzięłaś do siebie dzieci, to dobrze. Dla wszystkich.

Louisa też się uśmiechnęła, zaraz jednak spoważniała.

- Słuchaj, Cotton. Diament mówi, że kręcą się tu jacyś ludzie i wypytują o kopalnie węgla. Nie podoba mi się to.

- To podobno geodeci, specjaliści od bogactw naturalnych.

- Nie za szybko przekopują te góry? Krew mnie zalewa, kiedy widzę, jak drążą kolejną dziurę. Nigdy nie sprzedam ziemi tym od

węgla. Dewastują ten piękny kraj.

- Słyszałem, że oni nie szukają węgla, tylko ropy.

- Ropy?! - zachnęła się Louisa. - To nie Teksas.

- Powtarzam, co słyszałem.

- Nie będę sobie zawracała głowy takimi bzdurami. - Louisa wstała. - Masz rację, Cotton, wszystko się ułoży. Może Bóg ześle nam deszcz tego roku. Jak nie, to też coś wykombinuję.

Cotton również podniósł się z krzesła i zerknął niepewnie w korytarzyk.

- Miałabyś coś przeciwko, Louiso, gdybym zajrzał do pani Amandy i złożył jej wyrazy uszanowania?

Louisa się zastanowiła.

- Nowy głos może na nią dobrze podziałać. A z ciebie sympatyczny mężczyzna, Cotton. Jak to się stało, że się dotąd nie ożeniłeś?

- Nie znalazłem jeszcze kobiety, która chciałaby się związać z takim chodzącym nieszczęściem jak ja.

Cotton przestąpił próg izby Amandy, postawił teczkę na podłodze, położył na niej kapelusz i podszedł do łóżka.

- Pani Cardinal, jestem Cotton Longfellow. Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Zresztą mam wrażenie, że znam panią od dawna, bo Louisa czytała mi pani listy.

Amandzie nie drgnął nawet jeden mięsień. Cotton obejrzał się zdeprymowany na Louise.

- Mówię do niej, Oz też, ale ona nie odpowiada. Nie ruszy nawet palcem.

- A Lou?

Louisa pokręciła głową.

- Ta dziewczynka kiedyś się otworzy i wyrzuci z siebie wszystko, co w sobie tłamsi.

- Louiso, a może by tak sprowadzić do Amandy Tralisa Barnes

z Dickens?

- Lekarzom trzeba płacić, Cotton.
- Travis ma wobec mnie dług wdzięczności. Przyjedzie.
- Dziękuję - powiedziała cicho Louisa.

Cotton rozejrzał się po izbie i zatrzymał wzrok na Biblii leżącej na komodzie.

- Mógłbym tu jeszcze przyjść? - spytał. Louisa spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Pomyślałem sobie, że mógłbym... no, że mógłbym jej poczytać. Stymulacja psychologiczna. Słyszałem o czymś takim. Nie ma oczywiście żadnych gwarancji. Ale skoro nie mogę pomóc w inny sposób, to chociaż poczytam. - Nie czekając na odpowiedź, Cotton spojrzał znowu na Amandę. - Czytanie pani będzie moim przywilejem.

# 14

O pierwszym brzasku Louisa, Eugene, Lou i Oz byli już w polu. Towarzyszył im muł Hit zaprzężony do pługa z lemieszem do krojenia gleby.

Lou i Oz zjedli śniadanie, które składało się z mleka i melasy. Posiłek był smaczny i sycący, a jedzenie przy świetle latarni zdążyło im już spowszednieć. Po śniadaniu Oz pozbierał zniesione przez kury jajka, a Lou pod baczным okiem Louisy wydoiła dwie zdrowe krowy. Potem dzieci przeniosły do domu drewno na opał, narąbane na podwórku przez Eugene'a, i przydźwigały do obory kilka wiader wody. Przyszła kolej na oporządzenie zwierząt i podrzucenie im siana. Lecz to wszystko najwyraźniej było tylko rozgrzewką. Prawdziwa robota miała się zacząć dopiero teraz.

- Musimy zaorać całe to pole - powiedziała Louisa.

Lou pociągnęła nosem.

- Co tak śmierdzi?

Louisa schyliła się, zaczerpnęła garść ziemi i rozkruszyła ją w dłoni.

- Nawóz. Wybieram go każdej jesieni z boksów w oborze i rozrzucam tutaj. Wtedy ziemia lepiej rodzi.

- Strasznie cuchnie - mruknęła Lou, marszcząc nos.

Louisa rozsypała ziemię na wiatr i spojrzała ostro na dziewczynkę.

- Polubisz ten zapach.

Eugene orał, Louisa i dzieci postępowali krok w krok za nim.

- To lemiesz do przewracania gleby - tłumaczyła Louisa, wskazując na dziwnie ukształtowany płat metalu. - Robi się nim



jedną bruzdę, zawraca muła z pługiem, wbija lemiesz w ziemię i robi następną. Wyrzuca ziemię na obie strony. I wyrywa z niej duże grudy. Rozkruszamy je broną, żeby wygładzić pole. Potem orzemy jeszcze raz lemieszem powierzchniowym, który wycina płytkie bruzdy. A na koniec zabieramy się do sadzenia.

Eugene dotarł do końca bruzdy i zawrócił. Louisa kazała mu się zatrzymać.

- Wyglądasz mi na silną dziewczynkę - powiedziała do Lou, kopiąc w lemiesz. - Chcesz spróbować?

- Pewnie - odparła Lou. - To nic trudnego.

Eugene pokazał jej, jak trzymać pług, owinął ją lejcami w pasie, wręczył bat i cofnął się. Hit wyczuł zapewne w Lou nowicjuszkę, której należą się otrzesiny, bo zupełnie niespodziewanie ruszył z kopyta. Silna Lou szybko poznała smak żyznej gleby.

Louisa podniosła ją i otarła umorusaną twarz.

- Przechytryło cię tym razem to stare mulisko. Idę o zakład, że za drugim razem mu się nie uda.

- Nie chcę już tego robić - burknęła Lou, ocierając twarz rękawem i wypluwając z ust jakieś grudki. Woląła nawet o tym nie myśleć. Twarz jej pałała, pod powiekami zbierały się łzy.

Louisa uklękła przed nią.

- Twój ojciec, kiedy po raz pierwszy spróbował orki, był w twoim wieku. Muł zawlókł go aż do potoku. Straciłam większą część dnia, żeby doprowadzić do porządku jego i to narowiste zwierzę. I twój tato powiedział wtedy to samo co ty. A ja nie naciskałam.

Lou przestała trzeć twarz, oczy pomалу wysychały.

- I co?

- Przez dwa dni nie zbliżył się nawet do pola. Ani do tego muła. Na trzeci dzień wychodzę w pole, a on już tam jest.

- A pole zaorane? - podsunął Oz.

Louisa pokręciła głową.

- Muł i twój tato wylądowali w zagrodzie dla wieprzy, a tacy byli umazani karmą, że nie mogłam ich rozróżnić. - Oz i Lou roześmieli się, a Louisa ciągnęła: - Potem doszli jakoś do porozumienia. Wasz tato dostał już, co mu się należało, muł miał uciechę i od tamtego czasu byli najlepszą parą oraczy, jaką widziałam.

Z drugiego końca doliny doleciało wycie syreny. Było tak przeraźliwe, że Lou i Oz zatkali sobie uszy dłońmi. Muł parsknął i potrząsnął łbem. Louisa ściągnęła brwi.

- Co to?! - krzyknęła Lou.

- Syrena w kopalni! - odkrzyknęła Louisa.

- Zawał?

- Nie - odparła Louisa, przemiatając wzrokiem zbocza. - Uciszcie się teraz.

Upłynęło pięć minut i syrena zamilkła. Po chwili zagrzmiało ze wszystkich stron naraz. Ten grzmot spłynął na nich niczym schodząca z gór lawina. Lou wydawało się, że widzi, jak dygoczą drzewa, a nawet szczyty. Chwyciła Oza za rękę i chciała rzucić się do ucieczki, ale powstrzymał ją niewzruszony spokój Louisy. Zaraz potem zapadła cisza.

- Ci od węgla uruchamiają syrenę przed każdym wybuchem. Rozkruszają węgiel dynamitem. Czasami dadzą go za dużo i wtedy obsuwa się zbocze góry. I bywa, że komuś się oberwie. Nie, nie górnikom. Któremuś z farmerów pracujących w polu. - Louisa spojrzała jeszcze raz spode łba w kierunku, z którego niedawno nadlatywało wycie, i wrócili do pracy.

Na kolację była fasolka z kukurydzianym chlebem, tłuszczem i mlekiem. Popijali ją lodowatą wodą źródlaną. Wieczór był chłodny, wiatr z wściekłym wyciem szturmował dom, ale ściany i dach dzielnie odpierały ten atak. Od ognia na kominku biło ciepło, łagodne światło lampy nie raziło oczu. Oz był tak zmęczony, że

prawie zasypiał nad swoim talerzem koloru błękitnego nieba.

Po kolacji Eugene poszedł do stodoły, a skonany, obolały Oz wyciągnął się przed kominkiem. Lou usiadła przy braciszku, położyła sobie jego głowę na kolanach i zaczęła go głaskać po włosach. Louisa nałożyła na nos okulary w drucianej oprawce i zabrała się do cerowania koszuli. Po chwili przerwała i przysiadła się do dzieci.

- Jest wykończony - powiedziała Lou. - Nie przywykł do takiego wysiłku.

- Nie słyszałam, żeby ktoś kiedyś przywykł do ciężkiej pracy. - Louisa też pogłaskała malca po włosach. Głowa chłopca działała na ludzi jak magnes; wszyscy lubili jej dotykać. Może na szczęście.

- Dobrze się spisujecie. Naprawdę dobrze. Lepiej niż ja, kiedy byłam w waszym wieku. A przecież nie przyjechałam jak wy z wielkiego miasta. Wam trudniej, prawda?

Drzwi otworzyły się, do izby wdarł się podmuch zimnego wiatru. Do środka zajrzał zaaferowany Eugene.

- Cielę wychodzi.

Pobiegli do obory. Krowa imieniem Purty, leżąca na boku w dużym boksie porodowym, rzucała się i wierzgała z bólu. Eugene opadł na kolana i przytrzymał ją, Louisa zaś, stanąwszy za zwierzęciem, jęła szukać palcami oślizłego worka z rodzącym się cielęciem. Była to trudna walka. Cielęciu nie spieszyło się jeszcze na świat. Ale Eugene z Louisą wspólnymi siłami wywabili je w końcu z przytulnego łona matki. Lou zobaczyła obślimaczoną, bezkształtną masę z płataniną kończyn i zaciśniętymi mocno ślepkami. Wszędzie było pełno krwi. Lou i Ozowi żołądki podeszły do gardła, kiedy krowa zjadła łożysko, lecz Louisa powiedziała im, że to normalne. Purty zaczęła oblizywać swoje dziecko i przestała dopiero, kiedy sierść się na nim podniosła. Eugene pomógł cielątku stanąć na roztrzęsionych, cienkich jak patyczki nóżkach, a tymczasem Louisa

przygotowała Purty do następnego etapu, czyli do karmienia. Eugene został z matką i jej cielęciem, a Louisa zabrała dzieci i wyszła z obory.

Lou i Oz byli podnieceni i zmęczeni, na zegarze dochodziła północ.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, jak rodzi się krowa - powiedział Oz.

- W ogóle nie widziałeś jeszcze żadnego porodu - sprostowała Lou.

- A właśnie że widziałem - zaproponował Oz po chwili zastanowienia. - Swój. Przecież tam byłem.

- To się nie liczy - prychnęła Lou.

- A powinno - stwierdził Oz. - Bo mama bardzo się przy nim napracowała. Tak mi powiedziała.

Louisa podrzuciła do ognia bryłkę węgla, wepchnęła ją pogrzebaczem głębiej w płomień i zabrała się znowu do cerowania koszuli. Jej żylaste, guzłowate dłonie poruszały się bez pośpiechu, ale z zadziwiającą precyzją.

- Idźcie już spać - mruknęła.

- Najpierw zajrzę do mamy - powiedział Oz. - Opowiem jej o krowie. - Spojrzał na Lou. - O moim drugim porodzie. - Odmaszerował.

Lou nie chciało się odchodzić od promieniującego ciepłem kominka.

- Ty też wstąp do matki, Lou - zachęciła ją Louisa.

Lou wpatrywała się w ogień.

- Oz jest za mały, żeby to rozumieć, ale ja rozumiem.

Louisa przerwała cerowanie.

- Co rozumiesz?

- Lekarze z Nowego Jorku powiedzieli, że z każdym dniem maleje szansa na odzyskanie przez mamę świadomości. To już za długo

trwa.

- Nadziei jednak nie wolno tracić, Lou.

Dziewczynka odwróciła głowę i spojrzała na prababkę.

- Ty też nie rozumiesz, Louiso. Taty już nie ma. Widziałam, jak umiera. Może... - przełknęła z trudem ślinę - ...może sama przyczyniłam się do jego śmierci. - Otarła dłońmi oczy i zacisnęła gniewnie pięści. - I ona wcale nie dochodzi do siebie. Słuchałam, co mówią lekarze. Słyszałam wszystko, co mówili o jej stanie dorośli, chociaż oni próbowali to przede mną ukrywać. Tak jakby mnie to nie dotyczyło! Pozwolili nam zabrać ją do domu, bo nic już dla niej nie mogli zrobić. - Urwała, wzięła głęboki oddech. Uspokajała się powoli. - Nie znasz Oza. On wierzy w jej wyzdrowienie tak bardzo, że zaczyna robić głupstwa. A kiedy. - Zawiesiła głos i spuściła oczy. - Do jutra, Louiso.

Louisa odprowadzała wzrokiem wychodzącą z izby dziewczynkę. Kiedy jej kroki ścichły w głębi korytarza, znowu wzięła do ręki naprawianą koszulę, ale nie wbijała w nią igły. Eugene wrócił z obory i położył się spać, a ona siedziała zadumana przy wygasającym kominku.

Wreszcie wstała, przeszła do swojej sypialni i wyjęła z szuflady komody plik listów. Wspięła się z nimi po schodach do izby Lou. Zastała dziewczynkę wyglądającą przez okno.

Lou odwróciła się i zobaczyła listy w ręku prababki.

- Co to?

- Listy, które pisała do mnie twoja matka. Chcesz je przeczytać?

- Po co?

- Bo słowa wiele mówią o osobie, która przelewa je na papier.

- Słowa niczego nie zmieniają. On może sobie wierzyć, jeśli chce.

Ale on jest jeszcze mały i naiwny.

Louisa położyła listy na łóżku.

- Czasami starszym na dobre wychodzi, kiedy biorą przykład

z młodszych. Mogą się w ten sposób czegoś nauczyć.

Po wyjściu Louisy Lou wrzuciła listy do szuflady biurka ojca i zasunęła ją stanowczym ruchem.

Nazajutrz Lou wstała wcześniej niż zwykle, zeszła na dół, wślizgnęła się do izby matki i obserwowała przez jakiś czas jej unoszącą się i opadającą miarowo pierś. Potem przysiadła na łóżku, odrzuciła kołdrę i zaczęła masować i gimnastykować ręce matki, tak jak jej to pokazywali lekarze z Nowego Jorku. Skończywszy z rękami, przystąpiła do masowania nóg. W pewnej chwili dostrzegła kątem oka Louise obserwującą od progu jej zabiegi.

- Trzeba dbać, żeby było jej wygodnie - wyjaśniła.

Przykryła matkę kołdrą i przeszła do kuchni. Louisa postępowała za nią.

- Mogę to robić, słonko - odezwała się, kiedy Lou stawiała garnek z wodą na ogniu.

- A ja muszę.

Lou wsypała garść płatków owsianych do gorącej wody i dodała masła z kamionki. Wróciła z miseczką do izby matki i zaczęła ją karmić. Amanda jadła i piła chętnie, wystarczyło postukać łyżeczką albo wrąbkiem kubka o wargi, ale przyjmowała tylko pokarmy w płynie. Jedynie to łączyło ją ze światem zewnętrznym.

Lou wskazała na wiszące na ścianie ferrotypy.

- Kim są ci ludzie? - zwróciła się do Louisy, która weszła za nią do izby.

- Mój tato i mama. A ten szkrab z nimi to ja. Reszta to rodzina mamy. Pierwszy raz robiono mi wtedy zdjęcie. Podobało mi się. Za to mama się bała. - Pokazała inny ferrotyp. - A to mój brat Robert. Nie żyje już. Wszyscy oni już nie żyją.

- Twoi rodzice i brat byli bardzo wysocy.

- To u nas rodzinne. Przechodzi z pokolenia na pokolenie. Twój tato w wieku czternastu lat miał już sześć stóp. Ja też jestem wysoka, choć już nie tak jak za młodu. Ty też będziesz wysoka.

Lou umyła miskę i łyżkę, a potem pomogła Louisie w przyrządzaniu śniadania dla wszystkich. Eugene był w oborze, a z sypialni Oza dochodziły odgłosy świadczące, że chłopiec już nie śpi.

- Muszę pokazać Ozowi, jak gimnastykować mamie ręce i nogi. Może też pomóc ją karmić.

- Dobra myśl. - Louisa położyła dłoń na ramieniu Lou. - No i co, czytałaś te listy?

Lou spojrzała na prababkę.

- Nie myślałam, że stracę i matkę, i ojca. Ale stało się. Teraz muszę zaopiekować się Ozem. Muszę patrzeć w przyszłość, a nie oglądać się za siebie. Może tego nie rozumiesz - dodała stanowczo - lecz tak właśnie muszę postępować.

Lou i Oz uporali się szybko ze swoimi porannymi obowiązkami i Eugene odwiózł ich zaprzężonym w muła wozem do szkoły, a sam wrócił na farmę. Lou niosła stary jutowy worek po nasionach, a w nim zniszczone podręczniki dla siebie i Oza, z powtykanymi między stronice kartkami cennego papieru. Z tych samych książek uczył się kiedyś ojciec i Lou tuliła je do piersi jak najcenniejszy skarb. Louisa dała im też po grubym ołowianym ołówku i przykazała, żeby temperowali te ołówki tylko wtedy, kiedy to będzie absolutnie konieczne i wyłącznie ostrym nożem. Oz niósł woreczek z drugim śniadaniem - parę kromek kukurydzianego chleba, słoik dżemu jabłkowego i dzbanuszek mleka.

Budynek szkoły w Big Spruce miał dopiero kilka lat. Wzniesiono go za dolary Nowego Ładu, na miejscu chaty z drewnianych bali,



która przez blisko osiemdziesiąt lat pełniła funkcję szkoły i zaważyła się w końcu ze starości. Nowy budynek był drewniany, z oknami z jednej strony, i stał na podmurówce z pustaków. Jedyne drzwi ocieniał wąski daszek. Z dwuspadowego, krytego papą dachu sterczał ceglany komin.

Każdego dnia w szkole zjawiała się co najwyżej połowa uczęszczających do niej uczniów, a i to było dużo w porównaniu z frekwencją w przeszłości. W górach praca na farmie zawsze była ważniejsza od nauki.

Pośrodku klepiska, nazywanego szumnie szkolnym dziedzińcem, rósł stary orzech z rozłupanym pniem. Kłębiło się tam z pięćdziesięcioro dzieci, od malców takich jak Oz, po młodzież w wieku Lou.

Większość była w ogrodniczkach, choć kilka dziewcząt miało na sobie kwieciste sukienki uszyte ze stufuntowych worków po paszy dla zwierząt. Worki te były piękne i wykonane z wytrzymałego materiału. Dziewczynki czuły się w takich sukienkach wyjątkowo. Część dzieci była boso, reszta miała na nogach stare buty przerobione na sandały. Niektóre nosiły słomkowe kapelusze, inne biegały z gołą głową; paru starszych chłopców paradowało dumnie w brudnych pilśniowych kapeluszach po tatusiach. Co do fryzur dziewczynek, to jedne miały włosy zebrane w kucyki, inne rozpuszczone i proste, jeszcze inne też rozpuszczone, ale podwinięte na końcach.

Na widok Lou i Oza cała ta menażeria zamarła i wlepiła w nowych oczy, w których Lou nie potrafiła dopatrzeć się przychylności.

Jeden z chłopców wystąpił naprzód. Lou rozpoznała w nim wyrostka, który w dzień ich przyjazdu frunął nad przepaścią, uczepiony traktora. Był to prawdopodobnie synalek George'a Davisa, wariata grożącego im strzelbą w lesie. Lou wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że jest tak samo stuknięty jak ojciec.

- Co, nie mogliście przyjść sami? Za Cholerę musiał was podwozić? - spytał zaczepnie chłopak.

- On ma na imię Eugene - powiedziała Lou, patrząc mu prosto w oczy. A potem, zwracając się do ogółu, spytała: - Czy ktoś może mnie poinformować, gdzie mieszczą się klasy druga i szósta?

- Ja mogę - wyrwał się ten sam chłopak i pokazał palcem: - Tam. - Lou i Oz obejrzeli się i zobaczyli drewniany wychodek za budynkiem szkoły. - Jasna sprawa - dorzucił chłopak z wrednym uśmiechem - że tylko dla Jankesów.

Całe zgromadzenie ryknęło śmiechem i zaniepokojony Oz przysunął się do Lou.

Lou przyglądała się przez chwilę wychodkowi, a potem przeniosła wzrok na chłopaka.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Billy Davis - odparł z dumą. - A bo co?

- Zawsze jesteś taki błyskotliwy, Billy Davisie?

Billy zmarszczył czoło.

- Znaczy jaki? To jakieś przezwisko?

- A ty nas przed chwilą nie nazwałeś Jankesami?

- Powiedziałem najszczerzą prawdę. Jankes nigdy nie przestanie być Jankesem. Nawet jak tu przyjedzie.

Tłumek południowców głośnym pohukiwaniem dał do zrozumienia, że podziela całkowicie jego punkt widzenia, Lou i Oza otoczyły wraże szeregi. Ocalił ich szkolny dzwonek. Dzieci rzuciły się do drzwi. Lou i Oz popatrzyli po sobie i powlekli się za tą rozwrzeszczaną gromadą.

- Oni nas chyba nie lubią, Lou - powiedział cicho Oz.

- Wcale mi nie zależy na ich względach - odparła Lou.

Zaraz za progiem okazało się, że sala lekcyjna jest tylko jedna dla wszystkich, a uczniowie poszczególnych klas, od pierwszej do siódmej, siedzą w niej podzieleni na grupy wiekowe. Nauczycielka

też była tylko jedna. Nazywała się Estelle McCoy i zarabiała osiemset dolarów za rok szkolny. Pracowała już tutaj od trzydziestu dziewięciu lat i zdążyła posiwieć.

Na trzech ścianach wisiały szerokie tablice. W kącie stał pękaty piecyk, od którego odchodziła długa rura znikająca w suficie. Drugi kąt zajmowała, niepasująca zupełnie do tego surowego wnętrza, pięknej roboty szafa z klonowego drewna, wykończona od góry łukiem. Na półkach, za jej oszklonymi drzwiczkami, stało kilka książek. Na ścianie obok wisiała tabliczka z ręcznie wykaligrafowanym słowem: „Biblioteka”.

Przed wieloklasowym audytorium stanęła rumiana, pulchna Estelle McCoy w jaskrawej, kwiecistej sukience i w sali zapadła cisza.

- Mam dzisiaj dla was nie lada niespodziankę - zagaiła z promiennym uśmiechem. - Chciałabym wam przedstawić dwoje nowych uczniów: Louise Mae Cardinal i jej brata Oscara. Louiso Mae, Oscarze, wstańcie proszę.

Oz zerwał się natychmiast, jakby podrzucony sprężyną. Stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, przestępując z nogi na nogę, jak ktoś, komu bardzo chce się siusiu.

Lou jednak siedziała.

- Louiso Mae - powtórzyła Estelle McCoy - wstań i pokaż się, kochanie.

- Mam na imię Lou.

Uśmiech Estelle McCoy przygasł nieco.

- Tak... co to ja... ich ojciec to bardzo słynny pisarz Jack Cardinal.

- Czy on czasem nie umarł? - wyrwał się Billy Davis. - Ktoś mówił, że nie żyje.

Lou spojrzała gniewnie na Billy'ego, a on zrobił do niej minę.

Nauczycielka straciła chyba wątek.

- Billy, proszę cię. Eee... jak powiedziałam, to bardzo słynny

pisarz i ja go kiedyś uczyłam. I mam nadzieję, że na swój skromny sposób przyczyniłam się do tego, że został pisarzem. Bo powiadają, że najważniejsze są pierwsze lata życia. Czy wiecie, że Jack Cardinal podpisał nawet jedną ze swych książek w Waszyngtonie, poproszony o to przez samego prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Lou, rozejrzawszy się po sali, stwierdziła, że na tych dzieciach gór powyższa informacja nie zrobiła żadnego wrażenia. Poza tym wymienianie tutaj nazwy jankeskiej stolicy było, jej zdaniem, raczej nie na miejscu. Nie miała do nich żalu, że nie okazują stosownego uwielbienia dla twórczości jej ojca; współczuła im tylko, że są takimi ignorantami.

Estellę McCoy deprymowała wyraźnie przedłużająca się cisza.

- No, więc... witamy serdecznie w naszym gronie ciebie, Louiso Mae, i ciebie, Oscarze. Jestem pewna, że nie przyniesiecie swojemu ojcu wstydu w jego... alma mater.

Dopiero teraz Lou wstała, a Oz usiadł szybko, spuścił głowę i mocno zacisnął powieki. Nietrudno się było domyślić, że czeka teraz z duszą na ramieniu na to, co zaraz zrobi Lou. Dobrze wiedział, na co stać siostrę. Ta dziewczyna nie zwykła przebierać w środkach.

Ona jednak powiedziała tylko:

- Mam na imię Lou. - I usiadła.

Billy nachylił się do niej i wysyczał:

- Witaj w górach, panienko Louiso Mae.

Lekcje skończyły się o trzeciej, ale dzieciom nie spieszyło się do domów, gdzie natychmiast zaprzęgnięto by je do pracy. Snuły się grupkami po szkolnym dziedzińcu. Chłopcy grali w pikuty składanymi nożami, bawili się własnoręcznie zmajstrowanymi jojo, żuli prymkę. Dziewczęta plotkowały, zdradzały sobie sekrety i obgadywały chłopców. Billy Davis podciągał się na kiju położonym

w poprzek niskich konarów orzecha. Przyglądała mu się z podziwem biodrzasta dziewczynka o krzywych zębach, rumianych policzkach i ładnych błękitnych oczach.

Na widok Lou i Oza, wychodzących ze szkolnego budynku, Billy przerwał swoje popisy i podszedł do nich rozkołysanym krokiem.

- Proszę, proszę, panienka Louisa Mae. Widziałas się z prezydentem, panienko Louiso Mae? - powiedział głośno kpiącym tonem.

- Nie zatrzymuj się, Lou, proszę - jęknął Oz.

Billy jeszcze bardziej podniósł głos:

- Może cię poprosił, żebyś w zastępstwie tatusia nieboszczyka podpisała którąś z jego książek?

Lou zatrzymała się. Oz, wyczuwając, że dalsze błagania są bezcelowe, odsunął się od niej przezornie. Lou odwróciła się i spojrzała na swojego prześladowcę.

- O co ci chodzi? Do tej pory nie możesz przetrwać, że my, Jankesi, skopaliśmy wam tyłek, głupi kmiotku?

Inne dzieci, węsząc krew, otoczyły ich kręgiem i zasłoniły przed wzrokiem pani McCoy. Zanosiło się na widowiskową bójkę.

Billy łypnął na Lou spode łba.

- Lepiej to odszczekaj.

Lou wypuściła z ręki worek z książkami.

- Zmuś mnie, jeśli potrafisz.

- Nie biję się z dziewczuchami.

To rozjuszyło Lou bardziej niż uderzenie pięścią. Chwyła Billy'ego za szelki ogrodniczków, podstawiała mu nogę i przewróciła na ziemię. Leżał otumaniony, zaskoczony prawdopodobnie jej siłą i zuchwałością. Krąg kibiców zacieśnił się.

- Skopię ci tyłek, jeśli nie odszczekasz tego, co powiedziałeś - wycedziła Lou, pochylając się i dźgając go palcem wskazującym w pierś.

Krąg zwarł się jeszcze bardziej, jak zaciskająca się pięść. Oz pociągnął Lou za rękaw.

- Chodź już, Lou, nie bij się, proszę. No, proszę.

Billy zerwał się na równe nogi i przystąpił do ofensywy. Zamiast jednak rzucić się na Lou, chwycił Oza i z okrzykiem: „Ty śmierdzący Jankesie!” cisnął nim o ziemię.

Tryumfalna mina niedługo gościła na jego twarzy. Zrzędała gwałtownie, gdy poczuł kościstą prawą pięść Lou. Dołączył do leżącego w kurzu Oza, krew lała mu się z nosa. Nie zdążył nawet mrugnąć powieką, a Lou siedziała już na nim okrakiem i okładała pięściami, gdzie popadnie. Billy, skamłając jak maltretowany pies, młócił na oślep rękami. Udało mu się trafić Lou w usta, ale ona prała go dalej i w końcu Billy, rezygnując z czynnej obrony, zasłonił twarz.

A wtedy szeregi widzów rozstały się i przez powstały przesmyk wmaszerowała pani McCoy. Nie bez trudu udało jej się ściągnąć Lou z Billy'ego. Porządnie się przy tym zasapała.

- Louiso Mae! Co powiedziała by na to twój ojciec?

Lou dyszała ciężko, pięści miała wciąż zaciśnięte.

Estelle McCoy pomogła podnieść się z ziemi Billy'emu. Chłopak zasłaniał twarz rękawem i chlipał cicho, wtulając nos pod pachę.

- A teraz przeproś Billy'ego - zwróciła się pani McCoy do Lou.

W odpowiedzi Lou rzuciła się na chłopca, zamierzając się do kolejnego ciosu. Billy odskoczył jak przestraszony królik, zaatakowany przez węża.

Pani McCoy szarpnęła Lou za rękę.

- Louiso Mae, przestań w tej chwili i przeproś go.

- Niech idzie do diabła!

Estelle McCoy oniemiała, słysząc takie słowa z ust córki sławnego człowieka.

- Louiso Mae! Jak ty się wyrażasz?!

Lou wyrwała się jej i pobiegła drogą, z wiatrem w zawody.

Billy czmychnął w przeciwną stronę. Estelle McCoy została z pustymi rękami na placu boju.

Oz, zapomniany przez wszystkich w całym zamieszaniu, pozbiierał się spokojnie z ziemi, podniósł jutowy worek siostry, otrzepał go i pociągnął nauczycielkę za spódnicę. Spojrzała na niego z góry.

- Przepraszam, proszę pani - powiedział. - Ale ona ma na imię Lou.

# 16

Louisa przemyśla Lou rozciętą wargę wodą z mydłem i posmarowała skaleczenie jakąś domową miksturą, która paliła jak ogień, ale Lou nie mrugnęła nawet powieką.

- Ładnie zaczynasz, Lou!

- Wyzywali nas od Jankesów!

- No, coś takiego - powiedziała Louisa z udawanym oburzeniem.

- I ten chłopak przewrócił Oza.

Twarz Louisy złagodniała.

- Musicie chodzić do szkoły, słonko. Musicie się jakoś dopasować.

Lou spojrzała na nią wilkiem.

- A dlaczego oni nie mogą się dopasować do nas?

- Bo są u siebie. Zachowują się tak, bo nigdy nie widzieli tutaj takich jak wy.

Lou wstała.

- Ty nie wiesz, co to znaczy być obcym - powiedziała i wybiegła z domu.

Louisa patrzyła za nią, kręcąc głową.

Oz czekał na siostrę na werandzie.

- Zaniosem twój worek do twojej sypialni - oznajmił. Lou usiadła na schodku i oparła brodę na kolanach. - Nic mi nie jest, Lou. - Oz wstał i okręcił się wokół własnej osi, omal nie spadając przy tym z werandy. - Zobacz, nic mi nie zrobił.

- Jego szczęście, bo dopiero bym go stłukła.

Oz pochylił się nad nią i przyjrzał uważnie rozciętej wardze.

- Bardzo boli?



- Nic nie czuję. Kurczę, te górskie chłopaki potrafią może doić krowy i orać pola, ale w bójce są do niczego.

Przed domem zatrzymał się samochód Cottona. Podnieśli wzrok. Cotton wysiadł z książką pod pachą.

- Słyszałem o twojej dzisiejszej przygodzie w szkole - powiedział, wstępując na werandę.

Na twarzy Lou odmalowało się zdziwienie.

- Wieści szybko się tu rozchodzą.

Cotton usiadł na schodkach obok dzieci.

- Kiedy trafi się dobra walka, tutejsi poruszają niebo i ziemię, żeby dowiedziała się o niej cała okolica.

- Też mi walka - prychnęła lekceważąco Lou. - Billy Davis leżał zwinięty w kłębek i zawodził jak niemowlę.

- Rozciął Lou wargę - dodał Oz - ale ją nic nie boli.

- Wyzywali nas od Jankesów - podjęła Lou - jak jakichś zapowietrzonych.

- Cóż, może nastrój ci się poprawi, kiedy się dowiesz, że ja też jestem Jankesem. Z Bostonu. I ludzie jakoś mnie tu zaakceptowali. W każdym razie większość.

Lou zrobiła wielkie oczy. Coś jej się skojarzyło i nie rozumiała dlaczego dopiero teraz.

- Z Bostonu? Longfellow. Jest pan może.

- Henry Wadsworth Longfellow<sup>2</sup> był dziadkiem mojego pradziadka. Tak najlepiej chyba to ująć.

- Henry Wadsworth Longfellow. To ci dopiero!

- Właśnie, to ci dopiero! - podchwycił Oz, chociaż nie miał zielonego pojęcia, o kim mowa.

- Tak, to ci dopiero. Od dziecka chciałem zostać pisarzem.

- I dlaczego pan nie został? - spytała Lou.

Uśmiechnął się.

- Potrafię rozpoznać i docenić dobrą literaturę, mam jednak

kompletną pustkę w głowie, kiedy sam próbuję coś napisać. Może właśnie dlatego po ukończeniu prawa przyjechałem tutaj. Chciałem znaleźć się jak najdalej od Bostonu Longfellowa. Nie jestem wybitnym prawnikiem, ale na bezrybiu i rak ryba. No i mam tu czas na lekturę dzieł tych, którym pisanie przychodzi bez trudu. – Odchrząknął i zacytował modulowanym głosem: – „Często wspominam piękne miasto nad brzegami wielkiej wody. Często w myślach przechadzam się.

– ...schludnymi jego uliczkami – podchwyciła Lou. – I wtedy znów czuję się młody”.

Cotton zrobił wielkie oczy.

– Znasz na pamięć Longfellowa?

– Był jednym z ulubionych poetów mojego taty.

– A to dzieło jednego z moich ulubionych ludzi pióra – powiedział Cotton, pokazując książkę, którą przywiózł.

Lou zerknęła na okładkę.

– To pierwsza powieść mojego taty.

– Czytałaś ją?

– Tato czytał mi fragmenty. Matka traci jedyne syna i zostaje zupełnie sama na świecie. Bardzo smutne.

– Ale jest to również opowieść o gojeniu ran, Lou. O tym, jak ludzie potrafią sobie pomagać. – Zawiesił głos. – Chcę ją przeczytać twojej mamie.

– Tato czytał jej już wszystkie swoje książki – burknęła chłodno.

Cotton uświadomił sobie, że palnął głupstwo.

– Lou, nie próbuję zastąpić waszego ojca.

Dziewczynka wstała.

– On był prawdziwym pisarzem. Nie musiał cytować innych.

Cotton też podniósł się ze schodka.

– Jestem przekonany, że gdyby twój ojciec tu był, powiedziałby ci, że powtarzanie słów, które wyszły spod pióra kogoś innego, to

żaden wstyd. To w rzeczywistości wyraz szacunku. A ja bardzo szanuję talent twojego ojca.

- Myśli pan, że to pomoże mamie? - odezwał się Oz. - To czytanie?

- Strata czasu, ale wolna wola - burknęła Lou i odeszła.

- A ja bym chciał, żeby pan jej czytał - powiedział Oz.

Cotton uścisnął mu rękę.

- Dziękuję za przyzwolenie, Oz. Dam z siebie wszystko.

- Chodź już, Oz! - zawołała Lou. - Mamy dużo pracy.

Oz pobiegł za siostrą, a Cotton spojrzał jeszcze raz na trzymaną w rękę książkę i wszedł do środka. Louise zastał w kuchni.

- Przyjechałeś poczytać? - spytała.

- Taki miałem zamiar, lecz Lou dała mi jasno do zrozumienia, że nie chce, żebym czytał książki jej ojca. I może ma rację.

Louisa wyjrzała przez okno i zobaczyła Lou i Oza wchodzących do obory.

- Coś ci powiem, mam tu mnóstwo listów, które Jack napisał do mnie przez te wszystkie lata. Najbardziej podobają mi się te z college'u. Używał wtedy bardzo mądrych słów, których nie rozumiałam, ale te listy są bardzo ciepłe. Może byś tak poczytał je Amandzie? Bo widzisz, Cotton, po mojemu nie jest ważne, co jej się czyta. Chyba najbardziej liczy się to, że do niej zaglądamy, bo ona wtedy wie, że nie tracimy nadziei.

Uśmiechnął się.

- Mądra z ciebie kobieta, Louiso. To bardzo dobra myśl.

Lou wtaszczyła do kuchni wiadro z węglem i wysypała jego zawartość do skrzyni przy kominku. Potem podeszła na palcach pod drzwi izby Amandy i nadstawiła ucha. Dochodził stamtąd przytłumiony głos. Wybiegła przed dom i spojrzała na auto Cottona. Ciekawość wzięła wreszcie górę. Zakradła się za węgiel i zatrzymała pod oknem sypialni matki. Okno było otwarte, ale

znajdowało się zbyt wysoko, by zajrzeć przez nie do środka. Wspięła się na palce, lecz i to nie pomogło.

- Cześć, co robisz?

Odwróciła się na pięcie. Za nią stał Diament. Chwyliła go za rękę i odciągnęła od okna.

- Nie podkradaj się tak do ludzi - fuknęła.

- Przepraszam - powiedział z uśmiechem.

Zauważyła, że chowa coś za plecami.

- Co tam masz?

- Gdzie?

- Nie udawaj, Diament, za plecami.

- A, to. No, bo widzisz, idę sobie przez łąkę, patrzę, a one sterczą tam jakby nigdy nic. I przysięgam na Boga, że wymawiały twoje imię.

- Kto?

Diament wyciągnął rękę zza pleców i wręczył jej bukietik żółtych krokusów.

Lou starała się nie okazać po sobie, jak ją to ujęło. Podziękowała Diamentowi i klepnęła go w plecy z taką siłą, że aż się zakrztusił.

- Nie widziałam cię dzisiaj w szkole, Diament.

- Hmm, tego... - Speszył się wyraźnie. Unikając wzroku Lou, zaczął grzebać w ziemi wielkim paluchem u nogi i skubać nogawki ogrodniczków. - Zaraz, a co robiłaś pod tym oknem? - wypalił w końcu.

Lou zapomniała na razie o szkole. Wpadł jej do głowy genialny pomysł i, podobnie jak Diament, nie kwapiła się do udzielania wyjaśnień.

- Pomożesz mi w czymś?

Parę chwil potem Diament zachwiał się lekko i Lou pacnęła go po głowie, żeby stał nieruchomo. Zrobiła to bez trudu, bo zaglądała do pokoju matki, siedząc na jego plecach, Amanda leżała w pościeli,

podparta poduszkami. Cotton czytał, usadowiony w bujanym fotelu, który przysunął do łóżka. Ku zaskoczeniu Lou, nie czytał książki, ale jakiś list. Musiała przyznać, że ma bardzo miły głos.

Z całego pliku listów, jaki dała mu Louisa, Cotton wybrał właśnie ten, bo jego zdaniem był najstosowniejszy.

*Cóż, Louiso, na pewno sprawię Ci przyjemność, wyznając, że choć to już trzy lata, pamiętam góry Wirginii tak, jakbym opuścił je zaledwie wczoraj. Wystarczy mi zamknąć oczy, a natychmiast widzę twarze niezawodnych przyjaciół, których tam miałem. Znasz tę kępę wierzb nad potokiem. Gdy stykały się ich gałęzie, wyobrażałem sobie zawsze, że dzielą się sekretami. Widzę, jak skrajem lasu graniczącego z Twoimi zaoranymi polami przesuwają się stadko łań i jeleni. Potem spoglądam w niebo i śledzę lot czarnych kruków, dostrzegam też jastrzębia kołującego na tle kobaltowego błękitu.*

*To niebo. Ach, to niebo. Powtarzałaś mi po wielekroć, że stojąc na szczycie góry, człowiek odnosi wrażenie, że może go dosięgnąć, wziąć w rękę, pogłaskać jak drzemiącego kota, podziwiać wszystkimi zmysłami jego niewysłowioną wspaniałość. Ja wyobrażałem je sobie zawsze jako puszysty koc, którym można się opatulić i chłonąć jego rozkoszne ciepło, uciąć sobie długą drzemkę na werandzie. Wspominam zawsze to górskie niebo, kiedy nadchodzi noc.*

*Pamiętam też, jak mówiłaś mi, że często patrzysz na swoją ziemię ze świadomością, iż nigdy tak naprawdę do Ciebie nie należała, tak jak nie należy do Ciebie powietrze, którym oddychasz. Czasami wyobrażam sobie naszych przodków stojących w drzwiach domu i podziwiających ten sam widok. Ale nadejdzie taki dzień, że nie będzie już nikogo z rodziny Cardinalów. Nie upadajmy jednak na duchu, moja droga Louiso, bo trwać będzie dalej ta dolina, ten bieg wartkich potoków i łagodne wybrzuszenia zielonych wzgórz. I wcale*

*nie będzie im gorzej niż teraz, gdyż my, śmiertelnicy, jesteśmy tylko nic nieznaczącym epizodem w ich egzystencji, bo, jak często mi powtarzałaś, Bóg stworzył je, by trwały wiecznie.*

*Chociaż mieszkam teraz gdzie indziej i odpowiada mi w zasadzie miejskie życie, zawsze będą pamiętał, że przekazywanie wspomnień jest najtrwalszym włóknem w pajęczej nici, która łączy nas, ludzi. To Ty nauczyłaś mnie, że to, co przechowujemy w sercu, jest najistotniejszym składnikiem naszego człowieczeństwa.*

Cotton usłyszał jakiś szmer i przerwał czytanie. Zerknął na okno i mignęła mu tam znikająca pod parapetem głowa Lou. Przebiegł wzrokiem resztę listu i zdecydował, że warto doczytać go do końca na głos. Zadedykuje ten fragment zarówno córce, która podsłuchuje pod oknem, jak i leżącej w łóżku matce.

*Przez wszystkie te lata obserwowałem, jak z godnością, pokorą i pasją krocysz przez życie i stąd wiem, że nie ma nic potężniejszego od życzliwości okazywanej tym, których dotknęło nieszczęście. Myślę*

*o Tobie każdego dnia, Louiso, i nie przestanę, dopóki bić będzie moje serce. Kocham Cię bardzo, Jack.*

Lou znowu wystawiła ostrożnie głowę ponad parapet i spojrzała na matkę. Nie dostrzegła żadnej zmiany. Zawiedziona odepchnęła się rękami od okna. Biedny Diament, który się tego nie spodziewał, zatoczył się jak pijany. Jego wysiłki zmierzające do utrzymania równowagi spełzły na niczym. Przegrał tę bitwę i runęli oboje na ziemię, wśród głośnych jęków i postękiwań.

Cotton, doskoczywszy do okna, zobaczył ich jeszcze, jak znikają za węglem domu. Podszedł znowu do łóżka.

- Naprawdę musi pani do nas wrócić, Amando - powiedział. Potem dodał cicho, jakby z obawy, że ktoś może podsłuchiwać: -

Z mnóstwa powodów.

W domu było ciemno, ze zwałów chmur na nocnym niebie można było wnosić, że rano lunie jak z cebra. Ale w górach pogoda często zmienia się w okamgnieniu; śnieg przechodzi w deszcz, czyste niebo zaciąga się chmurami i człowiek moknie albo marznie, kiedy najmniej się tego spodziewa. Krowy, wieprze i owce były w stodole, bo w okolicy widziano Starego Ku, kuguara, i podobno farma Tylera straciła już cielę, a Ramseyowie świnie. Wszyscy, którzy wiedzieli, jak się obchodzić ze strzelbą albo karabinem, wypatrywali oczy, szukając starego drapieżcy.

Sam i Hit stali spokojnie w swoim korralu. Ich Stary Ku nic ważyłby się zaatakować. Rozwścieczony muł potrafi w kilka minut skopać na śmierć każdego niemal napastnika.

Otworzyły się drzwi frontowe budynku mieszkalnego. Oz zamknął je za sobą bezszelestnie. Był kompletnie ubrany, do piersi tulił swojego ukochanego misia. Rozglądał się przez chwilę niepewnie, potem puścił się biegiem. Minął korral, przeciął pola i zanurzył się w lesie.

Było ciemno choć oko wykol. Wiatr targał gałęziami drzew, leśne poszycie tętniło odgłosami skradania, trawa chwytiała Oza za nogawki spodni. Malec był przekonany, że całe zastępy najstraszniejszych strachów przeczesują okolicę, a jedynym na ziemi celem ich poszukiwań jest właśnie on. Ale to, co wyгнаło go z ciepłego łóżka w zimną noc, było chyba silniejsze od lęku, bo ani razu nie pomyślał o zawróceniu. No, może raz, przyznał w duchu. Najwyżej dwa.



Biegł, co sił w nogach, lawirując między pagórkami, okrążając zastępujące mu drogę rozpadliny, przedzierając się przez gęste skupiska drzew. Na skraju lasu zatrzymał się i pochylił nisko, wspierając się dłońmi o kolana. Odczekał tak chwilę, po czym wyszedł na łąkę. Miał przed sobą swój cel: studnię. Wziął jeszcze jeden głęboki oddech, ścisnął mocniej misia i ruszył śmiało w jej kierunku. Nie był jednak lekkomyślny i na wszelki wypadek powtarzał szeptem:

- To nie jest studnia duchów, tylko życzeń. To nie jest studnia duchów, tylko życzeń.

Zatrzymał się przed cembrowiną i wpatrywał przez chwilę w ten „twór” ze związanych zaprawą cegieł, potem splunął na dłoń i roztarł sobie ślinę po czole. Na szczęście. Długo patrzył na swojego ukochanego misia, zanim ułożył go delikatnie przy studni. Cofnął się.

- Żegnaj, misiu. Kocham cię, ale muszę cię oddać. Wy tłumaczyłem ci dlaczego.

Nie bardzo wiedział, co dalej. W końcu przeżegnał się i złożył dłonie jak do pacierza. Doszedł do wniosku, że to powinno zadowolić nawet najbardziej wymagające duchy, które spełniają życzenia małych chłopców bardzo czegoś pragnących. Wznosząc oczy ku niebu, wyrecytował:

- Chcę, żeby moja mama obudziła się i znowu mnie kochała. - Zamilkł na moment, a potem dodał z przekonaniem: - I Lou też tego chce. - Smagał go porywisty wiatr, zewsząd dochodziły ni to jęki, ni westchnienia, w jego przekonaniu potępieńcze. Ale on się już nie bał; wypełnił swoją misję. - Amen, Jezus - zakończył, odwrócił się na pięcie i ruszył biegiem w powrotną drogę.

Po chwili spomiędzy pobliskich drzew wyłoniła się Lou. Popatrzyła za oddalającym się braciszkiem, podeszła do studni, schyliła się i podniosła misia.

- Oz, ty głuptasie - powiedziała, ale bez przekonania, łamiącym się głosem.

I, o ironio, to nie łatwowierny Oz, lecz sceptyczna Lou uklękła na wilgotnej ziemi i rozplakała się. Wstała po chwili, otarła rękawem oczy i ruszyła za Ozem, przyciskając do piersi jego misia.

Wtem coś kazało jej się zatrzymać - nie bardzo wiedziała co. Ach tak, to ten porywisty wiatr, popychający ją z powrotem do dziury w ziemi, którą Diament Skinner nazwał pretensjonalnie studnią życzeń. Obejrzała się i odniosła wrażenie, że w tę bezksiężycową noc studnia i jej cembrowina jarzą się jakimś wewnętrznym blaskiem.

Podjęła decyzję. Położyła misia tam, skąd go zabrała, i wyciągnęła z kieszeni ogrodników oprawione w ramki zdjęcie przedstawiające ją i matkę. Położyła tę cenną fotografię obok misia, cofnęła się i, podobnie jak uczynił to wcześniej jej brat, złożyła dłonie, wznosząc oczy ku niebu. Ale w odróżnieniu od Oza nie przeżegnała się, nie wyrzekła też głośno słowa ani do studni, ani do niebios. Poruszała bezgłośnie ustami, tak jakby nie do końca wierzyła w to, co robi.

Skończywszy, odwróciła się i pobiegła za bratem, uważając, by zanadto się do niego nie zbliżyć. Nie chciała, żeby Oz się zorientował, że go śledzi, chociaż robiła to tylko z obawy o jego bezpieczeństwo. Miś i fotografia zostały pod cembrowiną. Przywodziły na myśl prowizoryczną kapliczkę ku pamięci zmarłego.

Jak przewidziała Louisa, Lou i Hit znaleźli w końcu wspólny język. Z dumą obserwowała, jak Lou podnosi się za każdym razem i, niezrażona kolejną porażką w konfrontacji ze złośliwym zwierzęciem, z jeszcze większą determinacją i przebiegłością podejmuje następną próbę. Teraz pług, muł i Lou tworzyli zgrany zespół.

Co do Oza, to ten stał się specjalistą w powożeniu wielkimi saniami, które muł Sam włóczył po polach. Ponieważ Oz był za lekki, Eugene obłożył go ze wszystkich stron kamieniami. Pod saniami rozkruszały się na proszek wielkie grudy gleby i po paru takich przejazdach pole stawało się gładkie jak stół. Po kilku tygodniach znoonej pracy stanęli na skraju pola i fachowym okiem lustrowali ziemię gotową już na przyjęcie nasion.

Z Dickens przyjechał doktor Travis Barnes, żeby zbadać Amandę. Był to ubrany na czarno, tęgi mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy, krótkich nóżkach i bujnych siwych bokobrodach. Lou kojarzył się bardziej z przedsiębiorcą pogrzebowym niż z lekarzem. Okazał się jednak miły, obdarzony poczuciem humoru. Cotton i dzieci czekali we frontowej izbie, a Louisa asystowała Travisowi podczas badania chorej. Travis wyszedł z pokoju Amandy, kręcąc głową i przyciskając do piersi swoją czarną lekarską torbę. Louisa, nadrabiając miną, postępowała za nim krok w krok. Doktor usiadł przy kuchennym stole i uniósł do ust kubek z kawą zbożową, której naląła mu Louisa. Wpatrywał się przez chwilę w ten kubek, jakby szukał w nim słów pocieszenia.

- Dobra wiadomość - zaczął - to fakt, że waszej mamie fizycznie nic nie dolega. Odniesione w wypadku obrażenia wygoiły się.

Jest młoda i silna, je i pije, a mięśnie nie zwiotczeją, jeśli tylko będziecie je regularnie gimnastykowali. - Urwał i odstawił kubek. - Ale niestety mam również złe wieści, bo problem tkwi tutaj. - Postukał się palcem w czoło. - I niewiele możemy na to poradzić. To przekracza moje kompetencje. Możemy mieć tylko nadzieję i modlić się, żeby z tego wyszła.

Oz przyjął tę diagnozę spokojnie, nie wpłynęła specjalnie na jego optymizm. Lou uznała ją za jeszcze jedno potwierdzenie tego, o czym już wiedziała.

Stosunki w szkole ułożyły się lepiej, niż Lou się spodziewała. Po bójkę z Billym Davisem dzieci gór zaczęły odnosić się do niej i do Oza z większą przychylnością. Co prawda nie zaprzyjaźniła się z nikim, ale przynajmniej nie odczuwała już wokół siebie atmosfery wrogości. Billy Davis przez kilka dni nie przychodził do szkoły. Kiedy się wreszcie zjawił, po siniakach, których była sprawczynią, nie pozostał już prawie ślad, za to zauważyła kilka świeżych, co nasuwało podejrzenie, że nieobliczalny George Davis porozmawiał z synem od serca. I to wystarczyło, żeby zaczęły ją dręczyć lekkie wyrzuty sumienia. Billy unikał jej jak ognia, ale Lou miała się na baczności. Jednego już się nauczyła: kłopoty mają to do siebie, że spadają na człowieka, kiedy najmniej się tego spodziewa.

Estelle McCoy też odnosiła się do niej z respektem. Nie ulegało wątpliwości, że Lou i Oz przewyższają znacznie resztę uczniów pod względem wiedzy ogólnej i odczytania. Nie dawali jednak odczuć tego innym i Estelle McCoy była im chyba za to wdzięczna. I nie zwracała się już do Lou per Louiso Mae. Lou z Ozem podarowali szkolnej bibliotece pudło swoich książek i wszystkie dzieci dziękowały im kolejno za ten dar. Nastąpiło zawieszenie broni.

Lou wstawała przed świtem, robiła, co do niej należało w obejściu, i szła do szkoły. Podczas długiej przerwy siadali z Ozem pod orzechem i jedli drugie śniadanie - chleb kukurydziany i mleko na popitkę. Pień drzewa upstrzony był wyciętymi w korze inicjałami i imionami tych, którzy pobierali tu nauki. Lou nigdy nie korciło, żeby wyciąć tam również swoje imię, bo to by sugerowało, że chce związać się z tym miejscem na dłużej, a ona takiego zamiaru nie miała. Po szkole wracali na farmę i pracowali do wieczora. Do łóżek szli skonani zaraz po zachodzie słońca. Było to uregulowane, monotonne życie, które w tej chwili bardzo Lou odpowiadało.

W szkole w Big Spruce pojawiły się wszy, w związku z czym Lou i Ozowi trzeba było natrzeć głowy naftą.

- Tylko nie zbliżajcie się do ognia - ostrzegła Louisa.

- Obrzydliwe - zżymała się Lou, obmacując pozlepiane w strąki tłuste włosy.

- Kiedy ja chodziłam do szkoły i złapałam wszy, to nacierali mi głowę tłuszczem z dodatkiem siarki i prochu strzelniczego - powiedziała Louisa. - Nie mogłam znieść tego zapachu i strasznie się bałam, że ktoś zapali przy mnie zapałkę i głowa wyleci mi w powietrze.

- To były już szkoły, kiedy byłaś mała? - zainteresował się Oz.

Louisa się uśmiechnęła.

- A jakże. Były czynne przez trzy miesiące w roku, płaciło się dolara za miesiąc. Setka dzieci ściśniętych w jednej izbie chaty z drewnianych bali. Zamiast podłogi było klepisko. Nauczyciel za byle co chłostał batem albo pasem, niektórzy przez dobre pół godziny musieli stać za karę na palcach, z nosem przyciśniętym do kółka narysowanego na tablicy. Ja nigdy nie stałam na palcach. Dobrze się uczyłam. Może nie zawsze byłam najgrzeczniejsza, ale nigdy nie dałam się przyłapać. Uczyło się z nami czytać i pisać paru dorosłych, to byli weterani wojenni. Ten nie miał ręki, tamten nogi. Czytanki sylabizowaliśmy na głos. Robił się taki hałas, że konie się płoszyły. - Orzechowe oczy Louisy zabłysły. - Pamiętam jednego nauczyciela, który uczył nas geografii na łatach swojej krowy. Po dziś dzień, kiedy zobaczę mapę, przypomina mi się od razu tamto biedne zwierzę. - Spojrzała na nich. - Głowę można sobie chyba napęłnić wszędzie. Uczcie się więc, czego musicie. Tak jak wasz tato - dodała, głównie z myślą o Lou, i dziewczynka przestała się w końcu zżymać na swoje nasiąknięte naftą włosy.

Pewnej soboty Louisa ulitowała się nad Lou i Ozem i dała im wolny dzień. Pogoda była piękna, niebo błękitne, lekki wietrzyk od zachodu szeleścił w koronach drzew obsypanych świeżą zielenią. Z samego rana przybiegł Diament z Jebem. Chłopak powiedział, że chce im pokazać jakieś specjalne miejsce w lesie. Poszli.

Wygląd Diamenta niewiele się zmienił. Był w tych samych ogrodniczkach, tej samej koszuli i boso. Lou podejrzewała, że podeszwy stóp musi mieć twarde jak kopyta, gdyż bez mrugnięcia powieką stąpał po ostrych kamieniach, wrzoscach i cierniach. Miał na głowie wytłuszczoną czapkę, którą naciągnął głęboko na oczy. Kiedy Lou spytała, czy to czapka po ojcu, odburknął coś niezrozumiale.

Doszli do wysokiego dębu, rosnącego na małej polance powstałej po wycięciu części zarośli. Do pnia drzewa ktoś przybił, jeden nad drugim, kawałki drewna, tworzące prowizoryczną drabinkę. Diament postawił stopę na pierwszym szczeblu i zaczął się wspinać.

- Dokąd ty idziesz? - zawołała Lou.

Oz przytrzymał Jeba, bo ten zachowywał się tak, jakby zamierzał wdrapać się za swoim panem na drzewo.

- Do Pana Boga! - odkrzyknął Diament i pokazał palcem na niebo.

Lou i Oz spojrzeli w górę. Zobaczyli odarte z kory pnie młodych sosenek, ułożone jeden przy drugim w poprzek dwóch masywnych konarów dębu, tworzące podłogę. Przez konar wyrastający nieco wyżej przewieszono brezentową płachtę, a jej krawędzie przywiązano sznurkiem do końców sosenek. Całość przypominała

namiot. Odnosiło się wrażenie, że wystarczy silniejszy podmuch wiatru, by ten nadrzewny domek znalazł się na ziemi.

Diament był już w połowie drogi na górę i wspinał się dalej z małpią zwinnością.

- No, włąźta! - krzyknął.

Lou, która wolałaby zginąć męczeńską śmiercią, niż przyznać, że coś przekracza jej możliwości, postawiła stopę na najniższym szczebelku i chwyciła się ręką wyższego.

- Ty zostań, Oz - zwróciła się do brata. - Nie będziemy tam długo. - I zaczęła się wspinać.

- Mam tu różne różności - wabił ich Diament. Siedział już na górze i machał w powietrzu bosymi stopami.

Oz splunął z namaszczaniem w dłonie i zaczął się drapać za siostrą. Usiedli po turecku na sosnowej podłodze o wymiarach mniej więcej sześć na sześć stóp, ocienianej brezentowym dachem, i Diament pokazał im swoje skarby. Najpierw krzemienisty grot strzały, który miał według niego z milion lat i został mu rzekomo podarowany we śnie. Potem ze zbutwiałej płóciennej torby wyjął szkielet małego ptaszka, który, jak twierdził, był ostatnio widziany wkrótce po stworzeniu przez Boga wszechświata.

- Chcesz przez to powiedzieć, że one wymarły? - spytała Lou.

- Nie, tylko nie ma już takich w okolicy.

Oza zainteresowała metalowa rura z grubym szkłem na końcu. Spojrzał przez nią. Powiększała trochę, ale szkło było tak brudne i porysowane, że prawie nic nie można było zobaczyć.

- Widać stąd na parę mil - oświadczył Diament, zataczając szeroki łuk ręką. - Nikt mnie nie podejdzie. Ani wróg, ani przyjaciel.

Następnie pokazał im pocisk wystrzelony według niego z karabinu US Springfield z 1861 roku.

- Skąd to wiesz? - spytała Lou.

- Bo mój dziadek dostał go od mojego pradziadka i przed śmiercią

ofiarował go mnie. Pradziadek walczył po stronie Unii.

- O rany! - westchnął Oz.

- No, ale nie strzelał nigdy do nieuzbrojonych. Bo to niehonorowo.

- To mu się chwali - mruknęła Lou.

- A zobacz tutaj - powiedział Diament i wyciągnął z drewnianego pudełeczka bryłkę węgla. - Co ty na to?

Lou obejrzała obłupaną bryłkę. Była całkiem zwyczajna.

- Węgiel jak węgiel - powiedziała, oddając ją Diamentowi i wycierając dłonie o nogawki spodni.

- A właśnie że nie. W środku jest diament. Diament, jak ja.

Oz przysunął się bliżej i wziął węgielek do ręki.

- O rany! - westchnął ponownie.

- Diament? - prychnęła Lou. - Skąd wiesz?

- Tak mi powiedział ten, co mi go dał. I nic za niego nie chciał. Nie wiedział nawet, że wołają na mnie Diament. Nie bujam - dodał z urazą, widząc niedowierzanie w oczach Lou. Odebrał Ozowi węgielek. - Odłupuję codziennie mały kawałek. I w końcu się do niego dobiore i to będzie największy, najczystszy diament, jaki ludzkie oko widziało.

Oz patrzył na węgielek ze czcią, którą zwykle zachowywał dla dorosłych i na wizyty w kościele.

- I co z nim zrobisz?

Diament wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Może nic. Może będę go tu trzymał. Może dam tobie. Chciałbyś?

- Jeśli w środku naprawdę jest diament, to mógłbyś go sprzedać za furę pieniędzy - zauważyła Lou.

Diament podrapał się w nos.

- A na co mi pieniądze? Mam na tej górze wszystko, czego mi trzeba.

- A schodziłeś kiedyś z tej swojej góry? - spytała Lou.



Spojrzał na nią wyraźnie obruszony.

- A co ja, dziki? Nawet nie zliczę, ile razy byłem u McKenziego przy moście. I w Tremont.

Lou rozejrzała się po okolicznych drzewach.

- A w Dickens? Byłeś tam kiedyś?

- W Dickens? - Diament o mało nie zleciał z drzewa. - Toż to cały dzień drogi piechotą. No i czego tam szukać?

- Odmiany - powiedziała Lou. - Mam już po dziurki w nosie ziemi, mułów, gnoju i noszenia wody. - Poklepała się po kieszeni. - A te dwadzieścia dolarów, które przywiozłam z Nowego Jorku, wypala mi dziurę w kieszeni - dodała, patrząc na niego znacząco.

Wymieniona przez Lou gigantyczna suma przyprawiła Diamenta o zawrót głowy, ale nawet on dostrzegł otwierające się przed nimi możliwości.

- Za daleko na piechotę - mruknął, obracając w palcach bryłkę węgla, tak jakby chciał przyspieszyć wyklucie się uwięzionego w niej diamentu.

- No, to nie pójdziemy pieszo - odparła Lou.

Zerknął na nią spod oka.

- Do Tremont bliżej.

- Nie, ja chcę do Dickens.

- Moglibyśmy wziąć taksówkę - wtrącił Oz.

- Gdyby tak zejść do mostu, do McKenziego, to może trafiłby się tam ktoś, kto jedzie do Dickens. Jak długo się idzie do tego mostu na piechotę?

Diament się zastanowił.

- No, drogą to dobre cztery godziny. Zanim byśmy tam doszli, trzeba by było wracać. I zmachalibyśmy się bardziej niż w polu.

- A nie da się na skróty?

- Naprawdę chcesz tam iść? - spytał.

Lou wzięła głęboki oddech.

- Naprawdę, Diament.

- No, to idziemy. Znam jeden taki skrót. Ani się obejrzycie, jak będziemy na miejscu.

Góry, od czasu ich powstania, drążyła woda, wypłukując miękką wapien spomiędzy twardszych skał i rzeźbiąc zleby, które utrudniały teraz marsz trójce wędrowców. W końcu przegrodził im drogę szeroki wąwóz, na pierwszy rzut oka niemożliwy do przebycia. Ale Diament nie wyglądał na skonfundowanego. Żółte topole osiągały tu niebywałe rozmiary, niektóre wystrzelały w niebo na wysokość nawet stu pięćdziesięciu stóp, a ich pnie miały u dołu po kilka stóp średnicy. Z jednej takiej topoli można uzyskać piętnaście tysięcy stóp deskowych<sup>3</sup> tarcicy. Zdrowy okaz tego gatunku, zwalony przez wicher, leżał w poprzek wąwozu, tworząc most łączący oba brzegi.

- Tędy jest dużo bliżej - powiedział Diament.

Oz podszedł do krawędzi i zajrzał w przepaść. Zobaczył tylko pionową skalną ścianę i wodę na samym dnie. Cofnął się jak spłoszona krowa. Nawet Lou straciła pewność siebie. Ale Diament bez wahania wkroczył na kłodę.

- Nie ma się czego strachać. Pień gruby jak beczka. Można przejść z zamkniętymi oczami. No, chodźta.

Ruszył przed siebie, nie spoglądając w dół. Jeb, jak gdyby nigdy nic, pobiegł za nim.

- No, chodźta! - zawołał znowu Diament, znalazłszy się po drugiej stronie.

Lou postawiła nogę na kłodzie, ale na tym poprzestała.

- Nie patrz tylko w dół - zawołał Diament. - Dasz radę.

- Ty tu zostań, Oz - zwróciła się Lou do braciszka. - Ja się upewnię, czy da się tędy przejść. - Zacisnęła pięści, weszła na kłodę i, nie odrywając oczu od Diamenta, ruszyła przed siebie. Wkrótce stała już obok niego po drugiej stronie. Spojrzeli na Oza. Malec ani

myślał podejść do pnia, stał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Idź dalej sam, Diament. Ja wrócę z nim do domu.

- O, nie. Powiedziałaś, że chcesz do miasta, to pójdziemy do miasta.

- Bez Oza nie pójde.

- A kto mówi, że bez Oza?

Diament nakazał zostać Jebowi, a sam przebiegł z powrotem po topolowym moście. Wziął Oza na barana i przeniósł go nad przepaścią.

- Aleś ty silny, Diament - powiedział Oz, zsuwając się ostrożnie z pleców chłopca.

- E tam. Raz niedźwiedź mnie gonił po tym drzewie, a ja miałem na plecach Jeba i worek mąki. A na dokładkę była noc. I lało jak z cebra. Nic nie było widać. Dwa razy o mało nie zleciałem.

- O Boże! - Oz zrobił wielkie oczy.

Lou ukryła uśmiech.

- A co z tym niedźwiedziem? - spytała.

- Poślizgnął się i spadł do wody. Od tamtego czasu go nie widziałem.

- Idźmy już do tego miasta, Diament - powiedziała Lou, ciągnąc go za rękę - bo ten niedźwiedź gotów tu jeszcze wrócić.

Przeprawili się przez jeszcze jeden prowizoryczny most, tym razem wiszący, wykonany z konopnych lin i cedrowych klepek. Diament powiedział im, że ten most przerzucony został dawno temu przez piratów, później naprawiali go i sztukowali pierwsi osadnicy, a jeszcze później konfederacy zbiegowie. Oświadczył też, że wie, gdzie oni wszyscy są pochowani, ale przysiągł komuś, kogo nazwiska nie chciał wymienić, że dochowa tajemnicy.

Schodzili zboczami tak stromymi, że musieli czepiać się drzew, krzaków i siebie nawzajem, żeby nie zjechać w dół na łeb na szyję. Lou zatrzymywała się co jakiś czas i uwieszona jakiegoś drzewka

podziwiała widoki. Niesamowicie było rozglądać się ze stromizny po krainie jeszcze większych stromizn. Kiedy teren się wyrównał, Lou i Diament nieśli na zmianę zmęczonego Oza.

U stóp góry czekała na nich kolejna przeszkoda - stojący na boczniczy pociąg towarowy. Składał się z co najmniej stu wagonów-węglarek i ciągnął w obu kierunkach jak okiem sięgnąć. W wypadku pociągu pasażerskiego nie byłoby problemu, ale odstępy między wagonami-węglarkami są tak małe, że nie sposób się przez nie przecisnąć. Diament podniósł z ziemi kamień i rzucił nim w jeden z wagonów. Trafił w wymalowany na burcie napis: Southern Valley Coal and Gas.

- I co teraz? - spytała Lou. - Przeleziemy górą? - Patrzyła na wyładowane z czubem wagony i ich gładkie ściany.

- Gdzieżby tam - odparł Diament. - Dołem. - Wepchnął czapkę do kieszeni, położył się na brzuchu i wczołgał pod wagon.

Lou z Ozem i Jeb poszli za jego przykładem. Wynurzyli się po drugiej stronie i otrzepali z kurzu.

- W zeszłym roku jednego chłopaka przecięło na pół, jak to robił - oznajmił Diament. - Pociąg ruszył, kiedy on był jeszcze pod wagonem. Nie byłem przy tym, ale słyszałem, że widok nie był przyjemny.

- Dlaczego wcześniej nam o tym nie wspomniałeś? - spytała wstrząśnięta Lou.

- Bobyście się za nic nie chcieli przeczołgać, dobrze mówię?

Już bez przeszkód dotarli do głównej drogi, skąd zabrała ich ciężarówka firmy cukierniczej Ramsey Candy. Pucowałowy, umundurowany kierowca dał im po czekoladowym batoniku Blue Banner.

- Rozpowiadajcie wszystkim, jakie to pyszności - powiedział.

- Zrobi się - obiecał Diament, odgryzając kawał batonika. Żuł powoli, metodycznie, jak koneser czekolady degustujący świeżą

partię. – A jak mi pan da jeszcze jednego, to będę rozповідаł dwa razy szybciej.

Po długiej jeździe wyboistą drogą dotarli do Dickens. Kierowca wysadził ich w samym centrum miasteczka. Diament stanął bosymi stopami na asfalcie i zaraz uniósł jedną, a potem drugą nogę.

– Głupie uczucie – powiedział. – Nie podoba mi się.

– Diament, jak słowo honoru, przecież ty mógłbyś bez zmrużenia oka chodzić po gwoździach – fuknęła Lou, rozglądając się ciekawie.

W porównaniu z Nowym Jorkiem Dickens nie było nawet wybojem na jezdni, ale teraz, po tygodniach spędzonych wysoko w górach, wydało jej się wspaniałą metropolią. Była pogodna sobota, przechodnie zapełniali trotuary, małymi grupkami przecinali jezdnię. W większości byli to schludnie ubrani ludzie, lecz widziało się też brudnych, przygarbionych, pokaszujących górników, przemyskających pod ścianami.

Na wielkim transparencie przeciągniętym nad jezdnią wypisano czarnymi literami hasło: „Węgiel jest królem”. W budynku obok mieściło się biuro firmy Southern Valley Coal and Gas. Stała przed nim długa kolejka mężczyzn. Ze środka wychodził co chwila ktoś, uśmiechając się i ściskając w garści albo kopertę z poborami, albo, najprawdopodobniej, angaż gwarantujący dobrze płatną pracę.

Elegancko ubrani mężczyźni w trzyczęściowych garniturach i kapeluszach rzucali srebrne monety dzieciom bawiącym się na ulicy. Salon samochodowy robił kokosowe interesy, a sklepy pełne były towarów i chętnych do ich kupna klientów. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że u stóp tej góry w Wirginii kwitnie dobrobyt. Był to sielankowy, podnoszący na duchu widok i Lou zatęskniła za miastem.

– Jak to się stało, że nie byłeś tu nigdy z rodzicami? – spytała Diamenta.

– Oni sami nie mieli tu żadnego interesu.

Diament wepchnął ręce w kieszenie i gapił się przez chwilę na słup telefoniczny, od którego odbiegały przewody pociągnięte do sąsiedniego budynku. Potem przeniósł wzrok na wymoczkowatego mężczyznę w garniturze i chłopca w luźnych spodniach i bluzie od dresu, którzy wyszli właśnie ze sklepu z papierową torbą pełną zakupów. Zatrzymali się przy jednym z aut parkujących skosem po obu stronach ulicy. Mężczyzna otworzył drzwiczki. Chłopiec spojrział na Diamenta i zapytał, skąd jest.

- A skąd wiesz, że nie stąd, synu? - burknął Diament, spoglądając gniewnie na małego mieszczucha.

Chłopiec ogarnął wzrokiem brudne ubranie, umorusaną twarz i rozwichrzone włosy Diamenta i wskoczył do samochodu, zatrzaskując za sobą drzwiczki.

Trójka wędrowców ruszyła przed siebie. Minęli stację benzynową Esso z dwoma dystrybutorami, przy których prężył się niczym żołnierz na warcie uśmiechnięty agent. Dalej był sklep ogólnospożywczy Rexall. Zajrzeli przez szybę. W sklepie trwała wyprzedaż „wszystkiego co w witrynie”. Za jedyne trzy dolary można było wejść w posiadanie co najmniej tuzina produktów rolnych.

- Co? Toż to wszystko można sobie wyhodować samemu. Kto by to kupował? - prychnął Diament, wyczuwając, że Lou ma ochotę wejść do środka i wykupić całą ekspozycję.

- Przyjechaliśmy tu wydać pieniądze - przypomniała mu Lou. - Rozerwać się.

- Ja jestem rozerwany - burknął ponuro Diament. - Niech mi nikt nie mówi, że nie jestem.

Kiedy przechodzili obok kafejki, nad którą wisiała reklama zapraszająca na colę i lody, Lou się zatrzymała.

- Wejdzmy - powiedziała i pchnęła drzwi.

Zabrzęczał umocowany nad nimi dzwoneczek. Oz wszedł za

siostrą. Diament został na zewnątrz na tyle długo, by stało się jasne, że nie pochwala tej decyzji, po czym też wmaszerował do środka.

Pachniało tu kawą, dymem i pieczonymi plackami owocowymi. Z sufitu zwisały parasolki na sprzedaż. Pod ścianą stała ława, a przy wysokim kontuarze trzy barowe obrotowe stołki z zielonymi, ceratowymi siedziskami na chromowanych nogach, przyśrubowanych do podłogi. Na gablotach wystawowych stały szklane pojemniki z cukierkami. Był tam też skromny dozownik coli i lodów, a zza wahadłowych drzwi dolatywał szcęk talerzy i smakowite zapachy przyrządzanych potraw. Od żelaznego piecyka w kącie odbiegała gruba, nienakładana w ścianie rura, podparta w połowie długości metalowym prętem.

Zza wahadłowych drzwi wyszedł jakiś mężczyzna. Był w fartuchu, białej koszuli z podwiniętymi rękawami i pod krawatem. Miał gładkie policzki i ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku, tak obficie natłuszczone brylantyną, że przypominały gumowy czepek.

Stanął za kontuarem i patrzył na nich jak na brygadę żołnierzy Unii przysłanych przez samego generała Granta, by jeszcze bardziej utarli nosa prawym mieszkańcom Wirginii. Cofnął się nieco, kiedy podeszli do kontuaru. Lou wspięła się na barowy stołek i zaczęła studiować menu starannie wykaligrafowane kursywą na czarnej tablicy. Mężczyzna cofnął się jeszcze bardziej. Uniósł rękę i, nie odrywając od nich wzroku, postukał kłykiem w szklane drzwiczki szafki stojącej pod ścianą. Widniał tam wypisany białymi wołami napis: „Na kredyt nie sprzedajemy”.

W odpowiedzi na ten mało subtelny gest Lou wyciągnęła z kieszeni pięć jednodolarowych banknotów i rozłożyła je na kontuarze.

Mężczyzna popatrzył na wymięte banknoty i uśmiechnął się, błyskając złotym zębem. W jednej chwili stał się ich dobrym przyjacielem. Oz wdrapał się na sąsiedni stołek, przechylił nad

kontuarem i pociągnął nosem, wdychając aromaty napływające zza wahadłowych drzwi. Diament trzymał się blisko wyjścia, chyba na wypadek gdyby trzeba było stąd szybko zmykać.

- Ile kosztuje jeden kawałek placka? - spytała Lou.

- Piątaka - mruknął mężczyzna, pozerając wzrokiem pięć leżących na ladzie waszyngtonów.

- A cały placek?

- Pięćdziesiąt centów.

- Czyli za to, co mam, mogłabym kupić dziesięć?

- Dziesięć placków! - krzyknął od drzwi Diament. - Matko Boska!

- Tak jest - przytaknął gorliwie mężczyzna. - I możemy je wam upiec na poczekaniu. - Spojrzał na Diamenta i zmierzył go wzrokiem, od bosych stóp do rozczochranej głowy. - On jest z wami?

- Nie, to oni są ze mną - powiedział Diament, ruszając rozkołysanym krokiem w stronę kontuaru, z kciukami zatkniętymi za szelki ogrodników.

Oz przyglądał się wiszącej na ścianie tabliczce.

- Obsługujemy tylko białych - przesyłabizował na głos i spojrzał pytająco na mężczyznę.

- No, my się trochę opaliliśmy, a Diament ma piegi. Czy to znaczy, że pan nas nie obsłuży?

Mężczyzna popatrzył na niego jak na półgłówka, wetknął sobie do ust wykałaczkę i przeniósł wzrok z powrotem na Diamenta.

- W moim zakładzie obowiązuje obuwie. Skąd jesteś, chłopcze? Z góry?

- Nie, z księżycy. - Diament oparł się łokciami o kontuar i uśmiechnął szeroko. - Widzisz pan, jakie mam zielone zęby?

Mężczyzna machnął Diamentowi przed nosem wykałaczką, jakby to był miniaturowy miecz.

- Jazda stąd, cwaniaczku! Wynocha! Wracaj na swoją górę



i więcej mi się tu nie pokazuj!

Diament wspiął się na palce, zdjął parasolkę z przytwierdzonej do sufitu szyny i otworzył ją.

Mężczyzna wybiegł z kontuaru.

- Nie rób tego. To ściąga nieszczęście.

- Już zrobiłem. Pilnuj się teraz, bo kawał skały może się sturlać z góry i rozciapciać cię na placek!

Podrzucił w powietrze otwartą parasolkę i ta, spadając, zawadziła o dźwignię dozownika coca-coli. Struga gazowanego napoju trysnęła na szklaną gablotę i zabarwiła ją na miły dla oka odcień brązu.

- Hej! - wrzasnął mężczyzna, ale Diamenta już nie było.

Lou zgarnęła z lady swoje pieniądze i zsunęli się z Ozem ze stołków.

- A wy dokąd? - warknął mężczyzna.

- Odechciało nam się placków - odparła Lou i cicho zamknęła drzwi za sobą i Ozem.

- Przekłęte wsioki! - ryknął za nimi mężczyzna.

Dogonili Diamenta i zatrzymali się pośrodku chodnika. Pokładali się ze śmiechu, zwracając na siebie powszechną uwagę.

- Widzę, że wam wesoło - powiedział ktoś.

Odwrócili się. Za nimi stał Cotton. Był w płaszczu, kamizelce i pod krawatem, w rękę trzymał teczkę, w jego oczach migotały iskierki rozbawienia.

- Pan Cotton? - zawołała Lou. - Co pan tu robi?

- Tak się składa, że tu pracuję, Lou. - Wskazał na budynek po drugiej stronie ulicy.

Spojrzeli. Był to okazały gmach sądu, którego piękną ceglana fasadę szpeciła ordynarna cementowa podmurówka.

- A co wy tu porabiacie? - spytał Cotton.

- Louisa dała nam wolny dzień - odparła Lou. - Uczciwie sobie na

niego zapracowaliśmy.

Cotton kiwnął głową.

- To prawda, sam widziałem.

Lou przesunęła wzrokiem po zatłoczonych trotuarach.

- Ludziom dobrze się tu powodzi. Z początku nie wierzyłam własnym oczom.

Cotton się rozejrzył.

- Cóż, pozory czasami mylą. Tylko jedna gałąź przemysłu ratuje nas w tej części stanu przed całkowitym krachem. Branża drzewna już się wyłożyła i teraz został tylko węgiel. I większość tutejszego drobnego biznesu wiąże koniec z końcem jedynie dzięki górnictwu. Kiedy i ono padnie, nie będzie tu już tak sielankowo. Domek z kart szybko się wali. Kto wie, czy za pięć lat to miasteczko będzie jeszcze istniało. - Popatrzył na Diamenta i uśmiechnął się. - Ale pozostaną ludzie gór. Oni dają sobie radę w każdej sytuacji. - Rozejrzył się. - Wiecie co? Mam parę spraw do załatwienia w sądzie. Co prawda sąd dzisiaj nie pracuje, ale zawsze jest tam coś do zrobienia. Spotkajmy się może za dwie godziny. Postawię wam lunch.

- A gdzie? - spytała Lou.

- Jest tu taka knajpka, która na pewno ci się spodoba, Lou. Nazywa się Restauracja Nowojorska. Otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę, śniadania, lunchy i kolacje o każdej porze dnia i nocy. Po dziewiątej wieczorem mało kto w Dickens jest jeszcze na nogach, lecz chyba dobrze mieć świadomość, że jeśli człowiekowi przyjdzie o północy ochota na jajecznicę na bekonie, to nie będzie się musiał obejść smakiem.

- Za dwie godziny - powtórzył Oz. - Przecież nie mamy zegarka.

- Na wieży sądu jest zegar, lecz on się trochę późni. Wiesz co, Oz, masz. - Cotton wręczył chłopcu swój zegarek kieszonkowy. - Pilnuj go jak oka w głowie. Dostałem go od ojca.

- Kiedy wyjeżdżał pan z Bostonu w te strony? - spytała Lou.

- Tak. Powiedział wtedy, że trzymam w rękach kawał historii; chyba chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia, bym o niego dbał.

- Cotton uchylił kapelusza. - To za dwie godziny. - I oddalił się.

- Co będziemy robić przez te dwie godziny? - spytał Diament.

Lou rozejrzała się i oczy jej zabłyśły.

- Chodźcie - powiedziała, ruszając biegiem. - Najwyższa pora, panie Diament, żebyś odwiedził wreszcie kino.

Blisko dwie godziny spędzili w miejscu bardzo odległym od Dickens, Wirginii, Appalachów i codziennych trosk. A spędzili je w krainie Oz z filmu, który wyświetlano właśnie w kinach całego kraju. Kiedy wyszli, Diament zasypał ich pytaniami. Chciał wiedzieć, jak to wszystko, co przed chwilą widział, było możliwe.

- Czy to Pan Bóg robił? - pytał raz po raz z przejęciem.

Lou pokazała na budynek sądu.

- Chodźcie, bo się spóźnimy.

Przebiegli przez ulicę i wspięli się szerokimi schodami do głównego wejścia. Drogę zastąpił im umundurowany, wąsaty zastępca szeryfa.

- Hola! A dokąd to?

- W porządku, Howard, oni do mnie - powiedział Cotton, wychodząc z budynku. - Obiecałem, że ich oprowadzę po pałacu sprawiedliwości. Może zostaną kiedyś prawnikami.

- Boże uchojaj, Cotton - powiedział z uśmiechem Howard, przepuszczając dzieci. - Czego jak czego, ale prawników ci u nas dostatek.

- Dobrze się bawiliście? - spytał Cotton.

- Widziałem przed chwilą lwa, stracha na wróble i blaszanego człowieka na wielkim murze - wyrzucił z siebie Diament - i wciąż nie mogę wymiarkować, jak oni to zrobili.

- Chcecie zobaczyć, gdzie pracuję? - spytał Cotton.

Krzyknęli chórem, że chcą. Zanim weszli do gmachu, Oz

uroczyście oddał Cottonowi zegarek kieszonkowy.

- Dziękuję, że tak dobrze się nim opiekowałaś, Oz.
- Dokładnie dwie godziny - powiedział z dumą chłopiec.
- Punktualność jest cnotą - odparł prawnik.

Weszli do środka, a Jeb położył się na trotuarze, żeby na nich poczekać. Znaleźli się w długim, szerokim korytarzu z mnóstwem drzwi po obu stronach. Na każdych wisiała mosiężna tabliczka z jakimś napisem: „Rejestracja małżeństw”, „Pobór podatków”, „Narodziny i zgony”, „Radca prawny” i tak dalej. Cotton tłumaczył im, jakie sprawy załatwia się w pokojach za poszczególnymi drzwiami, a potem pokazał im salę rozpraw. Diament orzekł, że to największa izba, jaką w życiu widział. Cotton przedstawił ich funkcjonariuszowi sądowemu imieniem Fred, który wystawił głowę zza jakichś drzwi, kiedy tam weszli. Fred poinformował ich, że sędzia Atkins poszedł do domu na lunch.

Na ścianach wisiały portrety siwowłosych mężczyzn w czarnych togach. Dzieci wodziły dłońmi po rzeźbionym drewnie i siadały kolejno na miejscach dla świadków i dla przysięgłych. Diament zapytał, czy może też usiąść w fotelu sędziego, ale Cotton i Fred odwiedli go od tego. A jednak Diament usiadł w nim, kiedy nie patrzyli, a potem chodził napuszony jak kogut, dopóki Lou, która widziała jego wybryk, nie szturchnęła go łokciem pod żebra.

Opuścili gmach sądu i przeszli do sąsiedniego budynku, w którym mieściło się kilka biur, w tym gabinet Cottona. Był to duży pokój z trzeszczącą drewnianą podłogą. Całe trzy ściany zajmowały półki z prawniczymi książkami, pudłami zawierającymi rozmaite dokumenty oraz zbiorem kodeksów stanu Wirginia. Pośrodku stało duże orzechowe biurko, a na nim telefon i stosy papierów. Za kosz na śmieci służyła stara skrzynka, w kącie znajdował się wieszak na kapelusze, a pod nim stojak na parasole. Na wieszaku nie było ani jednego kapelusza, a w stojaku stała tylko stara wędka. Cotton

pozwoił Diamentowi wybrać numer na tarczy telefonu. Chłopiec omal nie wyskoczył ze skóry, gdy w słuchawce odezwał się schrypnięty głos operatorki centrali.

Potem Cotton pokazał im swoje mieszkanie na piętrze tego samego budynku. Miało małą kuchenkę zawaloną puszkami konserwowych warzyw, słoikami z przetworami, workami ziemniaków, kocami, latarkami i nie wiadomo czym jeszcze.

- Skąd pan to wszystko ma? - spytała Lou.

- Moi klienci nie zawsze dysponują gotówką. Płacą rachunki w naturze. - Cotton otworzył małą lodówkę. Była zapełniona porcjami kurczaka, połciami wołowiny i plastrami bekonu. - Do banku nie można tego wpłacić, ale na pewno smakuje bardziej niż pieniądze.

- W małej sypialni stało wąskie łóżko, obok nocny stoliczek, a na nim lampka. W dużym pokoju frontowym piętrzyły się stosy książek.

- Przeczytał pan te wszystkie książki? - spytał z podziwem Diament.

- Owszem - odparł Cotton, zdejmując okulary. - Niektóre nawet po kilka razy. Nic dziwnego, że wzrok mi się psuje.

- Ja też przeczytałem kiedyś jedną książkę - oznajmił z dumą Diament.

- Jaki miała tytuł? - spytała Lou.

- Już nie pamiętam, ale było w niej dużo obrazków. Zaraz, zaraz, jak liczyć Biblię, to przeczytałem dwie książki.

- Myślę, że śmiało można ją zaliczyć, Diament - powiedział z uśmiechem Cotton. - Podejź tu, Lou. - Cotton pokazał jej półkę zapełnioną równo poustawianymi tomami. Było wśród nich wiele oprawnych w skórę dzieł znanych autorów. - To miejsce jest zarezerwowane dla moich ulubionych pisarzy.

Lou przebiegła wzrokiem tytuły i stwierdziła, że są tu wszystkie powieści i zbiory opowiadań jej ojca. Był to miły, pojednawczy gest

ze strony Cottona, ale Lou nie była w pojednawczym nastroju.

- Jestem głodna - oświadczyła. - Moglibyśmy coś zjeść?

Restauracja Nowojorska nie miała w jadłospisie ani jednego prawdziwie nowojorskiego dania, ale serwowane w niej potrawy były bardzo smaczne, a Diament wypił pierwszą w życiu „wodę z bąbelkami”. Po posiłku wybrali się na spacer główną ulicą miasteczka. Szli, ssąc miętowe cukierki. Wstąpili do sklepu wielobranżowego ze zbożem oraz artykułami spożywczymi i przemysłowymi. Pachniało tam tytoniem i kawą. Na ścianach wisiały chomąta, dalej znajdowało się stoisko pasmanteryjne, a zaraz za nim stały baryłki z cukierkami. Lou kupiła sobie parę skarpet i składany nóż dla Diamenta, który wzbraniał się przed przyjęciem tego prezentu i złamał się dopiero, kiedy Lou zaproponowała mu, żeby w rewanżu coś jej wystrugał. Ozowi kupiła nowego pluszowego misia. Wręczyła mu go, nie pytając, co się stało ze starym.

Potem zniknęła na parę chwil i wróciła z prezentem dla Cottona. Było to szkło powiększające.

- Żeby łatwiej było panu czytać - powiedziała z uśmiechem.

Cotton też się uśmiechnął.

- Dziękuję ci, Lou. Ilekroć będę otwierał książkę, pomyślę o tobie.

Lou kupiła jeszcze szal dla Louisy i słomkowy kapelusz dla Eugene'a. Oz pożyczył od niej trochę pieniędzy i poszedł z Cottonem pobuszować po sklepie. Wrócili z paczką owiniętą w szary papier i nie chcieli zdradzić, co w niej jest.

Po spacerze wsiedli do oldsmobila Cottona, zaparkowanego przed gmachem sądu. Lou i Diament zajęli miejsca na ciasnym tylnym siedzeniu. Oz z Jebem usadowili się z przodu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, wiał lekki wietrzyk. Nie ma chyba widoku piękniejszego od zachodu słońca w górach.

Minęli Tremont, a wkrótce potem przejechali przez mostek przy

sklepiku McKenziego i podjęli wspinaczkę pod pierwsze wzniesienie. Kiedy dotarli do przejazdu kolejowego, Cotton, zamiast trzymać się dalej drogi, skręcił i pojechał torami.

- Mniej tu podrzuca niż na drodze - wyjaśnił. - Wrócimy na nią później. Na podgórzu drogi są wylane asfaltem, tutaj budowano je za pomocą kilofów i łopat. Prawo nakazywało kiedyś każdemu sprawnemu fizycznie mężczyźnie odpracować dziesięć dni w roku przy budowie dróg. Z obowiązku tego zwolnieni byli tylko nauczyciele i duchowni. Odwalili kawał porządnej roboty. W ciągu czterdziestu lat zbudowali pięćdziesiąt mil dróg, ale na owocach tej pracy można sobie wytrząść wnętrzości.

- A jak nadjedzie pociąg? - spytał z niepokojem Oz.

- To ustąpimy mu z drogi - odparł Cotton.

Niedługo potem usłyszeli gwizd. Cotton zjechał z torowiska i zatrzymał samochód. Po kilku minutach minął ich wyładowany pociąg towarowy. Wyglądał jak olbrzymi wąż, jechał powoli, bo tory w tym miejscu zakręcały.

- To węgiel? - spytał Oz, patrząc na bryły piętrzące się w odkrytych wagonach.

Cotton pokręcił głową.

- Koks. Wytwarza się go z miału węglowego w specjalnych piecach. Jest wykorzystywany w hutach. Pociągi przyjeżdżają tutaj puste, a odjeżdżają pełne. Załadowane węglem, koksem, drewnem. Nie przywożą nic prócz kolejnych rzesz szukających pracy.

Przy torach odchodzących w pewnym miejscu od głównej linii wyrosło górnicze osiedle małych, identycznych domków. Wznosił się tam też duży sklep spożywczy. Zdaniem Cottona, który był w nim już kiedyś, należał do bardzo dobrze zaopatrzonych. Wzdłuż przebiegającej przez osiedle drogi ciągnął się szereg murowanych budowli, przypominających kształtem wielkie ule. Każda miała metalowe drzwi i komin, z którego w ciemniejące niebo walił gęsty,

czarny dym.

- Piece koksownicze - wyjaśnił Cotton.

Przed największym domem mieszkalnym stał nowiutki, lśniący chrysler crown imperial. Cotton powiedział im, że to rezydencja dyrektora kopalni. Obok znajdował się korral, w którym pasło się kilka kłaczy i brykały dwa źrebaki.

- Muszę załatwić osobistą sprawę - powiedział Diament, ściągając szelki ogrodniczków. - Za dużo wody z bąbelkami. Przykucnę za tamtą szopą. Zaraz wracam.

Cotton zatrzymał wóz, Diament wyskoczył i oddalił się biegiem. Cotton i dzieci zabijali czas oczekiwania rozmową. Prawnik pokazywał im inne godne uwagi obiekty.

- To część kopalni węgla Southern Valley - mówił. - Nazywają ją Wyrobiskiem Numer Dwa. Praca w górnictwie jest dobrze płatna, ale bardzo ciężka, a kompania tak rozmieszcza i zaopatruje sklepy, że górnicy wydają w nich więcej, niż zarabiają, i w rezultacie stają się dłużnikami firmy. - Cotton zamilkł i ściągając brwi, popatrzył w kierunku, w którym zniknął Diament. - Poza tym ludzie chorują tu i umierają na pylicę płuc, giną pod zawałami, w wypadkach przy pracy i tak dalej.

Dał się słyszeć przeraźliwy gwizd i z kopalni wyłoniła się gromada umorusanych, powłóczących nogami mężczyzn. Na spotkanie wybiegła im grupka kobiet i dzieci, skręcili razem w stronę identycznych domków. Inna gromada mężczyzn przekraczała tymczasem bramę kopalni, by zająć pod ziemią miejsce tych, którzy skończyli właśnie szychbę.

- Kiedyś pracowano tu na trzy zmiany, ale teraz tylko na dwie - wyjaśnił Cotton. - Węgiel się kończy.

Wrócił Diament i zajął z powrotem swoje miejsce na tylnym siedzeniu.

- Załatwione, Diament? - spytał Cotton.



- Załatwione - mruknął chłopiec z dziwnym uśmiechem i błyskiem w zielonych oczach.

Louisa bardzo się zdenerwowała na wieść, że wypuścili się do miasta, Cotton, nie czekając, aż na nim wyładuje swoje niezadowolenie, przeprosił, że tak długo przetrzymał dzieci. Ale zaraz potem Louisa powiedziała, że pamięta, jak ich ojciec robił to samo, a na pionierskiego ducha nie ma rady, tak więc nic się takiego nie stało. Ze łzami w oczach przyjęła szal, a Eugene, przymierzywszy kapelusz, stwierdził, że to najładniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostał.

Po kolacji Oz przeprosił wszystkich, wstał od stołu i poszedł do izby matki. Lou podkraśla się za nim i zajrzała do środka przez uchylone drzwi. Oz z namaszczeniem odwinął z papieru paczuszkę, którą przywiózł z miasta, i wyjął z niej szczotkę do włosów. Amanda twarz miała spokojną, oczy jak zawsze zamknięte. Przypominała Lou śpiącą królową, której nikt nie potrafi obudzić. Oz ukląkł na łóżku i zaczął szczotkować włosy Amandy, dzieląc się z nią przy tym wrażeniami ze wspaniałego dnia spędzonego w mieście. Lou obserwowała przez chwilę jego zabiegi, po czym weszła do izby, żeby mu pomóc. Pokazała Ozowi, jak powinien to robić. Matce włosy nieco odrosły, ale w dalszym ciągu były krótkie.

Znalazszy się w swojej izbie, Lou schowała do szuflady kupione w mieście skarpety, położyła się na łóżku w ubraniu, nie zzuwając nawet butów, i zaczęła rozpamiętywać wydarzenia tego cudownego dnia. I przeleżała tak, nie zmrużywszy oka, aż do świtu.

Kilka dni później, kiedy przy szumie ulewy zasiadali do kolacji, przyszedł Diament. Miał na sobie zaimprovizowaną pelerynę ze starej, wystrzępionej płachty brezentu, w której wyciął sobie otwór na głowę. Przemoczony Jeb otrzepał się i położył przy kominku. Czuł się tu wyraźnie jak u siebie. Gdy Diament ściągał brezentową pelerynę, Lou zauważyła na jego szyi wisiołek. To chyba ten wisiołek wydzieliał dziwny słodkawy zapach, który zaczął się rozchodzić po kuchni.

- Co to jest? - spytała Lou, zatykając palcami nos, bo smród był okropny.

- Korzeń asafetydy - odpowiedziała za chłopca Louisa. - Odpędza choroby. Diament, słonko, daj mi to, a sam ogrzej się przy kominku. Dziękuję. - Kiedy Diament się odwrócił, wyszła z cuchnącym korzeniem na werandę i cisnęła go w mrok.

Z patelni Louisy unosiły się kuszące zapachy żeberka, które dusiły się w rondlu na słoninie i tłuszczu. Mięso pochodziło od wieprza, którego zarżnęli. Zwykle robili to dopiero w zimie, ale tego roku rozmaite okoliczności zmusiły ich do przeprowadzenia owej operacji już wiosną. Eugene zabił zwierzę, kiedy dzieci były w szkole, potem jednak, ulegając prośbom Oza, pozwolił chłopcu asystować przy rozbiorze tuszy. Oz, ledwie zobaczył martwego wieprza zawieszonoego za ryj na trójnogu z drewnianych tyczek, a obok kocioł z parującym wrzątkiem, rzucił się do panicznej ucieczki. Jego wrzaski niosły się echem po dolinie. Eugene, pełen podziwu dla rącości i pojemności płuc chłopca, zabrał się sam do roboty.

Pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Posiłek składał się z mięsa, konserwowych pomidorów, marynowanego zielonego groszku oraz fasoli.

Louisa postawiła przed każdym kopiasty talerz, ale sobie nałożyła tylko parę cząstek pomidora i troszkę fasoli. Jadła to bez apetytu, zagryzając kukurydzianym chlebem, który maczała w tłuszczu. Wodząc wzrokiem po twarzach stołowników zaśmiewających się z jakiejś opowieści Diamenta, wsłuchiwała się w stukot kropli deszczu o dach. To była dobra zapowiedź, choć deszcz o tej porze roku niewiele dawał; najważniejsze były opady w lipcu i sierpniu. Wkrótce czas sadzenia: kukurydzy, fasoli, pomidorów, dyni, rzepy, późnych kartofli, kapusty. Odporne na przymrozki wczesne ziemniaki i cebula były już w ziemi. Tego roku powinny obrodzić.

Dzięki Ci, Boże – myślała, słuchając szumu deszczu – ale nie zapomnij zesać go nam również w lecie. Nie za wiele, bo pomidory popękają i pogniją na krzakach, i nie za mało, bo kukurydza wyrośnie tylko do pasa. Wiem, że proszę o wiele, będę jednak niezmiernie wdzięczna. Powiedziała w duchu „Amen” i podjęła próbę dostrojenia się do panującej przy stole wesołej atmosfery.

Rozległo się pukanie. Wszedł Cotton. Choć od samochodu do drzwi miał tylko dwa kroki, jego płaszcz ociekał deszczówką. Był w nietypowym dla siebie nastroju; nawet się nie uśmiechał. Przyjąwszy od Louisy kubek kawy i kromkę kukurydzianego chleba, usiadł obok Diamenta. Chłopiec popatrzył na niego tak, jakby się domyślał, co za chwilę nastąpi.

– Był u mnie szeryf, Diament.

Wszyscy spojrzeli najpierw na Cottona, potem na Diamenta. Oczy Oza zaokrągliły się tak, że wyglądał jak nieopierzona sowa.

– Naprawdę? – bąknął Diament i wpakował sobie do ust pełną łyżkę fasoli z gotowaną cebulką.

– W nowym chryslerze kierownika kopalni, zaparkowanym przy

Wyrobisku Numer Dwa, znalazła się nie wiadomo skąd kupa końskiego łajna. Dyrektor, niczego nie podejrzewając, wszedł do auta. Było już ciemno, a nos miał zapchany przez katar, więc nic nie poczuł. Bardzo się zdenerwował, co zupełnie zrozumiałe.

- To ci dopiero - mruknął Diament. - Ciekawe, jak ten koń mu tam narobił? Pewnie przystawił zad do otwartego okna i sobie pofolgował. - To powiedziawszy, Diament wrócił do przerwanej posiłku. Reszta przestała jeść.

- Pamiętam, że w drodze powrotnej z Dickens wysadziłem cię w tamtej okolicy, bo miałeś do załatwienia osobistą sprawę.

- Powiedział pan o tym szeryfowi? - spytał szybko Diament.

- Nie, jakoś wyleciało mi z głowy. - Diamentowi wyraźnie ulżyło, a Cotton ciągnął: - Ale spędziłem w gmachu sądu dobrą godzinę na rozmowie z dyrektorem i prawnikiem kopalni, którzy są święcie przekonani, że to twoja sprawka. Nie mają jednak naocznych świadków, nie potrafią też przedstawić żadnego innego dowodu, który pozwalałby łączyć cię z tym... incydentem. A na szczęście nie da się zdjąć odcisków palców z końskiego łajna. Staralem się im wytłumaczyć, że nie ma podstaw, by podejrzewać właśnie ciebie. Sędzia Atkins wziął moją stronę i sprawa na razie przyschła. Lecz ci ludzie mają dobrą pamięć, synu.

- Nie tak dobrą jak moja - mruknął Diament.

- Po co on miałby coś takiego zrobić? - spytała Lou.

Louisa i Cotton wymienili spojrzenia.

- Diament - podjął Cotton - wiesz, że całym sercem jestem z tobą, naprawdę. Ale prawo jest prawem. Następnym razem może nie pójdź tak łatwo. I ci ludzie mogą wziąć sprawy we własne ręce. Radzę ci więc, żebyś dał sobie spokój. Mówię to dla twojego dobra, Diament.

Cotton wstał i nałożył kapelusz. Nie chciał odpowiadać na pytania Lou ani zostać dłużej. Popatrzył jeszcze raz na Diamenta, który bez

większego entuzjazmu kończył posiłek.

- Po wyjściu tych węglarzy - dodał - długo się z sędzią Atkinsem śmieliśmy. To chyba bardzo dobry moment, by zakończyć działalność. Zrozumieliśmy się?

- Zrozumieliśmy - powiedział Diament, uśmiechając się do prawnika.

Pewnego dnia Lou wstała bardzo wcześnie, chyba jeszcze przed Louisą i Eugene'em, bo z dołu nie dochodziły odgłosy porannej krzątania. Nawykła już do ubierania się po ciemku, wprawnie wciągnęła spodnie, nałożyła koszulę i zasznurowała buty, a potem podeszła do okna i wyjrzała. Na zewnątrz było ciemno, choć oko wykol. Nagle drgnęła. Wydało jej się, że widzi jakiś cień wyslizgujący się z obory. Trwało to tylko moment. Otworzyła okno i wyteżyła wzrok, ale niczego już nie dostrzegła. Pewnie jej się przywidziało.

Zeszła na palcach na dół z zamiarem obudzenia Oza, lecz, nie wiedząc czemu, zatrzymała się przed drzwiami matki. Były uchylone. Oparła się o ścianę i wahała przez chwilę, w końcu wsunęła głowę do sypialni.

Jakież było jej zaskoczenie, kiedy na łóżku zobaczyła dwie postaci. Obok matki, uśmiechnięty błogo, spał Oz. Był w piżamie, na nogach miał grube wełniane skarpety, tulił do siebie nowego pluszowego misia.

Lou podeszła do łóżka i pogłaskała braciszka po włosach. Nawet nie drgnął. Spojrzała na matkę. Gimnastykując od jakiegoś czasu jej ręce i nogi, odnosiła wrażenie, że Amanda stawia lekki opór. Ale to musiał być ciężar bezwładnego ciała. Matka z takim poświęceniem starała się ochraniać ją i Oza w koziołkującym samochodzie, że być może zużyła na to cały zapas sił. Lou wysunęła się cicho z pokoju i weszła do kuchni.

Podsypała węgla do paleniska kominka we frontowym pokoju,

rozpaliła ogień i grzała się przy nim jakiś czas. O świcie otworzyła drzwi. Powiew chłodnego powietrza omył jej twarz. Po niebie sunęły ospale wzdęte ciemne chmury, maruderki ciągnące za burzą, która przeszła tędy nocą. Ich podbrzusza podświetlała czerwonaworóżowa zorza brzasku. Zboczami gór wstępowały wprost do nieba zielone lasy. Był to najwspanialszy świt, jaki w życiu widziała. W mieście z pewnością nic można było takich podziwiać.

Jeszcze całkiem niedawno, choć Lou miała wrażenie, że od tamtych czasów minęły już całe lata, spacerowała cementowymi trotuarami Nowego Jorku, jeździła metrem, łąpała z matką i ojcem taksówki, przeciskała się w domu towarowym Macy'ego przez tłum kupujących nazajutrz po Dniu Dziękczynienia albo chodziła na Yankee Stadium i, opychając się hot dogami, oglądała mecze baseballowe. Kilka miesięcy temu to wszystko zastąpiły góry, kurz, drzewa i zwierzęta, które cuchnęły i wymagały doglądania. Zamiast frykasów ze sklepiku na rogu trzeszczący w zębach chleb i nieoczyszczone mleko, zamiast wody z kranu woda z pompki albo z przytuszczonego ze źródelka wiadra, zamiast wielkich miejskich bibliotek ładna szafka z kilkoma książkami, zamiast wysokich budynków jeszcze wyższe góry. Lou nie wiedziała, czy długo tu wytrzyma. Być może ojciec też miał jakieś powody, dla których nigdy tutaj nie wrócił.

Poszła do obory i wydoiła krowy. Jedno wiadro mleka zaniosiła do domu, resztę do źródelka, gdzie wstawiła je do lodowatej wody. Robiło się coraz cieplej.

Napaliła w piecu i postawiła na nim patelnię. Tłuszcz już skwierczał, kiedy do kuchni weszła prababka. Louisa była zła, że zaspali z Eugene'em. Kiedy zobaczyła krzątającą się po kuchni Lou i wiadro z mlekiem stojące w zlewie, twarz jej się wypogodziła.

- Tylko patrzeć, jak będziesz tu gospodarzyła beze mnie - powiedziała z uśmiechem.

- Wątpię, czy kiedykolwiek do tego dojdzie - odparła dziewczynka takim tonem, że Louisa przestała się uśmiechać.

Pół godziny później zjawił się bez zapowiedzi Cotton ubrany w połatane spodnie robocze, starą koszulę i zużyte trzewiki. Był bez okularów, a na głowie miał słomkowy kapelusz, co Louisa pochwaliła, bo jej zdaniem słońce powinno dzisiaj mocno przygrzewać.

Przywitali się z nim serdecznie wszyscy prócz Lou, która burknęła tylko coś pod nosem. Tak jak obiecał, przyjeżdżał regularnie, żeby czytać ich matce, i Lou coraz bardziej się to nie podobało. Ujmował ją jednak swoim miłym sposobem bycia i nienagannymi manierami. Czuła się rozdarta.

Po zimnej nocy się ociepliło. Louisa orzekła, że nadeszła pora sadzenia. Jeśli się to zrobi za późno, powiedziała, można niczego nie zebrać.

Pomaszerowali całą gromadką na pierwsze pole - prostokąt ziemi o powierzchni dziesięciu akrów, na łagodnym zboczu wzgórza. Pracowity wiatr oczyścił niebo z resztek szarych chmur, przeganiając je poza grań. Same góry były tego dnia jakies przygaszone, przypominały teatralne dekoracje. Louisa wręczyła każdemu woreczki z ziarnem kukurydzy z poprzedniego sezonu, tym, które po wyłuskaniu przezimowało w sásieku, i wydała swojej brygadzie ścisłe instrukcje.

- Chcemy uzyskać trzydzieści buszli kukurydzy z akra - zakończyła. - Jak się da, to więcej.

Przez jakiś czas wszystko szło jak w zegarku. Oz kroczył bruzdą, sumiennie odliczając po trzy ziarna na kopczyk, tak jak mu przykazała Louisa. Ale Lou szybko poczuła się znużona tą aptekarską dokładnością. Zaczęła wciskać w glebę to dwa, to cztery, jak popadnie.



- Lou! - ofuknęła ją Louisa. - Po trzy ziarna na kopczyk!

Lou spojrzała na prababkę wyzywająco.

- A co to za różnica?

Louisa wzięła się pod boki.

- Taka, że albo będziemy jedli, albo nie!

Lou stała przez chwilę naburmuszona, potem podjęła pracę, wracając do odliczania trzech ziaren na kopczyk co dziewięć cali. Po dwóch godzinach, choć cała piątka pracowała bez wytchnienia, obsadzili dopiero połowę pola. Przez następną godzinę zasypywali za pomocą motyk zasadzone już ziarna. Ozowi i Lou nie pomogły rękawice. Od szorstkich trzonków oboje mieli na dłoniach podchodzące krwią bąble. Cotton również.

- Zawód prawnika kiepsko przygotowuje do prawdziwej pracy - powiedział, demonstrując je wszystkim.

Louisa i Eugene dłonie mieli tak stwardniałe, że nie musieli nosić rękawic i chociaż pracowali dwa razy szybciej od reszty, nie narzekali.

Po zasypaniu ostatnich ziaren, Lou, bardziej znudzona niż zmęczona, usiadła na ziemi.

- No, fajnie było - powiedziała, poklepując się rękawicami o nogę.  
- Co teraz?

Louisa wręczyła jej sękaty kij.

- Zanim pójdziecie z Ozem do szkoły, poszukajcie krów. Gdzieś je poniosło.

Dziewczynka spojrzała Louisie w oczy.

Lou i Oz maszerowali przez las. Eugene wyprowadził o świcie krowy z cielęciem na pastwisko. Pozostawione same sobie, postanowiły poszukać atrakcyjniejszego miejsca.

Lou waliła w krzaki kijem, który dostała od Louisy, żeby wypłoszyć spod nich węże. Nie mówiła Ozowi, czemu to robi, bo gdyby się

dowiedział, musiałyby go nieść na plecach.

- Nie chce mi się wierzyć, że szukamy jakichś głupich krów - wyburczała gniewnie. - Jeśli są takie durne, że się zgubiły, to dobrze im tak.

Przedzierali się przez splątane derenie i górskie wawrzyny. Nagle Oz zagwizdał na widok przelatującego kardynała, którego miejscowi nazwaliby zapewne gilem.

- Patrz, Lou, kardynał, nazywa się tak jak my.

Wypatrując bardziej ptaków niż krów, w krótkim czasie zaobserwowali mnóstwo gatunków, z których wielu nie znali. Nad powojami i leśnymi fiołkami unosiły się kolibry; z gęstego poszycia poderwało się spłoszone stado polnych skowronków. Gdzieś krzyknął krogulec, gdzie indziej dokazywała hałastrą sójek. Zaczynały już kwitnąć na różowo i czerwono dzikie rozłożyste rododendrony, a lawendowobiałymi kwiatami pysznił się tymianek. Na stromych zboczach dostrzegli różowe kwiaty *Epigaearepens*, a między skalnymi płytami i głazami kwitnący tojad. Drzewa stały w pełnej krasie, nad nimi rozpościerało się błękitne niebo. My zaś, pomyślała Lou, zamiast to wszystko podziwiać, uganiamy się za głupimi bydlętami.

W pobliżu zabrzączał dzwonek.

Oz aż podskoczył z podniecenia.

- Louisa mówiła, że krowy mają na szyjach dzwonki.

Lou pobiegła za Ozem przez las buków, topoli i lip. Chwytały ich mocne wici wistarii, potykali się o wystające z ziemi korzenie. Wypadli na małą polankę okoloną świerkami i znowu usłyszeli dzwonek, ale żadnych krów tu nie było. Z krzaka poderwała się zięba.

- Muu. Muuuuu! - rozległo się i ponownie zabrzączał dzwonek.

Rozglądali się zdezorientowani. Lou pierwsza dostrzegła Diamenta siedzącego na konarze klonu, potrząsającego dzwonkiem

i naśladowującego krowę. Był boso, ubrany w to co zwykle, za uchem miał papierosa, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

- Co ty wyprawiasz? - spytała gniewnie Lou.

Diament, ześlizgując się zwinnie z gałęzi na gałąź, zeskokczył na ziemię i jeszcze raz potrząsnął dzwonkiem.

- Udaję krowę.

- To nie jest wcale zabawne - fuknęła Lou. - Nie możemy ich znaleźć.

- Też mi coś. Krowa to nie igła, trzeba tylko umieć szukać. - Gwizdnął i z zarośli wyskokczył Jeb.

Diament poprowadził ich między orzechami i jesionami; na pniu jednego z tych ostatnich klóciły się dwie wiewiórki. Chyba o podział zdobyczy. Zatrzymali się i podziwiali przez chwilę orła siedzącego na gałęzi wysmukłej, osiemdziesięciostopowej topoli. Na następnej polance zobaczyli krowy skubiące trawę w naturalnej zagrodzie z powalonych drzew.

- Od razu poznałem, że to krowy panny Louisy. Wiedziałem, że tu za nimi przyjdziecie.

Z pomocą Diamenta i Jeba popędzili krowy z powrotem na farmę. Tam gdzie było pod górkę, pokonywali wzniesienie, uczepieni krowich ogonów. Taką karę obmyślił uciekinierkom Diament za to, że się samowolnie oddaliły.

- Diament, powiedz mi, dlaczego wrzuciłeś temu człowiekowi końskie łajno do samochodu - poprosiła Lou, kiedy zamykali bramę korralu.

- Nie mogę, bo to nie ja zrobiłem.

- Daj spokój, Diament. Przecież sam się przyznałeś Cottonowi.

- Mam drewniane uszy, nic nie słyszę.

Sfrustrowana Lou rysowała czubkiem buta kółka na ziemi.

- Musimy iść do szkoły, Diament. Idziesz z nami?

- Nie chodzę do szkoły - mruknął, wetknął sobie w usta

nieprzypalonego papierosa i na chwilę stał się dorosły.

- Jak to? A co na to rodzice?

Zamiast odpowiedzieć, Diament gwizdnął na Jeba i puścił się biegiem.

- Hej, Diament! - zawołała za nim Lou.

Chłopiec przyspieszył.

# 21

Lou i Oz przebiegli przez pusty dziedziniec i wpadli do szkoły. Zdyszani zajęli swoje miejsca. Estelle McCoy pisała już coś kredą na tablicy.

- Przepraszamy za spóźnienie - wysapała Lou. - Pracowaliśmy w polu i... - Rozejrzała się i dopiero teraz stwierdziła, że co najmniej połowa miejsc w ławkach nie jest zajęta.

- Nie szkodzi, Lou - powiedziała nauczycielka. - Wiem, że to pora sadzenia. Cieszę się, że w ogóle przyszliście.

Lou zauważyła kątem oka Billy'ego Davisa. Jego niewinna mina wydała jej się wielce podejrzana. Uniosła pulpit ławki, żeby schować podręczniki, i krzyknęła. Pod pulpitem leżał zwinięty brązowy wąż w żółte paski. Była to martwa trzystopowa miedzianka. Na przypiętym do niej kawałku papieru ktoś nabazgrał: „Jankesi do domu”.

- Co się stało, Lou? - zawołała od tablicy panna McCoy.

Lou opuściła pulpit i spojrzała na Billy'ego, który pochylał się nad książką, zaciskając usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Nic, nic - odparła.

Podczas dużej przerwy uczniowie wylegli na dziedziniec, by w ciepłych promieniach słońca spożyć drugie śniadanie. Prawie każdy przyniósł z domu coś na ząb, choćby kromkę suchego chleba czy kilka sucharków. Część miała nawet słoiki z mlekiem albo źródlaną wodą. Porozsiadali się na ziemi, jedli, popijali i rozmawiali.

Lou i Oz usadowili się w głębokim cieniu orzecha. Oz spałaszował łąpczywie posmarowanego masłem sucharka i popił źródlaną wodą

z zakręcanego słoiczka. Lou nie jadła. Siedziała spięta, zupełnie jakby na coś czekała, lekki wietrzyk unosił jej końce włosów.

Billy Davis przechadzał się dumnie między grupkami posilających się uczniów, wymachując ostentacyjnie drewnianą skrzyneczką na gwoździe, z drutem zamiast rączki, pełniącą funkcję pojemnika na drugie śniadanie. Zatrzymał się przy jednej z grupek, powiedział coś, roześmiał się, zerknął w kierunku Lou i znowu się roześmiał. W końcu wdrapał się na najniższą gałąź srebrnego klonu, otworzył wieczko pojemnika, pisnął przeraźliwie i zleciał na łeb na szyję z drzewa. Na pierś spadł mu wąż. Billy zaczął się tarzać po ziemi, usiłując strącić z siebie gada. Dopiero po chwili zorientował się, że to ta sama martwa miedzianka, którą podrzucił wcześniej Lou. Ktoś przywiązał ją do wieczka pojemnika, który wciąż ścisnął w rękę. Przestał kwiczeć jak zarzynane prosię i rozejrzał się. Wszyscy na dziedzińcu zrywali boki ze śmiechu.

Z wyjątkiem Lou, która siedziała poważna, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, i udawała całkowity brak zainteresowania. Ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się szeroko. Billy zerwał się z ziemi, Lou też. Oz wepchnął do buzi ostatnią cząstkę sucharka, popił resztką wody i skrył się przezornie za grubą pień orzecha. Lou i Billy, zaciskając pięści, spotkali się pośrodku dziedzińca. Otoczył ich szybko tłum kibiców. Jankeska dziewczynka i chłopiec z gór rozpoczęli drugą rundę.

Lou, z ponownie rozciętą, tym razem z drugiej strony, wargą, siedziała w swojej ławce. Pokazała język Billy'emu, który, w porwanej koszuli, z podbitym prawym okiem, zajmował sąsiednią ławkę. Estelle McCoy stała przed nimi z marsową miną i rękoma splecionymi na piersiach. Po rozdzieleniu walczących rozgniewana nauczycielka wcześniej zakończyła lekcje i posłała po ich opiekunów.

Lou dopisywał humor, bo oto po raz drugi spuściła Billy'emu manto na oczach wszystkich. Za to Billy był wyraźnie nieswój. Wiercił się na krześle i zerkał nerwowo na drzwi. Lou zrozumiała powód jego zachowania, kiedy te drzwi otworzyły się z hukiem i w progu stanął George Davis.

- Co tu się, u diabła, wyprawia?! - ryknął tak głośno, że nawet Estelle McCoy schowała głowę w ramiona.

Ruszył na nią i nauczycielka cofnęła się.

- Billy znowu się pobił, George - powiedziała.

- I po to mnie ściągasz z pola? - warknął na nią, a potem pochylił się nad Billym. - Mam robotę, zasrańcu, a muszę tracić czas na jakieś duperele. - Dopiero teraz zauważył Lou i gniew w jego oczach przeszedł w furję. Trzepnął Billy'ego na odlew w bok głowy, zrzucając chłopca z krzesła.

Stanął w rozkroku nad leżącym synem.

- Dałeś się dziewczynie?

- George Davis! - krzyknęła Estelle McCoy. - Tak nie można!

Mężczyzna pogroził jej palcem.

- Od tej pory chłopak pracuje na farmie. Koniec z tą cholerną szkołą.

- A może by tak Billy sam o tym zdecydował?

Słowa te padły z ust Louisy, która weszła właśnie do klasy, holując za sobą Oza uczeplonego nogawki jej spodni.

- Dzień dobry, Louiso - powiedziała z ulgą w głosie nauczycielka.

Davis nie tracił rezonu.

- Będzie, jak powiedziałem. Chłopak nie ma tu nic do gadania.

Louisa pomogła Billy'emu wstać z podłogi, posadziła go na krześle i dopiero wtedy zwróciła się do Davisa.

- Widzisz tu jakiegoś chłopca? Bo ja widzę młodego mężczyznę.

Davis prychnął pogardliwie.

- Jaki tam z niego mężczyzna.

Louisa zrobiła krok w jego stronę.

- Ale ty jesteś mężczyzną - rzuciła szeptem, z takim błyskiem w oku, że Lou wstrzymała oddech. - A więc nie waż się go więcej tknąć.

Davis wymierzył prosto w jej twarz brudny paluch, z którego schodził paznokieć.

- Nie będziesz mi mówiła, jak mam gówniarza wychowywać. Miałaś jednego dzieciaka. Ja mam już dziewiątkę, a dziesiątę w drodze.

- Liczba spłodzonych dzieci nie świadczy jeszcze, że dobry z ciebie ojciec.

- A ty trzymasz pod swoim dachem tego wielkiego czarnucha Za Cholerę. Bóg cię za to pokarze. To pewnie przez tę twoją czirokeską krew. Nie jesteś stąd. Nigdy nie byłaś, indianico.

Lou spojrzała na Louisę ze zdumieniem. Jankeska. A do tego Indianka.

- On ma na imię Eugene - odparła spokojnie Louisa. - A mój ojciec był półkrwi Apaczem, nie Czirokezem. Bóg zaś, w którego ja wierzę, karze niegodziwców. Między innymi tych, którzy biją własne dzieci. - Zbliżyła się jeszcze o krok. - Jeśli kiedykolwiek podniesiesz rękę na to dziecko, to módl się do boga, którego ty wyznajesz, żebym cię nie znalazła.

Davis zarechotał wstrętnie.

- Alem się zestrachał, starucho!

- Toś mądrzejszy, niż myślałam.

Davis zwinął dłoń w pięść i chyba byłby ją uderzył, ale w tym momencie w drzwiach pojawił się barczysty Eugene i odwaga go opuściła.

Chwycił Billy'ego za kołnierz i poderwał z krzesła.

- Do domu, gnojku. Ale już! - Billy wybiegł z klasy. Davis ruszył za nim niespiesznie. Przekroczywszy próg, obejrzał się jeszcze na



Louisę. - To się tak nie skończy. O, nie. - Zatrzasnął za sobą drzwi.

Nadszedł koniec roku szkolnego i zaczęła się ciężka harówka na farmie. Louisa wstawiała co dzień bardzo wcześnie, właściwie jeszcze w nocy, i budziła Lou. Dziewczynka, za to, że pobiła się z Billym, musiała przejąć poranne obowiązki Oza. Potem wszyscy szli w pole. W południe siadali w przepoconych ubraniach w cieniu magnolii i jedli w milczeniu skromne drugie śniadanie, popijając zimną źródlaną wodą. Podczas tych przerw w pracy Oz popisывał się rzucaniem kamieniami na taką odległość, że reszta uśmiechała się i nagradzała go brawami. Chłopiec urósł, zmężniał, stawał się coraz silniejszy. Zawdzięczał to ciężkiej fizycznej pracy.

Dnie były teraz na tyle ciepłe, że Oz paradował bez koszuli i butów, w samych tylko ogrodniczkach. Lou też chodziła boso, ale pod ogrodniczki wkładała stary bawełniany podkoszulek. Słońce na tej wysokości silnie operowało i z każdym dniem jaśniały im włosy, a ciemniała skóra.

Louisa przekazywała im sukcesywnie swoje doświadczenie; wytłumaczyła, które gatunki fasoli nie mają włókien, a które mają, i jak trzeba te włókna usunąć, żeby się nimi nie udławić. Wyjaśniła, że można tu siać wszystkie zboża prócz owsa, bo do jego młócenia potrzeba maszyn, na które nie stać prostych górskich farmerów. Pokazała, jak prać ubrania na tarze, w wodzie z niewielkim dodatkiem mydła sporządzonego z ługu i świńskiego łoju, jak je potem płukać i jak przy trzecim płukaniu dodawać farbki, żeby uzyskać czystą biel. A wieczorami przy kominku uczyła ich posługiwania się igłą i nitką. Obiecała, że w przyszłości nauczy ich

również trudnej sztuki podkuwania mułów, a także tkania.

Znalazła też w końcu czas na nauczanie Lou i Oza jazdy na klaczy Sue. Eugene pomógł Lou wsiąść na goły, nieokryty nawet derką koński grzbiet, sam zaś wrócił do pracy w polu.

- A gdzie siodło? - spytała Lou. - I strzemiona?

- Za siodło masz pupę. Silne nogi zastąpią strzemiona - odparła Louisa, przytrzymując klacz. - Teraz, Lou, weź cugle w prawą rękę, jak ci pokazywałam. O, tak! Sue z początku nie będzie cię słuchała, ale musisz jej pokazać, kto tu rządzi.

Lou szarpała cugle, uciskała udami boki klaczy, pohukiwała na nią ostro, a Sue stała dalej bez ruchu, zupełnie jakby spała.

- Głupia kobyła - fuknęła w końcu dziewczynka.

- Eugene - zawołała Louisa. - Chodź tu, słonko, podsadź mnie.

Eugene przykuśtykał z pola i pomógł Louisie wdrapać się na koński grzbiet. Louisa usadowiła się za Lou i wzięła od dziewczynki cugle.

- Sue nie jest głupia, ale ty nie potrafisz jeszcze do niej przemawiać. Jak chcesz, żeby ruszyła, to dźgnij ją lekko piętami. Dla niej to znaczy „idź”. Jak chcesz, żeby skręciła, nie pociągaj za cugle, tylko lekko je przesunij. Jak chcesz, żeby się zatrzymała, szarpnij cugle delikatnie do siebie.

Lou zastosowała się do wskazówek Louisy i Sue ruszyła. Przesunęła cugle w lewo i klacz rzeczywiście skręciła w lewo. Lekkie szarpnięcie cugli do siebie i Sue posłusznie się zatrzymała.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

- Hej, patrzcie! Jadę na koniu!

Z okna izby Amandy wyjrzał Cotton. Przez chwilę wodził wzrokiem po błękitnym niebie, potem obejrzał się na leżącą w łóżku Amandę.

Parę minut później wynosił już Amandę przed dom. Posadził ją w bujanym fotelu przy drabince obrośniętej kwitnącą purpurowo

passiflorą.

Oz, który siedział na Sue z siostrą, o mało nie spadł z konia, kiedy zobaczył matkę.

- Hej, mammo, zobacz! Jestem kowbojem!

Louisa, trzymająca klacz za uzdę, obejrzała się. Lou też odwróciła głowę, ale Cotton odniósł wrażenie, że widok matki na świeżym powietrzu specjalnie jej nie zachwyca. Spojrzał na Amandę i przyznał w duchu, że nie prezentuje się w blasku dnia zbyt atrakcyjnie. Oczy miała zamknięte, wiatr nie poruszał jej włosami. Można było pomyśleć, że nawet żywioły się od niej odwróciły. Wniósł ją z powrotem do środka.

Był słoneczny letni poranek. Lou wydoiła już krowy i wychodziła z obory z wiadrami pełnymi mleka. Nagle zatrzymała się jak wryta i zapatrzyła na pola oblane blaskiem wstającego dnia. Stała tak przez chwilę, a potem puściła się biegiem w stronę domu, rozchlapując po drodze mleko. Postawiła wiadra na werandzie, wpadła jak bomba do środka, minęła Louise i Eugene'a i, wrzeszcząc wniebogłosy, popędziła do izby Amandy. Oz siedział tam na łóżku i cesał matkę.

- Udało się - wysapała Lou. - Wszystko zielone. Zboże wschodzi. Idź zobaczyć, Oz.

Chłopiec, zapominając, że jest w samych majteczkach, wybiegł na korytarz. Zdyszana Lou stała pośrodku izby i uśmiechała się do siebie. Ochłonawszy trochę, podeszła do łóżka, przysiadła na krawędzi i wzięła matkę za bezwładną rękę.

- Pomyślałam, że może cię ciekawi, skąd ten rwetes. Bo widzisz, ciężko pracowaliśmy... - Siedziała jeszcze przez minutę w milczeniu, potem odłożyła rękę matki na kołdrę i wyszła. Podniecenie opadło.

Tego wieczoru, tak jak przez wiele poprzednich, zza zamkniętych

drzwi sypialni Louisy dobiegał terkot maszyny do szycia marki Singer. Louisa kupiła ją przed dziewięcioma laty za dziesięć dolarów, na raty. Nie chciała powiedzieć dzieciom, co szyje, nie pozwoliła im nawet zgadywać. Ale Lou wiedziała, że to na pewno coś dla niej i dla Oza, i z tego powodu dręczyło ją jeszcze większe poczucie winy, że pobiła się z Billym Davisem.

Następnego wieczoru po kolacji Oz poszedł do matki, a Eugene do sąsiedka, ostrzyć kosi. Lou pozmywała naczynia, a potem usiadła na werandzie obok Louisy. Przez jakiś czas nie odzywały się do siebie. Lou obserwowała bez większego zainteresowania parkę sikorek, które wyfrunęły z obory i przysiadły na płocie.

- Wstyd mi za tę bójkę - wyrzuciła z siebie w pewnej chwili i od razu lżej się jej zrobiło na duszy.

- Dobrze to wiedzieć - mruknęła Louisa, nie odrywając oczu od dwóch mułów stojących w zagrodzie.

Słońce już zachodziło, niebo było czyste, jeśli nie liczyć paru niewartych uwagi obłoczków. Samotny kruk, szybujący na szeroko rozpostartych skrzydłach, przypominał leniwie opadający liść. Lou zaczerpnęła garść ziemi i przyglądała się batalionowi mrówek maszerujących po jej dłoni. W powietrzu mieszały się zapachy rozkwitłego kapryfolium, róż i goździków, purpurowa ściana passiflory ocieniała sumiennie werandę.

- Ten George Davis to straszny człowiek - odezwała się Lou.

Louisa oparła się plecami o balustradę werandy.

- Lepiej traktuje swoje muły niż dzieci.

- Tylko że to jeszcze nie powód, żeby Billy mi dokuczał - powiedziała Lou i nagle się uśmiechnęła. - Ale było śmiechu, kiedy przestraszył się węża, którego mu podłożyłam do pudełka z drugim śniadaniem, i spadł z drzewa.

Louisa wyprostowała się i spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- A widziałaś coś jeszcze w tym pudełku?

- Coś jeszcze? Na przykład co?

- Na przykład śniadanie.

Lou się zmieszała.

- Nie, było puste.

Louisa pokiwała powoli głową, oparła się znowu o balustradę i zapatrzyła na słońce, które, chyląc się ku szczytom gór, rozpałało na niebie różowoczerwone zorze.

- A wiesz, co mnie wydaje się śmieszne? - powiedziała. - Śmieszy mnie, kiedy dzieci uważają, że to powód do wstydu, jak tato nie uzna za stosowne dać im do szkoły drugiego śniadania. Tak się wtedy wstydzą, że zabierają ze sobą puste pudełko i udają, że jedzą, byle tylko nikt, broń Boże, nie przyłapał ich na tym, że nie mają niczego do jedzenia. Śmieszne, prawda?

Lou wbiła wzrok w podłogę werandy i pokręciła głową!

- Nie.

- Wiem, że nie rozmawiam z wami o waszym ojcu. Ale kocham was całym sercem i chcę wam jakoś wynagrodzić jego brak, chociaż wiem, że to niemożliwe. - Położyła dłoń na ramieniu Lou i zmusiła dziewczynkę, żeby na nią spojrzała. - Mieliście wspaniałego ojca. Kochał was. Wiem, że przez to jeszcze wam trudniej i że to zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo, z którym wszyscy jakoś musimy przejść przez to życie. A weź teraz Billy'ego Davisa, który musi żyć na co dzień ze swoim niewydarzonym tatą. Ja wolałabym być w waszej sytuacji. I Billy Davis pewnie też. Modlę się codziennie za wszystkie dzieci Davisów. Ty też powinnaś.

Stary zegar wybił właśnie północ, kiedy o szybę zagrzechotał grad małych kamyczków, wyrywając Lou z głębokiego snu. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Z początku niczego nie zobaczyła. Dopiero po chwili ujrzała w ciemnościach nocnego gościa i otworzyła okno.

- Co się wygłupiasz, Diamencie Skinnerze?

- Przyszedłem wyciągnąć was na mały spacer - powiedział chłopiec, zadzierając głowę. Obok niego siedział wierny Jeb.

- Jaki znowu spacer?

W odpowiedzi wskazał na księżyc. Tak jasnej i wyrazistej tarczy Lou jeszcze nie widziała. Dostrzegła na niej nawet ciemniejsze smugi.

- Wielkie dzięki, na księżyc sama mogę sobie patrzeć - powiedziała. - I to nie wychodząc z domu.

Diamant się uśmiechnął.

- Co tam księżyc. Weź brata i chodź. Zaprowadzę was w jedno takie miejsce, że wam oko zbieleje.

Lou się wahała.

- Czy to daleko?

- Nie tak znowu. Chyba się nie boisz ciemności, co?

- Zaczekaj, zaraz schodzimy - oznajmiła i zamknęła okno.

Po pięciu minutach Lou z Ozem, całkowicie ubrani, wyślizgnęli się z domu.

Lou ziewnęła szeroko.

- Lepiej, żeby to było naprawdę coś, Diamencie, bo pożałujesz, że ściągnąłeś nas z łóżek.

Ruszyli wyciągniętym krokiem na południe. Diament przez całą drogę paplał z ożywieniem, lecz nie chciał zdradzić, dokąd ich prowadzi. Lou przestała go w końcu ciągnąć za język i patrzyła tylko z fascynacją na bose stopy chłopca, śmigające po ostrych kamieniach. Ona i Oz byli w butach.

- Diament, czy ty możesz chodzić po wszystkim? Nie odczuwasz bólu, nigdy nie jest ci zimno w nogi? - spytała, kiedy zatrzymali się na małym pagórku, żeby trochę odsapnąć.

- Jak spadnie śnieg, to bywa. Ale musi go napadać na dobre dziesięć stóp. No, chodźta, chodźta.

Ruszyli i po dwudziestu minutach marszu usłyszeli szum rwącej wody. Trochę dalej Diament uniósł rękę i zatrzymali się.

- Teraz trzeba bardzo powoli - ostrzegł.

Kamienie były tu coraz bardziej śliskie; szum zdawał się dobiegać ze wszystkich stron. Lou chwyciła brata za rękę, bo skoro ona odczuwała niepokój, to Oz na pewno umierał ze strachu. Minęli brzozowy lasek, kilka wierzb płaczących i dech im w piersiach zaparło.

Wodospad miał co najmniej sto stóp wysokości. Kaskady wody przelewały się przez wymyty wapienny próg i waliły w dół, wzbijając spienione pióropusze ze znajdującego się poniżej rozlewiska, które odpływało następnie w mrok. Księżyc świecił tak jasno i znajdował się w takim położeniu względem wodospadu i rozlewiska, że jego odbite światło zmieniało noc w dzień.

Cofnęli się na taką odległość, by, nic nie tracąc z tego niesamowitego widowiska, móc rozmawiać bez przekrzykiwania grzmotu wody.

- To dopływ rzeki McCloud - wyjaśnił Diament. - Ma źródło wyżej niż wszystkie inne.

- Wygląda tak, jakby śnieg padał do góry - stwierdziła zachwycona Lou, siadając na omszałym głazie.



I rzeczywiście, piana odrywająca się od strzelających wysoko w górę fontann wody i oświetlana intensywnym blaskiem księżycyca przywodziła na myśl zawracający do nieba śnieg. W jednym zakątku rozlewiska woda była szczególnie jasna. Podeszli tam.

- Tutaj Pan Bóg dotknął kiedyś ziemi - oznajmił uroczyście Diament.

Lou pochyliła się i przyjrzała uważniej temu miejscu.

- Fosfor - powiedziała, odwracając się do Diamenta.

- Co?

- To według mnie skała fosforowa. Uczyłam się o tym w szkole.

- Powiedz jeszcze raz to słowo - poprosił Diament.

Lou spełniła prośbę i chłopiec powtarzał je dopóty, dopóki wymowa nie przestała mu sprawiać trudności. Wtedy orzekł, że to bardzo mądre i ładne słowo, ale on w dalszym ciągu twierdzi, że tego miejsca dotknął Pan Bóg. Lou nie miała serca wyprowadzać go z błędu.

Oz przykucnął i zanurzył rękę w wodzie, ale natychmiast ją cofnął i wzdrygnął się.

- Zawsze taka zimna - wyjaśnił z uśmiechem Diament - nawet w największy upał.

- Dzięki, że nas tu przyprowadziłeś - powiedziała Lou.

- Pokazuję to miejsce wszystkim przyjaciołom - odparł Diament i spojrzał w niebo. - Hej, znacie się na gwiazdach?

- Trochę - odparła Lou. - Wiem, gdzie jest Wielka Niedźwiedzica, Pegaz...

- Pierwsze słyszę. - Diament wskazał na północny nieboskłon. - Odwróć trochę głowę, a zobaczysz to, co ja nazywam niedźwiedziem bez nogi. A tam jest kamienny komin. A tam... - przesunął palec bardziej na południe - ...tam Pan Jezus siedzący koło Pana Boga. Tylko Pana Boga akurat nie ma, bo poszedł czynić dobro. Od tego jest Panem Bogiem. Ale zostało krzesło. - Obejrzał się na nich. -

Widzicie?

Oz zapewnił go, że widzi to wszystko jak w dzień, chociaż jest noc. Lou była bardziej wstrzemięźliwa. Zastanawiała się, czy nie lepiej uświadomić Diamentowi, że jego mapa nieba nie pokrywa się z powszechnie przyjętym podziałem na konstelacje.

- Znasz się na gwiazdach lepiej od nas, Diament - stwierdziła w końcu z uśmiechem. - Tak nam wszystkie pokazałeś, że też widzę je teraz jak na dłoni.

Diament uśmiechnął się od ucha do ucha.

- My, tu w górach, mamy do nich bliżej niż wy w mieście. Spokojna głowa, wszystkiego was wyuczę.

Zabawili tam jeszcze godzinę. W połowie drogi powrotnej Jeb zaczął nagle warczeć i zataczać kręgi w wysokiej trawie, marszcząc nos i szczerząc zęby.

- Co mu jest, Diament? - spytała Lou.

- Coś wyniuchał. Pełno to rozmaitych zwierzaków. Nie zwracajcie na niego uwagi.

W tym momencie Jeb z głośnym ujadaniem zerwał się do biegu.

- Jeb! - zawołał za nim Diament. - Wracaj mi tu zaraz.

Pies nawet nie zwolnił i po chwili zobaczyli dlaczego.

Skrajem łąki długimi susami sadył czarny niedźwiedź.

- Jeb, cholera, zostaw tego niedźwiedzia!

Diament rzucił się w pościg za psem, a Lou i Oz pobiegli za Diamentem. Lecz pies i niedźwiedź wkrótce zostawili dwunożnych daleko w tyle. Diament zatrzymał się w końcu zdyszany. Lou z Ozem dogonili go i wszyscy troje padli na ziemię, chwytając spazmatycznie powietrze.

Diament rąbnął pięścią w dłoń.

- Cholerny pies.

- Czy ten niedźwiedź coś mu zrobi? - spytał z niepokojem Oz.

- Gdzieżby tam. Jeb zapędzi go pewnikiem na drzewo, a jak się

zmacha, to wróci do domu - powiedział Diament bez większego przekonania. - Chodźmy.

Przez kilka minut maszerowali szybkim krokiem, potem Diament zwolnił, rozejrzał się czujnie i uniósł rękę. Kiedy się zatrzymali, odwrócił się, położył palec na ustach i pokazał im na migi, żeby szli za nim nisko pochyleni. Dziesięć kroków dalej przypadł do ziemi. Lou i Oz zrobili to samo. Podczołgali się na brzuchach na skraj małej kotlinki. Była okolona drzewami i krzakami, ich konary i gałęzie tworzyły nad nią rodzaj naturalnego dachu, ale księżycowa poświata przesączająca się przez listowie dosyć dobrze oświetlała zagłębienie.

- Co to jest? - spytała Lou.

- Ciii - syknął Diament, a potem przybliżył usta do jej ucha i szepnął: - Bimbrownia.

Lou wyteżyła wzrok i odróżniła w półmroku duże urządzenie na krótkich drewnianych nogach, składające się z pękatego metalowego kotła i płataniny miedzianych rurek. Obok, na podpartych kamieniami deskach, stały bańki gotowe do napełnienia kukurydzianą whiskey. Na kiju wbitym w wilgotną ziemię wisiała lampa naftowa. Z aparatury unosiła się para. Usłyszeli poruszenie.

Lou skrzywiła się na widok George'a Davisa, który pojawił się przy urządzeniu, wachlując dużym jutowym workiem. Pochłonięty pracą, wcale ich nie usłyszał. Lou zerknęła na Oza. Chłopiec dygotał tak silnie, że zachodziła obawa, iż George Davis wyczuje wibracje ziemi. Dziewczynka pociągnęła Diamenta za rękaw i wskazała kierunek, z którego przypełzli. Diament kiwnął głową na znak zgody i zaczęli się wycofywać. Lou obejrzała się przez ramię, ale nie zobaczyła już Davisa przy aparacie. Nagle zamarła i omal nie krzyknęła. Coś się zbliżało z trzaskiem łamanych gałęzi, i chyba wiedziała co.

Najpierw mignęła jej sylwetka niedźwiedzia wpadającego do kotlinki. Potem zobaczyła Jeba. Niedźwiedź skręcił ostro, pies nie

zdążył wyhamować i wpadł na kij z lampą, przewracając go. Lampa stłukła się w zderzeniu z ziemią. Z kolei niedźwiedź staranował aparaturę, przewracając kocioł i tratując miedziane orurowanie. Diament zerwał się z ziemi i zbiegł w kotlinkę, krzycząc na swojego psa.

Niedźwiedź, najwyraźniej zmęczony gonitwą, odwrócił się i stanął na zadnich łapach, wysuwając pazury i szczerząc zęby. Jeb zatrzymał się jak wryty na widok wysokiej na sześć stóp czarnej bestii, która mogłaby go przegryźć na pół, i cofnął się, warcząc. Diament dopadł do psa i chwycił go za skórę na karku.

- Jeb, ty durny kundlu!

- Diament! - zawołała Lou i również zerwała się z ziemi, widząc mężczyznę zbliżającego się do chłopca.

- Co, u diabła! - Z ciemności wynurzył się Davis ze strzelbą w garści.

- Diament, uważaj! - wrzasnęła znowu Lou.

Niedźwiedź ryczał, pies ujadał, Diament pomstował, a Davis, klnąc na czym świat stoi, poderwał strzelbę do ramienia. Huknął strzał, potem drugi. Niedźwiedź, pies i chłopiec rzucili się do panicznej ucieczki. Lou wtuliła głowę w ramiona. Pocisk ściał parę liści i utkwiał w pniu drzewa, pod którym stała.

- Uciekaj, Oz, uciekaj! - wrzasnęła Lou. Oz zerwał się do biegu, ale był tak oszołomiony, że zamiast umykać w las, popędził w stronę kotlinki. Wpadł prosto na Davisa ładującego strzelbę. Kiedy uświadomił sobie swój błąd, Davis trzymał go już za kołnier. Lou pospieszyła bratu z pomocą. - Diament! - krzyczała, biegnąc. - Ratuj!

Davis trzymał jedną ręką Oza, a drugą próbował ładować strzelbę.

- Stój, cholera, szczeniaku! - grzmiał na wyrywającego się malca.

Lou rzuciła się na niego z pięściami, lecz nic nie zwojowała, bo George Davis, choć niski, twardy był jak skała.

- Puść go - krzyczała. - No, puszczaj!

Davis puścił Oza, ale tylko po to, żeby uderzyć Lou. Dziewczynka upadła, krew ciekła jej z warg. Mężczyzna nie zauważył nadbiegającego Diamenta. Chłopiec porwał leżący na ziemi kij i celnym uderzeniem pod kolana ściął Davisa z nóg, a potem poprawił dla pewności ciosem wymierzonym w głowę. Lou chwyciła Oza za rękę, Diament chwycił za rękę ją i zanim rozjuszony George Davis zdążył pozbierać się z ziemi, oni byli już z pięćdziesiąt kroków od kotlinki. Parę sekund później usłyszeli kolejny wystrzał, ale wtedy znajdowali się już poza zasięgiem strzelby Davisa.

Słyszając odgłosy pościgu, jeszcze bardziej przyspieszyli. Diament jednak, obejrawszy się, uspokoił ich, że wszystko w porządku, że to tylko Jeb. Dobięgli do domu i tam, dysząc ciężko, usiedli na werandzie. Nogi i ręce dygotały im z wysiłku i ze strachu.

W chwilę potem Lou o mało nie rzuciła się znowu do ucieczki, bo z domu, w samej nocnej koszuli, wyszła Louisa, przyświecając sobie lampą naftową. Zapytała, gdzie byli. Diament chciał odpowiedzieć za nich, ale Louisa kazała mu być cicho tonem tak ostrym, że gadatliwego zwykle chłopca zamurowało.

- Mów całą prawdę, Lou - zażądała prababka.

I Lou opowiedziała jej wszystko, nie przemilczając spotkania z George'em Davisem, spotkania, którego omal nie przypłacili życiem.

- To nie była nasza wina - tłumaczyła. - Ten niedźwiedź...

- Diament, do obory! - warknęła Louisa. - I zabieraj ze sobą tego zawszonego psa!

- Tak, pszepani - bąknął Diament i rozplynęli się z Jebem w ciemnościach.

Louisa spojrzała na Lou i Oza. Lou zauważyła, że prababka dygocze.

- Oz, ty do łóżka. Ale już!

Malec zerknął przelotnie na siostrę i wbiegł do domu.

Na werandzie zostały tylko Lou i Louisa. Lou jeszcze nigdy w życiu nie była tak speszona.

- Mogłaś zginąć. Gorzej, oboje mogliście zginąć.

- Ale, Louiso, to nie była nasza wina. Bo widzisz...

- Wasza! - przerwała jej Louisa takim tonem, że Lou łzy zakreśliły się w oczach. - Nie po to przyjechaliście w te góry, żeby zginąć z żalonych rąk George'a Davisa, dziewczyno. Nie dość, że sama wypuściłaś się na tę nocną włóczęgę, to jeszcze pociągnęłaś za sobą młodszego brata... a on poszedł, bo ci ufa i nie ma jeszcze swojego rozumu. Wstyd mi za ciebie!

Lou zwiesiła głowę.

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

Louisa stała nieruchomo i patrzyła na nią z góry.

- Nie podniosłam nigdy ręki na dziecko, chociaż bywało, że miałam na to wielką ochotę. Ale jak zrobisz jeszcze raz coś takiego, pannico, to spuszczę ci takie lanie, że nie zapomnisz go do końca życia. Zrozumiałaś? - Lou kiwnęła głową. - To marsz do łóżka! - nakazała Louisa. - I więcej nie będziemy o tym rozmawiać.

Nazajutrz, wozem zaprzężonym w dwa muły, zajechał przed dom George Davis. Louisa wyszła mu na spotkanie, chowając ręce za plecami.

Davis wypluł prymkę.

- Te diablęta zdemolowały moją własność. Przyjechałem po odszkodowanie.

- Masz na myśli swoją rozwaloną bimbrownię?

Lou z Ozem wyszli na werandę i patrzyli w milczeniu na Davisa.

- Diablęta! - ryknął na nich Davis. - Niech was szlag!

Louisa zeszła z werandy.

- Jazda stąd z tą niewyparzoną gębą. Ale już!

- Najpierw mi zapłać! A im zły zdrowo skórę za to, co nabroili!  
- Weź szeryfa i pokaż mu, co zrobiły z twoim aparatem. Niech on rozsądzi, czy należy ci się odszkodowanie.

Davis gapił się na nią tępo, ściskając w garści bat.

- Wiesz, że tego nie zrobię, kobieto.

- No, to do widzenia, George.

- A jakbym ci tak puścił z dymem farmę?

Z domu wyszedł Eugene z długim kijem w wielkim łapsku.

Davis uniósł bat.

- Ani kroku dalej, Za Cholerę, bo tak ci tym batem przetrzępię skórę, że niech się schowa twój dziadzius z swoim wygarbowanym grzbietem! - Zaczął się gramolić z wozu. - A może tak czy owak to zrobię, czarnuchu. Może was wszystkich oćwiczę!

Louisa wyciągnęła z za pleców strzelbę. George Davis na widok długiej, wymierzonej w jego brzuch lufy winchestera zrezygnował ze schodzenia z wozu i wrócił na kozioł.

- Wynocha z mojej ziemi - powiedziała cicho Louisa, odwodząc kurek i unosząc kolbę do ramienia. Położyła palec na spuście. - Bo stracę cierpliwość i utoczę ci ździebko krwi.

- Ja ci zapłacę, George'u Davisie! - zawołał Diament, wychodząc z obory, z Jebem przy nodze.

Davisem wyraźnie zatrzęsło, wściekłość wprost go rozsadzała.

- Dotąd mi we łbie szumi od twojego kija, szczeniaku.

- I tak ma pan szczęście, bo gdybym tylko chciał, tobym uderzył mocniej.

- Nie pyskuj! - ryknął Davis.

- To chce pan te pieniądze czy nie? - zapytał Diament.

- A co ty tam możesz mieć? Gołyś jak święty turecki.

Diament wygrzebał z kieszeni monetę.

- Mam to. Srebrnego dolara.

- Jednego dolara?! Rozwaliłeś mi aparat, gówniarzu. Myślisz,

durniu, że jeden dolar załatwi sprawę?

- To pieniądz po moim pradziadku. Ma sto lat. Jeden taki z Tremont chciał mi za niego dać dwadzieścia dolarów.

Davisowi zabłyśły oczy.

- Pokaż.

- Nie. Bierze pan albo nie. Mówię prawdę. Dwadzieścia dolarów. Ten, co mi chciał tyle dać, nazywa się Monroe Darcy. Prowadzi sklep w Tremont. Zna go pan.

Davis zastanawiał się przez chwilę.

- Dawaj.

- Diament - zawołała Lou - nie rób tego.

- Mężczyzna musi spłacać swoje długi - powiedział Diament. Podszedł do wozu. Ale kiedy Davis sięgnął po monetę, chłopiec cofnął rękę. - Zaraz, George'u Davisie, to będzie znaczyło, że jesteśmy kwita. Musisz przysięgnąć, że jak ci dam tego dolara, to nie będziesz nachodził panny Louisy.

Wydawało się, że Davis zdzieli zaraz batem Diamenta, opanował się jednak i odparł:

- Przysięgam. No, dawaj!

Diament rzucił mu monetę. Davis przechwycił ją w locie, obejrzał na wszystkie strony, spróbował zębami i schował do kieszeni.

- A teraz zabieraj się stąd, George - warknęła Louisa.

Davis obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Następnym razem nie chybię - burknął.

Zawrócił wozem i odjechał w obłoku pyłu. Lou obserwowała Louise, która mierzyła do Davisa, póki ten nie zniknął im z oczu.

- Naprawdę byś do niego strzeliła? - zapytała.

Louisa spuściła kurek i, nie odpowiadając, weszła do domu.



# 24

Minęły dwa dni. Lou zmywała po kolacji, a Oz siedział przy kuchennym stole i, przygryzając język, wprawiał się pod okiem Louisy w kaligrafię. Prababka wydawała się Lou zmęczona. Miała już swoje lata, a życie tutaj nie było łatwe; Lou doświadczyła tego na własnej skórze. O wszystko trzeba było walczyć. A Louisa robiła to od dziecka. Na jak długo jeszcze starczy jej sił?

Wycierała właśnie ostatni talerz, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Oz pobiegł otworzyć.

Do izby wkroczył Cotton. Był w garniturze i pod krawatem, dźwigał oburącz wielkie pudło. Za nim postępował Diament w czystej białej koszuli, z umytą twarzą, gładko przyczesanymi włosami, zwilżonymi wodą czy może raczej posmarowanymi jakimś mazidłem, i, o dziwo, w butach. Co prawda przez dziury w tych butach wyłaziły mu duże paluchy, ale sam fakt, że zdecydował się je włożyć, był wielkim wydarzeniem. Chłopiec ukłonił się wszystkim obecnym z pewnym zażenowaniem, jak gdyby wyszorowany i obuty czuł się czymś w rodzaju wybryku natury.

Oz pożerał wzrokiem pudło.

- Co jest tam w środku?

Cotton postawił pudło na stole i zaczął je bez pośpiechu otwierać.

- Chociaż wiele można by rozprawiać o słowie pisanym - zaczął - to nie wolno nam zapominać, że istnieje jeszcze inna znacząca dziedzina sztuki. - Z uroczystą miną wyjął z pudła gramofon. - Muzyka!

Wysunął z koperty płytę i umieścił ją z namaszczeniem na talerzu

gramofonu, a następnie, pokręciwszy energicznie korbką, opuścił na brzeg płyty igłę. Przez chwilę z tuby dobiegały same trzaski, potem izbę wypełniły dźwięki, w których Lou rozpoznała muzykę Beethovena. Cotton rozejrzał się i odstawił jedno z krzeseł pod ścianę. Skinął na resztę reprezentantów płci męskiej.

- Panowie, jeśli można was prosić.

Oz, Diament i Eugene zakrzętnęli się skwapliwie i po chwili środek izby był wolny.

Cotton wszedł do korytarza i otworzył drzwi izby Amandy.

- Pani Amando, mamy tu wybór popularnych melodii do posłuchania.

Wrócił do frontowej izby.

- Po co kazał pan poprzestawiać meble? - spytała Lou.

Cotton uśmiechnął się i zdjął marynarkę.

- Ponieważ muzyki nie da się tak po prostu słuchać, trzeba się w nią wtopić. - Skłonił się głęboko przed Lou. - Można prosić do tańca, madame?

Lou się zarumieniła.

- Panie Cotton, pan naprawdę zwariował.

- Nie wstydź się, Lou - wtrącił się Oz. - Przecież dobrze tańczysz. Mama cię nauczyła - dodał.

I zatańczyli. Z początku szło im niesporo, ale po chwili złapali rytm i wkrótce wirowali w najlepsze po izbie. Widząc uśmiechy na twarzach pozostałych, Lou zachichotała.

Podniecony Oz nie wytrzymał i pobiegł do matki.

- Mamo, tańczymy, tańczymy - obwieścił i wrócił biegiem do izby frontowej, żeby nic nie stracić z rozgrywających się tam scen.

Louisa poruszała rękami i przytupywała do taktu. Podszedł do niej Diament.

- Pokręci się pani ze mną, panno Louiso?

Wzięła go za rękę.

- Od lat nie słyszałam bardziej pociągającej propozycji.

Dołączyli do tańczących Cottona i Lou, a Eugene postawił sobie Oza na butach i oni też ruszyli w tany.

Muzyka i śmiechy przesączały się korytarzem do izby Amandy. Przyjechali tu pod koniec zimy, a teraz było już lato. Przez cały ten czas stan Amandy nie uległ zmianie. Dla Lou był to dowód, że matka już nigdy nie wydobreje, za to Oz, wieczny optymista, brał za dobry objaw to, że matce się nie pogarsza. Lou, mimo że czarno widziała przyszłość, pomagała Louisie w codziennym karmieniu Amandy łyżeczką i myciu raz na tydzień głowy. Oboje z Ozem zmieniali często pozycję matki i gimnastykowali dzień w dzień jej ręce i nogi. Ale jak dotąd nie zaobserwowali u niej żadnej reakcji; leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami, kończyny miała bezwładne. Żyła, lecz jej życie było właściwie wegetacją rośliny. Teraz jednak, przy dobiegającej do jej izby muzyce i odgłosach zabawy, zaczęło się dziać coś dziwnego. Jeśli to w ogóle możliwe, żeby uśmiechać się bez udziału mięśni twarzy, to Amanda Cardinal uśmiechała się.

A we frontowym pokoju ktoś nastawił wreszcie płytę ze skoczną muzyką. Zmienił się nastrój, zmienili się partnerzy: Lou wywijała z Diamentem; Cotton wirował z Ozem; a utykający na chromą nogę Eugene i leciwa Louisa robili, co mogli, żeby nie pozostać za nimi w tyle.

Cotton opuścił w końcu parkiet, poszedł do izby Amandy i przysiadł na łóżku. Przemawiał do niej bardzo cicho, zdając relację z wydarzeń dnia. Opowiadał o dzieciach, o następnej książce, którą zamierza jej przeczytać. Miał nadzieję, że go słyszy i że ten bezpretensjonalny monolog podniesie ją na duchu.

- Ogromnie podobały mi się listy, które pisałaś do Louisy. Twój styl zdradza głębokie wnętrza. Bardzo chciałbym cię poznać osobiście, Amando.

Ujął ją delikatnie za ręce i zaczął nimi poruszać w rytm muzyki.

Melodyjne nuty rozchodziły się po okolicy, światło lejące się z okien rozpraszało mroki nocy. Przez jedną skradzioną chwilę wszyscy domownicy czuli się szczęśliwi i bezpieczni.

Na ziemi Louisy, jakieś dwie mile od domu, znajdował się mały chodnik kopalniany. Prowadziła do niego wydeptana ścieżka, odbiegająca od gruntowej drogi, która łączyła farmę ze światem zewnętrznym. Wejście do chodnika było na tyle wysokie i szerokie, że pomieścić mogło sanie, które ciągnął muł. Okoliczni mieszkańcy czerpali stamtąd węgiel do palenia w piecach w zimie. Teraz księżyc przesłaniały chmury i to wejście było niewidoczne gołym okiem.

W oddali zamrugła iskierka do złudzenia przypominająca świetlika. Dołączyła do niej druga, potem trzecia, z ciemności wyłoniła się grupa ludzi zmierzających ku chodnikowi i okazało się, że te migotliwe iskierki to ich latarnie naftowe. Byli w kaskach zaopatrzonych w karbidowe lampki. Przed wejściem do chodnika każdy z mężczyzn zdjął kask, napełnił pojemnik lampki grudkami zwilżonego karbidu, wyregulował długość knota, zapalił zapałkę i wtedy równocześnie zapłonął następny tuzin światełek.

Mężczyzna potężniejszy od innych przywołał do siebie pozostałych. Zbili się w ciasną gromadkę. Mężczyzna nazywał się Judd Wheeler i przez większość swego dorosłego życia szukał w ziemi i skałach wszystkiego, co ma jakąś wartość. Rozwinął teraz rulon papieru, który niósł w ręku. Jeden z towarzyszących mu ludzi uniósł wyżej latarnię. Jej blask padł na szczegółowo opisany i oznakowany plan. U góry arkusza widniał napis: „Poszukiwania Geologiczne Southern Valley Coal and Gas”.

Kiedy Wheeler rozdzielał swoim ludziom zadania na tę noc, z ciemności wyłonił się jeszcze jeden mężczyzna. Był to George Davis w wyszmelcowanym pilśniowym kapeluszu i porwanym ubraniu. On również niósł latarnię naftową i sprawiał wrażenie

bardzo podekscytowanego. Przez kilka minut rozmawiał z ożywieniem z Wheelerem, potem wszyscy zniknęli w wejściu do chodnika.

Lou obudziła się wcześnie. Sny miała przyjemne, przez całą noc towarzyszyła jej muzyka. Przeciągnęła się, spuściła nogi z łóżka i podeszła do okna. Słońce już wschodziło. Pora dojenia. Polubiła poranny chłód w oborze, unoszący się tam zapach krów i siana. Czasami wspinała się na stryszek, otwierała drzwiczki, siadała na krawędzi i podziwiała stamtąd widoki, wsłuchując się w śpiew ptaków i popiskiwanie małych zwierzątek buszujących wśród drzew, w szum łąnów zbóż i wysokich traw kołyszących się na lekkim wietrzyku, który nigdy nie ustawał.

Oto kolejny świt rozlewających się po niebie zórz i zadumanych szczytów, dokazującego wesoło ptactwa, porannej zwierzęcej krzątania, budzenia się ze snu drzew i kwiatów. Ale na widok Diamenta i Jeba wyslizgujących się z obory i oddalających drogą, Lou nie była przygotowana.

Ubrała się szybko i zeszła na dół. Louisa nakryła już do stołu, Oz jednak jeszcze się nie pojawił.

- Ale wesoło wczoraj było - powiedziała Lou, siadając przy stole.

- Może nie uwierzysz, lecz za młodu była ze mnie nie lada tanecznica - odezwała się Louisa, stawiając przed Lou posmarowany tłuszczem sucharek i kubek mleka.

- Diament nocował chyba dzisiaj w oborze - mruknęła Lou, unosząc sucharek do ust. - Rodzice się o niego nie martwią? - Zerknęła z ukosa na Louise. - Czy on w ogóle ma rodziców?

Louisa westchnęła i spojrzała na Lou.

- Jego matka umarła przy porodzie. To się często tutaj zdarza. Za

często. A ojciec poszedł za nią cztery lata temu.

Lou odłożyła sucharek.

- Jak umarł jego ojciec?

- To nie nasza sprawa, Lou.

- Czy to łajno, które Diament podrzucił do auta dyrektora kopalni, ma z tym jakiś związek? - Louisa przysiadła na krześle i zabębniła palcami o blat stołu. - Proszę cię, Louiso, proszę. Musisz mi powiedzieć. Diament jest moim przyjacielem. Interesuje mnie wszystko, co go dotyczy.

- W jednej z kopalń doszło do wybuchu - zaczęła Louisa. - Obsunęło się zbocze wzgórza. Wzgórza, na którym pracował akurat w polu Donovan Skinner.

- To z kim mieszka teraz Diament?

- Ten chłopiec to dziki ptak. Wsadzić go do klatki, a zmarnieje i umrze. Jak mu czegoś trzeba, przychodzi do mnie.

- Czy kopalnia wypłaciła mu jakieś odszkodowanie?

Louisa pokręciła głową.

- Ani centa. Zastosowali jakieś prawnicze sztuczki. Cotton próbował coś wywalczyć, ale niewiele mógł zrobić. Z Southern Valley nikt tutaj nie wygra.

- Biedny Diament.

- On nie zapomniał - podjęła Louisa. - Kiedyś od lokomotywki, która wyjeżdżała z kopalni, odpadły koła. Innym razem nie chciała się obrócić wywrotnica wagoników. Musieli posyłać po fachowców do Roanoke. Znaleźli kamień w trybach. Jeszcze innym razem przewróciła się wygodka, z której korzystał akurat dyrektor kopalni. Upadła drzwiami do ziemi i dyrektor przesiedział tam dobrą godzinę, zanim go wydostali. Do dzisiaj nie wiadomo, kto tę wygodkę obwiązał liną i przewrócił.

- Czy Diament miał z tego powodu nieprzyjemności?

- Sędzia Henry Atkins jest dobrym człowiekiem. Wie, co i jak,

a więc nic nigdy z tego nie wynikło. Cotton zaś przemówił Diamentowi do rozsądku i figle w końcu ustały. – Louisa urwała. – Aż do czasu kiedy w aucie tego człowieka znalazło się końskie łajno.

Louisa odwróciła głowę, ale Lou zdążyła zauważyć, że prababka szeroko się uśmiecha.

Lou i Oz jeździli codziennie na Sue i w końcu Louisa orzekła, że są już dobrymi, wprawnymi jeźdźcami. Lou uwielbiała przejażdżki na kłaczy. Miała wrażenie, że z jej szerokiego grzbietu, z którego nie sposób było spaść, może sięgnąć wzrokiem wszędzie.

Po wywiązaniu się z porannych obowiązków na farmie szli z Diamentem popływać w Scott's Hole, stawie, który pokazał im Diament i który, według niego, nie miał dna. Lato było upalne i Lou oraz Ozowi coraz bardziej brązowiała skóra, a Diamentowi przybywało piegów.

Eugene towarzyszył im, kiedy tylko mógł. Ku zaskoczeniu Lou okazało się, że ma dopiero dwadzieścia jeden lat. Nie umiał pływać, ale dzieci szybko nauczyły go tej sztuki i wkrótce Eugene czuł się w zimnej wodzie jak ryba, zapominając o swojej chromej nodze.

Grywali też na skoszonej łące w baseball. Eugene wystrugał z dębowej deski zwężony z jednego końca kij. Mieli wytartą piłkę Diamenta, drugą sporządzili sami z kłębka owczej wełny. Obciągnęli go kawałkiem gumy i zszyli szpagatem. Funkcję baz spełniały kamienie wkopane w ziemię w linii prostej, bo tak było przepisowo według Diamenta, który nazywał tę swoją odmianę gry baseballlem miastowym, a Lou, kibicująca nowojorskiej drużynie Yankees, nie miała serca wyprowadzać go z błędu. Okazało się, że nikt z nich, nawet Eugene, nie potrafi odbić piłki rzuconej przez Oza – tak szybko i tak mylącym torem leciała.

Popołudniami bawili się często w „Czarnoksiężnika z krainy Oz”, improwizując, gdy nie pamiętali oryginalnej fabuły albo gdy ich



zdaniem należało ją poprawić. Diament był wprost stworzony do roli Stracha na Wróble; Oz wcielał się, jakżeby inaczej, w postać Tchórzliwego Lwa, a Lou była bezdusznym Blaszanym Człowiekiem. Eugene, obwołany przez nich jednogłośnie Wielkim i Potężnym Czarnoksiężnikiem, wyskakiwał z za skały i wrykiwał linijki tekstu, których go nauczyli, tak głośno i z taką pasją, że Oz – Tchórzliwy Lew – poprosił Eugene’a – Potężnego Czarnoksiężnika – żeby był tak dobry i spuścił trochę z tonu. Staczali na tej wspaniałej górze w Wirginii mnóstwo potyczek z latającymi małpami i topniejącymi wiedźmami, zawsze odnosząc zwycięstwo nad złem.

Diament pochwalił się im, że zimą śmiga na łyżwach po zamrożonym Scott’s Hole. I że siekierką na krótkim stylisku odłupuje płaty kory z dębu i robi z nich płozy do sanek, na których zjeżdża z oblodzonych stoków z szybkością nieosiągalną dla innego człowieka. Wyraził chęć zademonstrowania im takiego zjazdu, pod warunkiem że przysięgną dochować tajemnicy, bo gdyby o jego epokowym wynalazku dowiedzieli się niewłaściwi ludzie, to mogliby wykorzystać tę wiedzę do zawładnięcia światem.

Lou ani razu nie dała po sobie poznać, że wie o losie rodziców Diamenta. Po zabawie zegnali się i Lou z Ozem wracali na Sue do domu. Jeśli był z nimi Eugene, dosiadali klaczy na zmianę. Diament zostawał nad stawem, żeby jeszcze popływać albo poćwiczyć uderzanie kijem piłki, bo, jak mawiał, jest dorosły i może robić, co mu się podoba.

Z jednej z takich eskapad Lou postanowiła wracać inną niż zwykle trasą. Kiedy od domu dzieliło ich jeszcze pół mili, nad szczytami gór zawisła lekka mgiełka. Wspięli się na niewielkie wzniesienie i na jego szczycie Lou ściągnęła cugle. Klacz zatrzymała się. Siedzący za Lou Oz poprawił się niespokojnie.

– Jedźmy, Lou, musimy wracać. Praca na nas czeka.

Dziewczynka zsunęła się bez słowa z Sue. Oz chwycił w ostatniej

chwili cugle, o mało nie spadając przy tym z klaczy. Krzyknął na siostrę, ale ona zachowywała się tak, jakby go nie słyszała.

Podeszła do małej polanki w cieniu sosen i uklękła. Mogiły oznaczone były zwykłymi, poszarzałymi ze starości deseczkami. Lou odczytywała z nich nazwiska zmarłych i daty ich narodzin oraz śmierci, wycięte głęboko w drewnie i prawdopodobnie tak samo wyraźne jak w dniu, w którym je wycinano.

Napis na pierwszej deseczce upamiętniał Joshuę Cardinala. Z dat narodzin i śmierci wynikało, że to mąż Louisy, pradziadek Lou i Oza. Zmarł, mając czterdzieści dwa lata, czyli stosunkowo młodo. Na drugiej tabliczce widniało nazwisko, które Lou знаła z opowieści ojca. Jacob Cardinal był jej i Oza dziadkiem.

Obok Lou uklękł Oz. Nie odzywał się, ale zdjął słomkowy kapelusz. Ich dziadek zmarł jeszcze młodziej od swojego ojca.

Trzecia tabliczka wyglądała na najstarszą. Widniało na niej tylko imię i nazwisko, bez żadnych dat.

- Annie Cardinal - przeczytała na głos Lou.

Kłęczeli długo, wpatrzeni w deseczki znaczące miejsce wiecznego spoczynku członków rodziny, tych, których nie dane im było poznać. W końcu Lou wstała, podeszła do Sue, uchwyciła się grzywy, wskoczyła na grzbiet klaczy i wciągnęła za sobą Oza. Przez resztę drogi nie odzywali się do siebie.

Tego wieczoru podczas kolacji kilkakrotnie korciło Lou, żeby zapytać Louise o to, co widzieli, ale coś ją przed tym powstrzymywało. Oz też umierał z ciekawości, lecz idąc, jak zawsze, za przykładem siostry, milczał. Lou tłumaczyła sobie, że w odpowiednim czasie poznają odpowiedzi na wszystkie nurtujące ich pytania. Przed udaniem się na spoczynek wyszła na werandę na tyłach domu i spojrzała w kierunku pagórka. Chociaż księżyc świecił jasno, nie dostrzegała z tej odległości cmentarzyka, lecz teraz wiedziała przynajmniej, że tam jest. Nigdy nie interesowała się

specjalnie umarłymi, a od śmierci ojca starała się w ogóle o nich nie myśleć. Teraz nabrała pewności, że wkrótce wróci do tych mogił, by spojrzeć raz jeszcze na wbite w ziemię surowe deseczki i na wyryte w nich nazwiska ludzi, z których krwi i kości powstała.

Tydzień później przyjechał Cotton z Diamentem i wręczył Lou, Ozowi i Eugene'owi po małej amerykańskiej fladze. Przywiózł również ze sobą pięćogalonowy kanister benzyny, którą przelał do baku hudsona.

- W moim oldsmobilu wszyscy się nie pomieścimy - wyjaśnił. - Swego czasu pomogłem Leroyowi Meekinsowi, temu, który prowadzi stację benzynową Esso, rozstrzygnąć na jego korzyść pewien spór o nieruchomości. Ale Leroy nie lubi płacić gotówką, można więc powiedzieć, że jestem teraz dosłownie zalany produktami naftowymi.

Załadowali się w piątkę do hudsona, Eugene zapuścił silnik i pojechali do Dickens obejrzeć paradę. Louisie, która została w domu, bo ktoś musiał się opiekować Amandą, obiecali, że jej coś przywiozą.

Na miejscu zjedli po hot dogu umaczanym obficie w musztardzie i keczupie, uzupełnili ten posiłek watą cukrową na patyku i wypili tyle wody sodowej, że dzieci musiały co chwila pędzić do publicznej toalety. Każdy kawałek wolnej przestrzeni zastawiony był straganami, na których można się było popisywać swoją biegłością w rozmaitych konkurencjach zręcznościowych! Oz zaliczył wszystkie, w których rzucało się czymś do jakiegoś celu. Lou kupiła dla Louisy ładny czepek; pozwoliła go nieść Ozowi w papierowej torbie.

Miasto udekorowane było na czerwono, białe i niebiesko, tłumy mieszkańców i przyjezdnych stały po obu stronach głównej ulicy,

którą miała przeciągnąć parada. Nadjechały lawety - duże przyczepy ciągnięte przez konie, muły albo ciężarówki. Ekspozycja na każdej przedstawiała jakiś bardzo ważny moment z historii Ameryki. Grupa dzieci na jednej z lawet reprezentowała trzynaste pierwsze kolonii, przy czym flaga Wirginii, dzierzona przez chłopca w najparadniejszym kostiumie, rozmiarami biła na głowę wszystkie pozostałe dwanaście flag. Za lawetą maszerował regiment obwieszonych medalami weteranów wojennych z tych stron, a wśród nich było kilku z długimi brodami, utrzymujących, że służyli jeszcze pod Bobbym Lee i fanatycznie pobożnym Stonewallem Jacksonem.

Jedna z lawet, sponsorowana przez Southern Valley, poświęcona była górnictwu węglowemu, a ciągnęła ją specjalnie do tego przystosowana półciężarówka marki Chevrolet, pomalowana na złoty kolor. Na lawecie nie było umorusanych, przygarbionych górników, za to na podwyższeniu z hałdy węgla stała ładna, młoda blondynka o idealnej cerze i oślepiająco białych zębach, przepasana szarfą z napisem: „Miss Węgla Bitumicznego 1940”, i machała ręką niczym poruszana sznurkami kukielka. Chyba nawet najbardziej ograniczeni z tłumu widzów dostrzegali związek między bryłami czarnego węgla kamiennego a ciągnącym lawetę „garncem złota”. Mężczyźni i młodzieńcy reagowali na widok przejeżdżającej piękności zgodnie z oczekiwaniami, czyli niewybrednymi okrzykami i pomiaukiwaniem. Stojąca obok Lou wymizerowana kobieta zwierzyła się dziewczynce, że w kopalni pracuje jej mąż i trzech synów. Odprowadziła niechętnym spojrzeniem królową piękności, a potem orzekła, że ta lalunia nigdy w życiu nie widziała kopalni węgla nawet z daleka.

Wysokiej rangi przedstawiciele miasta wygłaszali doniosłe mowy, które tłum nagradzał rześzystymi brawami. W końcu na podwyższenie wstąpił burmistrz w otoczeniu uśmiechniętych,

elegancko ubranych mężczyzn. Cotton poinformował Lou, że to ludzie z kierownictwa Southern Valley. Burmistrz był młody i energiczny, miał przylizane włosy i tryskał wprost bezgranicznym entuzjazmem, uśmiechając się promiennie i wznosząc ku niebu ręce.

- Węgiel jest królem - obwieścił, nachylając się do zabytkowego mikrofonu, który wielkością dorównywał niemal jego głowie. - Teraz, kiedy po tamtej stronie Atlantyku toczy się wojna, a potężne Stany Zjednoczone Ameryki budują na gwałt okręty, działa i czołgi, zapotrzebowanie hut na koks, koks naszej drogiej, patriotycznej Wirginii, niepomierne wzrośnie. Przeżywamy sprzyjającą koniunkturę i ona się dla nas nie zmieni - ciągnął burmistrz. - Wspaniały amerykański sen będzie udziałem nie tylko naszych dzieci, ale również wnuków. A to dzięki wydajnej pracy ludzi zatrudnionych w Southern Valley i samozaparciu, z jakim wydzierają oni ziemi czarne złoto będące podstawą naszego dobrobytu. Zapewniam was, że staniemy się Nowym Jorkiem Południa. Pewnego dnia niejeden z nas obejrzy się za siebie i zada sobie pytanie: „Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki trzyma w zanadrzu los dla miast takich jak Dickens w Wirginii?”. Ale wy już to wiecie, bo ja wam to teraz mówię. Hip hip hurra, niech żyje Dickens w stanie Wirginia! - I wylewny burmistrz wyrzucił w powietrze swój słomkowy kapelusz.

Tłum poszedł za jego przykładem i w górę pofrunęła chmara kapeluszy. Diament, Lou, Oz, Eugene i Cotton też wiwatowali, ale Lou nie dostrzegła na twarzy Cottona przesadnego optymizmu.

Zostali w mieście do wieczoru, żeby obejrzeć pokaz sztucznych ogni, a potem wsiedli do hudsona i ruszyli w drogę powrotną. Kiedy mijali gmach sądu, Lou spytała Cottona, dlaczego z taką rezerwą przyjął przemówienie burmistrza.

- Widzisz, byłem już świadkiem wzlotów i upadków tego miasta -

odparł. - A do tych ostatnich dochodzi zwykle, kiedy politycy i przedsiębiorcy najgłośniej krzyczą o sukcesie. Sam więc nie wiem. Może tym razem będzie inaczej, ale to się dopiero okaże.

Wiwaty i odgłosy świętowania oddalały się stopniowo, aż w końcu ścichły zupełnie i słychać było tylko wiatr gwizdzący między skałami i drzewami. Zostawiali miasto za sobą i wracali na swoją górę.

Deszcz padał rzadko, ale Louisy jeszcze to nie martwiło, chociaż modliła się każdego wieczoru o obfitą, długotrwałą ulewę.

Pewnego skwarne go ranka oczyszczali z chwastów pole kukurydzy, opędzając się od szczególnie tego dnia natrętnych much i komarów. Lou bez przekonania grzebała motyką w ziemi; coś jej tu nie pasowało.

- Przecież już zasadziliśmy ziarna - odezwała się w pewnej chwili.

- Nie mogą zakiełkować bez naszej pomocy?

- Na roli wiele rzeczy może pójść nie tak, a kilka na pewno - odparła Louisa. - Ta praca nigdy nie ma końca, Lou. Tak to już jest.

Lou wzięła motykę na ramię.

- Mam tylko nadzieję, że kukurydza będzie dobrze smakowała.

- Kukurydza z tego pola idzie na paszę dla zwierząt - oświadczyła Louisa.

Lou o mało nie wypuściła z rąk motyki.

- To my się tak męczymy dla zwierząt?

- Ciężko dla nas pracują, musimy odwdzięczać się im tym samym. One też muszą jeść.

- Tak, Lou - wtrącił się Oz, dziobiąc z zapalem ziemię. - Jak wieprze miałyby urosnąć, gdyby nie jadły? No, powiedz.

Posuwali się małą tyralierą w palącym słońcu, wiszącym tak nisko, że Lou odnosiła wrażenie, że może go dosięgnąć. Zewsząd dobiegało granie cykad i świerszczy. Lou przerwała pracę, wyprostowała się i, ocieniając dłonią oczy, spojrzała w kierunku

domu - z samochodu wysiadał właśnie Cotton.

- Oz myśli, że jak Cotton będzie przyjeżdżał codziennie i czytał mamie, to jej się od tego polepszy - powiedziała do Louisy cicho, żeby brat tego nie usłyszał.

- Masz rację - mruknęła z przekąsem Louisa, nie przerywając pracy. - To bardzo źle, że Cotton stara się pomóc waszej matce.

- Wcale tak nie myślę. Lubię Cottona.

Louisa wyprostowała się i wsparła na motyce.

- I powinnaś, bo Cotton Longfellow to dobry człowiek, nie znam lepszego. Nieraz przychodził mi z pomocą w trudnych chwilach. I to nie tylko jako prawnik. Kiedy Eugene'a bardzo bolała noga, przyjeżdżał tu dzień w dzień przez cały miesiąc i pomagał mi w polu, chociaż mógł siedzieć sobie w Dickens i zarabiać pieniądze. Pomaga waszej matce, bo zależy mu, żeby wyzdrowiała. Chce, żeby znowu mogła was przytulić.

Lou nic nie odpowiedziała. Pracowali przez jakiś czas w milczeniu, potem Louisa znowu się wyprostowała i zaczęła rozcierać sobie kark.

- Ciało mówi mi, żebym trochę zwolniła. Ale to samo ciało chce jeść w zimie.

Lou powiodła wzrokiem po krajobrazie. Niebo było błękitne jak z obrazka, a drzewa zdawały się wypełniać całą wolną przestrzeń wabiącą zielenią.

- Dlaczego tato nigdy tu nie wrócił? - spytała cicho.

Louisa też się rozejrzała.

- Nie ma takiego prawa, które by kazało człowiekowi wracać w rodzinne strony - odparła.

- Ale on je opisywał we wszystkich swoich książkach. Wiem, że kochał tę ziemię.

Louisa spojrzała uważnie na dziewczynkę.

- Chodźmy napić się czegoś zimnego - zaproponowała.



Powiedziała Ozowi, żeby trochę odpoczął, a one przyniosą mu zaraz wody. Chłopiec natychmiast wypuścił z rąk motykę, podniósł z ziemi kilka kamyczków i zaczął nimi rzucać. Od pewnego czasu wprawiał się w celowaniu do puszki ustawionej na płocie. Był w tym już tak dobry, że strącał ją za jednym rzutem.

Zostawiły go na polu i poszły do źródelka tryskającego ze stromego stoku poniżej domu, ocienionego przez pochyły dąb, kilka jesionów i gąszcz gigantycznych rododendronów. Obok sterczał rozłupany kikut topoli, a nad wystającym z niego brzegiem wielkiego plastra miodu uwijał się rój pszczół.

Zdjęły metalowe kubki zawieszane na gwoździach wbitych w ścianę drewnianej budki, która osłaniała źródelko, zaczerpnęły wody i usiadły. Louisa rozgarnęła zielone liście rosnącego obok górskiego wilczomlecza, odsłaniając znajdujące się pod spodem piękne purpurowe kwiaty.

- Jedna z małych tajemnic Boga - mruknęła. Lou siedziała w rozkosznym cieniu i, trzymając kubek z wodą między kolanami, słuchała prababki, która pokazywała jej inne godne uwagi rzeczy.

- Spójrz tam, to wilga. Rzadko się je widuje. Nie wiem dlaczego.

- Wskazała palcem innego ptaszka, który przysiadł na gałęzi klonu. - A to chuck'swillwider. Nie pytaj mnie, skąd ta nazwa, bo sama nie wiem. - W końcu spoważniała i zmieniła temat. - Mama twojego taty nie była tutaj szczęśliwa. Pochodziła z doliny Shenandoah. Mój syn Jake poznał ją na potańcówce, na którą tu kiedyś przyjechała. Pobrali się, moim zdaniem o wiele za szybko, i postawili sobie tu niedaleko małą chatkę. Ale ją zawsze ciągnęło do miasta. Ta dolina była dla biedaczki zesłaniem. Przez następne kilka lat mieliśmy tu największą suszę, jaką w swoim życiu widziałam. Im mniej padało, tym ciężiej pracowaliśmy. Mój syn szybko stracił wszystko i przeprowadzili się do nas. A deszczu jak nie było, tak nie było. Padły nam zwierzęta. Nic już nie mieliśmy. - Louisa zacisnęła

pięści. – Nie poddawaliśmy się jednak. I wreszcie przyszyły deszcze i zaczęło nam się lepiej wieść. Kiedy twój tato miał siedem lat, jego matka uznała, że dosyć ma takiego życia, i odeszła. Nie miała serca ani do pracy na farmie, ani do gotowania, a więc Jake i tak nie miał z niej wielkiej wyręki.

– I Jake nie chciał z nią iść?

– O, podejrzewam, że chciał, bo była naprawdę ładna, a mężczyzna to mężczyzna. Nie jest wystrugany z drewna. To ona go nie chciała, bo był z gór i w ogóle. I nie chciała też swojego dziecka. – Louisa pokręciła głową nad tym bolesnym wspomnieniem. – Jake nigdy się z tym nie pogodził. Wkrótce potem zmarł jego ojciec, co jeszcze bardziej nas przybiło. – Louisa uśmiechnęła się. – Tylko twój tato był dla nas jak promyczek słońca. Ale Jake gasł z każdym dniem i nic nie można było na to poradzić. Umarł w dwa dni po dziesiątych urodzinach twojego taty. Mówili, że na zawał. A według mnie serce mu pękło. I zostaliśmy tu z twoim tatą sami. Dobrze nam ze sobą było, Lou, kochaliśmy się. Twój tato jednak sporo tutaj wycierpiał. – Urwała i upiła łyk zimnej wody. – Ja również do dziś się zastanawiam, dlaczego ani razu tu nie przyjechał.

– Czy ja ci go przypominam? – spytała cicho Lou.

Louisa się uśmiechnęła.

– Ten sam ogień, ten sam upór. I wielkie serce. Twój tato kazał mi się uśmiechać dwa razy na dzień. Kiedy wstawałam i kiedy szłam spać. Mówił, że chce, żebym zaczynała i kończyła każdy dzień uśmiechem.

– Szkoda, że mama nie pozwalała nam do ciebie napisać. Obiecywała, że kiedyś pozwoli, lecz tego nie doczekaliśmy.

– Kiedy przyszedł od niej pierwszy list, to jakbym dostała obuchem w głowę. Odpisywałam jej czasami, ale oczy już u mnie nie te. No i trudno tu o papier i znaczki pocztowe.

Lou odwróciła wzrok.

- Mama prosiła tatę, żebyśmy przenieśli się do Wirginii.

Louisa spojrzała na nią z zaskoczeniem w oczach.

- I co on na to?

Lou nie potrafiła powiedzieć jej prawdy.

- Nie wiem.

- Mhm - mruknęła Louisa.

Postawa ojca zaczynała drażnić Lou. Nie doświadczała wcześniej tego uczucia.

- Nie chce mi się wierzyć, że zostawił cię tu samą.

- Sama kazałam mu wyjechać. Góry nie są miejscem dla takich jak on. Chciałam podzielić się tym chłopcem ze światem. A on pisywał do mnie regularnie przez te wszystkie lata rozłąki. I przysyłał mi pieniądze, choć jemu samemu się nie przelewało. Był wobec mnie w porządku. Nie mogę mu niczego zarzucić.

- Ale nie było ci przykro, że nigdy cię nie odwiedził?

Louisa otoczyła dziewczynkę ramieniem.

- On tu wrócił. W osobach trojga ludzi, których kochał ponad życie.

Ścieżka była wąska, znikwała raz po raz w splątanych chaszczach, a wtedy Lou musiała zsiadać z klaczy i prowadzić ją za uzdę. Trudy podróży wynagradzała jej z nawiązką przyroda. Zewsząd dobiegały ptasie trele, w szparach między skalnymi płytami kwitła długolistna mięta. Dziewczynka mijała ustronne polanki skryte wśród wierzb i okolone omszałymi głazami. Na wielu z tych polanek tryskały źródelka. Co jakiś czas natykała się na dawno opuszczone ludzkie siedziby, gdzie po zabudowaniach nie pozostał już ślad, a wśród pieniących się bujnie chwastów sterczały smętnie w niebo wzniesione z kamienia kominy.

Stosując się przez cały czas do wskazówek Louisy, Lou trafiła jak po sznurku do małej chaty na polanie. Wszystko wskazywało na to,

że za jakieś dwa lata i ona ulegnie napierającej zewsząd dziczy. Drzewa sięgały konarami ponad dach, który dziur miał chyba tyle samo co gontów. W oknach brakowało szyb; z wyrwy w podłodze frontowej werandy wyrastało młode drzewko, dzikie pnącza oplatały słupki balustrady. Drzwi wisiały na jednym gwoździu odgiętym tak, że nie dało się ich zamknąć i stały przez cały czas otworem. Nad framugą ktoś przybił końską podkowę; zapewne na szczęście, które temu miejscu z pewnością by się przydało. Przylegające do obejścia pola też były zarośnięte, za to klepisko na podwórku nosiło ślady niedawnego zamiatania, nie walały się po nim żadne śmieci, a na klombiku przy chacie rosły peonie i lilie, za nimi zaś, obok małej studzienki na korbę, rozłożył się buldenez. Po kratce pod boczną ścianą chaty pięły się róże. Lou słyszała, że pozostawione samym sobie róże dobrze się rozwijają. Jeśli była to prawda, to miała przed sobą bardzo zaniedbane róże, bo aż uginały się pod ciężarem ciemnoczerwonych kwiatów. Zza węgła wybiegł z ujadaniem Jeb. Diament wywabiony z domu psim szczekaniem zatrzymał się w progu jak wryty i rozejrzał. Najwyraźniej szukał jakiejś kryjówki, w której mógłby szybko zniknąć.

- Co ty tu robisz? - spytał, ochłonawszy trochę z pierwszego szoku.

Lou ześlizgnęła się z klaczy i uklękła, żeby pogłaskać Jeba.

- Przyjechałam z wizytą. Gdzie twoi rodzice?

- Tato w polu. A mama poszła do McKenziego.

- Pozdrów ich ode mnie.

Diament wepchnął ręce w kieszenie i zaczął pocierać jednym dużym paluchem u bosej stopy o drugi.

- Mam robotę.

- Jaką? - spytała Lou, podnosząc się z klęczek.

- Muszę nałapać ryb.

- To pójdę z tobą.

Przekrzywił głowę.

- A umiesz wędkować?

- Na Brooklynie mieliśmy dużo miejsc do łowienia.

Stanęli na prowizorycznym pomoście, skleconym z kilku dębowych, z grubsza ociosanych desek, których nie zbito nawet gwoździami, tylko zaklinowano między głazami na brzegu szerokiego potoku. Lou patrzyła z obrzydzeniem, jak Diament nadziewa na haczyk wijącego się, różowego robaka. Chłopiec podał jej drugą wędkę.

- Zarzuć ją tam.

Lou wzięła od niego wędkę i zawahała się.

- Pomóc ci?

- Sama potrafię.

- Bo to jest wędka południowa, a ty pewnie jesteś przyzwyczajona do tych waszych fikuśnych wędek północnych.

- To prawda, tylko takich dotąd używałam. Północnych.

Diament, zachowując kamienną twarz, odebrał od niej wędkę, pokazał, jak ją trzymać i jak zarzucać.

Lou obserwowała bacznie jego technikę, potem wykonała na próbę dwa rzuty i trzeci wyszedł jej już niemal idealnie.

- No, zarzuciłaś prawie tak samo dobrze jak ja - stwierdził Diament z wrodzoną południową skromnością.

- Jeszcze parę minut, a będę to robiła lepiej od ciebie - odparowała.

- Tylko czy coś złapiesz - mruknął Diament.

Pół godziny później Diament wyciągał na brzeg już trzeciego okonia. Lou zerknęła na niego z uznaniem i żyłka rywalizacji kazała jej zdwoić wysiłki w dążeniu do prześcignięcia chłopca.

W pewnej chwili coś szarpnęło wędką z taką siłą, że zaskoczona dziewczynka omal nie wpadła do wody. Odchyliła się w ostatnim momencie do tyłu, zaparła stopami o deski pomostu, pociągnęła

i z potoku wynurzył się do połowy dorodny zębacz.

- Boże święty! - zawołał Diament na widok miotającej się na haczyku ryby. - Największy zębacz, jakiegom widział. - Podskoczył do Lou, żeby jej pomóc.

- Ja sama, Diament! - krzyknęła Lou.

Cofnął się i obserwował wyrównany pojedynek dziewczynki z rybą. Z początku wydawało się, że Lou zwycięży w tej walce, żyłka to się napinała, to wiotczała, Diament wykrzykiwał rady i słowa zachęty. Lou ślizgała się i dreptała wte i wewte po rozchwianym pomoście. Był nawet taki moment, że gdyby Diament nie chwycił jej od tyłu za ogrodniczki i nie przytrzymał, wpadłaby do wody.

W końcu jednak straciła siły i wysapała:

- Pomóż, Diament.

Wspólnymi siłami szybko doholowali zębacza do brzegu. Diament schylił się, wyciągnął go z wody i rzucił na deski pomostu. Ryba była duża i wypasiona. Diament orzekł, że powinna być smaczna. Lou przykucnęła i przyglądała się z dumą swej zdobyczy. W pewnym momencie ryba rzuciła się konwulsyjnie, plunęła wodą i jednocześnie haczyk wysunął się z jej pyszczka. Lou pisnęła i odskoczyła, wpadając na Diamenta. Runęli oboje do wody. Wynurzyli się, prychając, i patrzyli bezradnie, jak zębacz ześlizguje się z pomostu i w okamgnieniu znika w wartkim nurcie potoku. Spojrzeli po sobie i jak na komendę zaczęli bić rękami w wodę, ochlapując się nawzajem. Salwy ich śmiechu słychać było chyba na sąsiedniej górze.

Przemoczona Lou suszyła się przed kominkiem. Diament, roznieciwszy na nim ogień, wyszperał gdzieś stary koc i zarzucił go dziewczynce na ramiona. Koc zalatywał Jebem albo pleśnią, albo i jednym, i drugim, ale Lou podziękowała mu mimo wszystko. Ku jej zaskoczeniu w chacie Diamenta było czysto i schludnie.

Wszystkie sprzęty, które stały w izbie, były własnej roboty. Na ścianie wisiała stara fotografia przedstawiająca Diamenta z jakimś mężczyzną, prawdopodobnie jego ojcem. Fotografii matki Lou nigdzie nie widziała. Kiedy na kominku zapłonął ogień, Jeb położył się obok Lou i przystąpił do oczyszczania swego futra z pcheł.

Diament fachowo oskrobał złowione okonie, nadział je na patyki i umieścił nad ogniem. Następnie rozciął soczyste jabłko i natarł ryby jego połówkami. Pokazał też Lou, jak oddzielać białe mięso od drobnych ości. Jedli palcami, smakowało wybornie.

- Twój tato był przystojny - powiedziała Lou, pokazując palcem fotografię.

Diament zerknął na zdjęcie.

- Tak, był... - Wstrzymał nagle oddech i spojrzał na Lou gniewnie.

- Louisa mi powiedziała - wyjaśniła.

Diament wstał i pogrzebał w ogniu sękatym kijem.

- Nieładnie bawić się ze mną w kotka i myszkę.

- Dlaczego sam mi nie powiedziałeś?

- A po co?

- Bo jesteśmy przyjaciółmi.

Udobruchany Diament usiadł z powrotem.

- Tęsknisz za swoją mamą? - spytała Lou.

- Nie, bo niby czemu? Nawet jej nie znałem. - Przesunął ręką po kruszącym się ceglany murem kominka i zasępił się. - Urodziła mnie i zaraz umarła.

- To nic, Diament. Może ci jej brakować, jeśli nawet jej nie znałeś.

Chłopak kiwnął głową i podrapał się kciukiem po brudnym policzku.

- Ciekawy jestem, jaka była. Nie mam żadnych zdjęć. Tato mi opowiadał, ale to nie to samo. - Urwał, trącił kijem płonąca szczapę i podjął: - A najbardziej mnie ciekawi, jaki miała głos. I jak pachniała. Ale taty też mi brakuje, bo z niego był dobry człowiek.

Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Polować, łowić ryby. – Spojrzał na nią. – Założę się, że ty też tęsknisz za swoim tatą.

Lou zmieszała się. Zamknęła na chwilę oczy i kiwnęła głową.

– Bardzo.

– Dobrze, że masz jeszcze mamę.

– Nieprawda, Diament, nie mam.

– Teraz nie wygląda za dobrze, ale wyjdzie z tego. Ludzie nie odchodzą, póki o nich pamiętamy. To akurat wiem.

Siedzieli jakiś czas zasłuchani w odgłosy lasu tętniącego życiem owadów, zwierząt, ptaków.

– Dlaczego nie chodzisz do szkoły? – odezwała się w końcu Lou.

– Mam już czternasty rok i jakoś się bez niej obywam.

– Powiedziałeś, że czytałeś Biblię.

– Różni ludzie czytali mi z niej kawałki.

– A potrafisz się chociaż podpisać?

– A na co mi to? Wszyscy mnie tu znają. – Wstał, wyciągnął z kieszeni składany nóż i wyciął na drewnianej belce ściany znak „X”. – Tak przez całe życie podpisywał się mój tato. Jemu to jakoś wystarczało, to i mnie wystarczy.

Lou owinęła się szczelniej kocem i zapatrzyła w roztańczone płomienie. Chłód przenikał ją do szpiku kości.



Pewnego szczególnie parnego wieczoru, kiedy Lou miała już iść spać, ktoś zabębnił pięścią w drzwi. Louisa otworzyła i do izby wpadł jak bomba Billy Davis.

Louisa chwyciła roztrzęsionego chłopca za ramiona.

- Co się stało, Billy?

- Mama zległa.

- Wiedziałam, że to już lada dzień. Jest u niej akuszerka? Chłopiec oczy miał dzikie, dygotał na całym ciele.

- Nie ma. Tato nie pozwala.

- Boże, dlaczego?

- Mówi, że one chcą dolara. A on nie myśli za to płacić.

- Bzdura. Żadna akuszerka z okolicy nie weźmie centa.

- Tato zabronił. Ale mama mówi, że z dzieckiem coś nie tak. No, to wskoczyłem na muła i przyjechałem po panią.

- Eugene, zaprzęgaj Hita i Sama do wozu - zakomenderowała Louisa. - Migiem.

Eugene, zanim wyszedł, zdjął ze ściany strzelbę i podał ją Louisie.

- Lepiej to wziąć, z tym Davisem nigdy nic nie wiadomo. Louisa jednak, patrząc z uśmiechem na dygoczącego Billy'ego, pokręciła głową.

- Bóg nie da mnie skrzywdzić. Czuję to. Nic mi nie będzie Eugene nie odwieszał strzelby.

- To ja też jadę. On jest wariat.

- Nie, zostaniesz z dziećmi. No, idźże zaprzęgać!

Wahał się jeszcze chwilę, ale w końcu posłuchał.

Louisa pozbierała parę rzeczy i wrzuciła je do wiadra, do kieszeni wsunęła zwitek gałganków, zwinęła w kłęb kilka czystych prześcieradeł i ruszyła do drzwi.

- Jadę z tobą, Louiso - oświadczyła Lou.
- Nie, ty nie masz tam nic do roboty.
- Jadę, Louiso. Czy na wozie, czy na Sue, ale jadę. Chcę ci pomóc.
- Zerknęła na Billy'ego. - I im też.

Louisa zastanowiła się i zdecydowała:

- Chyba przyda mi się jeszcze jedna para rąk. Billy, tato w domu?
- Klacz ma się źrebić. Tato powiedział, że dopóki źrebak się nie urodzi, nie ruszy się ze stodoły.

Louisa popatrzyła dziwnie na chłopca, pokręciła głową i wyszła z domu.

Billy jechał przodem na starym mule o siwym pysku i naderwanym uchu. Trzymał w ręku lampę naftową, żeby Louisa i Lou, telepiące się za nim na wozie, nie straciły go z oczu. Zrobiło się tak ciemno, że widać było co najwyżej na długość wyciągniętej ręki.

- Nie poganiaj mułów, Lou - mruknęła Louisa. - Nie przydamy się na nic Sally Davis, jeśli wylądujemy w jakimś rowie.
- Sally to matka Billy'ego?

Louisa kiwnęła głową. Blask kołyszącej się lampy wyławia! z mroku gąszcz drzew rosnących po obu stronach szlaku. Lou widziała w niej to godną zaufania i niezawodną latarnię morską, to znów błędny ogień sprowadzający wędrowców na manowce.

- Pierwsza żona George'a umarła przy porodzie. Dzieci, które miał z tą biedaczką, uciekły od niego, zanim zdążył je na śmierć zaharować, zatłuc albo zagłodzić.

- Jeśli był taki zły, to dlaczego Sally za niego wyszła?
- Bo miał ziemię, inwentarz i był krzepkim wdowcem. To się tutaj najbardziej liczy. I Sally wydawało się, że złapała Pana Boga za nogi.

Miała wtedy zaledwie piętnaście lat.

- Piętnaście?! Czyli była tylko o trzy lata starsza ode mnie.

- Ludzie tutaj wcześniej się pobierają. Zaczynają rodzić dzieci, powiększają rodzinę, żeby było komu pracować na gospodarstwie. Tak to już jest. Ja, stając przed pastorem, miałam czternaście lat.

- Mogła szukać szczęścia gdzie indziej.

- Ta góra była całym jej światem. Strach ruszać z takiego miejsca w nieznaną.

- A ty myślałaś kiedyś o przeniesieniu się w inne miejsce?

Louisa zastanawiała się przez kilka obrotów kół wozu.

- Mogłabym to zrobić, gdybym naprawdę chciała. Ale wątpię, czy gdzie indziej byłabym szczęśliwsza. Zeszłam raz w dolinę. Na równinie wiatr inaczej wieje. Nie podobało mi się. Ta góra i ja dobrze ze sobą żyjemy. - Zamilkła i siedziała wpatrzona w rozkołysaną lampę.

- Widziałam groby za domem - odezwała się Lou.

Louisa jakby zeszywniała.

- Naprawdę?

- Kim była ta Annie?

Louisa spuściła głowę.

- Moją córką.

- Myślałam, że miałaś tylko jedno dziecko, Jacoba.

- Nie. Była jeszcze Annie.

- I co, umarła młodo?

- Żyła tylko minutę.

Lou wyczuła przygnębienie prababki.

- Przepraszam. Zapytałam, bo ciekawi mnie historia mojej rodziny.

Louisa poprawiła się na drewnianej ławeczce wozu i spojrzała w czarne niebo tak, jakby widziała je po raz pierwszy.

- Zawsze miałam kłopot z donoszeniem dzieci. Marzyłam o licznej

rodzime, ale traciłam je po kolei, zanim jeszcze były gotowe do przyjścia na świat. Długo myślałam, że na Jake'u się skończy. Lecz potem, w pewien chłodny wiosenny wieczór urodziła się Annie z czuprynką czarnych włosów. To się odbyło bardzo szybko, nie zdążyliśmy nawet wezwać akuszerki, ale poród był ciężki. Jakaż ona była śliczniutka. Jaka ciepła. Chwyciła mnie swoją małą łapką za palec i nie zdołała go do końca objąć. – Louisa urwała. Słysząc było tylko stukot mulich kopyt i skrzypienie kół. – A jej mała pierś unosiła się i opadała, unosiła i opadała – podjęła Louisa cichym głosem, patrząc w bezdenne niebo – aż za którymś razem opadła i już się nie uniosła. Dziw, że tak szybko się przeziębila, ale była przecież taka maluśka. – Louisa odetchnęła parę razy głęboko, jakby jeszcze teraz próbowała oddychać za swoje dziecko. – To było jak z bryłką lodu na języku w upalny dzień. Ach, jak przyjemnie, lecz roztapia się tak szybko, że potem nie masz nawet pewności, czy naprawdę miałaś ją w ustach.

Lou położyła rękę na dłoni Louisy.

– Przykro mi.

– To było dawno, choć mnie się wcale tak nie wydaje. – Louisa przetarła grzbietem dłoni oczy. – Mój mąż zbił trumienkę, taką małą skrzyneczkę. A ja przez całą noc szyłam dla niej sukienkę. Rano ubrałam ją w tę sukienkę. Oddałabym wszystko, żeby choć raz zobaczyć jej oczka patrzące na mnie. Potem mąż włożył maleństwo do tej skrzynki, zanieśliśmy ją na pagórek, pochowaliśmy z resztą rodziny i długo się modliliśmy. Na drugi dzień zasadziliśmy od południowej strony sosny, żeby przez cały rok miała cień. – Louisa zamknęła oczy.

– A odwiedzałaś przedtem to miejsce?

Louisa kiwnęła głową.

– Codziennie. Ale przestałam, kiedy pochowaliśmy tam nasze drugie dziecko. Z dnia na dzień zrobiło się dla mnie za daleko. –

Odebrała od Lou lejce i wbrew swojej wcześniejszej przestrodze popędziła batem muły. – My tu gadu-gadu, a tam czeka dziecko, któremu musimy pomóc przyjść na świat.

Lou rozejrzała się po podwórku i zabudowaniach obejścia Davisów, lecz w panujących ciemnościach niewiele zobaczyła. Modliła się, żeby tylko George Davis przesiedział w stodole cały poród i wyszedł stamtąd dopiero po ich odjeździe.

Dom mieszkalny był zaskakująco mały. Izba, do której weszły, spełniała najwyraźniej funkcję kuchni, bo był tam piec, ale pod ścianą stały też rzędem trzy wąskie łóżka z niepowleczoneymi materacami. Na dwóch spały nago dwie mniej więcej pięcioletnie dziewczynki, chyba bliźniaczki. Na trzecim leżał chłopiec w wieku Oza, w brudnym, przepoconym męskim podkoszulku, i wlepił w Lou i Louise przerażone oczy. Lou widziała go już kiedyś uczepionego traktora, który napędził im takiego strachu na górskiej drodze. Przy piecu, w skrzynce po jabłkach, leżało roczne niemowlę zawinięte w poplamiony koc. Louisa podeszła prosto do zlewu, napompowała wody, i kostką mydła, które ze sobą przywiozła, umyła dokładnie ręce i przedramiona. Kiedy skończyła, Billy wprowadził je do wąskiego korytarzyka i otworzył drzwi.

Sally Davis leżała na łóżku, z kolanami podciągniętymi pod brodę i pojękiwała cichutko. Obok łóżka stała chuda, bosa, mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka o krótko ostrzyżonych kasztanowych włosach, ubrana w coś przypominającego worek na nasiona.

Ją też Lou widziała tamtego pamiętnego dnia na traktorze. Wydawała się tak samo przestraszona jak wtedy.

Louisa skinęła jej głową.

– Jesse, zagrzej mi, słońko, dwa garnki wody. Billy, ty przynieś prześcieradła, ile się da prześcieradeł. Ale czyste.

Położyła prześcieradła, które sama przywiozła, na rozchwianym

drewnianym krześle, usiadła obok Sally i wzięła ją za rękę.

- Sally, to ja, Louisa. Wszystko będzie dobrze, kochana.

Lou przyglądała się Sally. Kobieta oczy miała podkrążone, nieliczne zęby i dziąsła poczerniałe. Nie mogła liczyć sobie więcej niż trzydzieści lat, lecz wyglądała na dwa razy starszą - siwe włosy, zapadnięte policzki, skóra ściągnięta i pomarszczona, pulsujące pod nią niebieskie żyłki.

Louisa uniosła kołdrę i popatrzyła na przemoczone prześcieradło.

- Wody dawno ci odeszły? - spytała.

- Jak tylko... Billy po ciebie... pojechał - wystękała Sally.

- Często masz skurcze?

- Był tylko jeden, ale okropnie silny - jęknęła kobieta.

Louisa obmacała wzdęty brzuch.

- Czujesz, że dziecko chce już wychodzić?

Sally złapała Louise za rękę.

- Boże, zrób coś, żeby wyszło, bo mnie zabije.

Wrócił Billy z paroma prześcieradłami, rzucił je na krzesło, spojrzał na matkę i uciekł.

- Lou, pomóż mi przesunąć Sally. Podłożę jej świeże prześcieradło. - Przesunęły cierpiącą kobietę najdelikatniej, jak potrafiły.

- Teraz idź pomóc Jesse przy grzaniu wody. I weź to. - Podała Lou kilka złożonych ze sobą gałganków i kawałek sznurka. - Przewiąż je pośrodku tym sznurkiem, połóż na piecu i nie zdejmuj, dopóki nie zbrązowieją po brzegach.

Lou wróciła do kuchni, żeby asystować Jesse. Nie widziała nigdy w szkole ani jej, ani siedmiolatka, który przerażonym wzrokiem śledził z łóżka każdy ich ruch. Woląca się nie domyślać, skąd wzięła się szeroka blizna pod lewym okiem dziewczynki.

Piec był już rozgrzany, woda w kociołku powinna się lada moment zagotować. Brzegi przewiązanych sznurkiem gałganków, które Lou

położyła na blasze, szybko brązowiały. Dziewczynki chwyciły kociołek za uszy przez ścierki, zanieśli go do sypialni i postawiły przy łóżku.

Louisa umyła mydłem i ciepłą wodą te miejsca na ciele Sally, z którymi mogło mieć styczność rodzące się dziecko i nakryła rodzącą prześcieradłem.

- Dziecko robi sobie teraz ostatni odpoczynek, i Sally też - szepnęła do Lou. - Nie wymacałam jeszcze dokładnie, jak jest ułożone, ale na pewno nie będzie to poród poprzeczny. - Lou spojrzała na nią pytająco. - To znaczy, że dziecko nie leży w poprzek brzucha. Zawołam cię, jak będziesz potrzebna.

- Ile dzieci już odebrałaś?

- Trzydzieścioro dwoje przez pięćdziesiąt siedem lat - odparła Louisa. - Pamiętam każde jedno.

- I wszystkie żyją?

- Nie - mruknęła cicho Louisa i kazała Lou wyjść.

Jesse stała w kuchni pod ścianą, ze spuszczoną głową i złożonymi rękami.

Lou zerknęła na chłopczyka w łóżku.

- Jak ci na imię? - spytała.

Nie odpowiedział.

Kiedy zrobiła krok w jego stronę, pisnął i zarzucił sobie koc na głowę. Trząśnięcie pod nim jak galareta. Lou wycofała się z tego zwariowanego domu.

Rozejrzała się po podwórku i dostrzegła Billy'ego, który zaglądał przez otwarte podwójne wrota do stodoły. Podeszła tam cicho i spojrzała do środka ponad jego ramieniem. Zobaczyła George'a Davisa nad klaczą leżącą na wymoszczonej słomą podłodze. Wystawała z niej przednia noga i bark źrebięcia w białym błoniastym kokonie. Davis, klnąc na czym świat stoi, ciągnął za tę oślizłą nogę. W blasku kilku latarni lśniły narzędzia poustawiane

w równych rzędach pod ścianą.

Lou nie mogła słuchać złorzeczeń Davisa ani patrzeć na cierpienie kłaczy. Wróciła na werandę i usiadła na schodku. Po chwili nadszedł Billy i przycupnął obok.

- Dużą macie farmę - zagaiła Lou.

- Tato wynajmuje ludzi do pomocy. Ale kiedy dorosnę, nie będzie ich potrzebował. Sam wszystko zrobię.

Ze stodoły dobiegł stek przekleństw Davisa. Aż podskoczyli. Zażenowany Billy zaczął dłubać w ziemi wielkim paluchem u nogi.

- Przepraszam, że włożyłam ci tego węża do pudełka.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Ja pierwszy ci go podrzuciłem.

- To mnie nie usprawiedliwia.

- Gdyby ktoś zrobił coś takiego tacie, on by go zabił.

Lou dostrzegła strach w oczach chłopca i było jej żal Billy'ego Davisa.

- Ty nie jesteś taki jak tata. I nie musisz taki być.

Billy poprawił się nerwowo na schodku.

- Nie powiedziałem mu, że sprowadziłem pannę Louise. Nie wiem, co będzie, kiedy sam zobaczy.

- Przyjechaliśmy pomóc twojej mamie. Chyba nie może mieć o to pretensji.

- A więc to tak?!

Poderwali głowy. Przed nimi stał George Davis w zachlapanej krwi i śluzem koszuli, z rękami umazanymi po łokcie posoką.

Billy wsunął się między niego a Lou.

- Tato? I co ze źrebakiem?

- Zdechł. - George powiedział to takim tonem, że Lou włosy zjeżyły się na głowie. Wycelował w nią palec. - A ta tu czego?

- Poprosiłem je, żeby przyjechały pomóc mi z dzieckiem. Panna Louisa jest u mamy.



George spojrział na drzwi i znowu na Billy'ego. Oczy miał tak straszne, że Lou przemknęło przez myśl, że oto wybiła jej ostatnia godzina.

- Ta kobieta jest w moim domu, chłopcze?

- Już pora. - Spojrzeli wszyscy na drzwi, w których stała Louisa. - Dziecko się rodzi.

Davis odsunął syna na bok i ruszył na nią. Lou uskokczyła mu z drogi.

- Do ciężkiej cholery, kobieto, nie masz tu nic do roboty! Jazda z mojej ziemi, bo ci łeb kolbą rozwalę, i tej smarkatej też.

Louisa ani drgnęła.

- Możesz pomóc przy narodzinach albo nie. Jak chcesz. Chodź Lou, i ty też, Billy. Oboje będziecie mi potrzebni.

Nie ulegało wątpliwości, że George Davis tak tego nie zostawi. Louisa była bardzo silna jak na swój wiek i wyższa od Davisa, ale rady by mu nie dała.

I w tym momencie od strony lasu dobiegł ryk. Był to ten sam odgłos, który Lou słyszała kiedyś w nocy przy studni, tylko jeszcze bardziej przerażający, tak jakby to, co go wydało, znajdowało się o wiele bliżej i kierowało na nich. Nawet Louisa spojrziała z niepokojem w ciemność.

George Davis cofnął się i sięgnął odruchowo po strzelbę, której przy sobie nie miał. Louisa przygarnęła dzieci do siebie. Davis już ich nie zatrzymywał. Zawołał jedynie:

- Tylko żeby tym razem był syn. Jak diabli nadadzą dziewczuchę, to może zdychać. Słyszała? Nie trzeba mi tu jeszcze jednej baby!

Sally parła z całych sił. Louisie serce zabiło żywiej, kiedy zobaczyła najpierw pośladki płodu, a potem jedną nóżkę. Wiedziała, że ma niewiele czasu, bo pępowina ulegnie zaraz zmiążdżeniu pomiędzy główką noworodka a kością miednicy Sally. Skurcze wypchnęły

drugą nóżkę.

- Lou - rzuciła Louisa - chodź tu szybko. - Chwyła dziecko prawą ręką za nóżki i uniosła, żeby ciężar małego ciała nie tłumił skurczów i żeby główka wychodziła pod właściwym kątem. Na szczęście kości Sally Davis rozeszły się szeroko wskutek wielu porodów.

- Przyj, Sally! - pokrzykiwała Louisa. - Przyj, słonko.

Lewą ręką chwyciła dłonie Lou i naprowadziła je na podbrzusze Sally.

- Trzeba szybko wycisnąć główkę! - zawołała. - Napieraj w tym miejscu z całych sił. Nie bój się, nie zrobisz dziecku krzywdy, brzuch je ochrania jak poduszka.

Lou zaczęła uciskać. Sally natężyła się, stękając przejmująco, Louisa zaś trzymała dziecko za nóżki i unosiła je coraz wyżej.

W pewnej chwili krzyknęła tryumfalnie.

- Widzę szyjkę - relacjonowała. - Główka wychodzi. No, są włoski. - I mówiąc to, uniosła w górę noworodka. - Odpocznij sobie, Sally, już po wszystkim.

Louisa odmówiła dziękczynną modlitwę, kiedy okazało się, że to chłopiec. Był jednak strasznie mały i cały siny. Posłała Lou i Billy'ego, żeby zagrzali więcej wody, a sama przewiązała pępowinę w dwóch miejscach sznurkiem, po czym przecięła ją w połowie tego odcinka wygotowanymi we wrzątku nożyczkami. W jedną z czystych suchych szmatek, które Lou wyjąłowała na piecu, zawinęła odciętą pępowinę, a drugą taką obwiązała kikut. Na koniec przetarła noworodka oliwą, obmyła ciepłą wodą z mydłem, zawinęła w kocyk i podała matce.

Przyłożyła dłoń do brzucha Sally, żeby sprawdzić, czy łono jest, jak należy, twarde i małe. Zwracając się do Lou, wyjaśniła przyciszonym głosem, że powiększone i miękkie mogłoby świadczyć, że nastąpił krwotok wewnętrzny. Ale brzuch był mały i jędrny.

- W porządku - orzekła z ulgą Louisa.

Odebrała Sally dziecko i położyła je na łóżku. Wyjęła z wiadra woskowy pojemniczek, a z niego małą szklaną fiolkę. Kazała Lou otworzyć dziecku oczy i wpuściła kopiącemu i wrzeszczącemu noworodkowi po dwie krople do każdego.

- Dzięki temu maluch nie oślepie - wyjaśniła. - Dostałam to od Trávisa Barnes'a. Prawo każe tak robić.

Z koców i nagranych puszek sporządziła prowizoryczny inkubator i umieściła w nim dziecko. Oddychało tak płytko i słabo, że puszek gęsiego piórka, które przyłożyła mu do usteczek, ledwo się poruszał.

Trzydzieści minut później ostatnie skurcze wypchnęły łożysko. Louisa i Lou uprzątnęły je, jeszcze raz zmieniły prześcieradła i wytarły matkę ostatnią z wyjałowionych szmatek. Louisa wyjęła z wiadra ołówki i karteczkę. Wręczyła je Lou i spojrzawszy na stary zegarek kieszonkowy, który wygrzebała z kieszeni spodni, kazała dziewczynce zapisać datę i godzinę narodzin.

- Jakie imię chcesz dać dziecku, Sally? - spytała.

Sally spojrzała na Lou.

- Masz na imię Lou, tak, dziewczynko? - odezwała się słabym głosem.

- Tak. To znaczy, coś w tym rodzaju - odparła Lou.

- To niech mu będzie Lou. Po tobie. Dziękuję.

Lou nie kryła zdumienia.

- A co na to pani mąż?

- Jemu wszystko jedno, czy dziecko będzie miało jakieś imię, czy nie. Dla niego ważne tylko, że to chłopak i będzie kogo gonić do roboty. Zresztą nie chcę go tu widzieć. Ma być Lou, i koniec. Zapisz tak, dziewczynko.

Louisa przyglądała się z uśmiechem, jak Lou pisze na karteczce „Lou Davis”.

- Damy ten papierek Cottonowi - powiedziała. - Zawiezie go do sądu, żeby wszyscy się dowiedzieli, że mamy tu na górze jeszcze jedno piękne dziecko.

Wyczerpana Sally wkrótce zasnęła. Louisa siedziała przy niej i przy noworodku przez całą noc, budząc kobietę, żeby nakarmiła piersią Lou Davisa, ilekroć ten zaczynał płakać i cmoktać usteczkami. George Davis ani razu nie zajrzał do sypialni. Słyszały przez jakiś czas, jak się tłucze po kuchni, potem trzasnęły drzwi.

Louisa zakradała się kilka razy do kuchni, żeby sprawdzić, co u pozostałych dzieci. Dała Jesse, Billy'emu i drugiemu chłopcu, którego imienia nie знаła, przywieziony z domu słoiczek melasy i parę sucharków. Z bólem serca patrzyła, jak dzieci pochłaniają łapczywie ten niewyszukany posiłek. Dała jeszcze Billy'emu słoik dżemu truskawkowego i trochę kukurydzianego chleba, z zastrzeżeniem, że to dla bliźniaczek, kiedy się obudzą.

Ruszyły z Lou w drogę powrotną późnym rankiem. Matka czuła się już dobrze, dziecko dostało kolorków. Ssało z zapalem pierś, płucka też miało silne.

Sally i Billy podziękowali im, nawet Jesse wymruczała coś pod nosem. Ale Lou zauważyła, że pod piecem się nie pali i nie czuć zapachów przygotowywanego śniadania.

George Davis i wynajęci przez niego robotnicy byli już w polu. Billy też się tam wybierał, lecz Louisa odciągnęła go jeszcze na stronę i długo o czymś rozmawiali.

W zagrodach, które mijały, jadąc z powrotem, stało tyle bydła, że śmiało można było mówić o stadzie, widziały też mnóstwo wieprzy i owiec, podwórko roiło się od kur, na łące pasły się cztery konie i osiem mułów. Jak okiem sięgnąć falowały łany zbóż, a wszystko to otoczone było groźnie wyglądającym drutem kolczastym. Lou wypatrzyła George'a i jego ludzi pracujących hen w polu na sprzęcie zmechanizowanym. Za poruszającymi się szybko

maszynami ciągnęły się tumany kurzu.

- Mają więcej ziemi i zwierząt niż my - zauważyła Lou. - Jak to możliwe, że głodują?

- Bo tak chce ich ojciec. A ojciec George'a Davisa był taki sam. Oglądał ze wszystkich stron każdego dolara, zanim go wydał.

Louisa pokazała Lou budynek z wielką kłódką na drzwiach.

- George prędzej pozwoli, żeby mięso zgniło mu w tej wędzarni, niż nakarmi nim swoje dzieci. Sprzedaje do ostatniego ziarenka wszystko, co zbierze i wyhoduje, drwalom z obozu i górnikom; jeździ z tym do Tremont i Dickens. - Wskazała na duży budynek z rzędem drzwi na poddaszu. Drzwi były pootwierane i widać było przez nie pęki wielkich zielonych liści, zawieszane na hakach. - To suszarnia podłego tytoniu. Ten gatunek osłabia glebę. George sprzedaje wszystko, czego sam nie przeżuje. Ma też aparaturę do pędzenia samogonu, ale nie weźmie kropli do ust. Sprzedaje ten zajzajer innym mężczyznom, którzy lepiej by zrobili, gdyby poświęcili swój czas i pieniądze rodzinie. Nosi się wszędzie z grubym zwitkiem dolarowych banknotów, ma ładną farmę i wszystkie te wymyślne maszyny, a morzy głodem swoich najbliższych. - Trzepnęła lejcami. - Ale żal mi go, bo to najbardziej godny współczucia człowiek, jakiego znam. Przyjdzie taki dzień, że Bóg pokaże George'owi Davisowi, co naprawdę o nim myśli. Na razie ten dzień jeszcze nie nadszedł.

Eugene powoził, Oz, Lou i Diament siedzieli z tyłu zaprzęzonego w dwa muły wozu wyładowanego workami nasion i innymi zapasami zakupionymi w sklepie McKenziego za jajka i kilka dolarów, które zostały Lou z wyprawy do Dickens.

Kiedy zbliżali się do sporego dopływu rzeki McCloud, Lou zobaczyła ze zdziwieniem mnóstwo samochodów i krytych wozów na trawiastym brzegu. Klębił się tam tłum ludzi, niektórzy stali nawet w burej wodzie. Jakiś mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami zanurzał właśnie młodą kobietę.

- Zamaczanie - wykrzyknął podniecony Diament. - Chodźmy popatrzeć.

Eugene zatrzymał wóz i trójka dzieci zeskoczyła na ziemię. Lou obejrzała się na Eugene'a, który nie przejawiał ochoty do pójścia w ich ślady.

- Nie idziesz?

- Idźcie sami, panienko Lou, ja tu sobie odpocznę.

Lou ściągnęła brwi, ale, nic już nie mówiąc, pobiegła za chłopcami.

Diament przecisnął się przez tłum gapiów i patrzył na coś z przejęciem. Oz i Lou, kiedy, przepchawszy się do niego, zobaczyli, co go tak zainteresowało, aż odskoczyli.

Starsza kobieta w turbanie z pospinanych szpilkami kawałków ręcznie tkanego materiału i w długiej siermiedze przepasanej sznurem krążyła w kółko, zawodząc w jakimś niezrozumiałym języku. Wyglądała na pijaną, obłąkaną albo na fanatyczkę religijną.

Obok stał mężczyzna w T-shircie i spodniach od dresu, z kącika ust zwisał mu niedopałek papierosa. W obu rękach trzymał węże. Gady były zeszywniałe, nieruchome, przypominały kawałki powyginanego grubego kabla.

- Są jadowite? - spytała szeptem Lou.

- No przecie! Niejadowite się nie nadają - odparł Diament.

Oz gapił się jak zahipnotyzowany na zastygłe w bezruchu stworzenia, wyraźnie gotów dać drapak na drzewo, w momencie gdy zaczną się wić. Lou to wyczuwała i kiedy węże się poruszyły, chwyciła Oza za rękę i odciągnęła. Diament niechętnie wycofał się z tłumu za nimi.

- Co oni wyrabiają z tymi węzami, Diament? - spytała Lou.

- Odpędzają złe duchy, żeby nie przeszkadzały w zamaczaniu. - Spojrzał na nich. - A wy byliście zamaczani?

- Chrzczeni, Diament - skorygowała Lou. - Zostaliśmy ochrzczeni w katolickim kościele. Tam ksiądz skrapia tylko głowę wodą święconą. - Popatrzyła w kierunku rzeki. Z jej nurtu wynurzyła się właśnie kobieta, plując wodą, której się opila. - Nie próbuje nikogo utopić.

- Katolickim? Pierwsze słyszę. To jakiś nowy?

Lou omal nie parsknęła śmiechem.

- Niezupełnie. Nasza mama jest katoliczką. Tato nie był specjalnie religijny. Mają nawet swoje szkoły. Chodziliśmy do takiej z Ozem w Nowym Jorku. Uczą tam katechizmu, dziesięciorga przykazań, różańca, Ojciec Nasz. Mówią, które grzechy są śmiertelne, a które powszednie. Potem się idzie do pierwszej spowiedzi, a potem do pierwszej komunii. A jeszcze później do...

- Tak - potwierdził Oz - a jak umierasz, to robią ci te, no... jak to się nazywa, Lou?

- Ostatnie namaszczenie.

- O, właśnie. Żebyś się nie smażył w piekle - poinformował Oz.

Diament, wyraźnie zakłopotany, podrapał się po rozwichrzonej głowie.

- Hej. Kto by pomyślał, że wierzenie w Pana Boga to tyle zachodu. Nie dziwota, że nie ma u nas tych waszych katolików. Za dużo zawracania głowy.

Wskazał na tłum zebrany nad brzegiem rzeki.

- Ci tam, to prymitywne baptysty. Mają takie różne śmieszne zakazy. Na przykład, nie można sobie u nich obcinać włosów, kobiety nie mogą się malować. Straszą piekłem i takimi tam. Jak się ktoś z tego wyłamie, to marny jego los. Trza żyć i umierać po bożemu. Nie wiem, czy są lepsi, czy gorsi od tych waszych katolików, ale ich też żal słuchać. - Diament ziewnął i przeciągnął się. - I dlatego nie chodzę do kościoła. Ja mam kościół wszędzie tara, gdzie mnie poniesie. Jak chcę pogadać z Panem Bogiem, to mówię: „Hej tam, Panie Boże”, i ucinamy sobie małą pogawędkę.

Lou gapiała się na niego oniemiała, wstrząśnięta głębią duchowej mądrości profesora religioznawstwa Diamenta Skinnera.

- Hej, patrzajcie tylko! - krzyknął nagle Diament, pokazując palcem.

Spojrzeli. Podczas gdy oni rozprawiali, Eugene zszedł na brzeg rzeki i z kimś teraz rozmawiał. Po chwili ten ktoś zawołał coś do stojącego w rzece kaznodziei, który wyciągał właśnie spod wody kolejną ofiarę.

Kaznodzieja wyszedł na brzeg, zamienił parę słów z Eugene'em, po czym wprowadził go do rzeki, wepchnął pod wodę tak głęboko, że nic nie wystawało, i modlił się nad nim. Przytrzymał Eugene'a pod powierzchnią tak długo, że Lou i Oz zaczęli się już niepokoić. Ale Eugene wynurzył się w końcu uśmiechnięty, podziękował kaznodziei i jak gdyby nigdy nic wrócił do wozu. Diament, niewiele myśląc, puścił się pędem w kierunku kaznodziei rozglądającego się za następnymi chętnymi do obrzędowego zamoczenia.



Wszedł z duchownym do rzeki i też zniknął na dłuższy czas pod wodą. Po wynurzeniu porozmawiał chwilę z mężczyzną, schował coś do kieszeni i przemoczony, uśmiechnięty od ucha do ucha, wrócił do Lou i Oza, obserwujących to wszystko z zapartym tchem. Ruszyli do wozu.

- Nie byłeś jeszcze chrzczony? - spytała Lou.

- Też mi coś - mruknął Diament, potrząsając wiechciem mokrych włosów - to moje dziewiąte zamaczanie.

- Przecież to się robi tylko raz!

- Od przybytku głowa nie boli. Umyśliłem sobie dobić do setki. Wtedy jak nic trafię do nieba.

- To nie od tego zależy! - wykrzyknęła Lou.

- A właśnie że od tego - odparował Diament. - Tak stoi czarno na białym w Biblii. Za każdym razem, kiedy cię zamaczają, Pan Bóg zsyła anioła, żeby miał na ciebie baczenie. A ja chcę mieć tych aniołów dobry regiment.

- W Biblii nie ma niczego takiego - zaproponowała Lou.

- To ją jeszcze raz przeczytaj.

- Gdzie w Biblii jest tak napisane?

- Na samym początku. - Diament gwizdnął na Jeba. Podbiegli razem do wozu i wdrapali się na górę.

- Hej, Eugene - powiedział Diament - przylecę po ciebie, jak znowu będą zamaczali. Popływamy sobie.

- Ty też nie byłeś chrzczony, Eugene? - zapytała Lou.

Eugene pokręcił głową.

- Jak tu sobie siedziałem, to mnie podkusiło, żeby to zrobić. Chyba był najwyższy czas.

- Dziwne, że Louisa cię dotąd nie ochrzciła.

- Panna Louisa wierzy całym sercem w Pana Boga, ale z kościołem żyje na bakier. Mówi, że to, co tam wyczyniają, wypędza Boga z serca.

Kiedy wóz ruszył, Diament wyciągnął z kieszeni małą flaszkę z metalową zakrętką.

- Hej, Oz, dostałem to od kaznodziei. Święta woda od zamaczania.  
- Wręczył słoiczek zaintrygowanemu Ozowi. - Tak sobie myślę, że mógłbyś pokropić nią od czasu do czasu swoją mamę. Założę się, że pomoże.

Lou chciała już zaprotestować, ale stało się coś, czego nigdy by się nie spodziewała. Oz oddał Diamentowi flaszkę.

- Nie, dziękuję - powiedział cicho i odwrócił wzrok.

- Na pewno? - spytał Diament.

Oz kiwnął głową. Diament odkręcił zakrętkę i wylał święconą wodę na drogę. Lou zerknęła na Oza. Zaniepokoił ją smutek w oczach chłopca. Spojrzała w niebo, bo uzmysłowiła sobie nagle, że skoro nawet Oz stracił nadzieję, to koniec świata już bliski. Odwróciła się do chłopców plecami i udawała, że podziwia górski krajobraz.

Było późne popołudnie. Cotton zamknął właśnie książkę, którą czytał Amandzie, i z jego miny wynikało, że popada w coraz większą frustrację.

Lou podglądała go przez okno, stojąc na odwróconym do góry dnem wiadrze.

Cotton spojrzał na chorą.

- Amando, wiem dobrze, że mnie słyszysz. Masz dwoje dzieci, które cię bardzo potrzebują. Musisz wstać z tego łóżka. Zrób to choćby przez wzgląd na nie. - Zawiesił głos, zdawał się dobierać starannie słowa. - Proszę cię, Amando. Oddałbym wszystko, co mam, gdybyś się tylko w tej chwili podniosła.

Mijały sekundy, Lou obserwowała z zapiętym tchem matkę, ale ta ani drgnęła. Zawiedziony Cotton zwiesił głowę.

Kiedy jakiś czas potem wyszedł z domu i wsiadł do samochodu,

Lou podbiegła do niego z koszyczkiem jedzenia.

- Słyszałam, że czytanie zaostrza człowiekowi apetyt.

- O, dziękuję, Lou.

Cotton postawił koszyk na siedzeniu obok.

- Louisa mówiła mi, że jesteś pisarką. O czym zamierzasz pisać?

Lou stanęła na progu auta.

- Tato pisał o tych stronach, ale mnie one nie napawają jakoś natchnieniem.

Cotton spojrzał na góry.

- Wyznam ci, że jednym z powodów, dla których tu przyjechałem, był twój tato. Pierwszą jego powieść przeczytałem podczas studiów na wydziale prawa Uniwersytetu Stanu Wirginia. Byłem oczarowany zarówno siłą jej oddziaływania, jak i pięknem. A potem natrafiłem w gazecie na artykuł o nim. Twój tato opowiadał dziennikarzowi, jak to góry go zainspirowały. Pomyślałem sobie, że jeśli tu przyjadę, mnie również to się zdarzy. Włóczyłem się po okolicy z zeszytem i ołówkiem i z głową otwartą na przypływ pięknych zdań i fraz, które można by przelać na papier. - Uśmiechnął się markotnie. - I nic takiego nie nastąpiło.

- Może i w moim wypadku nie nastąpi - powiedziała cicho Lou.

- Cóż, wygląda na to, że ludzie przez większość swojego życia za czymś gonią. Może między innymi to czyni nas ludźmi. - Cotton wskazał na drogę. - Widzisz tę tam rudere? - Lou spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła opuszczoną, wałącą się chatę z drewnianych bali uszczelnionych gliną. - Louisa mówiła mi kiedyś o opowiadaniu, które napisał twój ojciec, kiedy był jeszcze chłopcem, opowiadaniu o pewnej rodzinie, która przetrwała w tym małym domku całą zimę. Bez drewna na opał, bez żywności.

- To jak przeżyli?

- Dzięki wierze.

- W co? W studnię życzeń? - prychnęła Lou.

- Nie, wierzyli w siebie. I stał się cud. Powiadają, że rzeczywistość przerasta fikcję. Ja rozumiem to tak, że wszystko, co człowiek potrafi sobie wyobrazić, gdzieś tam naprawdę istnieje. Czyż to nie cudowne?

- Nie wiem, czy mam tak rozwiniętą wyobraźnię jak pan, panie Cotton. Nie wiem nawet, czy mam zadatki na pisarkę. W tym, o czym piszę, niewiele jest prawdziwego życia.

- Nie ustawaj w wysiłkach, być może sama siebie zadziwisz.

I wierz mi, Lou, cuda się zdarzają. Najlepszym przykładem to, że przyjechaliście tu z Ozem i poznaliście Louise.

Lou siedziała tego wieczoru na łóżku, zapatrzona na listy matki. Kiedy wszedł Oz, schowała je pospiesznie pod poduszkę.

- Mogę spać dziś z tobą? - spytał Oz. - Trochę mi straszno w moim pokoju. Wydaje mi się, że widziałem w kącie trolla.

- Wskakuj - mruknęła Lou.

Oz z zafrasowaną miną wdrapał się na łóżko.

- Jak wyjdiesz za męża, to z kim będę spał, gdy się przestraszę?

- Kiedyś będziesz większy ode mnie i to ja będę do ciebie przychodziła, jak się przestraszę.

- Skąd wiesz?

- Bo tak już jest między starszymi siostrami i młodszymi braćmi.

- Naprawdę będę większy od ciebie?

- Popatrz tylko na swoje stopy. Przerośniesz Eugene'a.

Oz przytulił się do niej uszczęśliwiony i wtedy zobaczył listy pod poduszką.

- A co to?

- Takie stare listy mamy - powiedziała szybko Lou.

- Co w nich jest?

- Nie wiem, nie czytałam.

- A przeczytasz mi?

- Oz, już późno, jestem zmęczona.

- Proszę cię, Lou. No, proszę.

Patrzył na nią tak błagalnie, że wzięła do ręki jeden z listów i podkreśliła knot naftowej lampy stojącej na nocnym stoliczku.

- Niech ci będzie, ale tylko jeden.

Oz usadowił się wygodnie na łóżku, a Lou zaczęła:

- „Droga Louiso, mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Bo u nas tak. Oz nie ma już krupu i przesypia spokojnie całe noce”.

Oz podskoczył.

- To o mnie! Mama pisze o mnie! - Zastanowił się. - A co to jest krup?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Mam czytać dalej, czy już starczy?

Oz położył się z powrotem i Lou podjęła:

- „Pierwszego maja Lou zajęła pierwsze miejsce w dyktandzie i pierwsze w biegu na pięćdziesiąt jardów. W tym ostatnim startowali również chłopcy! Ona jest niesamowita, Louiso. Widziałam zdjęcie, które zrobiliście sobie z Jackiem, i podobieństwo jest uderzające. Oboje szybko rosną. Tak szybko, że aż się boję. Lou wdała się w ojca. Jest tak inteligentna, że obawiam się, iż wydaję jej się nudna. Ta myśl nie daje mi spać po nocach. Tak bardzo ją kocham. Staram się wkraść w jej łaski, no, ale wiesz, jak to jest - córeczka tatusia. Więcej następnym razem. Przyślę też zdjęcia. Pozdrowienia. Amanda. PS Moim marzeniem jest przyjechać z dziećmi w góry, żebyśmy mogli cię wreszcie poznać osobiście. Mam nadzieję, że to marzenie kiedyś się spełni”.

- Ładny list - wymruczał Oz. - Dobranoc, Lou. - I po chwili już spał.

Lou sięgnęła ostrożnie po następny list.

Był pogodny, wczesnojesienny dzień. Po twarzach Lou i Oza, podążających za Diamentem i Jebem przez las, przesuwały się plamy prześwitującego przez korony drzew słońca, chłodny wiaterek przynosił zapachy letniego kapryfolium i dzikich róż.

- Dokąd idziemy? - spytała Lou.

- Zobaczysz - odparł tajemniczo Diament.

Wspięli się na szczyt małego wzniesienia i tam zatrzymali. Ścieżką biegnącą podnóżem pagórka szedł Eugene z pustym wiadrem i latarnią. Z kieszeni sterczała mu laska dynamitu.

- Eugene idzie do kopalni po węgiel - oznajmił Diament. - Teraz ma tylko wiadro, ale przed samą zimą przyjedzie tu wozem i nabierze tyle węgla, żeby starczyło wam do wiosny.

- Fajnie, to tak samo ekscytujące, jak obserwowanie kogoś śpiącego - stwierdziła Lou.

- Ho, ho! Zaczekaj, aż wybuchnie dynamit - powiedział Diament.

- Dynamit?! - zaniepokoił się Oz.

Diament kiwnął głową.

- Węgiel jest głęboko w skale. Oskardem się do niego nie dobierzesz. Trzeba wysadzać.

- Czy to niebezpieczne? - spytała Lou.

- Gdzie tam. On się na tym zna. Ja też już to robiłem.

Obserwowali Eugene'a, który wyciągnął dynamit z kieszeni i przymocował do niego długi lont. Potem zapalił latarnię i zniknął w kopalni. Diament usiadł pod drzewem, wyjął jabłko i pociął je nożem na cząstki. Jedną rzucił buszującemu w krzakach Jebowi.

- Ten lont wolno się pali - wyjaśnił, dostrzegając niepokój na twarzach Lou i Oza. - Można dojść na księżyc i z powrotem, zanim wybuchnie.

Chwilę później Eugene wyszedł z kopalni i usiadł na kamieniu niedaleko wejścia do chodnika.

- Nie powinien odsunąć się dalej?

- Nie. Na jedno wiadro nie trzeba dużo dynamitu. Jak już wybuchnie i kurz opadnie, zaprowadzę was tam.

- A co jest do oglądania w jakiejś starej kopalni? - prychnęła Lou. Diament się pochylił.

- Coś ci powiem. Jednej nocy widziałem, jak kręcili się tutaj tacy jedni. Pamiętasz, jak panna Louisa mówiła mi, żebym miał oczy szeroko otwarte? No i miałem. Szli z latarniami i wnieśli do kopalni jakieś skrzynki. Wejdziemy tam i zobaczymy, co kombinują.

- A jeśli oni tam teraz są?

- Nie. Przechodziłem tędy niedawno, rozejrzałem się, rzuciłem do środka kamieniem. No i na piasku są świeże ślady butów prowadzące na zewnątrz. A zresztą Eugene by ich zauważył. - Nagle coś przyszło mu do głowy. - Zaraz, a może oni pędzą samogon i trzymają w kopalni aparat, kukurydzę i takie tam rzeczy.

- Już prędzej to włóczędzy, którzy nocują w kopalni, żeby nie moknąć pod gołym niebem - stwierdziła Lou.

- Nie słyszałem, żeby kręcili się tu jacyś włóczędzy.

- To dlaczego nie powiedziałeś Louisie, że ich widziałeś? - spytała dziewczynka.

- Panna Louisa ma dość innych zmartwień. Najsamprzód trzeba się dowiedzieć, co oni tam robią.

Jeb wypłoszył z krzaków wiewiórkę i zagonił ją na drzewo. Dzieci czekały w napięciu na eksplozję.

- Dlaczego nie zamieszkaś z nami? - spytała Lou.

Diament spojrzał na nią, wyraźnie zakłopotany tym pytaniem.

Przeniósł wzrok na psa.

- Cichaj, Jeb. Ta wiewiórka nic ci nie robi.

- Bo przydałby się nam ktoś do pomocy - podjęła Lou. - Jeszcze jeden silny mężczyzna. I Jeb też.

- Nie. Mężczyzna potrzebuje swobody.

- Hej, Diament - wtrącił się Oz - mógłbyś być moim starszym bratem. Wtedy Lou nie musiałaby się bić z każdym sama.

Lou i Diament uśmiechnęli się do siebie.

- Zastanów się nad tym - powiedziała Lou.

- Może się zastanowię. - Diament spojrzał w stronę kopalni. - No, już niedługo.

Czekali. Nagle wiewiórka zeskoczyła z drzewa i pomknęła jak strzała ku wejściu do kopalni, a Jeb za nią.

Diament zerwał się na równe nogi.

- Jeb! Jeb! Wracaj! - Wypadł pomiędzy drzew, zręcznym zwodem ominął usiłującego go zatrzymać Eugene'a i zniknął w kopalni.

- Diament! - wrzasnęła Lou. - Nie!

Zerwała się i pognąła za chłopcem.

- Lou, wracaj! - krzyknął za nią Oz.

Eugene schwycił Lou przed samym wejściem.

- Proszę tu zaczekać, panienko Lou - rzucił. - Ja go przyprowadzę.

I Eugene wkuśtykał, najszybciej jak mógł, do kopalni, krzyząc: „Diament! Diament!”.

Lou i Oz popatrzyli po sobie przerażeni. Płynęły sekundy. Lou krążyła nerwowo przed wylotem chodnika.

- Szybciej, błagam, szybciej - mamrotała pod nosem. W końcu nie wytrzymała i podeszła do wejścia. Z głębi ktoś nadbiegał. - Diament! Eugene!

Okazało się, że to Jeb wracał z pościgu za wiewiórką. Lou chciała chwycić psa, ale w tym momencie podmuch eksplozji zbił ją z nóg.



Buchnęły tumany kurzu i węglowego pyłu. Zakrztusiła się, rozkaszała. Oz rzucił się jej na pomoc, a Jeb ujadał i miotał się jak oszalały.

Lou podniosła się jakoś, z trudem łapiąc oddech, i podeszła na miękkich nogach do wylotu chodnika.

- Eugene! Diament!

Po chwili usłyszała zbliżające się, niepewne kroki. Zmówiła w duchu pacierz. Zdawało się to trwać wieczność całą, ale w końcu z ciemności wynurzył się oszołomiony, umorusany, zakrwawiony Eugene. Spojrzał półprzytomnie na dzieci. Po twarzy ciekły mu łzy.

- A bodaj to, panienko Lou.

Lou cofnęła się o krok, potem o drugi i jeszcze jeden. W końcu odwróciła się i, zawodząc nieprzytomnie, co sił w nogach pognała ścieżką.

Jacyś mężczyźni wynieśli z kopalni przykryte kocem ciało Diamenta i ułożyli je na wozie. Musieli trochę poczekać, aż dym się rozwieje, i upewnić, czy strop się na nich nie zawali. Cotton odprowadził wzrokiem wóz uwożący Diamenta, a potem podszedł do Eugene'a, który siedział na wielkim głazie, przyciskając do zakrwawionej głowy wilgotną szmatę.

- Eugene, naprawdę nic ci nie trzeba?

Murzyn spojrzał na wylot chodnika, tak jakby się spodziewał ujrzeć Diamenta wychodzącego z czarnej czeluści, z rozwichrzonymi włosami i rozbrajającym uśmiechem na twarzy.

- Chciałbym tylko, panie Cotton, żeby to był zły sen i żebym się z niego szybko obudził.

Cotton poklepał go po potężnym barku i zerknął na Lou skuloną na ziemi, plecami do kopalni. Podszedł do niej i usiadł.

Lou miała oczy zaczerwienione od płaczu, policzki mokre od łez. Siedziała przygarbiona, z kolanami podciągniętymi pod brodę, tak

jakby każdą komórkę jej ciała przeszywał niewyobrażalny ból.

- Tak mi przykro, Lou. Diament był wspaniałym chłopcem.
- Był mężczyzną. Wspaniałym mężczyzną!
- Chyba masz rację. Był mężczyzną.

Lou popatrzyła na Jeba, który siedział osowiały przy wylocie chodnika.

- Diament nie musiał wbiegać tam za Jebem.
- Widzisz, on niczego poza tym psem nie miał. Gdy się kogoś kocha, to nie można siedzieć z założonymi rękami, wiedząc, że coś mu grozi.

Lou podniosła z ziemi garść sosnowych igiełek i przesiała je przez palce. Upłynęło kilka minut, zanim znowu się odezwała.

- Dlaczego takie rzeczy się zdarzają, Cotton?

Westchnął głęboko.

- Kto wie, czy Bóg nie chce nam w ten sposób uzmysłowić, że powinniśmy kochać ludzi, póki są z nami, bo jutro może ich już nie być. Zdaję sobie sprawę, że to trochę naciągana odpowiedź, ale innej niestety nie znam.

Ponownie zapadło milczenie. Przerwała je Lou.

- Chciałabym poczytać mamie.
- Wspaniały pomysł - ożywił się Cotton.
- Co w nim takiego wspaniałego? No, co?
- Jeśli zacznie jej czytać ktoś, kogo zna, kogo... kocha, to może nastąpi jakiś przełom.

- Naprawdę myślisz, że dla niej to jakaś różnica?

- Pamiętasz, jak kiedyś wyniosłem twoją mamę przed dom? Czułem wtedy, że mam na rękach żywą osobę, walczącą jak lwica z niemocą, która ją dotknęła. Naprawdę to czułem. I przyjdzie taki dzień, że ona wygra tę bitwę. Wierzę w to całym sercem, Lou.

Dziewczynka pokręciła głową.

- To trudne, Cotton. Pielęgnować w sobie miłość do kogoś, o kim

wiemy, że być może nigdy z nami nie będzie.

- Jesteś nad wiek dojrzała, Lou. I przemawia przez ciebie rozsądek. Ale, według mnie, gdzie w grę wchodzi sprawy sercowe, głosu rozsądku lepiej czasem nie słuchać.

Lou otrzepała dłonie z reszty igiełek.

- Ty też jesteś dobrym człowiekiem, Cotton.

Otoczył ją ramieniem i siedzieli tak, nie oglądając się na osmalony, wyszczerbiony wylot chodnika, który zabrał im na zawsze przyjaciela.

Tego roku na brak deszczu nie można było narzekać, a zdarzały się też burze. Jedno gwałtowne gradobicie zniszczyło część zasiewów kukurydzy, lecz straty były stosunkowo niewielkie, jeśli wziąć pod uwagę dawno niespotykany w tych stronach urodzaj.

Przyszła pora żniw i Louisa, Eugene, Lou oraz Oz całe dni harowali w pocie czoła w polu, co miało również swoje dobre strony, bo nie starczało im czasu na myślenie o Diamencie. Ilekroć usłyszeli kopalnianą syrenę, po której następowała zawsze głucha eksplozja, Louisa intonowała piosenkę, żeby odwieść ich od wspomnień o tragicznie zmarłym przyjacielu.

Louisa niewiele mówiła o śmierci Diamenta. Lou zauważyła jednak, że prababka o wiele częściej czyta teraz Biblię przy blasku płonącego na kominku ognia i że jej oczy napełniają się łzami, kiedy w rozmowie padnie jego imię, albo kiedy spojrzy na Jeba. Trudno było się pogodzić z tym, co się stało, ale życie toczyło się dalej i mieli pełne ręce roboty.

Zebrali i wyłuskali fasolę i jedli ją codziennie na kolację, z tłuszczem i sucharkami. Skosili kukurydzę i jej łodygi, przeznaczone na paszę dla zwierząt, ustawili w polu w snopki, a kolbami wypełnili sąsiek niemal po strop.

Obrodziły ziemniaki. Były dorodne i jędrne, a okraszone masłem stanowiły pyszne danie. Udały się też pomidory. Jedli je na bieżąco, w całości albo pokrojone w plastry, albo krajali na cząstki, wkładali do weków, dodawali papryki, pieprzu i warzyw i gotowali w wielkim kotle. Wygotowane weki ustawiali w spiżarni lub pod schodami.

Robili soki i kompoty z poziomek i agrestu, a z jabłek dżem i przecier, z reszty zaś przetwory. Łodygi trzciny utarli na melasę, a część kukurydzy zmełli na mąkę i upiekli z niej chleb.

Nic się nie zmarnowało; Lou, pracująca z Ozem od świtu do zachodu słońca, nie mogła wyjść z podziwu, że wszystko jest tak skrupulatnie zagospodarowywane. Czegokolwiek tknęli, czy to ręką, czy narzędziem, zmieniało się w żywność. Lou widziała wciąż przymierającą głodem rodzinę George'a Davisa. Dręczyło ją to tak bardzo, że podzieliła się swoimi wątpliwościami z Louisą.

- Nie kładź się wcześniej spać, Lou, a zobaczysz, że mnie również nie daje to spokoju.

Późnym wieczorem zebrali się wszyscy przy sąsięku. Wkrótce potem w ciemnościach zaskrzypiały koła nadjeżdżającego drogą wozu. Eugene uniósł latarnię i jej blask oświetlił twarz siedzącego na koźle Billy'ego. Chłopiec zatrzymał wóz i popatrywał niepewnie na Lou i Oza.

Louisa podeszła do niego.

- Pomyślałam sobie, Billy, że przydadzą nam się pomocnicy. Ziemia była dla nas latoś łaskawa, dużo jest do ładowania, szybciej się uwiniemy.

Billy sprawiał wrażenie zakłopotanego. Widząc to, Lou zawołała:

- No, Billy, zeskakuj. Pomóż mi z tym wiadrem.

Jej słowa ośmieliły chłopaka. Zeskoczył z wozu i wspólnie zabrali się do roboty. Dobrą godzinę ładowali worki wyłuskanej kukurydzy, słoje marynowanej fasoli i pomidorów, rzepę, kapustę, ogórki, ziemniaki, jabłka, gruszki, słodkie ziemniaki, cebulę, a nawet parę osolonych połci mięsa wieprzowego.

W pewnej chwili Lou zauważyła, jak Louisa odciąga Billy'ego w kąt sąsięka i, przyświecając sobie latarnią, ogląda mu twarz, a potem każe unieść koszulę. Z jej miny wynikało, że oględziny wypadły satysfakcjonująco.

Kiedy uśmiechnięty Billy wdrapał się w końcu na wyładowany po brzegi wóz i, trzaskając dziarsko z bata, odjechał w noc, Lou zwróciła się do Louisy:

- Przecież nie ukryją tego wszystkiego przed George'em Davisem.
- Robię to już od lat. On nigdy jeszcze nie zapytał, skąd się to wszystko bierze.
- To niesprawiedliwe - stwierdziła z oburzeniem Lou. - George sprzedaje swoje plony i zgarnia pieniądze, a my dokarmiamy za darmo jego rodzinę.
- Tu nie chodzi o sprawiedliwość, lecz o to, żeby matka i jej dzieci miały co jeść - odparła Louisa.
- A po co kazałaś mu podnosić koszulę? - zmieniła temat Lou.
- George jest sprytny. Przeważnie bije tam, gdzie potem nie widać sińców, bo przykrywa je ubranie.
- Nie wystarczyło spytać Billy'ego, czy oberwał od ojca?
- To tak, jak z tym pustym pudełkiem na drugie śniadanie. Dzieci nie powiedzą ci prawdy, jeśli się jej wstydzą.

Mieli taką nadwyżkę zapasów, że Louisa postanowiła sprzedać jej część drwalom. W dzień tej wyprawy przyjechał Cotton, żeby posiedzieć przy Amandzie, a oni załadowali wóz i ruszyli w drogę. Drwale spodziewali się ich, bo ledwie wóz się zatrzymał na terenie obozu, otoczyła go spora gromada. Obóz był duży, miał własną szkołę, sklep i urząd pocztowy. Ponieważ jego mieszkańcy, w miarę postępowania wyrębu, musieli się przenosić, cała osada, w tym domki robotników, szkoła i sklep, była na szynach. Po zarządzeniu przenosin, doczepiano wagony do lokomotywek i osada podążała za cofającym się lasem.

Rodziny drwali płaciły za plody rolne gotówką lub w naturze, na przykład kawą, cukrem, papierem toaletowym, znaczkami pocztowymi, ołówkami i zeszytami, czasem nawet ubraniami,

butami i starymi gazetami. Louisa handlowała, a Lou i Oz obwozili miejscową dzieciarnię na Sue. Przejażdżka była darmowa, ale niektórzy opiekunowie uznawali za stosowne zapłacić za nią listkiem miętowej gumy do żucia.

Później wdrapali się na wysoką perć i spojrzeli z góry na nitkę rzeki McCloud. Jej bieg przegradzała w pewnym miejscu wzniesiona z kamieni i drewna zapora, spiętrzająca sztucznie rzekę tak, by jej poziom podniósł się ponad wystające z wody głazy i inne przeszkody. Ułatwiało to spławianie ściętych pni, przeważnie potężnych topoli. Wypełniały one rzekę od brzegu po brzeg i były naznaczone u nasady znakiem kompanii. Z wysoka przypominały ołówki. Oz i Lou dostrzegli na nich małe ruchliwe punkciki. W rzeczywistości byli to ludzie płynący na pniach. Kiedy dotrą do zapory, zostanie z niej wybity pewien ważny klin, a rwący nurt przeniesie drewno nad niebezpiecznym odcinkiem. Potem pnie powiąże się w tratwy, które popłyną z Wirginii do Kentucky.

Lou, patrząc na rozciągającą się w dole okolicę, odnosiła dziwne wrażenie, że w tym krajobrazie czegoś jej brakuje. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że drzew. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się same pniaki. Kiedy zjechali z powrotem do obozu, zauważyła również, że część szyn jest pusta.

- Wycięliśmy tu już prawie wszystko - wyjaśnił dumnie jeden z drwali - i niedługo przenosimy się w inne miejsce.

Tych ludzi zdawało się to nie wzruszać. Chyba zdążyli już przywyknąć. Podbić i przeć dalej, zostawiając za sobą wycięty w pień las.

W drodze powrotnej do domu Lou i Oz przywiązali Sue do wozu i wraz z Eugene'em zajęli miejsca z tyłu. Ten dzień udał się im wszystkim, ale najszczęśliwszy był Oz, bo „wygrał” prawdziwą baseballową piłeczkę, rzucając ją dalej niż wszyscy chłopcy z obozu. Twierdził, że to teraz jego najcenniejszy skarb, nie licząc

łapki cementarnego królika, tej, którą dostał kiedyś od Diamenta Skinnera.



Zamiast książek Lou wolała czytać matce gazety. Do wyboru miała „Grit” i kilka numerów „Saturday Evening Post”, które przywiozła z obozu drwali. Stawała pod ścianą i, trzymając przed sobą gazetę albo czasopismo, czytała Amandzie o ekonomii, katastrofach na świecie, wywołanej przez Hitlera wojnie w Europie, polityce, sztuce, filmach i nowinkach ze świata literackiego. Lektura tych ostatnich uświadomiła jej, jak dawno już nie czytała książki. Nie czekając na zbliżający się początek roku szkolnego, dosiadła Sue, pojechała do Big Spruce i wypożyczyła z „biblioteki” parę tytułów dla siebie i dla Oza, oczywiście za pozwoleniem Estelli McCoy.

Louisa nauczyła czytać Eugene’a, kiedy ten był jeszcze dzieckiem, tak więc Lou wybrała też książkę dla niego. Eugene martwił się, że nie będzie miał czasu przeczytać jej do końca, ale czytał, przeważnie późnymi wieczorami przy świetle lampy naftowej, z namaszczaniem przewracając kartki poślinionym palcem. Kiedy pracowali w polu, przygotowując glebę na nadchodzącą zimę, albo kiedy przy lampie naftowej doili krowy w oborze, Lou starała się poszerzać zasób jego słów. Podsuwała mu też do czytania „Grit” i „Post”. Eugene szczególnie lubił powtarzać pewne nazwisko pojawiające się często na łamach „Grit”.

- Roosevelt, prezydent Roosevelt.

Krowy popatrywały na niego dziwnie, myśląc pewnie, że coś do nich muczy. Lou zatkało, kiedy Eugene spytał ją pewnego dnia, jacy ludzie mogli dać swojemu dziecku na imię „Prezydent”.

- Myślałeś czasami o tym, żeby przenieść się gdzie indziej? -

spytała go Lou któregoś ranka podczas dojenia krów.

- Nie wystawiłem jeszcze nosa poza te góry - odparł Eugene.

- Ale wiem, że na nich świat się nie kończy.

- Mogę cię kiedyś zabrać do miasta. Zobacysz budynki tak wysokie, że nie da się wejść na górę po schodach. Trzeba wjeżdżać windą. - Spojrzał na nią pytająco. - Winda, to taki mały samochodzik, który jeździ w górę i w dół - wyjaśniła.

- Samochodzik? Coś jak hudson?

- Nie, bardziej podobny do komórki.

Eugene uznał to za bardzo interesujące, powiedział jednak, że chyba już woli pozostać przy uprawianiu roli w górach.

- Chcę sobie znaleźć żonę, założyć rodzinę, wychowywać dzieci.

- Byłby z ciebie dobry tatuś - przyznała Lou.

Uśmiechnął się.

- A z ciebie dobra mamusia. Poznać to po tym, jak zajmujesz się swoim braciszkiem i w ogóle.

Lou popatrzyła na niego.

- Moja matka była wspaniałą mamą - oznajmiła. Próbowwała sobie przypomnieć, czy powiedziała to kiedyś Amandzie. Zdawała sobie sprawę, że zawsze faworyzowała ojca, i ta myśl gnębiła ją teraz, bo nie było już możliwości, żeby wszystko naprawić.

Od wizyty w szkolnej bibliotece upłynął tydzień. Lou skończyła czytać Amandzie i udała się do obory, żeby posiedzieć tam trochę w samotności. Wspięła się na stryszek, usiadła w otwartych drzwiczkach i zapatrzyła się na dolinę i rysujące się za nią góry. Rozpamiętywała jakiś czas niewesołą przyszłość matki, a potem jej myśli skupiły się wokół Diamenta. Starła się wymazać go z pamięci, ale wiedziała, że nigdy jej się to nie uda.

Pogrzeb Diamenta był wydarzeniem szczególnym. Z okolicznych farm i osad od rana ściągali gromady ludzi. Lou nie zdawała sobie

nawet sprawy, że tyłu ich tu mieszka. Przybywali pod dom Louisy konno, na wołach, mułach, pieszo, na traktorach, jedna rodzina przyjechała nawet zdezelowanym packardem bez drzwiczek. Louisa przyjmowała ich, czym chata bogata. Jedli w milczeniu i popijali jabłecznik. Nie modlono się, lecz wiele osób przyciszonymi głosami składało kondolencje pogrążonym w żałobie przyjaciołom zmarłego. Cedrowa trumna stała we frontowej izbie. Wieko miała zabite gwoździami, bo nikt nie chciał patrzeć na to, co zrobił z Diamentem Skinnerem dynamit.

Lou wątpiła, by wszyscy ci ludzie byli naprawdę przyjaciółmi Diamenta, prędzej już znajomymi jego ojca. Podśluchiwała, jak jeden siwy staruszek z mocno przerzedzonym uzębieniem, nazwiskiem Buford Rose, ubolewa, że i ojca, i syna wykończyły te przekłete kopalnie.

Pochowali Diamenta obok rodziców, których mogiły dawno już zapadły się w ziemię. Rozmaici ludzie czytali ustępy z Biblii, płynęły łzy. Oz stanął na grobem i odważnie oświadczył wszystkim zebranym, że przed jego nie jeden raz chrzczonym przyjacielem bramy nieba stoją otworem. Louisa rzuciła na trumnę bukietik zasuszonych polnych kwiatów, cofnęła się i chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

Cotton wygłosił piękną mowę na cześć Jimmy'ego „Diamenta” Skinnera, nazywając go swoim młodym przyjacielem i ulubionym gawędziarzem.

Lou wypowiedziała parę słów, adresując je przede wszystkim do przyjaciela spoczywającego w drewnianej skrzyni, którą opuszczono w świeżo wzruszoną, pachnącą słodko ziemię. Wiedziała jednak, że nie ma go między tymi cedrowymi deskami, że odszedł do krainy rozciągającej się wysoko nad szczytami gór. Że jest teraz ze swoim ojcem i po raz pierwszy widzi matkę. Że na pewno jest szczęśliwy. Uniosła rękę i pomachała na pożegnanie kolejnej osobie, która tak

wiele dla niej znaczyła i która odeszła na zawsze.

Kilka dni po pogrzebie Diamenta Lou i Oz wybrali się do nadrzewnego szałasu po jego rzeczy. Lou orzekła, że Diament na pewno by chciał, żeby szkielet ptaka, pocisk z okresu wojny domowej, krzemienny grot strzały i stara luneta przypadły Ozowi.

- A co ty sobie weźmiesz? - spytał Oz, oglądając z nabożeństwem spadek po przyjacielu.

Lou otworzyła drewniane pudełeczko i wyjęła bryłkę węgla... tę, w której jakoby tkwił diament. Postanowiła sobie, że będzie obłupywała ją po kawałku dopóty, dopóki nie odsłoni drogocennego jądra, a wtedy pójdzie na grób Diamenta i tam je zakopie. I nagle zobaczyła na podłodze szałas kawałek drewnianka. Wiedziała, co to jest, zanim sięgnęła ręką. A było to wystrugane z orzechowego drewna serce z wyciętą po jednej stronie literką „L” i niewykończoną jeszcze „D” po drugiej. Diament Skinner umiał jednak pisać. Lou schowała serce i węgielek do kieszeni, zeszła z drzewa i biegiem wróciła do domu.

Wiernego Jeba adoptowali i chyba było mu dobrze, choć czasami popadał w depresję i skamlał za swoim dawnym panem. Bardzo lubił chodzić z Lou i Ozem na grób Diamenta. Wiedziony niezgłębionym psim instynktem, zaczynał popiskiwać z radości i skakać w powietrze, kiedy się tam zbliżali. Lou i Oz posypywali kopczyk opadłymi liśćmi, siadali i rozmawiali z Diamentem i ze sobą, wspominając zabawne figle i powiedzonka chłopca, a było ich bez liku. Potem ocierali oczy i wracali do domu przekonani, że rozczochrany i uśmiechnięty od ucha do ucha duch przyjaciela wędruje sobie boso po ukochanych górach. Diament Skinner niczego nie miał, a jednak był najszczęśliwszą osobą, jaką Lou poznała. Bez wątplenia wejdzie w komitwę z Panem Bogiem.

Przygotowywali się do zimy, ostrząc narzędzia pilnikami i na

szlifierce, uprzążając gnój z boksów w oborze i rozrzucając go po podoranych polach. Louisa myliła się co do Lou; dziewczynka nie mogła przywyknąć do zapachu nawozu. Wprowadzili zwierzęta do czystej obory, karmili je i poili, doili krowy, zajmowali się mnóstwem drobnych prac w obejściu, a wszystko to wydawało się teraz czymś tak naturalnym jak oddychanie. Bańki z mlekiem, garnce z masłem, słoiki z piklami, kiszoną kapustą i marynowaną fasolą znieśli do ziemianki obudowanej grubymi balami, dokładnie uszczelnionymi gliną i papierem. Naprawili też na farmie wszystko, co naprawy wymagało.

Zaczęła się szkoła, ale Billy Davis, tak jak zapowiedział jego ojciec, już do niej nie wrócił. Nikt nie komentował nieobecności chłopca, zupełnie jakby Billy nigdy nie istniał. Lou jednak myślała o nim czasami i żywiła nadzieję, że ma się dobrze.

Pewnego późnojesiennego wieczoru, kiedy na farmie wszystko zostało już zrobione, Louisa posłała Lou i Oza nad potok przepływający na południe od domu, żeby nazbierali tam świerkowych szyszek na udekorowanie bożonarodzeniowej choinki. Wprawdzie do Bożego Narodzenia było jeszcze daleko, ale dzieci bez szemrania pomaszerowały nad potok.

Wracając, zobaczyły przed domem samochód Cottona. W oknach było ciemno. Otworzyły ostrożnie drzwi, niepewne, co może je za nimi czekać. I wtedy Louisa i Eugene ściągnęli z lamp czarne serwety, w izbie pojaśniało, a Cotton podekscytowanym tonem wykrzyknął: „Wszystkiego najlepszego solenizantom w dniu ich urodzin”. I rzeczywiście były to ich podwójne urodziny, bo Lou i Oz przyszli na świat tego samego dnia, choć w odstępie pięciu lat, o czym Amanda poinformowała Louise w jednym z listów. Dzisiaj Lou stawała się oficjalnie nastolatką, Oz zaś kończył osiem lat.

Na stole stał placek z poziomkami i kubki z parującym jabłecznikiem. W placku tkwiły dwie małe świece i Lou z Ozem

solidarnie je zdmuchnęli. Louisa wyjęła prezenty, które tak pracowicie szyła wieczorami na swojej maszynie marki Singer: sukienkę z worka na nasiona w czerwone i zielone grochy dla Lou oraz elegancki garniturek i białą koszulę dla Oza, przerobione z używanych ubrań, które dostarczył jej Cotton.

Eugene wystrugał dla nich dwa gwizdki wydające dwa różne tony, żeby mogli się porozumiewać, kiedy zgubią się w lesie albo na polach. Louisa powiedziała, że echo dźwięków odbije się od gór, dotrze do słońca i wróci z powrotem na ziemię. Dmuchnęli w gwizdki i zachichotali, bo poczuli łaskotanie na wargach.

Cotton dał Lou tomik wierszy Walta Whitmana, a potem wyjął z pudełka coś, co zaparło Ozowi dech w piersiach. Dwie piękne, idealnie utrzymane, wyrobione, pachnące skórą, potem i świeżo skoszoną trawą rękawice baseballowe.

- Używałem ich za młodu - powiedział Cotton - ale przyznaję z ręką na sercu, że chociaż nie jestem najlepszym prawnikiem, to baseballista ze mnie jeszcze gorszy. Dwie rękawice, jedna dla ciebie, jedna dla Lou. I od czasu do czasu dla mnie, jeśli zechcesz wykorzystać moje skromne sportowe doświadczenie.

Oz zapewnił go, że będzie zaszczycony, mogąc to doświadczenie wykorzystywać, i przytulił rękawice do piersi. Usiedli do stołu i zjedli z apetytem placek, popijając jabłecznikiem. W końcu Oz przymierzył garnitur. Pasował jak ulał, chłopiec zaś wyglądał w nim przy Cottonie jak miniatura prawnika. Louisa założyła przewidująco trochę materiału, żeby miała z czego popuszczać, w miarę jak Oz będzie rósł i męźniał, co było prawdopodobnie kwestią dni. Tak wystrojony Oz wsunął pod pachę rękawice, wziął gwizdek i poszedł pokazać się matce. Po chwili Lou usłyszała dziwne odgłosy dochodzące z izby Amandy. Zajrzała tam i zobaczyła Oza stojącego na stołku. Głowę zdobiła mu baseballowa rękawica spełniająca funkcję korony, na ramiona miał zarzucone prześcieradło i wywijał

długim patykiem.

- I tak już nie tchórzliwy lew, lecz wielki dzielny Oz zabił smoka i ocalił wszystkie mamy, które żyły potem długo i szczęśliwie w Wirginii. - Zdjął rękawicę z głowy i skłonił się kilka razy głęboko. - Dziękuję, moi wierni poddani, nie ma sprawy. - Zeskoczywszy ze stołka, usiadł obok matki, wziął z nocnego stoliczka książkę i otworzył ją w miejscu zaznaczonym kawałkiem papieru.

- No, mamó - powiedział - teraz będzie straszny fragment, ale pocieszę cię od razu, że ta czarownica nie zezre dzieci. - Przysunął się trochę bliżej, objął matkę jedną ręką w talii i zaczął czytać z przejęciem.

Lou wróciła do kuchni, usiadła przy stole w swojej nowej sukience, która też na nią pasowała, i pogrążyła się w lekturze poruszających strof Whitmana, podsuwając książkę pod światło niezawodnej lampy naftowej. Zrobiło się tak późno, że Cotton postanowił zostać i przenocować przy kominku.

I tak minął w górach kolejny piękny dzień.

Lou, nie mówiąc nic Louisie ani Eugene'owi, wzięła latarnię i zapalki, dosiedli z Ozem Sue i pojechali do kopalni. Kiedy tam dotarli, Lou zeskoczyła na ziemię, ale Oz siedział dalej na klaczy i wpatrywał się w wylot chodnika z taką miną, jakby to były wrota piekieł.

- Ja tam nie wejdę - oświadczył.

- To zaczekaj tu na mnie - burknęła Lou.

- Po co tam idziesz? Przecież wiesz, co spotkało Diamenta. Góra może się na ciebie zawalić. A to na pewno bardzo boli.

- Muszę się dowiedzieć, co knują ludzie, których widział Diament.

Zapaliła latarnię i, nie oglądając się za siebie, wkroczyła do kopalni. Oz przez chwilę przestępował nerwowo z nogi na nogę przed wejściem, a potem puścił się biegiem za siostrą i szybko ją dogonił.

- Mówiłeś, że nie idziesz - szepnęła Lou.

- Pomyślałem sobie, że może ci być straszno samej - odparł Oz, chwytając się kurczowo jej koszulki.

Posuwali się ostrożnie naprzód, dygocząc z zimna i zdenerwowania. Lou zauważyła, że stemple i belki obudowy chodnika wyglądają na nowe. Intrygowały ją też znaki na ścianach, naniesione białą farbą. Z głębi korytarza dobiegł głośny syk.

- Wąż? - cichutko spytał Oz, - Jeśli wąż, to wielkości Empire State Building. Chodź.

Zerwali się do biegu. Syk z każdym krokiem przybierał na sile.

Pokonali zakręt i syk jeszcze bardziej się nasilił, przywodził teraz



na myśl parę, która uchodzi pod ciśnieniem z nieszczęelnego zbiornika. Pokonali następny zakręt, przebiegli odcinek prostej, znowu skręcili i zatrzymali się jak wryci na widok mężczyzn w górniczych kaskach z latarkami zasilanymi z baterii i w maskach. W podłodze chodnika ziała dziura, z której wystawała gruba metalowa rura. Źródłem syku, który słyszeli, była przypominająca pompę maszyna połączona z tą rurą węzami. Zamaskowani mężczyźni stojący nad dziurą nie zauważyli dzieci, Lou i Oz wycofali się powoli, potem odwrócili i rzucili do ucieczki. Wtedy drogę zastąpił im Judd Wheeler. Ominęli go i biegli dalej.

Wypadli zdyszani z kopalni. Lou wskoczyła na Sue, ale Oz, który nie miał najwyraźniej zamiaru powierzać swojego losu tak powolnemu wierzchowcowi, przemknął jak rakietą obok klaczy i dosiadającej ją na oklep siostry i pędził przed siebie z wiatrem w zawody. Lou dźgnęła piętami Sue i puściła się w pogoń za bratem, lecz dzielący ich dystans ciągle rósł, bo Oza nie dogoniłby teraz nawet samochód.

Cotton, Louisa, Lou i Oz zebrali się przy kuchennym stole na naradę.

- Co wam strzeliło do głów, żeby wchodzić do tej kopalni? - zżymała się gniewnie Louisa.

- Gdyby nie to, nic byśmy nie wiedzieli o tych ludziach - odparowała Lou.

Louisa musiała przyznać jej w duchu rację.

- Wyjdźcie - mruknęła. - Muszę porozmawiać z Cottonem.

Zaczekała, aż dzieci opuszczą kuchnię, i spojrzała na Cottona.

- I co o tym myślisz? - spytała.

- Z opisu Lou wynika, że oni nie szukali ropy, lecz gazu ziemnego. I znaleźli go.

- Co zrobimy?

- Przebywają bez pozwolenia na twoim terenie i orientują się już, że o tym wiemy. Przypuszczam, że złożą ci wizytę.

- Ta ziemia nie jest na sprzedaż, Cotton.

Prawnik pokręcił głową.

- Wiem, ale możesz sprzedać prawa do wydobywania jej bogactw naturalnych, a samą ziemię zatrzymać. Wydobywanie gazu to nie to samo co kopanie węgla. Nie wiąże się z taką dewastacją środowiska.

Louisa uparcie ciągnęła:

- Mieliliśmy dobre plony. Nie potrzebuję od nikogo pomocy.

- Louiso - powiedział powoli Cotton, spuszcając wzrok - życzę ci z całego serca, żebyś przeżyła nas wszystkich. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Jeśli te dzieci odziedziczą farmę przed osiągnięciem pełnoletności, trudno im będzie ją prowadzić. - Zawiesił głos, a potem dodał cicho: - A Amanda może wymagać specjalnej opieki.

Louisa kiwnęła ledwie zauważalnie głową, lecz się nie odezwała.

Lou i Oz odprowadzali odjeżdżającego Cottona, biegnąc ze śmiechem za jego kabrioletem. Eugene majstrował w skupieniu przy jakiejś maszynie. Louisa, z twarzą wyrażającą rezygnację, oparła się o drzwi. To była kwintesencja jej życia. Na pozór wszystko szło jak z płatka, ale ona dobrze wiedziała, jak krucha jest ta stabilizacja.

Przedstawiciele Southern Valley przybyli pod wieczór następnego dnia.

Louisa otworzyła drzwi i znalazła się oko w oko z Juddem Wheelerem. Obok niego stał mały człowieczek o oczach węża i przymilnym uśmiešku, ubrany w dobrze skrojony trzyczęściowy garnitur.

- Pani Cardinal, nazywam się Judd Wheeler. Jestem pracownikiem Southern Valley Coal and Gas. A to pan Hugh Miller, wiceprezes.

- I chodzi wam o mój gaz ziemny? - burknęła Louisa.

- Tak, proszę pani - przyznał Wheeler.

- To się dobrze składa, bo jest tu akurat mój prawnik - powiedziała Louisa, zerkając na Cottona, który wyszedł właśnie z izby Amandy i wkroczył do kuchni.

- Pani Cardinal - odezwał się Hugh Miller, kiedy usiedli - nie lubię owijać w bawełnę. Słyszałem, że spadły na panią dodatkowe obowiązki rodzinne, a wiem, ile to wymaga wyrzeczeń. Proponuję więc pani... sto tysięcy dolarów za pani własność. Mam przy sobie czek na tę sumę oraz stosowne dokumenty do podpisania.

- Boże wszechmogący - jęknęła Louisa, która przez całe swoje życie nie miała więcej niż pięć dolarów naraz.

- Żebyśmy się tylko dobrze zrozumieli - wtrącił się Cotton. - Kupujecie od Louisy jedynie prawa do wydobywania bogactw naturalnych znajdujących się na terenie jej posiadłości?

Miller uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Przykro mi, ale suma jest tak wysoka dlatego, że chcemy odkupić również ziemię.

- Nie sprzedam jej - powiedziała Louisa.

- A dlaczego nie może odstąpić wam samych praw do wydobywania?

- spytał Cotton. - To powszechnie stosowana tutaj praktyka.

- Mamy wielkie plany dotyczące tej okolicy. Zamierzamy zniwelować teren, zbudować sieć dobrych dróg oraz wznieść tu wieże wydobywcze, założyć instalacje wstępnej przeróbki i stację przesyłową. Jak również najdłuższy rurociąg, jaki widziano poza granicami Teksasu. Zdążyliśmy się już rozejrzeć. To idealne miejsce. Nie widzę żadnych minusów.

Louisa ściągnęła brwi.

- Tylko że ja tej ziemi wam nie sprzedam. Nie oskalpujecie jej, tak jak to już zrobiliście ze wszystkim naokoło.

Miller nachylił się do niej.

- Ta okolica umiera, pani Cardinal. Lasy wycięte. Zamyka się kopalnie. Ludzie tracą pracę. Po co komu góry, jeśli nie można ich wykorzystać, by pomóc ludziom? Przecież to tylko skały i drzewa.

- Mam akt własności tej ziemi, ale tak naprawdę góry nie są niczyją własnością. Póki tu jestem, czuwam nad nimi jedynie. One zaś dają mi wszystko, czego potrzebuję.

Miller się rozejrzył.

- Wszystko, czego pani potrzebuje? Nie ma tu pani nawet elektryczności ani telefonu. Jest pani kobietą bogobojną i chyba zdaje sobie pani sprawę, że Stwórca dał nam rozum po to, żebyśmy potrafili zapanować nad swoim otoczeniem. Czym są góry w porównaniu z ludźmi, którzy chcą pracą zarabiać na życie? Według mnie postępuje pani wbrew przykazaniom.

Louisa uśmiechnęła się ironicznie.

- Bóg stworzył te góry, by trwały wiecznie. A nas, ludzi, umieścił tu na króciutką chwilę. Mówi to panu coś?

Miller przewrócił oczami.

- Proszę posłuchać, moja firma chce sporo zainwestować w ożywienie tych okolic. Jak może nam pani w tym przeszkodzić?

Louisa wstała.

- Tak jak zawsze to robiłam. Tymi rękoma.

Cotton odprowadził Millera i Wheelera do samochodu.

- Panie Longfellow - zwrócił się do niego Miller - powinien pan nakłonić swoją klientkę do przyjęcia naszej propozycji.

Cotton pokręcił głową.

- Kiedy Louisa Mae Cardinal raz coś sobie postanowi, to odwodzenie jej od tego jest równie skuteczne jak próba zawracania kijem rzeki.

- Cóż, to się jeszcze okaże - mruknął Miller.

Cotton długo odprowadzał wzrokiem samochód przedstawicieli Southern Valley.

Na łące, kilka mil od farmy Cardinalów, wznosił się kościółek. Zbudowano go z nieheblowanej tarcicy, miał niską dzwonnice, zwyczajne szyby w niewielkim oknie i mnóstwo uroku. Którejś niedzieli Cotton zawiózł tam Lou, Oza i Eugene'a na mszę i kolację na trawie. Na trawie, wyjaśnił, bo nie ma tam stołów ani krzeseł, a jedynie koce, prześcieradła i brezentowe płachty; wielki piknik pod pretekstem spełniania chrześcijańskiej powinności.

Lou zaproponowała, że zostanie przy matce, ale Louisa nie chciała o tym nawet słyszeć.

- Czytam Biblię, modlę się do Boga, ale żeby dowieść swojej wiary, nie będę siedziała z innymi ludźmi i śpiewała.

- A po co ja mam tam jechać? - spytała Lou.

- Bo po mszy jest kolacja, a karmią tam, że palce lizać - odparła z uśmiechem Louisa. - Zobaczysz.

Oz włożył na tę okazję swój garnitur, Lou sukienkę z worka po nasionach i grube brązowe pończochy przytrzymywane gumowymi podwiązkami, a Eugene kapelusz, który dostał od Lou, i czystą koszulę. Oprócz niego było tam też kilku innych czarnych, a wśród nich jedna ładna, młoda kobieta o ślicznych oczach i pięknej, gładkiej skórze. Eugene wdał się zaraz z nią w rozmowę. Cotton wyjaśnił, iż czarnych jest w tych okolicach tak mało, że nie mają osobnego kościoła.

- I bardzo dobrze - skomentował. - Chociaż na Południu to nietypowe. Są miasta, w których w dalszym ciągu kultywuje się uprzedzenia rasowe.

- Widzieliśmy w Dickens wywieszkę „Tylko dla białych” - powiedziała Lou.

- Nie wątpię - odparł Cotton. - Ale w górach jest inaczej. Nie twierdzą, że wszyscy tu są święci, bobym skłamał, lecz życie tu trudne i ludzie nie mają czasu na zajmowanie się sprawami mało ważnymi. - Wskazał na pierwszy rząd ławek i dodał: - To znaczy,

z wyjątkiem George'a Davisa i paru innych.

Lou dopiero teraz zauważyła George'a Davisa siedzącego w pierwszej ławce. Miał na sobie czyste ubranie, był starannie uczesany, nawet się ogolił. Choć niechętnie, przyznać musiała, że prezentuje się statecznie. Ale nie było z nim nikogo z rodziny. Siedział z pochyloną głową i modlił się. Przed rozpoczęciem mszy Lou zapytała Cottona, co ma oznaczać to widowisko.

- George Davis - odparł - prawie zawsze przychodzi do kościoła, lecz na posiłku nie zostaje. I nigdy nie przyprowadza rodziny, bo taki już jest. Chciałbym wierzyć, że przychodzi tu z potrzeby ducha. Ale podejrzewam, że po prostu chce się pokazać. To bardzo wyrachowany człowiek.

Davis modlił się tak żarliwie, jakby Bóg rzeczywiście gościł w jego sercu i domu. A przecież Lou wiedziała, że rodzina tego człowieka chodzi w łachmanach, boi się go jak ognia i przymierałaby głodem, gdyby nie Louisa Cardinal. Pokręciła głową, a potem poprosiła Cottona:

- Żeby nie wiem co, nie siadajmy obok niego.

Cotton spojrzał na nią zaintrygowany.

- Dlaczego?

- Nie odpowiada mi jego towarzystwo.

Długo słuchali przyjezdnego pastora. Od twardych dębowych ławek drętwiały im pośladki, w nosach kręciło się od woni ługowego mydła, wody kolońskiej oraz mniej przyjemnych zapachów, które zalaływały od tych, co nie zadali sobie trudu, by umyć się przed wyprawą do kościoła. Oz zdrzemnął się dwa razy i Lou musiała go trącać łokciem. Cotton zaproponował, żeby pomodlili się w intencji Amandy, na co Lou i Oz ochnoczo przystali. Tłuściutki pastor straszył zaś wszystkich obecnym wiecznym potępieniem. Jezus oddał za nich życie, a oni, włącznie z pastorem, stanowią niewdzięczną bandę, która potrafi tylko grzeszyć. Na koniec świątobliwy mąż

niemal doprowadził słuchaczy do łez, zarzucając im, że są marnością nad marnościami i hołubią w grzesznych duszach szatana. Potem puścił w obieg tacę, prosząc grzecznie zmieszanych z błotem wiernych o datki w gotówce.

Msza się skończyła, wyszli przed kościół.

- Mój ojciec jest pastorem w Massachusetts - powiedział Cotton, kiedy zstępowali po schodach. - On też należy do zwolenników straszenia ogniem piekielnym i siarką. Jednym z jego idoli był Cotton Mather. Stąd moje osobliwe imię. Był wielce niepokieszony, że nie poszedłem w jego ślady, ale takie jest życie. Po prostu nie czułem powołania. - Rozejrzył się po ludziach gromadzących się wokół przygotowanego poczęstunku. - No, pokosztujmy teraz tych specjałów.

Takich frykasów Lou i Oz rzeczywiście nigdy jeszcze nie mieli w ustach: pieczony kurczak, szynka moczona w słodzonej zalewie, specjalność kuchni mieszkańców Wirginii, rolada warzywna z dodatkiem bekonu, puszysta kasza okraszona masłem, świeży chleb z chrupiącą skórką, zapiekanka warzywna, rozmaite odmiany fasoli i ciepłe jeszcze placki owocowe - wszystko to bez wątpienia przyrządzone na podstawie przekazywanych z pokolenia na pokolenie i ściśle strzeżonych rodzinnych przepisów. Dzieci, najedzone do syta, położyły się pod drzewem.

Do Cottona, który siedział na kościelnych schodach, obgryzał kurze udko, popijał gorącym jabłecznikiem i delektował się sielankową atmosferą smacznej kolacji, podeszła grupka mężczyzn. Byli to farmerzy o muskularnych ramionach i szerokich barach, z odciskami od motyk i kos na dłoniach.

- Witaj, Buford - powiedział Cotton, pozdrawiając skinieniem głowy tego, który wystąpił przed grupę, mnąc w rękach pilśniowy kapelusz. Znał Buforda Rose'a jako pracowitego i uczciwego człowieka. Jego farma była mała, ale sprawnie prowadzona. Do

wieku Louisy jeszcze mu sporo brakowało, lecz młody też już nie był. Stał milczący, ze wzrokiem wbitym w swoje znoszone trzewiki. Cotton spojrział na pozostałych mężczyzn. Większość z nich też znał, bo świadczył im już kiedyś usługi prawnicze, zwykle w zakresie rozwiewania wątpliwości co do praw własności, sporządzania testamentów albo wyliczania podatku gruntowego.

- Nachodzą nas ci od węgla, panie Cotton - odezwał się wreszcie Buford. - Względem ziemi. Znaczy się, odkupywać ją chcą.

- Słyszałem, że proponują dobrą cenę - powiedział Cotton.

Buford zerknął nerwowo na swoich towarzyszy i obrócił kapelusz w dłoniach.

- No, o tym żeśmy jeszcze nie gadali. Ale mówią, że nie będą kupować naszej ziemi, dopóki Louisa nie sprzeda swojej. Mówią, że chodzi o to, jak rozkłada się gaz i takie tam rzeczy. Ja się na tym nie wyznaję, ale tak właśnie mówią.

- W tym roku mieliście dobre zbiory - stwierdził Cotton. - Ziemia była dla wszystkich łaskawa. Może nie warto jej sprzedawać?

- A co będzie w przyszłym roku? - odezwał się mężczyzna młodszy od Cottona, lecz wyglądający na starszego o dobre dziesięć lat.

Cotton go znał. Jego rodzina gospodarzyła tu od trzech pokoleń i niczego się nie dorobiła. - Jeden dobry rok nie pokryje strat z trzech złych.

- Dlaczego Louisa nie chce sprzedawać, panie Cotton? - spytał Buford. - Jest starsza ode mnie, spracowana. No i ma jeszcze te dzieciaki na głowie i chorą kobietę w domu. Nie rozumiem, dlaczego nie chce sprzedać.

- To jej dom, Buford. Tak samo zresztą jak w twoim wypadku. Nie musimy się w tym doszukiwać sensu. Tak postanowiła i należy uszanować jej decyzję.

- A nie mógłby pan z nią pogadać?

- Przykro mi, ale to nic nie da.



Mężczyźni patrzyli na niego w milczeniu, widać było, że ta odpowiedź żadnego nie zadowoliła. Po chwili odwrócili się i odeszli, pozostawiając Cottona Longfellowa wielce zafrasowanego.

Oz zabrał na wyprawę do kościoła swoją piłkę i rękawice i rzucał teraz z Lou i paru chłopcami. Obserwujący zabawę mężczyźni nie mogli się nadziwić jego umiejętnościom. Twierdzili, że takiej ręki jeszcze nie widzieli. Lou znudziła się w końcu grą i podeszła do grupki dzieci, które o czymś rozmawiały. Okazało się, że tematem jest śmierć Diamenta Skinnera.

- Głupi był jak muł. Tak się dać wysadzić w powietrze - mówił pucołowaty chłopak, którego Lou nie znała.

- Trzeba być głupim, żeby wbiec do kopalni, w której założony jest dynamit i lont już się pali - podchwycił następny. - Boże, co za dureń.

- Bo nie chodził do szkoły - zawyrokowała ciemnowłosa dziewczynka w drogim kapeluszu z szerokim rondem, przewiązanym wstążką, i w równie drogiej sukience z falbankami. Lou znała ją. Nazywała się Charlotte Ramsey i była córką zamożnych właścicieli jednej z mniejszych kopalni węgla. - Czego się można spodziewać po takim analfabecie?

Lou nie wytrzymała.

- Wbiegł do tej kopalni, żeby ratować swojego psa - powiedziała. Od czasu przyjazdu w góry jeszcze bardziej urosła i przewyższała ich wszystkich, chociaż byli jej rówieśnikami.

Pucołowaty się roześmiał.

- Ryzykować życie dla kundla? Ale dureń.

W następnej chwili leżał już na ziemi, powalony pięścią Lou, i trzymał się za tłusty i puchnący w oczach policzek. Lou odwróciła się i oddaliła sztywnym krokiem.

Oz zauważył, co się stało, wziął piłkę i rękawice i pobiegł za siostrą. Zrównał się z nią i, nie odzywając się, czekał cierpliwie, aż

gniew jej minie. Miał w tym względzie doświadczenie. Wiatr przybrał na sile, nadciągały burzowe chmury.

- Wracamy do domu na piechotę, Lou?

- Jeśli ci się nie podoba, to możesz się zabrać z Cottonem i Eugene'em.

- Wiesz co, Lou? Jesteś taka mądra, że nie musisz bić ludzi pięściami. Możesz ich bić słowami.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się mimo woli.

- Od kiedy to jesteś taki dojrzały?

Oz zastanawiał się przez chwilę.

- Od kiedy skończyłem osiem lat.

Związał rękawice kawałkiem sznurka i powiesił je sobie na szyi, idąc podrzucał piłkę i chwycił ją za plecami. Rzucił ją po raz któryś z rzędu, ale już nie złapał. Upadła zapomniana na ziemię.

Spomiędzy drzew wynurzył się jak duch George Davis. Czyste ubranie i ogolona twarz nie były w stanie zamaskować zła gnieźdzącego się w tym człowieku. Oz natychmiast schował się za siostrę, a Lou zapytała hardo:

- Czego pan chce?

- Chodzi o tych ludzi od gazu. Louisa sprzeda?

- To jej sprawa.

- I moja! Założę się, że na mojej ziemi też jest gaz.

- To dlaczego pan im swojej nie sprzeda?

- Droga do mnie prowadzi przez jej grunt. Nie wjadą na moją ziemię, jeśli ona nie sprzeda.

- To już pański problem - oświadczyła Lou, tłumiąc uśmiech, bo przyszła jej do głowy myśl, że być może Bóg zainteresował się wreszcie tym człowiekiem.

- Powiedz Louisie, żeby lepiej sprzedała. Powiedz jej, że pożąuje, jak nie sprzeda.

- A pan pożąuje, jeśli się od nas nie odczepi.

Davis poderwał rękę do uderzenia.

- Ty pyskata cipo!

I w tym momencie jak spod ziemi wyrósł Cotton. Chwycił Davisa za przegub, powstrzymując cios, i spojrzał mu w oczy. Davis wyrwał się i zacisnął pięści.

- Już po tobie, adwokacino.

Chciał uderzyć Cottona, ale ten schwycił go za pięść i przytrzymał. Tym razem Davisowi nie udało się uwolnić ręki, choć bardzo się starał.

- Studiowałem w college'u literaturę amerykańską - wycedził Cotton tak złowróżbnym tonem, że Lou ciarki przeszły po plecach. - Ale byłem również kapitanem uniwersyteckiej drużyny bokserkiej. Jeśli jeszcze raz podniesiesz rękę na te dzieci, zrobię z ciebie miazgę.

Puścił pięść Davisa i ten cofnął się, wyraźnie speszony spokojem i siłą przeciwnika.

- Cotton, on chce, żeby Louisa sprzedała swoją ziemię, bo wtedy i on będzie mógł to zrobić - powiedziała Lou. - Bardzo mu na tym zależy.

- Louisa niczego nie sprzedaje - rzucił stanowczo Cotton. - A więc sprawa jest zamknięta.

- Nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć.

- Jeśli to pogróżka, to zaraz zainteresujemy sprawą szeryfa. Chyba że wolisz ją załatwić ze mną... tu i teraz.

George Davis splunął pod nogi, odwrócił się i odszedł.

Oz podniósł swoją piłkę.

- Dziękuję ci, Cotton - powiedziała Lou.

Lou siedziała na werandzie i bez większego zapału próbowała swych sił w sztuce cerowania skarpetek. Najbardziej lubiła pracować na powietrzu, pławić się w słońcu, wystawiać twarz na pieszczotę wiatru. Wciągnęła się już w dyscyplinę prac na farmie. Tak jak przepowiedziała Louisa, szybko zrozumiała wymagania ziemi i zaczęła ją szanować. Z dnia na dzień robiło się coraz chłodniej, włożyła więc gruby wełniany sweter, który zrobiła jej na drutach Louisa. Podniosła głowę, słysząc nadjeżdżający drogą samochód. Rozpoznawszy Cottona, pomachała mu, a on zrewanżował się tym samym. Wsiadł z wozu, wszedł na werandę i rozejrzeli się oboje po okolicy.

- Pięknie tu o tej porze roku - zauważył Cotton. - Nie ma drugiego takiego miejsca.

- To dlaczego mój tato tu nie wrócił? Jak myślisz?

Cotton zdjął kapelusz i przygładził dłonią włosy.

- Słyszałem już o pisarzach, którzy przez całe życie opiewali w swoich dziełach rodzinne strony, ale ani razu ich nie odwiedzili. Nic wiem dlaczego, Lou. Może bali się, że jeśli wrócą i zobaczą to miejsce w nowym świetle, ich opowieści stracą siłę.

- Bo rzeczywistość okaże się bardziej przyziemna od wspomnień, które pielęgnują?

- Być może. A jak ty uważasz? Czy, twoim zdaniem, żeby zostać wielkim pisarzem, trzeba się odciąć od swoich korzeni?

- Moim zdaniem - odparła bez większego zastanowienia Lou - to zbyt wygórowana cena za wielkość.

Każdego wieczoru przed położeniem się do łóżka Lou starała się przeczytać chociaż jeden z listów, które matka napisała do Louisy. Tydzień po rozmowie z Cottonem, chowając plik tych listów do szuflady biurka, natrafiła na opór. Wsunęła rękę, żeby tę przeszkodę usunąć, i namacała coś pod blatem. Uklękła na podłodze i, wsuwając rękę głębiej, zajrzała do szuflady. Po chwili wyciągała już kopertę, którą ktoś umocował tam plastrem. Usiadła na łóżku i przyjrzała się jej. Na wierzchu nie było żadnych napisów, ale wyczuwała w środku kilka kartek. Otworzyła kopertę i wyjęła je. Były pożółkłe ze starości, podobnie jak koperta, i zapełnione starannym, równym pismem. Zaczęła czytać. Pod koniec policzki miała już mokre od łez. Z daty umieszczonej w górnym rogu pierwszej kartki wynikało, że ojciec, pisząc te słowa, miał piętnaście lat.

Zeszła do kuchni, usiadła obok Louisy przy kominku, pokazała jej, co znalazła, i zaczęła czytać na głos od początku:

*Nazywam się John Jacob Cardinal, ale wszyscy wołają na mnie zdrobniale Jack. Mija już piąty rok od śmierci mojego ojca, a mama... cóż, mam nadzieję, że dobrze jej się wiedzie, gdziekolwiek teraz przebywa. Góry odciskają swoje piętno na wszystkich, którzy, dorastając tutaj, napawają się ich majestatycznym pięknem i zmagają z wyzwaniem rzucanymi przez surową przyrodę. Życie obfituje w wiele zdarzeń... czasem zabawnych, czasem wyciskających łzy z oczu. Chcę niniejszym przytoczyć historię, którą na krótko przed śmiercią opowiedział mi ojciec. Zapadła mi mocno w pamięć, ale dopiero teraz zdobyłem się na odwagę, żeby przelać ją na papier. Nie potrafię niestety powtórzyć jej wiernie za ojcem, więc opiszę ją po części własnymi słowami, ale myślę, że uda mi się zachować ducha jego opowieści.*

*Temu, kto będzie może czytał kiedyś te słowa, doradzam, by robił*

*to w skupieniu i wyciągał własne wnioski. Kocham góry chyba tak samo mocno, jak kochałem ojca, wiem jednak, że pewnego dnia stąd wyjadę, i wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze wrócę. Co bynajmniej nie znaczy, że nie mógłbym być tu szczęśliwy do końca moich dni.*

Lou odwróciła kartkę i zaczęła czytać Louisie opowiadanie:

Miał za sobą długi, znojny dzień, choć, będąc farmerem, nie znał innych. Przygnębiony przedłużającą się suszą, pustkami w spizarni, skargami głodnych dzieci i utyskiwaniem żony, wybrał się na przechadzkę. Uszedł kawałek, patrzy, a tu na skale nad stawem siedzi pastor.

- Jesteś rolnikiem - odezwał się nieznajomy głosem łagodnym i zdradzającym wielką mądrość.

Farmer przyznał, że faktycznie żyje z pracy na roli, ale nie życzyłby takiego losu swoim dzieciom ani nawet najgorszemu wrogowi. Pastor poprosił go, żeby usiadł z nim na skale, a kiedy farmer posłuchał, zapytał go, dlaczego nie chce, żeby jego dzieci przejęły po nim ojcowiznę. Farmer patrzył przez chwilę w niebo, udając, że się zastanawia, chociaż wiedział już, co odpowie.

- Bo nie ma cięższego kawałka chleba - powiedział w końcu.

- Przecież tak tu pięknie - rzekł pastor. - Pomyśl o nieszczęśnikach, którzy wegetują w zasmrodzonych miastach. Jak może mówić coś takiego człowiek, który oddycha na co dzień świeżym powietrzem i żyje na łonie natury?

Farmer odparł, że nie jest człowiekiem tak uczonym jak pastor, ale słyszał o wielkiej nędzy w miastach, gdzie ludzie nie wychodzą całymi dniami ze swoich nor, bo nie ma dla nich pracy. Albo żyją z zasiłku. Umierają z głodu - powoli, ale umierają. Czy tak nie jest? - zapytał, a pastor pokiwał wielką mądrą głową.

- A zatem jest to umieranie z głodu bez zasiłku - orzekł farmer.

- Najnędzniejsza egzystencja, o jakiej słyszałem - mruknął

duchowny.

Farmer się z nim zgodził, a potem podjął:

- I słyszałem też, że w innych częściach kraju są farmy tak wielkie, rozciągające się na ziemi tak płaskiej, że ptak nie przeleci w jeden dzień z jednego krańca na drugi.

- To prawda - przytaknął pastor.

- I że na takich farmach po żniwach - ciągnął farmer - ludzie jedzą jak królowie przez cały rok, a to, czego nie przejedzą, sprzedają i do kieszeni płynie im żywa gotówka.

- Wszystko to prawda - przyznał pastor.

- Ale w górach nie ma takich farm - zauważył farmer. - Jeśli jest urodzaj, to się co najwyżej najemy do syta, nic więcej.

- A ty czego byś jeszcze chciał? - spytał pastor.

- Bo to jest tak, wielebny pastorze: Moje dzieci, żona i ja harujemy co roku w pocie czoła od świtu do zmierzchu. Uprawiamy ziemię, żeby nas wyżywiła. Wszystko pięknie ładnie, nadzieja na obfity plon w nas rośnie. Aż tu nagle przychodzi susza. I przymieramy głodem. Mimo że ciężko pracowaliśmy. Czyż nie można się załamać?

- To rzeczywiście był trudny rok - przyznał pastor. - Czy wiesz jednak, że na wzrost kukurydzy wpływają nie tylko deszcze, ale i modlitwa?

- Modlimy się co dnia - odparł farmer - a kukurydza wyrosła dopiero do kolan, chociaż to już wrzesień.

- Cóż - mruknął pastor - oczywiście im więcej deszczu, tym lepiej. Lecz to wielkie błogosławieństwo być sługą ziemi.

Farmer na to, że jego małżeństwo nie przetrwa już długo mimo błogosławieństwa, bo żona trochę inaczej na to patrzy. Potem spuścił głowę i dodał:

- Ale kimże ja jestem, żeby się uskarżać.

- Mów, mój synu - zachęcił go pastor - albowiem jam jest uchem Boga.

- No, dobrze - dał się przekonać farmer. - Otóż ta ciężka praca, z której nie ma owoców, prowadzi do niesnasek w małżeństwie, do nieporozumień między mężem i żoną.

Pastor uniósł palec i powiedział:

- Lecz ciężka praca sama w sobie może być nagrodą.

Farmer się uśmiechnął.

- No, to dzięki Bogu, bo przez całe życie byłem hojnie nagradzany.

Pastor zaś podchwycił:

- A więc masz kłopoty w małżeństwie.

- Kimże ja jestem, żeby się uskarżać.

- Jam jest okiem Boga - rzekł pastor.

Spojrzeli obaj w błękitne niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki, z której mógłby spaść tak wyglądany przez farmera deszcz.

- Niektórzy ludzie nie są przygotowani do życia tak obfitującego w nagrody - mówił dalej farmer.

- Odnosisz to do swojej żony - domyślił się pastor.

- Może także do siebie - powiedział farmer.

- Bóg poprowadzi cię do prawdy, mój synu.

- Czy można się lękać prawdy? - zapytał farmer.

Pastor odparł, że człowiek może lękać się wszystkiego. Milczeli przez jakiś czas, bo farmer nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Kiedy po chwili spojrzał w niebo, zobaczył na nim chmury. Niebiosa się otwały i lunął na nich deszcz. Farmer wstał, bo czekała go teraz wytężona praca.

- Widzisz - oświadczył pastor - moje słowa się spełniły. Bóg wskazał ci drogę.

- To się jeszcze okaże - mruknął farmer. - Bo co może pomóc ten deszcz, skoro żniwa za pasem.

Kiedy ruszył w drogę powrotną do swojego domu, pastor zawołał



za nim:

- Synu ziemi, jeśli zbiory się udadzą, nie zapomnij podzielić się nimi z Kościołem.

Farmer obejrzał się i dotknął dłonią runda kapelusza.

- Niezbadane są wyroki Boże - powiedział.

Potem odwrócił się plecami do ucha i oka Boga i pomaszerował do domu.

Lou złożyła kartki i spojrzała na Louise. Miała nadzieję, że dobrze zrobiła, czytając jej te słowa. Ciekawa była, czy młody Jack Cardinal zdawał sobie sprawę, że ta historia nabierze cech osobistych, kiedy wspomni w niej o rozpadającym się małżeństwie.

Louisa patrzyła w ogień. Milczała przez kilka minut.

- Życie tu trudne, zwłaszcza dla dzieci - powiedziała w końcu. - A małżeństwa poddawane są ciężkiej próbie, choć w moim wypadku tak nie było. Jeśli nawet moi rodzice kiedyś się pokłócili, to nie w mojej obecności. A z moim mężem Joshua żyliśmy zgodnie aż do jego śmierci. Ale wiem, że twojemu tacie było trudniej. Jake często kłócił się z żoną.

- Tato zamierzał ściągnąć cię do nas. Przyjechałabyś?

Louisa spojrzała na Lou.

- Chcesz zapytać, czemu tu tkwię? Widzisz, Lou, ja kocham tę ziemię, bo ona nigdy mnie nie zawiodła. Jeśli zboże nie obrodzi, to żywię się jabłkami albo poziomkami, bo ich zawsze jest w bród, albo korzonkami, które rosną płytko pod ziemią i trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać. Nie przeszkadza mi, kiedy śniegu napada na dziesięć stóp. Nie przeszkadza mi deszcz ani grad, ani letni upał, na którym topi się smoła. Wodę znajdę nawet tam, gdzie nikt by się jej nie spodziewał, i tak żyję. W najlepszej komitywie ze swoją ziemią, z tymi górami. Ludzie, którzy zapalają światło małym przyczkiem i rozmawiają z kimś, kogo nie widzą, pewnie tego nie rozumieją. -

Urwała, by zaczerpnąć tchu. - Ale dla mnie to jest wszystkim. - Spojrzała znowu w ogień. - Wszystko, co pisze twój tato, to prawda. Góry są piękne. Góry są okrutne. - Zerknęła na Lou i dodała szybko: - I to jest mój dom.

Lou oparła głowę o pierś Louisy i ta pogłaskała ją po włosach. Siedziały tak chwilę przed kominkiem.

A potem Lou powiedziała coś, co jeszcze niedawno nie przeszłoby jej przez gardło.

- Teraz to również mój dom.

Z brzuchatych chmur sywał śnieg. Pod ścianą obory coś syknęło i rozbłysła iskra ostrego światła, która zaczęła się szybko rozrastać.

Dręczona koszmarami Lou jęknęła przez sen. Łóżka dzieci przeniesiono na zimę do frontowej izby, przed kominek. Spały tam opatulone uszytymi przez Louise ciepłymi kołdrami. Lou poruszyła się niespokojnie i otworzyła oczy. Wydawało jej się, że coś usłyszała. Usiadła na łóżku i zamieniła się w słuch. Skrobanie w drzwi całkowicie ją otrzeźwiło. Zerwała się i otworzyła. Do izby wpadł Jeb. Skamlał i przebierał nerwowo łapami.

- O co chodzi, Jeb? Co się stało?

I w tym momencie dobiegły ją porykiwania i kwik zwierząt.

Wybiegła w samej nocnej koszuli przed dom, a Jeb, ujadając, za nią. Już wiedziała, co go tak przestraszyło: obora stała w ogniu. Wpadła z powrotem do domu, krzyknęła, że się pali, i pognąła w kierunku płonącego budynku.

Z domu wyskoczył zaspany Eugene, po piętach deptał mu Oz.

Lou otworzyła na oścież wielkie wrota i w twarz buchnęły jej kłęby dymu i języki płomieni.

- Sue! Bran! - krzyknęła i dym wypełnił jej płuca. Czuła, jak włoski na przedramionach stają jej dęba od bijącego ze środka żaru.

Eugene przekuśtykał obok niej i zniknął w oborze. Po chwili wytoczył się stamtąd, krztuszając i zanosząc kaszlem. Lou rozejrzała się gorączkowo, jej wzrok padł na koryto z wodą i na koc przewieszony przez ogrodzenie. Chwyciła koc i zanurzyła go w zimnej wodzie.

- Zarzuć to na siebie, Eugene.

Mężczyzna nakrył się mokrym kocem i wpadł z powrotem do obory.

W środku wszystko płonęło. Spadająca belka omal nie trafiła go w ramię. Dym i języki ognia przesłaniały widok. Eugene posuwał się krok za krokiem, wyciągając przed siebie ręce jak ślepiec. Dobrnął tak do miotającej się w boksie Sue, otworzył furtę i zarzucił lasso na szyję przerażonej klaczy.

Wyciągnął zwierzę z obory, rzucił Lou koniec liny i pognął z powrotem w ogień. Lou odprowadziła klacz na bezpieczną odległość, a potem chwycili z Ozem za wiadra i pobiegli do źródelka po wodę, chociaż Lou zdawała sobie sprawę, że to nic nie da. Eugene wyprowadził z obory oba muły i wszystkie krowy prócz jednej. Spaliły się jednak wieprze, cały zapas siana i większość narzędzi oraz uprzęży. Owce na szczęście spędzały tę noc na zewnątrz, straty jednak były ogromne.

Louisa i Lou jak zahipnotyzowane patrzyły z werandy na dopalający się drewniany szkielet obory. Eugene stał przy korralu, do którego zapędził ocalałe zwierzęta. Oz warował obok niego, z wiadrem pełnym wody, gotów stłumić w zarodku każde nowe zarzewie ognia.

- Wali się! - krzyknął w pewnej chwili Eugene i odciągnął Oza dalej.

Obora zapadła się, płomienie strzeliły w niebo, z którego na to rozszalałe piekło opadały leniwie wielkie płaty śniegu.

Louisa wpatrywała się w pogorzeliśko z takim cierpieniem w oczach, jakby i ją dosięgły płomienie. Ściskająca ją za rękę Lou wyczuła, jak palce Louisy zaczynają drżeć i dziwnie wiotczeć.

- Louiso?

Prababka osunęła się bez słowa na deski werandy.

- Louiso!

Rozpaczliwe krzyki dziewczynki niosły się echem po niewzruszonej, chłodnej dolinie.

Cotton, Lou i Oz stali nad leżącą w szpitalnym łóżku Louisą. Pędzili tu hudsonem na złamanie karku. Zgrzytały biegi zmieniane przez roztrzęsionego Eugene'a, silnik wył potępieńczo, koła to wpadały w poślizg na zaśnieżonej nawierzchni, to znów odzyskiwały przyczepność. Dwa razy mało brakowało, a runęliby w przepaść. Lou z Ozem, przytuleni do prababki, modlili się, żeby od nich nie odchodziła. Dowieźli ją do małego szpitalika w Dickens i Lou popędziła ściągnąć z łóżka Cottona. Eugene wrócił na farmę do Amandy i zwierząt.

Louisą zajął się Travis Barnes, który był ordynatorem szpitala, a zarazem jego lokatorem. Nie krył z troskania.

- Co z nią, Travis? - spytał Cotton.

Barnes zerknął na dzieci i odciągnął Cottona na stronę.

- Miała wylew - powiedział przyciszonym głosem. - Wygląda mi to na paraliż lewej strony ciała.

- Wyzdrowieje? - spytała podsłuchująca Lou.

Travis rozłożył ręce.

- Niewiele możemy zaradzić. Przełomowe będą najbliższe dwie doby. Gdybym miał pewność, że przetrwa podróż, przewiozłbym ją do szpitala w Roanoke. Tutaj nie mamy środków do zajmowania się takimi przypadkami. Możecie wracać do domu. Dam wam znać, jeśli jej stan ulegnie zmianie.

- Nigdzie się stąd nie ruszę - powiedziała Lou i Oz jej zawtórował.

- Chyba zostałeś przegłosowany - mruknął Cotton.

- Na korytarzu jest kanapa - westchnął ustępliwie Travis.

Spali na siedząco na kanapie, obejmując się nawzajem. W pewnej chwili ramienia Cottona dotknęła pielęgniarka.

- Louisa się obudziła - powiedziała cicho.

Uchyliłi ostrożnie drzwi i weszli. Louisa oczy miała otwarte, ale na tym się kończyło. Stał nad nią Travis.

- Louiso? - odezwał się Cotton.

Żadnej reakcji, nawet błysku rozpoznania w oku. Cotton spojrzał na Trávisa.

- Jest wciąż bardzo osłabiona - odezwał się lekarz. - Dziwię się, że w ogóle odzyskała przytomność.

Lou wpatrywała się w prababkę, wystraszona jak nigdy dotąd. Nie mogła w to uwierzyć. Ojciec i matka, potem Diament. Teraz Louisa. Sparaliżowana. Mamie od dawna nie drgnął nawet mięsień. Czyżby jej los miała podzielić Louisa? Kobieta, która z takim szacunkiem odnosiła się do ziemi? Która tak wielbiła góry? Która tak kochała życie? Lou traciła wiarę w Boga tak strasznie doświadczającego ludzi, pozostawiającego człowieka bez nadziei. Bez niczego.

Cotton, Oz, Lou i Eugene zasiedli w minorowych nastrojach do kolacji.

- Jak to możliwe, że nie złapali jeszcze tego podpalacza - mruknęła gniewnie Lou.

- Nie ma dowodu, że to było podpalenie, Lou - powiedział Cotton, nalewając sobie mleka i przesuwając talerz z sucharkami.

- Ja wiem, kto to zrobił. George Davis. Pewnie ludzie od gazu mu zapłacili.

- Nie wolno ci rozpowiadać takich rzeczy, Lou, to pomówienie.

- Wiem, że to on! - krzyknęła dziewczynka.

Cotton zdjął okulary.

- Lou, uwierz mi.

Zerwała się od stołu, strącając na podłogę swój nóż i widelec.

- Dlaczego mam wierzyć we wszystko, co mówisz, Cotton? Zapewniałeś już, że mama do nas wróci. I co? Nie dość, że nie wróciła, to jeszcze Louisa odeszła. Może będziesz nas teraz

okłamywał, że i jej się polepszy? No, będziesz?

Wybiegła z domu. Oz chciał biec za nią, ale Cotton go przytrzymał.

- Daj jej ochłonąć, Oz - powiedział, wstając od stołu. Wyszedł na werandę i zamyślił się, spoglądając w gwiazdy.

Przez podwórko przemknęła Lou na klaczy. Wyrwany z zadumy Cotton patrzył za nimi, dopóki nie rozplynęły się w ciemnościach.

Lou gnała, co koń wyskoczy, ledwie widocznymi w poświacie księżycy ścieżkami. Chłostały ją zarośla, drapały gałęzie drzew, ale ona na to nie zważała. Przed domem Diamenta zeskokczyła z Sou, potykając się w ciemnościach, przebiegła resztę drogi i wpadła do środka.

Z mokrą od łez twarzą zaczęła się miotać po izbie.

- Dlaczego nas opuściłeś, Diament? Teraz nie mamy z Ozem nikogo. Nikogo! Słyszysz mnie? Słyszysz, Diamencie Skinnerze?!

Na werandzie coś zatupotało. Lou odwróciła się na pięcie przerażona. Przez otwarte drzwi wpadł Jeb i skoczył jej w objęcia. Zziębnięty po długim forsownym biegu zaczął lizać jej twarz. Przytuliła psa. I w tym momencie gałąź drzewa zastukała o szybę, a w kominie zajęczało przeciągle. Lou ciarki przeszły po plecach. Jeszcze mocniej przytuliła Jeba. Okno otworzyło się z trzaskiem, do izby wdarł się silny podmuch wiatru, ale po chwili znowu zaległa cisza.

Lou, ochłonawszy trochę, wyszła z domu, dosiadła Sue i, zachodząc w głowę, po co tu w ogóle przyjechała, ruszyła w drogę powrotną. Jeb kłusował za nią z wywieszonym jęzorem. Na rozwidleniu skręciła w lewo, w ścieżkę prowadzącą do farmy. Jeb szczechnął ostrzegawczo, zanim ona cokolwiek usłyszała. Coś przedzierało się w ich stronę z gardłowym warkotem i trzaskiem łamanych gałązek. Lou ponagliła klacz do szybszego biegu, ale było już za późno. Spomiędzy drzew wyskoczył na ścieżkę dziki pies,

właściwie bardziej wilk niż pies. Na widok tej szczerzącej zęby, zjeżonej bestii Sue stanęła dęba. Z lasu wypadwały następne i po chwili otaczała ich już sfora licząca z pół tuzina sztuk. Jeb też dzielnie wyszczerzył kły i zjeżył się, lecz Lou zdawała sobie sprawę, że wobec takiej liczebnej przewagi nie ma najmniejszej szansy. Sue ponownie stanęła dęba, zarżała przeraźliwie i okręciła się w kółko. Lou zaczęła się zsuwać z jej spoconego grzbietu. Podkurczyła nogę, w którą chciał się wbić kłami jeden z napastników. Zwierzę oberwało w łeb kopytem Sue i na chwilę straciło orientację. Reszta wychudłych psów krążyła wokół, powarkując cicho. Jeb rzucił się do ataku, ale skarcony przez jedną z bestii, wycofał się. Na jego sierści pojawiła się krew.

Któreś ze zwierząt doskoczyło do przedniej nogi Sue i klacz znowu stanęła dęba. Opadła z powrotem na cztery nogi już bez jeźdźca, bo tym razem Lou nie utrzymała się na jej grzbiecie i runęła na wznak, tracąc na chwilę oddech w zderzeniu z ziemią. Odciążona Sue pogalopowała ścieżką w kierunku domu, ale Jeb został, żeby bronić swojej pani, najwyraźniej gotów oddać za nią życie. Sfora, wyczuwając łatwą zdobycz, przybliżyła się. Lou, skrzywiona z bólu, który przeszywał jej bark i promieniował na plecy, pozbierała się z ziemi. Nie miała pod ręką nawet kija. Wycofała się z Jebem pod drzewo i przywarła plecami do pnia. Przygotowując się na śmierć w walce, myślała o Ozie, który zostanie teraz sam, i łzy napływały jej do oczu.

I nagle z ciemności dobiegł ryk. Zdziczałe psy obejrzały się jak na komendę. Nawet największy z nich, wielkości cielaka, podkulił ogon i stulił uszy po sobie na widok nadbiegającej wielkimi susami pantery. Była ogromna i wysmukła, pod jej smolistoczną skórą grały sploty mięśni. Miała bursztynowe ślepie i kły dwa razy dłuższe od psich. Wysunięte pazury przywodziły na myśl przytwierdzone do łap widły. Znalazłszy się na ścieżce, ryknęła ponownie i runęła na



psią sforę z impetem wyładowanego po brzegi pociągu towarowego. Psy odwróciły się i rzuciły do ucieczki, a kot pognął za nimi, porykując po każdym pełnym gracji susie.

Lou i Jeb popędzili co sił w nogach w kierunku domu. Od celu dzieliło ich jeszcze z pół mili, kiedy znowu usłyszeli za sobą trzask łamanych gałązek. Jeb zjeżył się, Lou serce podeszło do gardła: zobaczyła bursztynowe ślepia kota biegnącego przez ciemny las równoległe do nich. To przerażające zwierzę mogłoby w parę sekund rozerwać na kawałki i ją, i psa. Ale ono sadziło tylko obok nich długimi susami, przez cały czas pozostając pod osłoną drzew. O tym, że wciąż tam jest, świadczył jedynie szelest zeschniętych liści i leśnego poszycia pod łapami oraz te jarzące się ślepia, zdające się płynąć w ciemności, w którą wtapiało się czarne cielsko.

Na widok domu Lou wydała radosny okrzyk. Wbiegli z Jebem na werandę i wpadli do środka. W izbie nie było nikogo, Cotton pewnie dawno już odjechał. Lou, dysząc ciężko, wyjrzała przez okno, ale bestii już nie zobaczyła.

Dygocząc ze zdenerwowania, weszła do korytarzyka. Zatrzymała się pod drzwiami matki i oparła o nie. Zajrzała dzisiaj w oczy śmierci i było to przeżycie okropne, straszniejsze nawet od samochodowego wypadku, bo była zdana wyłącznie na siebie. Uchyliła drzwi, wsunęła głowę do izby i ze zdziwieniem stwierdziła, że okno jest otwarte. Weszła do środka, zamknęła je i odwróciła się twarzą do łóżka. Przez chwilę wydawało jej się, że nie widzi matki w pościeli, ale był to tylko moment. Amanda leżała z zamkniętymi oczami i oddychała płytko. Palce miała podkurczone, jakby z bólu. Lou dotknęła jej i szybko cofnęła rękę. Skóra matki była wilgotna, lepka. Lou wybiegła z izby i wpadła na stojącego w korytarzu brata.

- Oz - wyrzuciła z siebie - nie uwierzysz, co mi się przydarzyło.

- Co robiłaś u mamy?

Lou odsunęła się.

- Co robiłam? Zwyczajnie...

- Jak nie chcesz, żeby mama wyzdrowiała, to zostaw ją w spokoju, Lou. Zostaw w spokoju!

- Co ty, Oz...

- Tato najbardziej kochał cię, ale mamą ja się opiekuję. Tak jak ona opiekowała się zawsze nami. Wiem, że mama wydobrzeje.

- Nie przyjąłeś jednak od Diamenta buteleczki ze święconą wodą.

- Może wisioriki i święcona woda nie pomogą mamie, ale ja wierzę, że jej się poprawi. A ty... jak w to nie wierzysz... zostaw ją w spokoju.

Nigdy jeszcze nie mówił do niej w ten sposób. Stał i patrzył na nią płonącymi oczami, chude, silne ręce dyndały mu po bokach, jak zakończone igłami nitki. Jej młodszy brat był na nią naprawdę zły! Nie mogła w to uwierzyć.

- Oz! - Chłopiec odwrócił się i ruszył korytarzem. - Oz! - zawołała ponownie. - Proszę, nie wściekaj się na mnie. No, proszę cię!

Oz nawet się nie obejrzał. Wszedł do swojej izby i zatrzasnął drzwi.

Lou powlokła się na tyły domu, wyszła na zewnątrz i usiadła na schodkach. Piękna noc, wspaniała panorama gór, krzyki zwierząt nie robiły na niej wrażenia. Patrzyła na swoje ogorzałe, spracowane dłonie. Paznokcie miała połamane i brudne, włosy splątane i zniszczone od ługowego mydła, całe ciało obolałe, a strata wszystkich, których kochała, odbierała jej chęć do życia. Teraz nie kochał jej nawet najdroższy Oz.

I w tym momencie zawyła kopalniana syrena po drugiej stronie doliny. Można by pomyśleć, że to góry jęczą w oczekiwaniu na paroksyzm bólu, który zaraz nimi wstrząśnie. Ten dźwięk rozdzierał Lou duszę. Czarę przeppełnił głuchy grzmot wybuchu. Spojrzała na pagórek z mogiłami Cardinalów i nagle zapragnęła też się tam znaleźć, mieć wreszcie wszystko za sobą.

Podciągnęła kolana pod brodę, wsparła na nich czoło i rozpłakała się. Za jej plecami skrzypnęły drzwi. Pomyślała, że to Eugene, lecz kroki były zbyt lekkie jak na niego. Otoczyły ją od tyłu ramiona Oza.

Poczuła na karku jego oddech. Siedziała dalej zgarbiona, ale sięgnęła za siebie jedną ręką i objęła go. Brat i siostra długo trwali w tej pozycji, tuląc się do siebie.

Pewnego dnia Eugene zaprzągnął muły do wozu i pojechał z Lou i Ozem do sklepu McKenziego. Rollie McKenzie stał za wysoką do pasa ladą z wypaczonych klonowych desek. Był to niski, pulchny człowieczek z błyszczącą łysą głową i długą, opadającą na piersi siwą brodą, którą miał zwyczaj machinalnie skubać. Nosił silne okulary, a i tak musiał mrużyć oczy, bo kiepsko w nich widział. Sklep był zavalony najrozmaitszymi artykułami, niezbędnymi na każdej farmie, oraz materiałami budowlanymi. Unosiły się w nim zapachy skórzanych uprzęży, nafty i dymu ze stojącego w kącie żelaznego piecyka na drewno. Pod ścianą stały szklane dozowniki cukierków i maszyna z cherocolą. Kilku znajdujących się w sklepie klientów znieruchomioło i gapiło się na Eugene'a i dzieci jak na duchy.

McKenzie przymrużył oczy i skinął Eugene'owi głową.

- Witamy, panie McKenzie - powiedziała Lou. Była tu już kilka razy i zdążyła się zorientować, że właściciel, choć burkliwy, jest porządnym człowiekiem.

Oz podrzucał baseballową piłkę, na szyi miał zawieszoną rękawicę. Ostatnio nigdzie się bez nich nie ruszał i Lou podejrzewała, że nawet z nimi śpi.

- Przykro słyszeć o Louisie - mruknął McKenzie.

- Wyzdrowieje - oświadczyła z przekonaniem Lou i Oz spojrział na nią zaskoczony, omal nie upuszczając piłki.

- Czym mogę służyć? - spytał McKenzie.

- Mus stawić nową oborę - odezwał się Eugene - i trzeba nam paru rzeczy.

- Bo starą ktoś nam spalił - dodała Lou i rozejrzała się po twarzach gapiących się ludzi.

- Zdałoby się trochę desek, belek, gwoździ, okuć do drzwi i co tam jeszcze - wyliczał z pamięci Eugene. - Wszystko tu spisane. - Wyciągnął z kieszeni karteczkę i położył ją na ladzie.

McKenzie nawet na nią nie spojrzał.

- Muszę zobaczyć gotówkę - powiedział, dając wreszcie spokój swojej brodzie.

Eugene zrobił wielkie oczy.

- Przecie jesteście kwita. Wszystko spłacone.

McKenzie zerknął na kartkę.

- Dużo tego. Nie mogę dać wam tyle na krechę.

- To zapłacimy ziarnem. W naturze.

- Nie. Gotówka.

- Dlaczego nie chce nam pan udzielić kredytu? - spytała Lou.

- Czasy ciężkie - odburknął McKenzie.

Lou rozejrzała się po stosach towarów.

- Mnie wyglądają na całkiem niezłe.

McKenzie odsunął od siebie kartkę.

- Przykro mi.

- Ale nam potrzeba obory - powiedział Eugene. - Zima za pasem, a nie będziem trzymać zwierząt pod gołym niebem. Powyzdychają.

- Tych zwierząt, które ocalały - dorzuciła Lou, spoglądając wyzywająco na gapiących się wciąż ludzi.

Z zaplecza wyszedł mężczyzna dorównujący posturą Eugene'owi. Był to zięć McKenziego i Lou nie miała wątpliwości, że ostrzy sobie zęby na przejęcie interesu, kiedy McKenzie po raz ostatni zmruży oczy.

- No, Za Cholerę - warknął mężczyzna - chyba słyszałeś.

Zanim Lou zdążyła zareagować, Eugene podszedł do niego.

- Wiesz, że tak się nie nazywam. Jestem Eugene Randall. I nie waż

się nazywać mnie inaczej.

Wielkolud cofnął się zaskoczony. Lou i Oz popatrzyli po sobie, a potem spojrzeli z dumą na swojego przyjaciela.

Eugene powiódł wzrokiem po klientach, jakby chciał dać do zrozumienia, że i do nich się to odnosi.

- Przepraszam, Eugene - zawołał zza lady Rollie McKenzie. - To się więcej nie powtórzy.

Eugene kiwnął McKenziem głową i, zagarniając po drodze dzieci, ruszył do drzwi. Wyszli ze sklepu i wdrapali się na wóz. Lou dygotała z gniewu.

- To ta firma gazownicza. Zastraszili wszystkich. Nastawili ludzi przeciwko nam.

Eugene ujął lejce.

- Będzie dobrze. Coś obmyślimy.

- Zaczekaj chwileczkę, Eugene - krzyknął nagle Oz.

Zeskoczył z wozu i wbiegł z powrotem do sklepu.

- Panie McKenzie? Panie McKenzie? - zawołał.

Stary McKenzie, mrugając i skubiąc brodę, wrócił za ladę.

Oz cisnął na nią swoje rękawice, obok położył piłkę.

- Czy to wystarczy na oborę?

McKenzie patrzył na malca. Usta mu drżały, mrugające oczy powilgotniały za grubymi szklami okularów.

- Wracaj do domu, chłopcze. Wracaj do domu.

Przeczesali pogorzeliśko i wyzbierali z niego wszystkie gwoździe, okucia i zdatne jeszcze do użytku kawałki desek i belek.

- Niewiele tego - stwierdził Cotton, patrząc na stosik odzyskanych materiałów.

Eugene spojrział na las.

- Budulca tu dostatek... za darmo. Ino brać i ścinać.

Lou wskazała na opuszczoną chatę, o której pisał jej ojciec.

- I możemy wykorzystać materiał stamtąd - powiedziała, spoglądając z uśmiechem na Cottona. Nie rozmawiali od pamiętnego wybuchu Lou i było jej z tym źle. - Może zdarzy się cud - dodała.

- No, to do roboty - zakomenderował Cotton.

Rozebrali chatę i odzyskali z niej, co się tylko dało. Przez kilka następnych dni ścinali drzewa siekierą i piłą poprzeczną, które ocalały z pożaru, gdyż leżały w sąsiedku. Każde ścięte drzewo obwiązywali łańcuchem, do łańcucha zaprzęgali muły i wlekli ciężar na plac budowy. Na szczęście Eugene, choć samouk, cieślą był pierwszorzędnym. Pod jego kierunkiem oczyszczali pnie z gałęzi, okorowywali je i Eugene, posiłkując się kątownikiem i taśmą mierniczą, zaznaczał na drewnie miejsca, gdzie należało wyciąć wręby.

- Gwoździ mało, to trzeba radzić sobie inaczej. Będziem łączyć belki na wpust i zatykać szpary gliną. Jak będą gwoździe, to poprawimy.

- A co ze słupami narożnymi? - spytał Cotton. - Nie ma ich czym zacementować.

- To nic. Wykopiemy głębokie dziury i zaklinujemy w nich słupy kamieniami. Narożniki wzmocni się dodatkowo zastrzałami. Zobaczycie.

- Ty tu jesteś szefem - powiedział Cotton z zachęcającym uśmiechem.

Cotton i Eugene chwycili za kilof i łopatę i zabrali się do kopania pierwszego dołu pod słup narożny. Mieli trudności z przebicciem się przez stwardniałą warstwę ziemi. Para buchała im z ust, pościerali sobie dłonie, chociaż pracowali w rękawicach. Oz i Lou wycinali tymczasem dłutami wręby w belkach i ręcznym świdrem drążyli w narożnych słupach gniazda na czopy w zaznaczonych przez Eugene'a miejscach. Kiedy wszystko było gotowe, podciągnęli

z pomocą mułów słup narożny do dołu i okazało się, że nie ma jak go weń wpuścić. Robili, co mogli, próbowali pod różnymi kątami, podważali, czym się dało. Wielki Eugene natężył mięśnie, mały Oz też, ale nie byli w stanie unieść słupa na taką wysokość, by zsunął się do dołu i stanął w nim pionowo.

- Później coś wykombinujemy - zdecydował w końcu zasapany Eugene.

Zmontowali z Cottonem pierwszą ścianę i przystąpili do zbijania jej gwoździami. Gwoździe skończyły się w połowie ściany. Pozbierali, do ostatniego, każdy kawałek metalu, jaki walał się na terenie obejścia, Eugene rozpałił pośrodku pogorzelniska wielkie ognisko i w tej zaimprovizowanej kuźni, posiłkując się kowalskim młotem i cęgami, wyklepał na kowadle do podków tyle prowizorycznych gwoździ, ile się dało.

- Dobrze, że żelazo się nie pali - zauważył Cotton, obserwując Eugene'a przy pracy.

Gwoździ wyklepanych mozolnie przez Eugene'a nie wystarczyło nawet na zabicie do końca pierwszej ściany.

Pracowali już wiele dni, robiło się coraz chłodniej, a oni pochwalić się mogli dopiero jednym wykopanym dołem, jednym słupem narożnym, przygotowanym do osadzenia w ziemi, ale nieosadzonym, oraz jedną ścianą niezbitą do końca z braku gwoździ.

Zebrali się wczesnym rankiem nad dołem i leżącym obok słupem, żeby zastanowić się jeszcze raz nad metodą jego ustawienia, i uznali zgodnie, że sytuacja nie wygląda najlepiej. Zima zbliżała się wielkimi krokami, a obory jak nie było, tak nie było. Sue, krowy, a nawet muły borykały się już z pierwszymi skutkami spędzania zimnych nocy pod gołym niebem. A nie mogli sobie pozwolić na stratę choćby jednego jeszcze zwierzęcia.

To był jednak najmniejszy z problemów, które ich nękały, bo



Louisa, choć odzyskiwała od czasu do czasu przytomność, nie odzywała się wtedy słowem, a oczy miała jak martwe. Travis Barnes niepokoił się bardzo i najchętniej przewiózłby ją do Roanoke, ale bał się, że chora nie przetrwa podróży, a poza tym nigdzie nie było powiedziane, że jej tam pomogą. Na szczęście piła i trochę jadła. To budziło jakąś nadzieję. Stan Amandy też się nie poprawiał. Pozostawało dziękować Bogu, że obie wciąż żyją.

Lou spojrzała na nagie drzewa na zboczach. Wiele by dała, żeby zima w jakiś magiczny sposób przeszła od razu w ciepłe lato, a Louisa wyzdrowiała i wstała z łóżka.

Z zadumy wyrwał całą czwórkę skrzyp osi. Obejrzeli się. Droga nadciągał sznur wozów zaprzężonych w muły, konie i woły, wyładowanych drewnem, wielkimi płaskimi kamieniami, skrzynkami gwoździ, linami, drabinami, wielokrążkami, świdrami i najprzeróżniejszymi narzędziami, z czego przynajmniej część musiała pochodzić ze sklepu McKenziego. Lou naliczyła w sumie trzydziestu mężczyzn. Byli to okoliczni farmerzy. Silni, milczący, brodaci, w roboczych ubraniach i kapeluszach z szerokimi rondami dla osłony przed zimowym słońcem. Dłonie mieli wielkie jak bochny, zahartowane latami ciężkiej pracy i zmaganiem z górskimi żywiołami. Towarzyszyło im kilka kobiet. Rozładowali wozy. Kobiety rozpostarły na ziemi brezentowe płachty i koce i zabrały się do przygotowywania posiłku w kuchni Louisy, a mężczyźni przystąpili tymczasem do stawiania obory.

Pod kierunkiem Eugene'a wznieśli rusztowania pod wielokrążki. Uradzili, że zamiast osadzać i cementować w ziemi słupy narożne, postawią oborę na fundamencie z wielkich, płaskich kamieni. Wykopali w tym celu płytkie rowy, ułożyli w nich kilka warstw kamieni, wypoziomowali je i przykryli od góry z grubsza ociosanymi, masywnymi belkami, tak zwanymi spągnicami, zbijając je mocno ze sobą na całym obwodzie fundamentu. Poprowadzili też ciąg takich

belek przez środek podłogi i zbili je ze spągnicami na obwodzie fundamentu. Później miały na nich stanąć słupy podtrzymujące konstrukcję dachu i podłogę stryszka. Za pomocą wielokrążków i mulich zaprzęgów dźwignęli masywne słupy narożne, ustawili je na spągnicach i przytwierdzili do nich solidnymi belkami zastrzałowymi.

Po ukończeniu fundamentu wzięli się do montowania na ziemi szkieletów ścian obory, a Eugene mierzył, zaznaczał i wykrzykiwał instrukcje. Do słupów narożnych przystawiono drabiny i wywiercono w nich otwory. Wielokrążkami wciągnięto na górę belki poprzeczne. W nich też wywiercono otwory i połączono ze słupami narożnymi za pomocą metalowych bolców. Kiedy stanął szkielet pierwszej ściany, pod niebo wzbił się okrzyk tryumfu. Podobnymi okrzykami fetowano podniesienie każdej następnej ściany. Zmontowano konstrukcję dachu i pośród nieustającego stukotu młotków zaczęto zabudowywać szkielety ścian deskami. Cięły piły, mieszały się obłoczki oddechów, wiatr roznosił trociny, mężczyźni trzymali w ustach po kilka gwoździ i walili wprawnie młotkami.

Dwa razy zarządzano przerwę na posiłek. Mężczyźni siadali wtedy na ziemi i pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Lou i Oz roznosili między grupkami zmęczonych ludzi talerze z ciepłymi daniami i dzbanki z gorącą zbożową kawą. Cotton usiadł pod ogrodzeniem korralu, żeby dać odpocząć obolałym mięśniom, i, sącząc kawę, patrzył z szerokim uśmiechem, jak z potu i życzliwości dobrych sąsiadów zaczynają się wyłaniać zręby obory.

- Chciałabym wam wszystkim podziękować za pomoc - powiedziała Lou, stawiając przed grupą mężczyzn tacę z pajdami gorącego jeszcze chleba grubo posmarowanego masłem.

Buford Rose wziął kromkę i odgryzł potężny kęs.

- Tu, na górze, jak nie będziem pomagać jeden drugiemu, to nikt

nam nie pomoże. Spytaj mojej kobity, jak nie wierzysz. A Bóg świadkiem, że od Louisy ludzie wiele tu dobrego zaznali. – Spojrzał na Cottona i ten wznosił do niego kubek z kawą. – Powiedziałem panu kiedyś, panie Cotton, że po mojemu wszystko się jakoś ułoży. Ale dużo narodu inaczej myśli. Mój brat ma farmę mleczną w dolinie. Ledwie już chodzi od tego siedzenia ciągiem na stołku, paluchy ma powykręcane jak korzenie. I ludzie powiadają, że mleczarz dwóch rzeczy nie potrzebuje przez całe swoje życie: porządnego ubrania i miejsca do spania. – Odgryzł kolejny kęs chleba.

– Do kroćset – odezwał się jakiś młody mężczyzna. – Pani Louisa przyjmowała mnie na świat. Mama mówi, że by mnie tu nie było, gdyby nie ona.

Pozostali pokiwali z uśmiechem głowami. Jeden z mężczyzn spojrzał na Eugene'a, który stał pod wznoszoną oborą, obgryzał udko kurczaka i układał sobie w głowie plan dalszych robót.

– A on dwie wiosny temu pomagał mi stawiać nową stodołę. Umie robić młotkiem i piłą. Bez dwóch zdań.

Buford Rose spojrzał spod krzaczastych brwi na Lou.

– Pamiętam twojego tatę, dzieńlatko. Wdałaś się w niego. Zadręczał ludzi pytaniami. Trudno się było od niego opędzić.

Wyszczrzył w uśmiechu przerzedzone zęby. Lou też się uśmiechnęła.

Przerwa dobiegła końca, wrócili do pracy. Jedna grupa pokryła deskami dach i zabezpieczyła go papą. Drugi zespół pod kierunkiem Eugene'a sporządził i umocował na obu końcach obory dwa zestawy podwójnych wrót i drzwi stryszku, a kolejny objął deskami i uszczelniał zewnętrzne ściany. Kiedy ściemniło się tak, że nie widzieli już, w co walą i co tną, zapłonęły lampy naftowe. Stukanie młotków i szurgot pił były niemal przyjemne dla ucha. Niemal. Ale nikt się nie skarżył, gdy przyłożono ostatnią deskę i wbity w nią

ostatni gwóźdź. Było już zupełnie ciemno, kiedy praca dobiegła końca i wozy odjechały.

Eugene, Cotton i dzieci, zmęczeni, ale szczęśliwi, zapędzili zwierzęta do ich nowego domu i wymościли klepisko sianem z pól i sąsieka. Trzeba jeszcze było wykończyć strych, porobić boksy, komórki i tym podobne rzeczy, pokryć dach gontem, lecz zwierzęta miały już ciepłe schronienie. Eugene z szerokim uśmiechem zamknął wrota obory.

Cotton wiozł dzieci na wizytę do Louisy. Zimę mieli już od dawna, ale większych opadów śniegu jak dotąd nie było. Naprószyło go zaledwie na kilka cali. Wjechali do górniczego miasteczka, w którym Diament podrzucił końskie łajno do nowiutkiego samochodu marki Chrysler Crown Imperial, należącego do dyrektora kopalni. Miasteczko było teraz wyludnione, domy opustoszały, zamknięto sklep, wejście do kopalni zabito deskami, a pod rezydencją dyrektora już od dawna nie stał elegancki, tak niecznie sprofanowany samochód.

- Co tu się stało? - zapytała Lou.

- Zamknęli kopalnię - odparł ponuro Cotton. - To już czwarta w ciągu czterech miesięcy. Węgiel się kończył, a na dodatek stwierdzono, że koks, który tu wytwarzali, jest za miękki do produkcji stali, i amerykańska machina wojenna zaczęła sobie gdzie indziej szukać surowców. Mnóstwo tutejszych potraciło pracę. A ostatnia firma zatrudniająca drwali przeniosła się przed dwoma miesiącami do Kentucky. Podwójny cios. Farmerzy z gór mieli dobry rok, za to ludziom z miasteczek bieda zajrzała w oczy. To już tutaj tradycja. Jak tym pierwszym zaczyna się lepiej powodzić, to podupadają ci drudzy, i na odwrót. - Cotton pokręcił głową. - Burmistrz Dickens zrezygnował ze stanowiska, sprzedał swój pakiet akcji po zawyżonych cenach sprzed kryzysu i wyjechał szukać szczęścia do Pensylwanii. Często tak się dzieje, że ci, którzy najgłośniejsz krzyczą o sukcesie, pierwsi biorą nogi za pas, jak tylko zaczynają się kłopoty.

Kiedy jechali drogą w dół, Lou zauważyła, że ciężarówek z węglem jest znacznie mniej. W Tremont połowa sklepów była zamknięta, a ulice wyludnione i Lou wyczuwała, że powodem tego nie jest bynajmniej niska temperatura powietrza.

W Dickens Lou doznała szoku, bo i tu wiele sklepów było pozamykanych, między innymi ten, w którym Diament otworzył kiedyś parasolkę. Tak więc pech dosięgnął właściciela, lecz Lou wcale nie czuła z tego powodu satysfakcji. Na chodnikach i schodach siedzieli nędznie ubrani, zapatrzeni w przestrzeń ludzie. Przy krawężnikach parkowało ukosem niewiele samochodów, a zafrasowani sklepikarze stali podparci pod boki w drzwiach swoich sklepów, w których nie było ani jednego klienta. Na bladych twarzach nielicznych przechodniów malowała się nerwowość. Z miasta wyjeżdżał autobus pełen ludzi. Równoległe do głównej szosy sunął wolno pusty pociąg towarowy. Nad jezdnią nie trzepotał już dumnie wielki transparent z hasłem „Węgiel jest królem”, a Miss Węgla Bitumicznego roku 1940 pewnie też już się stąd wyniosła.

Kiedy wysiadali z oldsmobila Cottona przed szpitalem, Lou zauważyła po drugiej stronie ulicy grupkę przyglądających się im ludzi, wśród których rozpoznała George'a Davisa we własnej osobie.

- Chodźcie - powiedział Cotton, popychając dzieci w stronę wejścia. - Przyjechaliśmy tu odwiedzić Louise.

Od Tralisa Barnesa dowiedzieli się, że stan Louisy nie uległ zmianie. Oczy miała szeroko otwarte i szkliste. Lou i Oz wzięli ją za ręce, ale chyba ich nawet nie poznała. Gdyby nie płytki oddech, można by pomyśleć, że umarła. Lou wpatrywała się w unoszącą się i opadającą pierś prababki i modliła żarliwie, żeby ten ruch nie ustał. Kiedy Cotton powiedział, że już na nich pora, stwierdziła z zaskoczeniem, że spędzili przy łóżku chorej całą godzinę.

Oldsmobil Cottona otoczyła grupa ludzi, George Davis opierał się o drzwiczki.

Cotton podszedł do nich śmiało.

- Czym mogę służyć? - spytał grzecznie, odpychając jednocześnie Davisa od drzwiczek.

- Powiedzcie tej starej wariatce, żeby sprzedała ziemię! - krzyknął Davis.

Cotton popatrzył na towarzyszących Davisowi mężczyzn. W odróżnieniu od Davisa byli to ludzie z miasta. Co jeszcze nie znaczyło, że są mniej zdesperowani od tych, którzy utrzymują się z pracy na roli. Oni uzależnili swój byt od węgla. A węgiel tym się różnił od kukurydzy, że raz wydobyty już nie odrastał.

- Rozmawialiśmy już o tym, George, i nic się od tamtego czasu nie zmieniło. A teraz wybacz, muszę odwieźć te dzieci do domu.

- Całe miasto diabli biorą - odezwał się jeden z mężczyzn.

- I uważacie, że to z powodu Louisy? - spytał Cotton.

- Ona umiera - warknął Davis. - Na co jej ziemia?

- Wcale nie umiera! - zachnął się Oz.

- Panie Cotton - powiedział dobrze ubrany, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, który, o ile Cottonowi było wiadomo, prowadził w Dickens salon samochodowy. Miał wąskie ramiona, chude ręce i gładkie dłonie, świadczące, że nigdy nie dźwigał bel siana, nie machał kosą ani nie orał pola. - Stracę swój sklep. Stracę wszystko, co mam, jeśli zamiast węgla nie zaczną tu wydobywać czegoś innego. I nie ja jeden znajduję się w takiej sytuacji. Proszę się rozejrzeć, bardzo źle nam się wiedzie.

- A jak kiedyś skończy się gaz ziemny? - odparował Cotton. - W czym wtedy będziecie szukali ratunku?

- Po co się przejmować, co będzie kiedyś - rzucił gniewnie Davis. - Trzeba się ratować teraz, a ten ratunek to gaz. Wszyscy się wzbogacimy. Gdybym sprzedał swoją ziemię, pomógłbym sąsiadce.

- Doprawdy? - wtrąciła się Lou. - Nie widziałam cię przy stawianiu obory, George. Nie pokazałeś się u nas od czasu, kiedy

Louisa cię przepędziła. Chyba że miałeś coś wspólnego z podpaleniem naszej obory.

Davis splunął, otarł grzbietem dłoni usta. Gdyby nie było tu Cottona, bez wątpienia udusiłby dziewczynkę gołymi rękoma.

- Dosyć, Lou - uciął Cotton.

- Panie Cotton - odezwał się znowu dobrze ubrany mężczyzna - nie wierzę, że opuści nas pan i stanie po stronie jakiejś pomyłonej kobiety z gór. Do diabła, komu będzie pan świadczył swoje prawnicze usługi, jeśli to miasto umrze?

Cotton się uśmiechnął.

- O mnie się nie martwcie. Zdziwilibyście się, jak niewiele mi do życia potrzeba. A co się tyczy panny Cardinal, to powiem wam jedno... i uważnie słuchajcie, bo nie będę powtarzał. Ona nie chce sprzedać swojej ziemi firmie Southern Valley. To jej prawo i lepiej je uszanujcie. A jeśli naprawdę nie możecie się tu obyć bez tych gazowników, to radzę wam wyjechać. Bo panna Cardinal nie ma tego zmartwienia. Już jutro może tu zabraknąć węgla i gazu, mogą odłączyć prąd i telefony, a ona i tak sobie poradzi. - Popatrzył wymownie na dobrze ubranego mężczyznę. - No i proszę mi teraz powiedzieć, kto tu jest pomyłony?

Cotton wpuścił dzieci do samochodu, a sam przepchnął się przez otaczający auto tłumek i zajął miejsce za kierownicą. Kilku mężczyzn stanęło za tylnym zderzakiem, uniemożliwiając mu wycofanie się spod krawężnika. Cotton uruchomił silnik, opuścił szybę w oknie i spojrzał na nich.

- Mam bardzo kapryśne sprzęgło. Czasami samo zaskakuje i wóz rusza z kopyta. Raz o mało nie zabiłem przez to człowieka. Oho, czuję, że zaraz wytnie mi ten numer. Uwaga!

Puścił pedał sprzęgła i oldsmobil ruszył do tyłu. Ostrzeżeni mężczyźni w porę uskoczyli. Cotton wycofał wóz. Kiedy ruszali do przodu, w bagażnik uderzył kamień. Cotton wcisnął gaz i krzyknął



do dzieci, żeby się schyliły. Jeszcze kilka kamieni zabębniło o karoserię, zanim znaleźli się poza ich zasięgiem. Cotton odetchnął wreszcie.

- A co z Louisą? - spytała Lou.

- Nic jej nie grozi. Travis prawie stamtąd nie wychodzi, a on nie ma sobie równych w posługiwaniu się karabinem. Gdyby zdarzyło mu się wyjść, to jego pielęgniarka niewiele mu pod tym względem ustępuje. Ostrzegłem też szeryfa, że ludzie mogą się trochę burzyć. Będzie miał oko na szpital. Zresztą wątpię, żeby ktoś odważył się podnieść rękę na bezbronną kobietę przykutą do łóżka. Są zdesperowani, ale nie sądzę, żeby byli zdolni do czegoś takiego.

- Czy zawsze będą nas obrzucać kamieniami, kiedy przyjedziemy odwiedzić Louise? - spytał Oz.

Cotton otoczył chłopca ramieniem.

- Jeśli nawet, to prędzej skończą im się kamienie, niż my zrezygnujemy z tych wizyt.

Kiedy zatrzymywali się przed domem, do samochodu podbiegł zdenerwowany Eugene z jakimś świstkiem w ręku.

- Przyjechał z tym człowiek z miasta, panie Cotton. Nie wiem, co to jest. Kazał mi to panu szybko oddać.

Cotton wziął karteczkę i przeczytał treść. Było to wezwanie do uregulowania zaległego podatku. Zapomniał, że Louisa od trzech lat nie płaciła podatku gruntowego, bo wskutek spowodowanego suszą nieurodzaju nie miała pieniędzy. Władze okręgu odroczyły spłatę zarówno jej, jak i wszystkim innym farmerom znajdującym się w podobnej sytuacji. Powstałe zaległości mieli uregulować później. Z tego wezwania wynikało jednak, że Louisa musi spłacić całą sumę, i to natychmiast. Zaległość wynosiła dwieście dolarów. A ponieważ zwłoka była tak długa, władze mogły wystawić ziemię na licytację szybciej, niż to się dzieje normalnie. Cotton wietrzył tu krecią

robotę ludzi z Southern Valley.

- Coś się stało, Cotton? - zapytała Lou.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Zajmę się tym, Lou. Zwyczajna biurokracja.

Cotton wręczył urzędnikowi sądowemu dwieście dolarów i odebrał od niego podstemplowany dowód wpłaty. Załatwiwszy tę sprawę, powlókł się do swojego mieszkania i zabrał do pakowania w pudła ostatniego stosu książek. Kiedy podniósł po chwili wzrok, ujrzał stojącą w progu Lou.

- Jak się tu dostałaś? - spytał zdumiony.

- Przyjechałam z Bufordem Rose'em jego starym packardem. Ten gruchot nie ma drzwiczek, dzięki czemu widok jest wspaniały, ale można wylecieć na byle wyboju, no i strasznie wieje. - Dziewczynka rozejrzała się po pustym pokoju. - Gdzie twoje książki, Cotton?

Zachichotał.

- Zajmowały za dużo miejsca. - Popukał się w czoło. - A zresztą mam je tu wszystkie.

Lou pokręciła głową.

- Byłam w sądzie. Domyśliłam się, że w tym piśmie było więcej, niż powiedziałeś. Dwieście dolarów za tyle książek. Nie trzeba było tego robić.

Cotton zamknął pudło.

- Trochę mi ich jeszcze zostało. I chciałbym je sprezentować tobie.

Lou weszła do pokoju.

- Dlaczego właśnie mnie?

- Bo to prace twojego ojca. I ty chyba najlepiej o nie zadbasz.

Lou przyglądała się w milczeniu, jak Cotton zakleja pudło plastrem.

- No, gotowe - powiedział, skończywszy. - Chodźmy teraz do Louisy.

- Cotton, ja się boję. Zamykają coraz więcej sklepów. Przed chwilą odjechał jeszcze jeden autobus pełen ludzi. I te wrogie spojrzenia, jakimi obrzucają mnie przechodnie na ulicy. Oz pobił się w szkole z chłopcem, który powiedział, że, nie sprzedając ziemi, doprowadzamy wszystkich do ruiny.

- Nic mu nie jest?

Uśmiechnęła się.

- Zwyciężył w tej bójce. Jego samego chyba najbardziej to zaskoczyło. Ma podbite oko i jest z tego bardzo dumny.

- Będzie dobrze, Lou. Wszystko się ułoży. Przeżyjemy to jakoś.

Dziewczynka spoważniała i podeszła bliżej.

- Od kiedy tu przyjechaliśmy, nic się nie układa. Może powinniśmy jednak sprzedać tę ziemię i wyjechać. Może tak by było najlepiej dla nas wszystkich. Mama i Louisa dostałyby opiekę, jakiej potrzebują. - Urwała, a potem, nie patrząc na Cottona, dodała: - Gdzie indziej.

- Naprawdę tego chcesz?

Lou wciąż unikała jego wzroku.

- Czasami nachodzi mnie taka chandra, że najchętniej weszłabym na ten mały pagórek za domem, położyła się na ziemi i już się więcej nie poruszyła.

Cotton popatrzył na nią uważnie.

- Leżenie bez ruchu na ziemi i uciekanie od problemów nie pasuje mi zupełnie do Lou Cardinal, którą znam.

- Bardzo interesujące - rzucił ktoś.

Obejrzeli się. W progu stał Hugh Miller.

- Szukałem pana w biurze, Longfellow. Powiedziano mi, że poszedł pan do sądu spłacać nie swoje długi. - Uśmiechnął się złośliwie. - Dobry uczynek, tyle że źle ukierunkowany.

- Czego chcesz, Miller? - burknął Cotton.

Mały człowieczek wszedł do pokoju i spojrzał na Lou.

- W pierwszym rzędzie chciałbym złożyć wyrazy ubolewania

w związku z tym, co przydarzyło się panie Cardinal.

Lou złożyła ręce na piersi i odwróciła wzrok.

- Jeszcze coś? - spytał Cotton.

- Przyszedłem również złożyć nową ofertę kupna parceli.

- Z tym proszę do właścicielki.

- Tak, ale panna Cardinal znajduje się w stanie, który nie pozwala jej osobiście rozważyć naszej oferty.

- Już raz ją odrzuciła, Miller.

- I dlatego podnosimy proponowaną cenę do pięciuset tysięcy dolarów.

Cotton i Lou wymienili zdumione spojrzenia.

- Powtarzam, że nie ja decyduję w tej sprawie - powiedział Cotton.

- Myślałem, że ma pan upoważnienie do występowania w jej imieniu.

- Nie mam. A nawet gdybym miał, to też bym nie sprzedał panu tej ziemi. Czy jest jeszcze coś, czego mógłbym dla pana nie zrobić?

- Nie, dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem. - Miller wręczył Cottonowi kopertę z dokumentami. - Oto pozew dla pańskiej klientki.

Z tymi słowami, uśmiechając się pod nosem, Miller wyszedł z pokoju. Cotton rozerwał kopertę i przebiegł wzrokiem treść dokumentów. Lou przestępowała nerwowo z nogi na nogę.

- Co to jest, Cotton?

- Niedobrze, Lou.

Chwycił dziewczynkę za rękę i pociągnął za sobą po schodach. Wpadli do szpitala. Cotton pchnął drzwi pokoju Louisy. W tym samym momencie błysnął flesz. Fotograf obejrzał się na nich, a potem zrobił jeszcze jedno zdjęcie leżącej w łóżku Louisie. Obok niego stał drugi mężczyzna, wielki, potężnie zbudowany. Obaj byli w eleganckich garniturach i w kapeluszach.

- Wynocha stąd! - krzyknął Cotton.

Doskoczył do fotografa i chciał mu wyrwać aparat, ale ten drugi odciągnął go i przytrzymał, dopóki fotograf nie wyszedł na korytarz. Po czym sam wycofał się z uśmiechem z pokoju.

Cotton stał oszołomiony i, dysząc ciężko, popatrywał bezradnie to na Lou, to na Louise.

Dzień był szczególnie chłodny i bezchmurny. Cotton, wkroczywszy do sali rozpraw, zatrzymał się na widok Millera, któremu towarzyszył wysoki, tęgi, elegancko ubrany mężczyzna o siwych, starannie ułożonych włosach i nienaturalnie wielkiej głowie.

- Coś mi mówiło, że tu pana dziś zobaczę - zwrócił się Cotton do Millera.

Miller wskazał ruchem głowy swojego towarzysza.

- Pewnie słyszał pan o panu Thurstonie Goodzie, prokuratorze stanowym okręgu Richmond?

- Tak, słyszałem. Oskarżał pan niedawno w jakiejś sprawie przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych, mam rację?

- Jeśli chodzi o ścisłość, panie Longfellow - odezwał się Goode głosem głębokim i przepojonym pewnością siebie - wygrałem tę sprawę.

- Moje gratulacje. Z daleka pan się fatygował.

- Władze stanu poszły nam na rękę i zezwoliły panu Goode'owi na przyjazd tutaj, celem reprezentowania ich w tej bardzo ważnej sprawie - wyjaśnił Miller.

- Od kiedy to zwyczajna rozprawa o uznanie kogoś za osobę nie w pełni władz umysłowych wymaga udziału jednego z najlepszych prawników w tym stanie?

Goode uśmiechnął się ciepło.

- Jako przedstawiciel władz stanowych nie muszę się panu tłumaczyć z przyczyn swojej obecności w tutejszym sądzie, panie Longfellow. Niech panu wystarczy, że tu jestem.

- Pozwoli pan, że pomyślę. - Cotton, pocierając brodę, udawał, że nad czymś się zastanawia. - Wirginia stoi w przededniu wyboru prokuratorów stanowych. Wolno mi wiedzieć, czy firma Southern Valley wniosła swój udział w finansowanie pańskiej kampanii?

Goode pokraśniał.

- Co mi pan imputuje?

- Ależ nic. Jakżeżbym śmiał.

Na salę wszedł Fred, funkcjonariusz sądowy, i ogłosił:

- Proszę wstać. Sąd pod przewodnictwem czcigodnego Henry'ego J. Atkinsa rozpoczyna sesję. Wszystkich, którzy chcą przedłożyć temu sądowi swoją sprawę do rozpatrzenia, proszę o podejście, a zostaną wysłuchani.

Sędzia Henry Atkins, niski mężczyzna z krótką brodą o przerzedzających się siwych włosach i przejrzystych szarych oczach, wyszedł z sąsiadującego z salą rozpraw pokoju i zajął miejsce za stołem. Idąc, niemal niknął w fałdach obszernej czarnej togii. Kiedy jednak usiadł za stołem sędziowskim, wszyscy odnieśli wrażenie, że sala rozpraw jest za mała, by go pomieścić.

I w tym momencie na salę, przez nikogo niezauważeni, wślizgnęli się Lou i Oz. Ubrani w kurtki i grube skarpety wepchnięte w za duże buty przeszli, jak kiedyś z Diamentem, po topoli nad przepaścią, spuścili się po górskim zboczu i zatrzymali na szosie ciężarówkę, która podwiozła ich do Dickens. W warunkach zimowych trasa okazała się o wiele trudniejsza do przebycia niż za pierwszym razem, ale Cotton powiedział, że wynik tej rozprawy zaważy na dalszym ich życiu, nie mogli więc jej opuścić. Usiedli w ostatnim rzędzie. Ich głowy ledwie wystawały nad oparcia ławek.

- Zapowiedz następną sprawę - powiedział Atkins.

Była to tego dnia jedyna sprawa do rozpatrzenia, ale sąd ma swoje rytuały. Fred zapowiedział sprawę wchodzącą na wokandę: „Stan przeciwko Louisie Mae Cardinal”.

Atkins uśmiechnął się szeroko z wyżyn sędziowskiego olimpu.

- Panie Goode, to zaszczyt gościć pana w mojej sali rozpraw. Proszę przedstawić stanowisko władz stanowych.

Goode wsunął kciuk za klapę marynarki.

- Nie jest to z pewnością postępowanie przyjemne, ale na władzach stanowych spoczywa obowiązek jego przeprowadzenia. Firma Southern Valley Coal and Gas złożyła pannie Cardinal ofertę wykupu działki rolniczej, której panna Cardinal jest jedyną właścicielką. Uważamy, że wskutek doznanego niedawno wylewu krwi do mózgu panna Cardinal w świetle prawa nie jest obecnie zdolna do rzetelnego rozpatrzenia rzeczonyj oferty. Oboje jej krewni, jako osoby niepełnoletnie, nie mogą występować w imieniu pozwanej. A jak nam wiadomo, matka wspomnianych wyżej nieletnich jest poważnie upośledzona psychicznie. Wiemy również z pewnego źródła, że panna Cardinal nie upoważniła nikogo na piśmie do reprezentowania jej interesów. - Po tych słowach Cotton posłał ostre spojrzenie Millerowi, a ten po prostu odwrócił głowę. - Aby w pełni zabezpieczyć prawa panny Cardinal w tej sprawie - ciągnął Goode - wnosimy o uznanie pozwanej za osobę nie w pełni władz umysłowych i ustanowienie pełnomocnika z urzędu, który zadba o jej interesy i zajmie się negocjowaniem wielce lukratywnej oferty Southern Valley.

Atkins dał Goode'owi znak głową, że może usiąść.

- Dziękuję, panie Goode. Panie Cotton?

Cotton wstał i podszedł do stołu sędziowskiego.

- Wysoki Sądzie, mamy w tym wypadku do czynienia nie tyle z troską o zadośćuczynienie życzeniom panny Cardinal, ile z próbą ich obejścia. Panna Cardinal już wcześniej odrzuciła złożoną jej przez Southern Valley ofertę wykupu ziemi.

- Czy to prawda, panie Goode? - zwrócił się sędzia do prokuratora stanowego.



- Panna Cardinal rzeczywiście odrzuciła jedną taką ofertę - odparł z pewnością siebie Goode - ale obecna oferta dotyczy o wiele większej sumy pieniędzy, w związku z czym musi być rozpatrywana osobno.

- Panna Cardinal dała wyraźnie do zrozumienia, że nie sprzeda swojej ziemi firmie Southern Valley za żadną cenę - powiedział Cotton. Wsunął kciuki za klapy marynarki, tak jak uczynił to wcześniej Goode, ale szybko się zreflektował i opuścił z powrotem ręce.

- Ma pan na to świadków? - spytał sędzia Atkins.

- No... tylko siebie.

Goode poszedł natychmiast za ciosem.

- Cóż, skoro pan Longfellow zamierza powołać w tej sprawie na świadka samego siebie, to nalegam, żeby zrzekł się roli przedstawiciela panny Cardinal.

Atkins spojrzał na Cottona.

- Co pan na to?

- Nie, nie zgadzam się. Będę reprezentował interesy Louisy, dopóki ona nie poczuje się lepiej.

Goode uśmiechnął się.

- Wysoki Sądzie, pan Longfellow dał na tej sali wyraz swojemu nieprzychylnemu nastawieniu do mojego klienta. Nie można go więc uznać za osobę dostatecznie bezstronną, by mógł rzetelnie reprezentować interesy panny Louisy Cardinal.

- Muszę się z tym zgodzić, panie Cotton - powiedział Atkins.

- W takim razie my nie zgadzamy się na uznanie panny Cardinal za osobę nie w pełni władz umysłowych - odparował Cotton.

- No, to mamy spór, panowie - stwierdził Atkins. - Rozstrzygniemy go na rozprawie za tydzień.

- To za mało czasu - zaprotestował Cotton.

- Nam wystarczy tydzień - oświadczył Goode. - Sprawy panny

Cardinal zasługują na wnikliwe rozpatrzenie w jak najkrótszym terminie.

Atkins sięgnął po młotek.

- Panie Cotton, byłem u Louisy w szpitalu. Nie wdaję się w dyskusje, czy ona jest przytomna, czy nie, ale wydaje mi się, że tym dzieciom trzeba jednak wyznaczyć opiekuna. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

- Damy sobie radę sami. - Wszyscy się obejrzeli. Lou, wypowiadając te słowa, wstała. - Damy sobie radę sami - powtórzyła. - Do czasu powrotu Louisy do zdrowia.

- Lou - powiedział Cotton - to nie czas ani miejsce.

Goode uśmiechnął się do dzieci.

- A więc to wy jesteście tymi podopiecznymi panny Cardinal? Moje nazwisko Thurston Goode. Jak wam się wie?

Lou i Oz milczeli.

- Podejź tu, młoda damo - powiedział Atkins.

Lou, ze ściśniętą krtanią, zbliżyła się do stołu sędziowskiego. Atkins spojrzał na nią z góry, niczym Zeus na śmiertelniczkę.

- Młoda damo, czy należysz do stanowej palestry?

- Nie. To znaczy... nie.

- Czy wiesz, że... jeśli nie brać pod uwagę skrajnie wyjątkowych okoliczności... do Wysokiego Sądu zwracać się mogą tylko członkowie palestry?

- Skoro sprawa dotyczy mnie i mojego brata, to te okoliczności są chyba wyjątkowe, przynajmniej dla nas.

Atkins spojrzał na Cottona, uśmiechnął się i przeniósł wzrok z powrotem na Lou.

- Nietrudno zauważyć, że elokwentna z ciebie panna. I bystra. Ale prawo jest prawem i małoletnie dzieci nie mogą pozostawać bez opieki.

- Mamy Eugene'a.

- On nie jest waszym krewnym.

- A Diament Skinner nie miał zupełnie nikogo i nikt się tym jakoś nie przejmował.

Atkins spojrział znowu na Cottona.

- Panie Cotton, zechce pan jej to wyjaśnić.

- Sędzia ma rację, Lou, jesteście za młodzi, żeby się usamodzielić. Ktoś dorosły musi sprawować nad wami pieczę.

Oczy Lou wypełniły się łzami. Odwróciła się i wybiegła z sali, a Oz za nią.

Cotton spojrział na Atkinsa.

- Tydzień - oznajmił sędzia.

Stuknął młotkiem i wrócił do swojego pokoju, niczym czarownik, który udaje się na odpoczynek po rzuceniu szczególnie skomplikowanego zaklęcia.

Goode i Miller czekali na Cottona przed salą rozpraw.

- Niech pan posłucha, panie Longfellow - zwrócił się do niego Goode. - Zgadząc się na współpracę, ułatwi pan wszystkim życie. Wie pan tak samo dobrze jak my, co wykażą badania psychiatryczne. Po co narażać pannę Cardinal na takie upokorzenia?

Cotton nachylił się do Goode'a.

- Panie Goode, wiem, że gównu pana obchodzi zarówno zdrowie, jak i interesy panny Cardinal. Został pan wynajęty w wiadomym celu przez dużą firmę, która chce nagiąć prawo, aby przejąć tanim kosztem ziemię należącą do tej kobiety.

Goode tylko się uśmiechnął.

- Do zobaczenia na sali rozpraw.

Tego wieczoru Cotton pracował za biurkiem zawałonym książkami i papierami. Mamrotał coś pod nosem, coś pisał, coś skreślał, zrywał się, krążył po pokoju jak tygrys w klatce, znowu siadał za biurkiem.

Uchyliły się drzwi i do pokoju weszła Lou z koszykiem jedzenia i dzbankiem kawy.

- Przyjechałam z Eugene'em - wyjaśniła. - On poszedł do Louisy, a ja kupiłam to w Restauracji Nowojorskiej. Pomyślałam sobie, że pewnie zapomniawsz o kolacji.

Zrobiła miejsce na biurku, wyłożyła jedzenie z koszyka i napełniła kubek kawą.

- Jestem bardzo zajęty, Lou - powiedział Cotton. - Ale dziękuję za pamięć.

Usiadł za biurkiem, nie sięgał jednak po papiery, nie otwierał żadnej książki.

- Przepraszam za moje zachowanie w sądzie.

- Nic się nie stało. Na twoim miejscu zachowałbym się chyba tak samo.

- Dobrze wypadłeś.

- Wprost przeciwnie, zawałem sprawę.

- Rozprawa się jeszcze nie zaczęła.

Cotton zdjął okulary i przetarł je krawatem.

- Prawda jest taka, że od lat nie prowadziłem w sądzie żadnej sprawy, a jeśli wcześniej mi się to zdarzało, to efekty były mizerne. Załatwiam rozmaite rzeczy w urzędach, sporządzam akty własności i testamenty, tym się ostatnio zajmuję. Nigdy nie występowałem przeciwko prawnikowi takiemu jak Goode. - Nałożył okulary z powrotem na nos. - I nie będę wam obiecywał czegoś, czego nie jestem w stanie dokonać.

- Wierzę w ciebie, Cotton - oznajmiła Lou. - Bez względu na wszystko, wierzę w ciebie. Chcę, żebyś to wiedział.

- Skąd, u licha, bierze się ta wiara we mnie? Przecież jak dotąd nic dla was nie zrobiłem.

- Ale próbowałeś nam pomagać.

- Nigdy nie będę taki jak wasz ojciec, Lou. Jestem do niczego.

Podeszła do biurka.

- Obiecasz mi coś, Cotton? Obiecasz mi, że nas nie zostawisz?

Cotton patrzył długo na dziewczynkę, a potem wziął ją pod brodę i łamiącym się głosem powiedział:

- Będę przy was, dopóki mnie nie przegnacie.

Przed gmachem sądu parkowały skosem fordys, chevrolety, chryslery i wozy zaprzężone w muły i konie. Prószyący śnieg odkładał się na wszystkim cienką, białą warstewką, ale nikt z wchodzących do budynku ludzi nie zwracał na to uwagi.

Sala rozpraw jeszcze nigdy nie była tak zapełniona. Zajęte były wszystkie miejsca siedzące na parterze. Ludzie stali pod ścianami i tłoczyli się na balkonie. Mężczyźni z miasta, w garniturach i pod krawatami, kobiety w odświętnych strojach i w kapeluszach z woalkami, przyozdobionymi sztucznymi kwiatami i owocami, farmerzy w czystych ubraniach, mnący w dłoniach filcowe kapelusze, oraz ich wyniszczone ciężką pracą, pomarszczone kobiety we własnoręcznie uszytych spódnicach do kostek i w drucianych okularach. Rozglądali się po sali z takim podnieceniem, jakby za chwilę miała tu wkroczyć królowa Anglii.

Gdzieś między dorosłymi widziało się dzieci. Jakiś chłopiec, żeby lepiej widzieć, wdrapał się na balustradę i uchwycił kolumnienki wspornikowej. Stojący obok mężczyzna ściągnął go stamtąd, mówiąc, że to sąd, a nie cyrk, lecz gdy chłopiec wycofał się zawstydzony, sam zajął miejsce na balustradzie.

Kiedy Cotton z Lou i Ozem wstępował po schodach prowadzących do gmachu sądu, podbiegł do nich wyrostek w garniturku i wypucowanych do połysku czarnych butach.

- Mój tato mówi, że z powodu jednej kobiety szkodzicie całemu miastu. Mówi, że za wszelką cenę musimy tu ściągnąć tych ludzi od gazu. - Wyrzuciwszy to z siebie, chłopiec patrzył wyzywająco na

Cottona.

- Doprawdy? - spytał Cotton. - Cóż, szanuję opinię twojego taty, ale się z nią nie zgadzam. Powiedz mu, że jeśli chce ze mną na ten temat podyskutować, to chętnie się z nim później spotkam. - Rozejrzał się. U stóp schodów stał mężczyzna będący bez wątpienia ojcem chłopca, bo szybko odwrócił głowę, kiedy ich oczy się spotkały. Cotton zerknął na samochody i wozy i powiedział do malca: - Wejdźcie lepiej z tatą do środka i zajmijcie sobie miejsca. Wygląda na to, że za chwilę palca nie będzie można tam wcisnąć.

Cottona, choć spodziewał się licznej widowni, zaskoczył jednak ścisk panujący na sali. Dobiegł końca okres intensywnych prac polowych i farmerzy mieli mnóstwo wolnego czasu. A jeśli chodzi o mieszkańców miasta, to wielu z nich przyciągnęła tu nadzieja, że za przystępną cenę staną się świadkami atrakcyjnego widowiska, pojedynku na kruczki prawne i oratorskie popisy. Traktowali tę rozprawę jak dobrą rozrywkę. I to zasmucało Cottona.

Zdawał sobie sprawę, że stawka jest wysoka. Okolica znowu umierała i nowe życie tchnąć w nią mogła chyba tylko jakaś bogata firma. A on stawał na drodze tej szansie, broniąc praw starej, przykutej do łóżka kobiety, dwojga liczących na niego, wystraszonych dzieci, no i jeszcze jednej przykutej do łóżka kobiety, dla której straciłby może serce, gdyby się tylko ocknęła. Boże, jak on przez to przebrnie?

- Usiądźcie gdzieś - mruknął do Lou i Oza - i bądźcie cicho.

Lou cmoknęła go w policzek.

- Powodzenia. - Skrzyżowała palce na szczęście.

Znajomy farmer zrobił im miejsce w jednym z rzędów. Cotton ruszył dalej przejściem między ławkami, kłaniając się po drodze znajomym. W pierwszym rzędzie siedzieli Miller z Wheelerem.

Goode, który zajął już miejsce za stołem adwokackim, z pewną siebie miną rozglądał się po sali.

- Nadal chce pan w to brnąć? - zwrócił się do siadającego obok Cottona.

- Z całym przekonaniem - odparł wojowniczo Cotton.

Goode zachichotał.

- Pan wybaczy, ale śmiem w to przekonanie wątpić.

Pojawił się Fred, wygłosił swoją oficjalną formułkę i wszyscy wstali. Sąd pod przewodnictwem czcigodnego Henry'ego J. Atkinsa rozpoczął rozprawę.

- Wprowadzić przysięgłych - rzucił sędzia do Freda.

Na salę zaczęli wchodzić gęsiego członkowie ławy przysięgłych. Cotton, dostrzegając wśród nich George'a Davisa, o mało nie padł jak rażony gromem.

- Wysoki Sądzie! - zagrzemiał. - George'a Davisa nie powoływaliśmy do składu ławy przysięgłych. Jest zainteresowanym w sprawie.

Atkins pochylił się.

- Panie Cotton, wie pan przecież, ile mieliśmy kłopotu ze skompletowaniem ławy przysięgłych. Najpierw musiałem zrezygnować z Leroya Jenkinsa, bo zachorowała mu żona, a potem Garcią Burnsa kopnął muł. Zdaję sobie sprawę, że George Davis nie cieszy się zbyt dużą popularnością, ale ma prawo zasiadać w ławie przysięgłych jak każdy inny obywatel. George, czy zobowiązujesz się zachować w tej sprawie bezstronność?

Davis włożył na tę okazję odświętne ubranie i wyglądał w nim bardzo szacownie.

- Tak, Wysoki Sądzie - odparł grzecznie i rozejrzał się. - Wszyscy tu wiecie, że jestem sąsiadem Louisy. I zgodnie ze sobą żyjemy. - Uśmiechnął się nieszczercze, odsłaniając poczerwiałe zęby.

- Jestem przekonany, że pan Davis będzie dobrym przysięgłym, Wysoki Sądzie - odezwał się Goode. - Nie zgłaszam sprzeciwu.

Cotton spojrzał na Atkinsa i zastanowił go dziwny wyraz twarzy



sędziego.

Lou siedziała jak na szpilkach. Najchętniej zerwałaby się z miejsca i krzyknęła, że coś tu jest nie w porządku, ale po raz pierwszy w życiu opuściła ją odwaga. Mimo wszystko była w sądzie.

- Ten pan kłamie! - krzyknął ktoś gromkim głosem i wszystkie głowy obróciły się w kierunku jego źródła.

Lou dopiero teraz z przerażeniem stwierdziła, że Oz stoi na ławce, górując nad publicznością. Z ogniem w oczach pokazywał palcem na George'a Davisa.

- On kłamie! - krzyknął znowu głosem, którego Lou nie poznawała. - On nienawidzi Louisy. Nie powinno go tu być.

Cottona, podobnie jak wszystkich obecnych, zamurowało. Rozglądał się bezradnie po sali. Sędzia Atkins patrzył groźnie na malca. Goode poderwał się z miejsca. Davis zaś miał taką minę, że Cotton dziękował Bogu, że ten człowiek nie ma pod ręką strzelby. Po chwili Cotton ochłonął, podbiegł do chłopca i ściągnął go z ławki.

- Widzę, że skłonność do publicznych awantur to u Cardinalów cecha rodzinna! - zagrzemiał Atkins. - Nie trzeba nam tego tutaj, panie Cotton.

- Wiem, Wysoki Sądzie, wiem.

- To nie w porządku. Ten pan kłamie! - wrzasnął znowu Oz.

- Cicho, Oz, proszę cię, przestań - szepnęła wystraszona Lou.

- Nie przestane! - krzyknął Oz. - Ten pan jest zły. Głodzi swoją rodzinę. Znęca się nad nią.

- Panie Cotton, proszę zabrać stąd to dziecko! - ryknął sędzia. - W tej chwili!

Cotton wyniósł Oza z sali, Lou podreptała za nimi.

Usiedli na zimnych schodach. Oz nie płakał. Bił się tylko piąstkami po chudych udach. Lou patrzyła na niego i łzy płynęły jej po policzkach. Cotton objął chłopca.

- To nie w porządku, Cotton - wycedził Oz przez zaciśnięte zęby,

wciąż bębniąc pięściami w uda. – Nie w porządku.

– Zgadzam się z tobą, synku, zgadzam. Ale nie przejmuj się tak. Kto wie, czy to nie dobrze dla nas, że George Davis jest jednym z przysięgłych.

Oz znieruchomiał.

– Jak to?

– Widzisz, Oz, to jedna z tajemnic prawa, musicie mi tylko zaufać. No, podejrzewam, że chcecie być na rozprawie.

Lou i Oz skwapliwie potwierdzili.

Cotton spojrział na zastępcę szeryfa Howarda Walkera stojącego przy drzwiach.

– Howard, dzieci zmarzną, czekając tutaj. Znajdziesz jakiś sposób, żeby wprowadzić je z powrotem na salę, jeśli zaręcę, że więcej awantur nie będzie? Bo ja muszę już iść. Rozumiesz.

Walker uśmiechnął się i zatknął kciuki za pas.

– Chodźcie ze mną, dzieciaki. Niech Cotton wraca do odczyniania swoich czarów.

– Dzięki, Howard – powiedział Cotton – ale lojalnie uprzedzam, że pomaganie nam może ci tu przysporzyć wrogów.

– Mój ojciec i brat zginęli w tych kopalniach. Mam z Southern Valley na pieńku. No, wracaj tam i pokaż, co potrafisz.

Cotton zniknął w głębi budynku, a Walker, odebrawszy od Oza solenne przyrzeczenie, że więcej się nie odezwie, wprowadził dzieci na salę sądową i posadził je na balkonie, na miejscach zarezerwowanych dla specjalnych gości.

– Oz – szepnęła Lou do brata – podziwiam twoją odwagę. Ja bym się bała. – Chłopiec uśmiechnął się, a do Lou dotarło wreszcie, że czegoś jej tu brakuje. – A gdzie twój nowy miś?

– Daj spokój, Lou, jestem już za duży na misie i ssanie.

Lou, patrząc na braciszka, przyznała mu rację. I łzy napłynęły jej do oczu, kiedy wyobraziła go sobie jako mężczyznę – dorosłego,

wysokiego, silnego i niepotrzebującego opieki siostry.

Tymczasem na dole Cotton i Goode prowadzili ożywioną rozmowę z siedzącym za stołem sędzią Atkinsem.

- Proszę posłuchać, panie Cotton - mówił Atkins. - Słyszałem, co pan powiedział o George'u Davisie i pańskie obiekcje zostały zapisane w protokole, ale niech pan zauważy, że Louisa przyjęła na świat czworo spośród zasiadających w ławie przysięgłych, a stan nie zgłasza z tego powodu sprzeciwu. - Tu spojrzął na Goode'a. - Panie Goode, można przeprosić na chwileczkę?

- Wysoki Sądzie - oburzył się prawnik - narada w cztery oczy z adwokatem? W Richmond nie stosujemy takich praktyk.

- No, to cieszę się, że tu nie Richmond. Proszę zostawić nas na chwilę samych. - Atkins machnął ręką, tak jakby odganiał natrętną muchę, i Goode wycofał się niechętnie do swojego stołu.

- Cotton - zaczął Atkins - wiemy obaj, że ta sprawa wzbudza wielkie emocje i obaj wiemy, co jest tego powodem. Pieniądze. Teraz się zastanów. Z jednej strony mamy Louise, która leży w szpitalu i zdaniem większości ludzi już z tego nie wyjdzie. Z drugiej jest Southern Valley kusząca naród górami żywej gotówki. Cotton kiwnął głową.

- A więc uważasz, że ława przysięgłych opowie się przeciwko nam, mimo że racja jest po naszej stronie?

- Cóż, tego nie powiedziałem, ale jeśli tu przegrasz.

- To obecność George'a Davisa w składzie ławy przysięgłych da mi solidne podstawy do złożenia apelacji - dokończył za niego Cotton.

Atkins spojrzął z uznaniem na Cottona, który pojął w lot strategię.

- A wiesz, że o tym nie pomyślałem. Sprytnie. No, to pchajmy dalej ten wózek.

Cotton wrócił na swoje miejsce, Atkins zaś stuknął młotkiem i oznajmił:

- Skład ławy przysięgłych został zatwierdzony. Proszę siadać.  
Przysięgli usiedli.

Atkins powiódł spojrzeniem po ich twarzach i zatrzymał wzrok na George'u Davisie.

- Zanim zaczniemy, pragnę coś przypomnieć. Od trzydziestu dziewięciu lat wycieram tyłkiem ten tu fotel i oświadczam, że na mojej sali rozpraw nie doszło jeszcze ani do próby korumpowania ławy przysięgłych, ani do manipulowania nią w jakikolwiek inny sposób. I nie dojdzie! Gdyby jednak coś takiego się stało, to osobnicy maczający w tym palce będą uważali spędzenie reszty życia w kopalniach węgla za majowy piknik, w porównaniu z tym, co ich czeka z mojej strony. - Patrzył jeszcze przez chwilę znacząco na Davisa, potem uśmiechnął się szeroko do Goode'a i Millera i w końcu powiedział: - Proszę stan o wezwanie swojego pierwszego świadka.

- Stan wzywa na świadka doktora Luthera Rossa - oznajmił Goode.

Zwalisty doktor Ross wstał i podszedł do miejsca dla świadka. Fred zaprzysiął go.

- Proszę podnieść prawą rękę, lewą położyć na Biblii. Czy przysięga pan uroczyście mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg?

Ross zapewnił, że będzie mówił prawdę i tylko prawdę, i wklinał się w fotel dla świadka.

Fred się wycofał, a do doktora Rossa podszedł Goode.

- Doktorze Ross, czy zechciałby pan zapoznać ławę przysięgłych ze swoimi kwalifikacjami zawodowymi? - spytał z czysto południowym akcentem.

- Jestem ordynatorem zakładu psychiatrycznego w Roanoke, należącego do lecznictwa zamkniętego. Prowadzę zajęcia z zakresu oceny stanu zdrowia psychicznego w college'u medycznym

w Richmond oraz na Uniwersytecie Stanu Wirginia. Zajmowałem się również osobiście ponad dwoma tysiącami przypadków podobnych temu, z którym mamy tu do czynienia.

- Tak. Jestem przekonany, że pan Longfellow i Wysoki Sąd przyznają, że jest pan najwybitniejszym ekspertem w swojej dziedzinie. Dostojnej ławie przysięgłych też chyba wystarczy to, co usłyszała.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - oświadczył Cotton. - Moim zdaniem nie ma żadnego dowodu na to, że pan Goode jest ekspertem w kwestii rankingu ekspertów.

- Sprzeciw podtrzymany, panie Cotton - powiedział Atkins. - Proszę kontynuować, panie Goode.

- Doktorze Ross - zwrócił się do świadka Goode, zerkając spod oka na Cottona - czy badał pan Louise Mae Cardinal?

- Tak.

- I jaka jest pańska fachowa opinia o jej sprawności umysłowej?

Ross pacnął tłustą dłonią o poręcz boksu dla świadków.

- Nie jest sprawna umysłowo. Moim zdaniem powinna zostać umieszczona w zakładzie.

Przez salę przetoczył się szmer szeptów. Atkins zastukał gniewnie młotkiem.

- Cisza! - warknął.

Goode kontynuował:

- W zakładzie? No, no. Czyli to coś poważnego. Twierdzi pan więc, że ta kobieta nie jest w stanie zadbać o własne interesy? Dajmy na to, samodzielnie decydować o sprzedaży swojej ziemi?

- Bezwzględnie nie. Mogłaby zostać łatwo oszwabiona. Ta biedaczka nie potrafi się podpisać własnym nazwiskiem. Prawdopodobnie nie wie nawet, jak się nazywa. - Doktor Ross przesunął władczym wzrokiem po twarzach przysięgłych. - Zakład - powtórzył.

Goode zadał jeszcze serię starannie sformułowanych pytań i na każde otrzymał pożądaną przez siebie odpowiedź. W opinii szanownego doktora Luthera Rossa, Louisa Mae zdecydowanie nie była w pełni władz umysłowych.

- Nie mam więcej pytań - oświadczył w końcu Goode.

- Panie Longfellow? - zwrócił się Atkins do Cottona. - Teraz pan.

Cotton wstał, zdjął okulary i, bawiąc się nimi, podszedł do świadka.

- Powiada pan, że przebadał ponad dwa tysiące osób.

- Zgadza się - odparł Ross, wypinając dumnie pierś.

- I u ilu stwierdził pan upośledzenie umysłowe?

Pierś Rossa gwałtownie opadła. Najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania.

- No... eee... trudno powiedzieć.

Cotton zerknął na ławę przysięgłych i kontynuował:

- Cóż w tym trudnego? Proszę po prostu powiedzieć. Może panu pomogę. U stu procent? U pięćdziesięciu?

- U stu procent na pewno nie.

- To może u pięćdziesięciu?

- U więcej.

- Może więc uściślijmy. U osiemdziesięciu? Dziewięćdziesięciu? Dziewięćdziesięciu pięciu procent?

Ross zastanowił się.

- U mniej więcej dziewięćdziesięciu pięciu procent pacjentów.

- Rozumiem. Zastanówmy się teraz. Byłoby to dziewięćdziesiąt pięć procent z dwóch tysięcy. Sporo tych chorych psychicznie, doktorze Ross.

Sala parsknęła śmiechem i Atkins stuknął młotkiem, uśmiechał się jednak pod nosem.

Ross wlepił w Cottona wściekłe spojrzenie.

- Mówię, jak było, panie prawniku.

- Doktorze Ross, ile osób po wylewie krwi do mózgu badał pan pod kątem sprawności umysłowej?

- No... nie przypominam sobie w tej chwili.

Cotton spacerował tam i z powrotem przed świadkiem, a ten wodził za nim wzrokiem i zaczynał się pocić.

- Jak przypuszczam, większość osób, które pan bada, cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne. Tutaj mamy do czynienia z ofiarą wylewu, która, chociaż jest obecnie upośledzona fizycznie, mogła zachować pełnię władz umysłowych. - Cotton poszukał wzrokiem Lou i wypatrzył ją na balkonie. - Chcę przez to powiedzieć - podjął - iż sam fakt, że ktoś nie mówi i nie porusza się, nie znaczy jeszcze, iż nie wie, co się wokół niego dzieje. Ona może wszystko widzieć, słyszeć i rozumieć. Wszystko! - Cotton obrócił się na pięcie i spojrzał na świadka. - A niewykluczone, że po jakimś czasie w pełni powróci do zdrowia.

- Kobieta, którą badałem, nie rokuje takich nadziei.

- Czy jest pan ekspertem od oceny stanu ofiar udaru? - spytał ostrym tonem Cotton.

- No... nie. Ale.

- Poprosiłbym więc Wysoki Sąd o poinstruowanie ławy przysięgłych, by nie brała pod uwagę tego orzeczenia.

- Zostajecie niniejszym poinstruowani - zwrócił się Atkins do przysięgłych - żeby nie brać pod uwagę tego, co mówi doktor Ross o szansach panny Cardinal na powrót do zdrowia, nie jest on bowiem w tej kwestii osobą kompetentną.

Atkins i Ross wymienili twarde spojrzenia, a Cotton przysłonił dłońią usta, żeby ukryć uśmiech.

- Doktorze Ross - ciągnął - nie potrafi pan zatem z całym przekonaniem stwierdzić, że dzisiaj, jutro albo pojutrze Louisa Mae Cardinal nie będzie już w stanie zadbać o swoje sprawy, zgoda?

- Kobieta, którą badałem.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Nie.

- Co „nie”? - podchwycił łagodnie Cotton. - Proszę pełnym zdaniem.

Sfrustrowany Ross skrzyżował ręce.

- Nie, nie potrafię z całym przekonaniem stwierdzić, że panna Cardinal dzisiaj, jutro albo pojutrze nie powróci do zdrowia.

Goode dźwignął się zza stołu.

- Wysoki Sądzie, domyślam się, do czego zmierza mój adwersarz, i chyba mam rozwiązanie. Doktor Ross zeznał, że panna Cardinal nie jest w tej chwili w stanie samodzielnie zadbać o swoje interesy. Otóż, jeśli poczuje się lepiej, a wszyscy mamy taką nadzieję, to odwoła się ustanowionego przez sąd reprezentanta i panna Cardinal będzie mogła znowu decydować o wszystkim sama.

- Wtedy nie będzie już miała ziemi - zauważył Cotton.

- Być może - podchwycił Goode - ale będzie bogatsza o pół miliona dolarów, które oferuje jej Southern Valley.

Przez salę przetoczył się głośny pomruk. Jakiś mężczyzna omal nie spadł z balustrady balkonu. W ostatniej chwili przytrzymali go sąsiedzi. Dzieci popatrywały na siebie wytrzeszczonymi oczami. Ich matki i ojcowie tak samo. Również przysięgli zdawali się oszołomieni tą niewyobrażalną sumą. Tylko George Davis siedział, jakby kij połknął, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Goode kuł żelazo póki gorące.

- Podobnie zresztą jak inni, kiedy firma złoży im podobne propozycje.

Cotton rozejrzał się po sali i pożałował, że wybrał zawód prawnika. Z utkwionych w sobie spojrzeń mieszkańców gór czytał, że widzą w nim przeszkodę na drodze do należącej im się słusznie fortuny. Wziął się jednak w garść i krzyknął:

- Wysoki Sądzie, to oświadczenie jest równoznaczne



z korumpowaniem ławy przysięgłych. Żądam unieważnienia rozprawy. Ci ludzie, skuszeni wizją dolarów Southern Valley, nie będą obiektywni wobec mojej klientki.

Goode uśmiechnął się do przysięgłych.

- Cofam to, co powiedziałem. Przepraszam, panie Longfellow. Niechcący mi się wymknęło.

Atkins odchylił się na oparcie fotela.

- Nie będzie unieważnienia, panie Cotton. Bo do kogo zwróciłby się pan o rozpatrzenie tej sprawy? Zebrali się tu niemal wszyscy mieszkający w promieniu pięćdziesięciu mil, a najbliższy sąd jest dzień jazdy pociągiem stąd. Poza tym tamtejszy sędzia nie jest nawet w przybliżeniu taki sympatyczny jak ja. - Tu zwrócił się do ławy przysięgłych: - Słuchajcie, macie nie brać pod uwagę oświadczenia pana Goode'a o wysokości oferty złożonej pannie Cardinal. Te słowa nie powinny paść na tej sali, a wy macie o nich zapomnieć. Bezwzględnie!

Spojrzał na Goode'a.

- O ile mi wiadomo, cieszy się pan nienaganną reputacją i nie chciałbym być tym, który pierwszy ją zaszarga. Ale jeszcze jeden taki wyskok, a posiedzi pan za obrazę sądu w ślicznej małej celi, którą mam w tym budynku, i nigdzie nie jest powiedziane, że nie zapomnę, że pana tam wsadziłem. Zrozumiano?

Goode kiwnął głową.

- Tak, Wysoki Sądzie - bąknął potulnie.

- Panie Cotton, ma pan jeszcze pytania do doktora Rossa?

- Nie, Wysoki Sądzie - odparł Cotton i wrócił na swoje miejsce.

Goode powołał teraz na świadka Trávisa Barnes'a i chociaż ten starał się, jak potrafił, w ogniu podchwytliwych pytań Goode'a jego rokowania co do Louisy wypadły mało optymistycznie. Na koniec Goode pomachał mu przed nosem fotografią.

- To pańska pacjentka Louisa Mae Cardinal?

Barnes spojrział na zdjęcie.

- Tak.

- Proszę o pozwolenie okazania fotografii ławie przysięgłych.

- Pozwalam, byle szybko - mruknął Atkins.

Goode podrzucił jedną odbitkę Cottonowi. Ten, nawet nie spojrzawszy, przedarł ją na pół i wrzucił do stojącej obok spluwaczki. Goode przeparadował tymczasem z oryginałem przed przysięgłymi. Sądząc ze cmoknięć, przyciszonych komentarzy i potrząsania głowami, fotografia wywołała zamierzony efekt. Niewzruszony pozostał jedynie George Davis. On przyglądał się zdjęciu szczególnie długo i Cotton odniósł wrażenie, że z trudem ukrywa satysfakcję. Zasiawszy ziarno wątplenia, Goode usiadł.

- Travis - zaczął Cotton, wstając i podchodząc do przyjaciela - czy przed ostatnim wypadkiem zdarzało ci się udzielać Louisie Cardinal pomocy medycznej?

- Tak, dwa razy.

- Mógłbyś nam o tym opowiedzieć?

- Jakieś dziesięć lat temu ukąsił ją grzechotnik. Zatrzymała ją motyka i przygalopowała do mnie na koniu. Ramię zdążyło jej już spuchnąć jak bania. Źle z nią było, bardzo gorączkowała. Przez kilka dni to odzyskiwała, to traciła przytomność. Ale wyszła z tego, i to kiedy myśleliśmy, że już po niej. Walczyła o życie niczym muł.

- A ten drugi raz?

- Zapalenie płuc. Nabawiła się go zimą, cztery lata temu, kiedy śniegu napadało więcej niż na biegunie południowym. Pamiętacie? - Zwrócił się do publiczności i wszyscy pokiwali głowami. - Nie sposób było wtedy wejść na górę ani z niej zejść. Dopiero po czterech dniach doniesiono mi, że jest chora. Jak tylko ustała burza śnieżna, dotarłem do niej, ale ona najgorsze miała już za sobą. Wykurowała się sama. Tego nie przetrzymałaby młoda osoba z dostępem do lekarstw, a ta siedemdziesięcioletnia wówczas kobieta nie miała

niczego prócz woli życia. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

Cotton podszedł do przysięgłych.

- Z tego wynika, że to kobieta o nieugiętym duchu. Duchu, którego nie można złamać.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zawołał Goode. - Czy to pytanie, czy pańska osobista opinia, panie Longfellow?

- Mam nadzieję, że jedno i drugie, panie Goode.

- Może ujmijmy to w ten sposób - dodał Barnes. - Gdybym gustował w zakładach, nie obstawiałbym przeciwko tej kobiecie.

Cotton spojrzał na przysięgłych.

- Ja też nie. Nie mam więcej pytań.

- Kto następny, panie Goode? - spytał Atkins.

Prokurator stanowy wstał, powiódł wzrokiem po sali, potem po balkonie, zatrzymał go na Lou i Ozie, i ostatecznie skoncentrował na Ozie.

- Młody człowieku, może zszedłbyś tu z nami porozmawiać?

Cotton był już na nogach.

- Wysoki Sądzie, nie widzę powodu.

- Wysoki Sądzie - wpadł mu w słowo Goode - tym dzieciom trzeba będzie wyznaczyć opiekuna, chyba więc nie zaszkodzi zamienić z którymś z nich kilka słów. A wybrałem chłopca, bo ma głos nad wiek donośny, o czym obecni mogli się niedawno przekonać na własne uszy.

Z sali dobiegły stłumione chichoty i Atkins, rozważający propozycję prokuratora, odruchowo stuknął młotkiem.

- Zezwalam, panie Goode, ale proszę pamiętać, że to jeszcze dziecko.

- Naturalnie, Wysoki Sądzie.

Lou wzięła Oza za rękę, zstąpili powoli po schodach i, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich obecnych, podeszli do miejsca dla świadków. Oz położył rękę na Biblii i został zaprzysiężony, a Lou

wróciła na swoje miejsce. Chłopiec usadowił się w fotelu. Wyglądał w nim tak żałośnie i bezradnie, że Cottonowi ścisnęło się serce.

- No więc, panie Oscarze Cardinal... - zaczął Goode.

- Mam na imię Oz, a moja siostra Lou. Niech pan nie nazywa jej Louisą Mae, bo dostanie pan od niej w nos.

Goode się uśmiechnął.

- Dobrze, zrozumiałem, Oz i Lou. - Oparł się o barierkę przy miejscu dla świadków. - Widzisz, Wysokiemu Sądowi jest bardzo przykro z powodu choroby twojej mamy.

- Ona wyzdrowieje.

- Naprawdę? Tak mówią lekarze?

Oz popatrzył na siedzącą na balkonie Lou. Goode ujął go delikatnie pod brodę i zmusił, żeby spojrzał znowu na niego.

- Siedzisz, synku, na miejscu dla świadka i musisz mówić prawdę. Nie wolno ci szukać podpowiedzi u siostry. Przysięgłeś na Boga mówić prawdę.

- Ja zawsze mówię prawdę. Słowo honoru.

- Grzeczny chłopiec. A więc jeszcze raz, czy lekarze twierdzą, że twoja mama wyzdrowieje?

- Nie. Powiedzieli, że to nic pewnego.

- To skąd wiesz, że ona wyzdrowieje?

- Bo... bo wypowiedziałem takie życzenie. Przy studni życzeń.

- Przy studni życzeń? - powtórzył Goode, spoglądając na przysięgłych z miną, która dobitnie świadczyła, co myśli o tej odpowiedzi. - To tu jest gdzieś studnia życzeń? Szkoda, że nie mamy takiej w Richmond.

Widownia gruchnęła śmiechem, a Oz zaczerwienił się i skulił w fotelu.

- Tu naprawdę jest studnia życzeń - powiedział. - Pokazał nam ją mój przyjaciel Diament Skinner. Wypowiada się życzenie, oddaje, co się ma najważniejszego, i życzenie się spełnia.

- Coś takiego. I ty wypowiedziałeś przy tej studni swoje życzenie.

- Tak, proszę pana.

- I oddałeś, co miałeś najważniejszego. Co to było? - Oz rozejrzał się nerwowo po sali. - Mów prawdę, Oz. Nie zapominaj, co przyobiecałeś Panu Bogu.

Oz nabrał powietrza w płuca.

- Mojego misia. Oddałem mojego misia.

Z sali dobiegło kilka stłumionych chichotów, które umilkły, kiedy po policzku chłopca potoczyła się łza.

- I twoje życzenie już się spełniło? - spytał Goode.

Oz pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

- A dawno je wypowiedziałeś?

- Dawno - przyznał cicho Oz.

- Twoja mama wciąż jest chora?

Oz opuścił głowę.

- Tak - powiedział ledwie dosłyszalnie.

Goode włożył ręce do kieszeni.

- Widzisz, synu, nie chcę cię rozczarowywać, lecz nasze życzenia rzadko się ziszczają. Tak dzieje się tylko w bajkach. Może przejdźmy teraz do twojej prababki. Wiesz, że jest poważnie chora, prawda?

- Wiem, proszę pana.

- Czy w jej intencji również wypowiedziałeś życzenie?

Cotton wstał.

- Dostyc tego, Goode.

- Spokojnie, spokojnie. Rozumiesz, Oz, że nie możesz pozostawać bez opieki, prawda? Jeśli twojej prababki się nie polepszy, sąd będzie musiał wyznaczyć dorosłego opiekuna, który z wami zamieszka. Albo zostanieiecie umieszczeni w sierocińcu. Chyba nie chcesz iść do sierocińca, prawda?

Cotton znowu poderwał się z miejsca.

- Sierociniec? Skąd ten pomysł?

- Już wyjaśniam. Jeśli ziemia panny Cardinal nie zostanie sprzedana, a ona, inaczej niż to było w wypadku ukąszenia przez grzechotnika, a także zapalenia płuc, nie wyzdrowieje, z dziećmi trzeba będzie coś zrobić. O ile nie mają pieniędzy, a z tego, co wiem, nie mają, trafią do sierocińca, bo tam umieszcza się dzieci niemające krewnych, którzy zechcieliby je przygarnąć, chyba że znajdzie się jakaś zacna osoba, która wyrazi chęć ich adoptowania.

- Mogą zamieszkać ze mną - powiedział Cotton.

Goode wyduł wargi, tak jakby za chwilę miał parsknąć śmiechem.

- Z panem? Z nieżonatym mężczyzną? Z prawnikiem w umierającym mieście? Byłby pan ostatnią osobą, której sąd przyznałby prawo do opieki nad jakimikolwiek dziećmi. - Goode zwrócił się znowu do Oza. - A nie wolałbyś zamieszkać we własnym domu, z kimś, komu twoje dobro leży na sercu? Wolałbyś, prawda?

- Nie wiem.

- Na pewno byś wolał. Pobyt w sierocińcu nie należy do przyjemności. A niektóre dzieci zostają tam na zawsze.

- Wysoki Sądzie - wtrącił się Cotton - czy to wszystko nie prowadzi jedynie do zastraszenia świadka?

- Tego samego chciałem się właśnie dowiedzieć, panie Goode - odezwał się Atkins.

Zanim prokurator zdążył zareagować, Oz zapytał:

- Czy Lou mogłaby iść ze mną? To znaczy, nie do sierocińca, tylko do tego innego miejsca?

- Naturalnie, synku, naturalnie - przytaknął szybko Goode. - Nie rozdziela się rodzeństw. - I dodał cicho: - Ale w sierocińcu nie ma takiej gwarancji. - Zawiesił na moment głos. - No i co ty na to, Oz, wolałbyś to drugie rozwiązanie?

Oz się wahał. Próbował poszukać wzrokiem podpowiedzi u Lou, ale czujny Goode ustawił się tak, że zasłonił mu widok.

- Chyba tak - bąknął w końcu.

Cotton spojrział na balkon. Lou stała i zaciskając dłonie na poręczy balustrady, wpatrywała się z niepokojem w brata.

Goode podszedł do przysięgłych, ostentacyjnie ocierając z oczu fałszywe łzy.

- To mądry chłopiec. Nie mam więcej pytań.

- Panie Cotton? - odezwał się Atkins.

Goode wrócił na swoje miejsce. Cotton wstał, ale nie wyszedł z za stołu. Zaciskając palce na krawędzi blatu, patrzył na zgnębnionego chłopca zajmującego fotel dla świadków; malca, który chyba najchętniej pobiegłby teraz do siostry, tak wystraszyła go roztoczona przez Goode'a ponura wizja sierocińca, kłopotliwe pytania i wielka sala pełna obcych patrzących na niego ludzi.

- Nie mam pytań - powiedział bardzo cicho, i Oz, jakby tylko na to czekał, czmychnął pod skrzydła siostry.

Przez salę rozpraw przewinęło się jeszcze paru świadków utrzymujących, że Louisa jest całkowicie niezdolna do świadomego podejmowania decyzji, a Cotton starał się, jak mógł, podważać ich zeznania. Po przesłuchaniu wszystkich sędzia Atkins odroczył rozprawę do dnia następnego i Cotton z dziećmi opuścili gmach sądu. Na zewnątrz czekali na nich Goode i Miller.

- Stoczył pan niezłą walkę, panie Longfellow - zagaił Goode - ale wszyscy dobrze wiemy, jak to się zakończy. Co by pan powiedział, gdybyśmy już teraz położyli temu kres? Oszczędzili ludziom stresów? - Spojrział na Lou i Oza. Chciał pogłaskać Oza po głowie, lecz chłopiec obrzucił go takim spojrzeniem, że Goode czym prędzej cofnął rękę, jakby w obawie, że ją straci.

- Rzuć okiem na to, Longfellow - powiedział Miller, wyciągając z kieszeni arkusik papieru. - Mam tu czek na pół miliona dolarów. Wystarczy, żebyś wyraził zgodę na zakończenie tej farsy, a ten czek będzie wasz.

Cotton popatrzył na Lou i Oza, a potem odparł:

- Zróbmy tak, Miller. Pozwólmy zdecydować dzieciom. Niech powiedzą, co o tym myślą, a ja się dostosuję.

Miller przykucnął i uśmiechnął się do Lou i Oza.

- Te pieniądze mogą być za chwilę wasze. Sprawicie sobie za nie, co chcecie. Zamieszkacie w wielkim domu, z ludźmi zatrudnionymi do opieki nad wami, kupicie piękny samochód. Żyć, nie umierać. Co wy na to, dzieci?

- My już mamy dom - odparła Lou.

- No, tak, ale co z waszą mamą? Ona potrzebuje opieki, a to kosztuje. - Pomachał czekiem przed nosem dziewczynki. - Tu jest rozwiązanie wszystkich waszych problemów, panienko.

Goode też przykucnął i zwrócił się do Oza.

- I oddalenie perspektywy trafienia do tego okropnego sierocińca. Chyba nie chcesz rozstawać się z siostrą, mam rację?

- Niech pan sobie schowa te swoje pieniądze - odparł Oz - bo my ich nie potrzebujemy. A z Lou nic nas nie rozdzieli. Nawet sierociniec!

Wziął siostrę za rękę i pociągnął ją za sobą.

Cotton patrzył na podnoszących się z kucek mężczyzn. Miller z gniewem wepchnął czek z powrotem do kieszeni.

- Powinniśmy uczyć się mądrości od dzieci - powiedział Cotton, odwrócił się i odszedł.

Po powrocie na farmę Cotton usiadł z Lou i Ozem przy stole, żeby omówić z nimi aktualny stan rzeczy.

- Obawiam się, że jeśli Louisa nie pojawi się jutro na sali rozpraw, to straci swoją ziemię. - Popatrzył na nich. - Ale wiedzcie, że cokolwiek się wydarzy, będę przy was. Zaopiekuję się wami. O to możecie być spokojni. Nigdy nie traficie do sierocińca. I nigdy nie zostanieie rozdzieleni. Przysięgam.



Lou i Oz uścisnęli go z całych sił. Cotton odjechał, żeby w zaciszu swojego mieszkania przygotować się do rozstrzygającej rozprawy, która czekała ich następnego dnia. Być może ostatniego dnia, jaki spędzą w górach.

Lou, przyrządziwszy kolację dla Oza i Eugene'a, poszła nakarmić matkę. Potem, pogrążona w zadumie, długo siedziała przed kominkiem. Na koniec, pod wpływem impulsu, nie zważając na chłód, wyprowadziła z obory Sue i pojechała na pagórek za domem. Odmówiła pacierz nad każdą mogiłą z osobna, a najdłuższy nad najmniejszą, tą, w której spoczywała Annie. Annie, gdyby żyła, byłaby jej stryjeczną babką. Gwiazdy świeciły jasno i Lou rozejrzała się po górach pławiących się w srebrzystej poświacie. Miała do zrobienia coś, co powinna była zrobić już dawno. Musi naprawić teraz ten błąd.

Wróciła do domu, wprowadziła Sue na noc do obory i weszła do izby matki. Usiadła na łóżku, wzięła Amandę za rękę i na parę chwil znieruchomiała. Potem pochyliła się, pocałowała matkę w policzek i po twarzy pociekły jej łzy.

- Cokolwiek się stanie, zawsze będziemy razem. Zawsze będziesz miała przy sobie mnie i Oza. Zawsze. - Otarła łzy. - Tak mi cię brak. - Pocałowała znowu matkę. - Kocham cię, mamo. - Z tymi słowami wybiegła z izby, nie mogła więc dostrzec samotnej łzy, która potoczyła się spod zamkniętej powieki matki.

Oz, wchodząc do izby Lou, zastał siostrę leżącą na łóżku i płaczącą cicho. Nawet nie próbowała ukryć łez. Położył się obok niej i przytulił.

- Będzie dobrze, Lou, zobaczysz.

Lou usiadła, otarła mokre policzki i spojrzała na brata.

- Chyba musiałyby się zdarzyć cud.

- Mogę spróbować jeszcze raz ze studnią życzeń - zaproponował.

Lou pokręciła głową.

- A co byśmy ofiarowali za spełnienie życzenia? Nic już nie mamy. Siedzieli przez parę minut w milczeniu. Pierwszy przerwał je Oz.

- Przeczytałaś wszystkie? - spytał, pokazując na plik listów, leżący na biurku Lou. Dziewczynka skinęła głową. - I podobały ci się?

Lou wyglądała tak, jakby za chwilę znowu miała się rozplakać.

- Są cudowne, Oz. Tato nie był jedynym w rodzinie pisarzem.

- Mogłabyś przeczytać mi niektóre? Proszę.

Lou dała się w końcu namówić. Oz usadowił się wygodnie na łóżku i zacisnął mocno powieki.

- Czemu zamykasz oczy? - spytała.

- Bo w ten sposób będzie mi się wydawało, że to nie ty czytasz, tylko mama do mnie mówi.

Lou spojrzała na listy jak na największy skarb.

- Wiesz co, Oz, jesteś geniuszem!

- Naprawdę? Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem?

- Wskazałeś mi drogę do naszego cudu.

Gęste chmury chyba na dłużej urządziły sobie postój nad szczytami. Lou, Oz i Jeb biegli w lodowatym deszczu. Przemarznięci do szpiku kości, dotarli do polany ze starą studnią. Miś Oza i fotografia, nasiąknięte wodą i wypłowiałe, wciąż leżały przy cembrowinie. Na widok fotografii Oz uśmiechnął się do siostry. Lou schyliła się, podniosła misia i oddała go Ozowi.

- Wiem, że jesteś już dorosły, ale zabierz z powrotem swojego misia - powiedziała czule.

Zdjęcie włożyła do woreczka z listami, który ze sobą przyniosła.

- Diament powiedział, że studnia spełni nasze życzenie, jeśli oddamy jej, co mamy najważniejszego na świecie. Oddajemy to, co jest dla nas obecnie najważniejsze... listy mamy.

Lou położyła zawiniątko na cembrowinie i przycisnęła je dużym kamieniem.

- Teraz musimy wypowiedzieć życzenie.

- Żeby mama do nas wróciła?

Lou pokręciła powoli głową.

- Nie, Oz, żeby Louisa zjawiała się jutro w sądzie. Bo Cotton powiedział, że jeśli jej tam nie będzie, to straci dom i ziemię.

Oz obruszył się trochę.

- Ale co z mamą? Możemy nie mieć już drugiej okazji do wypowiedzenia życzenia.

Lou objęła go.

- Louisa tyle dla nas zrobiła, że chociaż w ten sposób musimy się jej odwdzięczyć.

Chłopiec pokiwał ze smutkiem głową.

- No, to mów.

Lou wzięła Oza za rękę i oboje zamknęli oczy.

- Chcemy, żeby Louisa Mae Cardinal wstała jutro z łóżka i pokazała wszystkim, że nic jej nie jest.

- Amen, Jezu - zakończyli chórem.

Pobiegli co sił w nogach w stronę domu, modląc się w duchu, by w tej kupie zmurszałych cegieł chroniących stojącą wodę zostało miejsce na jeszcze jedno życzenie.

Późnym wieczorem Cotton wybrał się na spacer. Szedł, z rękami w kieszeniach, wyludnionymi uliczkami Dickens i czuł się najsamotniejszym człowiekiem na świecie. Padał zimny deszcz, ale on nie zwracał na to uwagi. Przysiadł na osłoniętej ławeczce i zapatrzył się na gazowe uliczne latarnie, mrugające za kurtyną deszczu. Na słupie jednej z nich wisiała tabliczka: „Southern Valley Coal and Gas”. Przejeżdżająca ulicą pusta ciężarówka strzeliła z rury wydechowej. Ta mała eksplozja zburzyła brutalnie nocną ciszę.

Cotton odprowadzał przez chwilę osowiałym wzrokiem oddalające

się auto, a potem jego uwagę przyciągnęło migotanie gazowej latarni. W momencie kiedy na nią spojrzął, w głowie zaświtał mu pewien pomysł. Usiadł prosto, popatrzył na znikającą ciężarówkę, potem znowu na latarnię. I pomysł się skryształizował. Przemoczony Cotton Longfellow wstał z ławki i klasnął w dłonie. To klaśnięcie rozbrzmiało w nocnej ciszy jak uderzenie gromu. Pomysł był swego rodzaju cudem.

Parę minut później wchodził już do pokoju Louisy. Stał przy łóżku i uściskał dłoń nieprzytomnej kobiety.

- Przysięgam ci, Louiso Mae Cardinal, że nie stracisz swojej ziemi.

Drzwi otworzyły się z impetem i na salę rozpraw wszedł zdecydowanym krokiem Cotton Longfellow. Goode, Miller i Wheeler już tam byli, sala pękała w szwach. Pół miliona dolarów, będących stawką w grze, rozpałało wyobraźnię. Na ostatnią rundę tej bitwy przybył nawet pewien staruszek utrzymujący od dawna, że jest ostatnim żyjącym żołnierzem Zbuntowanych Stanów z czasów wojny domowej. Zrobiono mu miejsce w pierwszym rzędzie.

Dzień był zimny i wilgotny, chociaż góry znudzone deszczem rozerwały w końcu pokrywę chmur i posłały je w dalszą drogę. W zatłoczonej sali rozpraw panowała taka duchota i wilgoć, że zaparowały szyby w oknach.

- Chyba czas kończyć to przedstawienie - mruknął przyjaźnie Goode do siadającego na swoim miejscu Cottona.

Cotton jednak nie dał się zwieść jego tonowi. Widział w przeciwniku zawodowego zabójcę, który zaraz zdmuchnie dym z lufy swojego sześciostrzałowca i puści oko do ofiary leżącej w pyłe ulicy.

- Zaraz będzie po wszystkim - odburknął.

Odczekał cierpliwie, aż sędzia zasiądzie za swoim stołem, a przysięgli zajmą swoje miejsca, i wstał.

- Wysoki Sądzie, chciałbym złożyć stanowi pewną propozycję.

- Propozycję? - zdziwił się Atkins. - Do czego pan zmierza, panie Cotton?

- Wiemy wszyscy, po co się tu zebraliśmy. Wcale nie chodzi o to, czy Louisa Mae Cardinal jest, czy nie jest w pełni władz

umysłowych. Chodzi o gaz.

Goode zerwał się na równe nogi.

- Stan jest żywotnie zainteresowany dopilnowaniem, by interesy panny Cardinal.

- Całe to zainteresowanie sprowadza się do tego, żeby nakłonić pannę Cardinal do sprzedaży ziemi.

- Co to za propozycja? - spytał zaintrygowany Atkins.

- Jestem gotów przyznać, że panna Cardinal nie jest sprawna umysłowo.

Goode się uśmiechnął.

- No, więc jednak do czegoś dochodzimy.

- Ale w zamian chcemy zbadać, czy Southern Valley jest firmą mogącą się ubiegać o przejęcie jej ziemi.

Goode zrobił zdziwioną minę.

- Boże, toż to jedna z najbogatszych firm w tym stanie.

- Ja nie mówię o pieniądzach - odparł Cotton. - Mam na myśli prawo moralne.

- Wysoki Sądzie! - zachnął się Goode.

- Proszę tu podejść - rzucił Atkins.

Cotton i Goode zbliżyli się do stołu sędziowskiego.

- Wysoki Sądzie - zaczął Cotton - z precedensowego prawa stanu Wirginia wynika wyraźnie, że ten, kto popełnia wykroczenie, nie może czerpać z tego korzyści.

- To jakaś bzdura - fuknął Goode.

Cotton przysunął się do swojego adwersarza.

- Jeśli nie udzielicie mi zgody na przeprowadzenie tego dochodzenia, Goode, powołam własnego eksperta, który zakwestionuje wszystko, co powiedział doktor Ross. A jeśli przegram, będę składał apelację. Nawet do Sądu Najwyższego, jeśli zajdzie taka potrzeba. Proszę mi uwierzyć, my już dawno poumieramy, a pański klient jeszcze nie dobierze się do tego gazu.

- Ależ ja jestem urzędnikiem państwowym. Nie wolno mi reprezentować prywatnej firmy.

- Bardziej cynicznego oświadczenia w życiu nie słyszałem - stwierdził Cotton. - Jeśli jednak otrzymam waszą zgodę, to nie będę zgłaszał żadnych sprzeciwów i zaręczam, że podporządkuję się decyzji podjętej przez tę ławę przysięgłych, mimo że zasiada w niej tak żalosna kreatura jak George Davis. - Goode zerknął niepewnie na Millera. - Oj, Goode - zachęcił go Cotton - nie trać pan czasu na krygowanie się, tylko podejdź i porozmawiaj z klientem.

Goode prowadził przez chwilę ożywioną rozmowę z Millerem, który zerkał raz po raz na Cottona. W końcu kiwnął głową i Goode wrócił do stołu sędziowskiego.

- Nie zgłaszamy sprzeciwu.

- Proszę kontynuować, panie Cotton - rzucił sędzia.

Lou i Eugene pojechali hudsonem do szpitala. Oz oznajmił, że nie chce mieć więcej do czynienia z sądami ani z prawem, i został w domu pod opieką żony Buforda Rose'a. Lou siedziała na krzeselku i wpatrywała się w Louise, czekając na cud. Sala była chłodna i sterylnie czysta, panująca w niej atmosfera zdawała się nie sprzyjać powrotom do zdrowia, lecz Lou nie liczyła na medycynę. Jej nadzieje wiązały się z kupką zmurszałych cegieł na trawiastej polance oraz z zawiniątkiem z listami, które zawierały być może ostatnie słowa ich matki.

W pewnej chwili wstała i podeszła do okna. Widać było stąd kino, w którym w dalszym ciągu wyświetlano „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Ale jej ukochanego Stracha na Wróble już nie było, Tchórzliwy Lew zaś przestał się bać. A Blasany Człowiek? Czy w końcu znalazł swoje serce? Być może nigdy go nie zgubił?

Odwróciła się od okna, spojrzała na prababkę i zamarła. Louisa miała oczy otwarte i patrzyła na nią przytomnie, a po jej wargach

błąkał się nikły uśmieszek. Lou, ochłonawszy z pierwszego szoku, podskoczyła do łóżka, objęła Louise i pocałowała ją.

- Kocham cię, Louiso - wykrztusiła łamiącym się głosem, bo nie przypominała sobie, żeby wypowiadała już kiedyś te słowa.

Wargi Louisy się poruszyły i chociaż Lou nic nie słyszała, odczytała z ich ruchu, co odpowiada jej prababka: „Ja też cię kocham, Louiso”.

A potem prababka zamknęła powoli oczy. Czyżby to był koniec cudu, przemknęło Lou przez myśl.

- Panienko Lou, wołają nas do sądu.

Obejrzała się. W drzwiach stał zaaferowany Eugene.

- Pan Cotton chce, żebyśmy tam przyszli.

Lou puściła dłoń Louisy, odwróciła się i wyszła.

Chwilę potem Louisa znowu otworzyła oczy. Rozejrzała się po pokoju. Jej twarz wyrażała zrazu niepokój, lecz szybko się wypogodziła. Zaczęła unosić się na łóżku, nie rozumiejąc, dlaczego lewą stronę ciała ma niewładną. Przez cały czas nie odrywała wzroku od okna. Patrząc w nie, cal po calu uniosła się do pozycji półsiedzącej. Oddychała teraz ciężko, ten wysiłek kosztował ją niemal wszystkie siły i całą energię. Opadła po chwili na poduszkę i uśmiechnęła się. Za oknem zobaczyła swoje góry. Chociaż zima, zakryła ich barwy, widok był przepiękny. Na wiosnę wrócą im kolory, pomyślała. Jak zawsze. Były niczym rodzina, która nigdy nie odwraca się od człowieka. I patrząc na to wypiętrzone pasmo porośniętych drzewami skał, Louisa Mae Cardinal znieruchomiała.

Cotton stanął przed stołem sędziowskim i donośnym głosem zawołał:

- Wzywam na świadka pannę Louise Mae Cardinal.

Szmer przeszedł po sali. Drzwi otworzyły się i weszli nimi Lou z Eugene'em. Miller i Goode odetchnęli, widząc, że to tylko dziecko.



Eugene usiadł, a Lou podeszła do fotela dla świadków.

Zbliżył się do niej Fred.

- Podnieś prawą rękę, lewą połóż na Biblii. Czy przysięgasz uroczyście mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg?

- Przysięgam - powiedziała cicho, rozglądając się po sali.

Cotton uśmiechnął się do niej pokrępiąco i pokazał ukradkiem, że też skrzyżował na szczęście palce.

- Lou, uprzedzam z góry, że będę cię pytał o rzeczy przykre, ale nie możesz uchylać się od odpowiedzi. Jesteś gotowa?

- Tak.

- W dniu kiedy zginął Jimmy Skinner, byłaś z nim, prawda?

Miller i Goode wymienili zaniepokojone spojrzenia. Goode wstał.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To nie ma żadnego związku ze sprawą.

- Stan pozwolił mi zbadać moją teorię - odparł Cotton.

- Sprzeciw oddalony - orzekł sędzia. - Ale proszę się streszczać, panie Cotton.

Cotton zwrócił się znowu do Lou.

- Znajdowałaś się przy wejściu do chodnika, gdy nastąpił wybuch?

- Tak.

- Możesz nam opisać, co się wtedy wydarzyło?

Lou z trudem przełknęła ślinę, do oczu napłynęły jej łzy.

- Eugene założył dynamit i wyszedł. My chcieliśmy tylko poczekać na wybuch. Ale potem Diament... to znaczy Jimmy... wbiegł do kopalni za Jebem, swoim psem, bo ten pogonił tam za wiewiórką. Eugene pobiegł za Jimmym. Ja stałam przed wejściem, kiedy rozległ się wybuch.

- Czy eksplozja była głośna?

- Większego huku w życiu nie słyszałam.

- Zastanów się teraz. Czy nie słyszałaś czasem dwóch eksplozji?

Lou spojrzała na Cottona ze zdziwieniem.

- Nie, tylko jedną.

- I co było dalej?

- Silny podmuch powietrza i dymu zbił mnie z nóg.

- Musiał być naprawdę silny.

- Jeszcze jak.

- Dziękuję ci, Lou. Nie mam więcej pytań.

- Panie Goode? - zwrócił się Atkins do prokuratora stanowego.

- Nie mam pytań, Wysoki Sądzie. W odróżnieniu od pana Longfellowa, nie chcę zajmować przysięgłym cennego czasu jakimiś bzdurami.

- Wzywam na świadka Eugene'a Randalla - powiedział Cotton.

Zdenerwowany Eugene usiadł w fotelu dla świadków. W dłoniach ścisnął kurczowo kapelusz, który sprezentowała mu Lou. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

- Eugene, w dniu, w którym zginął Jimmy Skinner, wybrałeś się do kopalni po węgiel, tak?

- Tak, psze pana.

- Do wydobywania węgla używasz dynamitu?

- Tak, wszyscy tak robią. Węgiel daje dużo ciepła. Jest dużo lepszy od drewna.

- Ile razy chodziłeś do tej kopalni z dynamitem?

Eugene się zastanowił.

- Ze trzydzieści albo i więcej.

- To chyba jesteś w tej dziedzinie ekspertem.

Eugene uśmiechnął się, mile polechtany tym określeniem.

- No chyba.

- Opisz nam dokładnie, jak posługujesz się dynamitem?

- Wkładam laskę do dziury w ścianie, zakładam spłonkę, rozwijam lont i przypalam go od płomyka latarni.

- I co robisz potem?

- Ten chodnik zakręca w paru miejscach i jak użyję mało dynamitu, to czekam za zakrętem. A czasami wychodzę przed kopalnię. Uszy mnie ostatnio bołą od huku. No i po wybuchu strasznie się kurzy.

- Wyobrażam sobie. W dniu, o którym mowa, wyszedłeś na zewnątrz. Zgadza się?

- Tak, pszepana.

- A potem wszedłeś z powrotem do chodnika, żeby wyprowadzić stamtąd Jimmy'ego, ale ci się to nie udało.

- Tak, pszepana - bąknął Eugene, spuszczać wzrok.

- Czy wybrałeś się wtedy do kopalni po raz pierwszy od dłuższego czasu?

- Tak, pszepana. Pierwszy raz w tym roku. Zeszła zima nie była taka mroźna.

- Rozumiem. Gdzie się znajdowałeś, kiedy nastąpiła eksplozja?

- Osiemdziesiąt stóp od wejścia. Przed pierwszym zakrętem. Mam chorą nogę i nie mogę szybko chodzić.

- Co się z tobą działo, kiedy doszło do wybuchu?

- Odrzuciło mnie na dobre dziesięć stóp. Uderzyłem głową w ścianę. Myślałem, że już nie żyję. Ale latarnię wciąż trzymałem. Sam nie wiem, jak to się stało, że jej nie wypuściłem.

- Dobry Boże. Na dziesięć stóp? Takiego wielkiego chłopa jak ty? A pamiętasz, gdzie umieściłeś swój ładunek?

- Jakżeżbym miał zapomnieć, panie Cotton? Za drugim zakrętem. Trzysta stóp od wejścia. Tam jest dobra żyła węgla.

Cotton udał zmieszanie.

- Czegoś tu nie rozumiem, Eugene. Przecież nieraz przeczekiwałeś wybuch w kopalni. I wychodziłeś z tego bez szwanku. Jak to się stało, że tamtego dnia, kiedy znajdowałeś się ponad dwieście stóp od miejsca wybuchu, i to nie za jednym, a za dwoma zakrętami, eksplozja odrzuciła cię na dziesięć stóp? Gdybyś

był trochę bliżej, prawdopodobnie nie uszedłbyś z życiem. Jak to wyjaśnisz?

Eugene sprawiał wrażenie kompletnie skołowanego.

- Nie wiem, panie Cotton. Ale tak było. Przysięgam.

- Wierzę ci. Słyszałeś, co zeznała Lou. Powiedziała, że podmuch zbił ją z nóg, chociaż stała przed wejściem do chodnika.

Czy tobie też się to kiedyś przytrafiło, gdy czekałeś na wybuch przed kopalnią?

Cotton jeszcze nie skończył, a Eugene już kręcił głową.

- Od tej troszki dynamitu, co użyłem, nie mogło być takiego podmuchu. Chciałem tylko ukruszyć węgla na jedno wiadro. W zimie, jak przyjeżdżam saniami, to daję więcej, ale nawet wtedy podmuch nikogo by przed kopalnią nie przewrócił. Boże, toż to trzysta stóp i dwa zakręty.

- Znalazłeś ciało Jimmy'ego. Było może przywalone węglem i kamieniami? Zarwał się strop?

- Nie, pszepana. Ale wiedziałem, że nie żyje. Bo nie miał ze sobą latarni. W tej kopalni bez światła ani rusz. Człowiek głupieje, nie wie, gdzie wejście, gdzie wyjście. W głowie się mąci. Pewnie minął się z Jebem, jak ten wracał do wyjścia, i nawet go nie zauważył.

- Potrafisz nam powiedzieć, gdzie dokładnie znalazłeś Jimmy'ego?

- Sto dwadzieścia stóp dalej, między pierwszym a drugim zakrętem.

Sala słuchała w napięciu. Miller, obracając w dłoniach kapelusz, nachylił się do Goode'a i szepnął mu coś na ucho. Goode kiwnął potakująco głową, spojrział na Eugene'a, uśmiechnął się i znowu kiwnął głową.

- No, dobrze - powiedział Cotton - założmy teraz, że Jimmy znajdował się blisko ładunku, kiedy ten eksplodował. Podmuch mógłby go odrzucić na sporą odległość, prawda?

- Jakby był blisko, to pewnie.

- Ale nie aż za drugi zakręt?

Goode wstał.

- To łatwo wyjaśnić. Eksplozja mogła być tak silna, że odrzuciła chłopca za drugi zakręt.

Cotton spojrzał na przysięgłych.

- Nie bardzo sobie wyobrażam, w jaki sposób niesione przez podmuch ciało mogłoby zakręcić pod kątem prostym i potem przelecieć jeszcze spory kawałek. Chyba że pan Goode usiłuje nam wmówić, że Jimmy świadomie sterował swoim lotem.

Przez salę przeszła fala chichotów. Rozparty w sędziowskim fotelu Atkins nie zastukał jednak młotkiem, by uciszyć publiczność.

- Proszę kontynuować, panie Cotton. To się robi coraz bardziej interesujące.

- Eugene, przypominasz sobie, czy tamtego dnia, po wejściu do kopalni, nie poczułeś się czasem źle?

Eugene się zastanowił.

- Nie bardzo pamiętam. Może trochę głowa mnie rozbolała.

- Rozumiem, a czy twoim zdaniem, zdaniem eksperta, sam wybuch ładunku dynamitowego mógłby odrzucić ciało Jimmy'ego Skinnera tam, gdzie je znalazłeś?

Eugene sunął powoli wzrokiem po twarzach przysięgłych.

- Nie, pszešana!

- Dziękuję, Eugene. Nie mam więcej pytań.

Do boksu dla świadków podszedł Goode. Oparł się dłońmi o barierkę i nachylił do Eugene'a.

- Mieszkasz z panną Cardinal w jej domu, prawda, chłopcze?

Eugene odsunął się troszeczkę, nie odrywając oczu od twarzy mężczyzny.

- Tak, pszešana.

Goode posłał przysięgłym znaczące spojrzenie.

- Kolorowy mężczyzna i biała kobieta pod jednym dachem?

Cotton zerwał się z miejsca, zanim Goode dopowiedział to zdanie do końca.

- Wysoki Sądzie, to niedopuszczalne!

- Panie Goode - powiedział Atkins. - Takie uwagi może pan sobie wygłaszać w Richmond, ale nie na mojej sali rozpraw. Jeśli ma pan do tego człowieka jakieś konkretne pytania, to niech pan je zadaje, a jak nie, to proszę siadać. I o ile mi wiadomo, świadek nazywa się Eugene Randall, a nie „chłopiec”.

- Tak, Wysoki Sądzie, z całą pewnością. - Goode odchrząknął, cofnął się i wsunął ręce w kieszenie. - Panie Eugene'ie Randalle, powiedział pan, że w chwili wybuchu znajdował się pan mniej więcej dwieście stóp od ładunku, a pan Skinner mniej więcej w połowie tej odległości. Pamięta pan, jak to mówił?

- Nie, psze pana. Mówiłem, że byłem wtedy osiemdziesiąt stóp od wejścia do kopalni, znaczy się, dwieście dwadzieścia stóp od ładunku. I mówiłem, że znalazłem Diamenta sto dwadzieścia stóp dalej. Czyli jakieś sto stóp od ładunku. Nie wiem, jak daleko odrzucił go podmuch.

- Tak, rozumiem. Chodził pan do szkoły?

- Nie.

- Nigdy?

- Nigdy, psze pana.

- A więc nie uczył się pan nigdy matematyki, dodawania, odejmowania. A tutaj, ni z tego, ni z owego, pod przysięgą, podaje pan dokładne odległości.

- Tak.

- Jak to możliwe w wypadku niewykształconego kolorowego człowieka, który nigdy nie dodał jeden do jednego w obecności nauczyciela? Jak szanowna ława przysięgłych ma wierzyć w prawdziwość podawanych przez pana liczb?

Eugene nie spuszczał wzroku z pewnej siebie twarzy Goode'a.

- Znam się dobrze na liczbach. Na rachowaniu i w ogóle. Na dodawaniu, na odejmowaniu. Panna Louisa mnie nauczyła. Bo ja jestem cieśla. Pomagałem tu wielu ludziom stawiać stodoły. Cieśla musi się znać na liczbach. Urznie pan trzy cale deski, a potrzeba jej cztery cale, i co?

Po sali ponownie przetoczyła się fala chichotów, a Atkins znowu nie zareagował.

- No, dobrze - powiedział Goode - a więc potrafi pan rznąć deski. Ale jak to możliwe, żeby oceniał pan z taką precyzją odległości w ciemnym, pełnym zakrętów chodniku kopalni? Panie Eugene'ie Randalle, niech nam pan to wyjaśni! - Mówiąc to, Goode patrzył na przysięgłych z ironicznym uśmiechem na wargach.

- Miałem je na ścianach - odparł Eugene.

- Słucham?

- Porobiłem sobie wapnem znaki na ścianach, co dziesięć stóp, aż do czterystu stóp. Ludzie tak tu robią. Jak się węgiel w kopalni wysadza dynamitem, to lepiej wiedzieć, jak daleko się odsunąć. A ja mam chorą nogę. No i pamiętałem jeszcze po tych znakach, gdzie są dobre żyły węgla. Niech pan idzie teraz z latarnią do kopalni, panie prawnik, to zobaczy je pan jak na dłoni. I wszystko, com tu mówił, zgadza się co do joty.

Cotton zerknął na Goode'a. Prokurator stanowy miał taką minę, jakby dowiedział się przed chwilą, że do nieba nie wpuszczają prawników.

- Ma pan jeszcze pytania? - spytał Atkins Goode'a.

Goode bez słowa wrócił za swój stół i usiadł.

- Panie Randall - zwrócił się Atkins do Eugene'a - jest pan wolny. Sąd dziękuje panu za to zeznanie eksperta.

Eugene wstał i wrócił na swoje miejsce. Obserwująca go z balkonu Lou zauważyła, że prawie nie widać, że utyka. Cotton powołał teraz na świadka Trávisa Barnes'a.

- Doktorze Barnes, na moją prośbę przeanalizował pan na podstawie akt okoliczności śmierci Jimmy'ego Skinnera, prawda? W tym fotografię zrobioną po wyniesieniu ciała z kopalni.

- Tak.

- Może nam pan podać przyczynę śmierci?

- Rozległe obrażenia głowy i ciała.

- W jakim stanie znajdowało się ciało?

- Było dosłownie rozerwane.

- Czy miał pan do czynienia z pacjentami poszkodowanymi w wyniku wybuchu dynamitu?

- Oczywiście. Przecież to górniczy region.

- Słyszał pan zeznanie Eugene'a. Czy, pańskim zdaniem, wybuchający w tych okolicznościach dynamit mógł spowodować u Jimmy'ego Skinnera takie obrażenia?

Goode, zgłaszając swój sprzeciw, nie zadał sobie nawet trudu, żeby wstać.

- Nakłanianie świadka do snucia spekulacji - wyrecytował beznamiętnym tonem.

- Wysoki Sądzie, moim zdaniem doktor Barnes jest osobą wystarczająco kompetentną, by odpowiedzieć na to pytanie bez wdawania się w spekulacje - oświadczył Cotton.

Atkins skinął głową.

- Słuchamy, doktorze Travis.

Travis popatrzył z pogardą na Goode'a.

- Dobrze się znam na gatunkach dynamitu stosowanych przez okoliczną ludność do wykruszenia wiadra węgla. Nie ma mowy, żeby przy takiej odległości od miejsca wybuchu dynamit spowodował obrażenia, jakich doznał ten chłopiec, tym bardziej że znajdował się za zakrętem. Aż wierzyć się nie chce, że nikt wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

- Jeśli ktoś ginie w kopalni, to wszyscy zakładają z góry, że od



dynamitu – odpowiedział Cotton. – Widział pan już wcześniej tego rodzaju obrażenia?

– Tak. Po eksplozji w miejskiej gazowni. Śmierć poniosło wtedy dwanaście osób. Dosłownie rozerwało ich tak jak Jimmy’ego.

– Co było przyczyną tej eksplozji?

– Ulatnianie się gazu ziemnego.

Cotton odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Hugh Millerowi.

– Panie Goode, jeśli nie ma pan pytań, to chciałbym powołać na świadka pana Judda Wheelera.

Goode rzucił Millerowi pełne wyrzutu spojrzenie zdradzonego współnika.

– Nie mam pytań.

Wheeler, widząc zbliżającego się Cottona, poprawił się nerwowo w fotelu dla świadków.

– Jest pan w Southern Valley głównym geologiem?

– Tak.

– I kierował pan zespołem poszukującym ewentualnych złóż gazu ziemnego na terenie posiadłości panny Cardinal?

– Tak.

– Bez jej zgody, a nawet wiedzy?

– No, ja nie wiedziałem, że.

– Miał pan jej pozwolenie, panie Wheeler? – przerwał mu Cotton.

– Nie.

– I znaleźliście gaz ziemny, prawda?

– Tak.

– A pańską firmę to odkrycie bardzo zainteresowało?

– Tak, bo gaz ziemny staje się coraz bardziej popularnym paliwem. Do tej pory stosowało się przeważnie gaz miejski, uzyskiwany w procesie podgrzewania węgla. Zasilane są nim, między innymi, miejskie latarnie. Ale na gazie miejskim nie można zarobić. A mamy już bezszwowe rury stalowe, dzięki którym można

przesyłać gaz ziemny na duże odległości. Stąd nasze zainteresowanie.

- Gaz ziemny jest wybuchowy, tak?

- Jeśli ostrożnie się z nim obchodzić.

- Jest czy nie jest?

- Jest.

- Co konkretnie robiliście w tej kopalni?

- Pomiar i testy, w wyniku których zlokalizowaliśmy ogromne złoża gazu uwięzionego w niszy skalnej tuż pod powierzchnią chodnika, jakieś sześćset stóp od wejścia. Węgiel, ropa i gaz często występują razem, bo powstają w wyniku tego samego procesu naturalnego. Gaz zawsze zalega na wierzchu, bo jest najlżejszy. Zrobiliśmy odwiert i natrafiliśmy na złożo.

- Czy ten gaz wydostawał się z odwiertu do chodnika?

- Tak.

- Zechciałby nam pan podać datę natrafienia na to złożo?

Wheeler podał datę.

- To tydzień przed śmiercią Jimmy'ego Skinnera! - zwrócił się Cotton do przysięgłych. - Czy można było wyczuć zapach gazu, panie Wheeler?

- Nie, w stanie naturalnym gaz ziemny jest bezbarwny i bezwonny. W procesie uzdatniania dodaje się do niego czynnik zapachowy, żeby ludzie szybko się zorientowali, w razie gdyby się ulatniał, bo to grozi zatruciem.

- Albo wybuchem?

- Też prawda.

- Co by się stało, gdyby ktoś odpalił ładunek dynamitu w chodniku, w którym ulatnia się gaz?

- Gaz by wybuchł. - Wheeler wyglądał tak, jakby za chwilę sam miał wylecieć w powietrze.

Cotton odwrócił się do przysięgłych.

- A więc Eugene miał wielkie szczęście, że znajdował się tak daleko od odwiertu, z którego ulatniał się gaz. A jeszcze większe, że do podpalenia lontu nie użył zapalniczki, ale przypalił go od płomyka latarni. Dopiero detonacja dynamitu spowodowała wybuch gazu. - Spojrzał znowu na Wheelera. - Jaka to była eksplozja? Wystarczająco silna, żeby spowodować u Jimmy'ego Skinnera prowadzące do śmierci obrażenia opisane przez doktora Barnes'a?

- Tak - przyznał Wheeler.

Cotton położył dłonie na barierce boksu dla świadków i pochylił się.

- Nie przyszło panu do głowy, żeby postawić tablicę ostrzegającą ludzi, że w chodniku jest gaz ziemny?

- Nie wiedziałem, że wydobywają tam węgiel za pomocą ładunków dynamitowych! Nie wiedziałem, że ktoś w ogóle wchodzi do tej starej kopalni.

Cottonowi wydało się, że Wheeler rzucił gniewne spojrzenie George'owi Davisowi, ale nie był tego pewien.

- Przecież wystarczyło wejść do tego chodnika, żeby zatruć się gazem. Czemu nie postawił pan tablicy ostrzegawczej?

- Strop jest tam wysoko - wyrzucił z siebie Wheeler. - Są też naturalne szczeliny wentylacyjne w skale, a więc gromadzący się metan nie mógł osiągnąć stężenia, które stwarzałyby poważniejsze zagrożenie. Zresztą zamierzaliśmy zatkać odwiert. Czekaliśmy tylko na odpowiedni sprzęt. Nie chcieliśmy nikogo narażać. Naprawdę.

- Prawda jest taka, że nie umieściliście przed wejściem do chodnika tablicy ostrzegawczej, bo prowadziliście tam prace nielegalnie. Mam rację?

- Wykonywałem tylko polecenia przełożonych.

- Zadaliście sobie wiele trudu, żeby ukryć fakt prowadzenia tych robót.

- Pracowaliśmy tylko nocami. Sprzęt przynosiliśmy ze sobą,

a odchodząc, zabieraliśmy.

- A więc nikt nie wiedział, że coś tam robicie?

- Nikt.

- Bo Southern Valley, nie mówiąc panie Cardinal, że mieszka na oceanie gazu, chciała od niej odkupić farmę za bezcen?

- Sprzeciw! - zawołał Goode.

- Panie Wheeler - ciągnął Cotton, nie zwracając uwagi na słowa Goode'a - wie pan, że wybuch w kopalni pozbawił życia Jimmy'ego Skinnera. I na pewno zdaje pan sobie sprawę, że swój udział miał w tym gaz. Dlaczego otwarcie pan tego nie przyzna?

Wheeler obracał w rękach kapelusz.

- Zakazano mi.

- Kto panu zakazał?

- Pan Hugh Miller, wiceprezes firmy.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Millera. Cotton, zadając następne pytanie, też na niego patrzył.

- Ma pan dzieci, panie Wheeler?

- Troje - odparł zdziwiony Wheeler.

- Dobrze się chowają? Zdrowe?

- Tak - bąknął Wheeler, spuszczaając wzrok.

- No, to szczęściarz z pana.

Goode, zwracając się do przysięgłych, przystąpił do mowy końcowej.

- Z zeznań, których tu wysłuchaliśmy, wynika niezbicie, że Louisa Mae Cardinal nie jest w pełni władz umysłowych. Przyznał to nawet pan Longfellow, jej prawnik. Co tu mają do rzeczy wszystkie rozważania o gazie, eksplozji i podobnych sprawach? Jeśli Southern Valley przyczyniła się w jakikolwiek sposób do śmierci pana Skinnera, to jego rodzina ma prawo wystąpić o odszkodowanie.

- On nie miał rodziny - rzucił Cotton.

Goode puścił tę uwagę mimo uszu.

- Pan Longfellow pyta, czy mój klient ma prawo ubiegać się o wykup tutejszych terenów. Otóż Southern Valley ma wielkie plany co do waszego miasta. Wejście firmy na ten teren to dobrze płatne miejsca pracy, rozwój i pomyślność dla wszystkich mieszkańców.

- Podszedł do ławy przysięgłych. - Pytanie brzmi: Czy powinno się pozwolić Southern Valley na podniesienie stopy życiowej wam wszystkim, włączając w to pannę Cardinal? Myślę, że odpowiedź jest oczywista.

Goode usiadł, a do bariery oddzielającej przysięgłych od sali podszedł z rękami w kieszeniach Cotton. Kiedy zaczął mówić, wszyscy przysięgli, z wyjątkiem George'a Davisa, pochylili się, żeby nie uronić ani jednego słowa. Byli świadkami, jak Cotton Longfellow uciera nosa jednemu z najlepszych prawników z wielkiego miasta Richmond. I jak upokarza potężną firmę. Teraz byli ciekawi, czy ten człowiek potrafi zdyskontować swój sukces.

- Pozwólcie, dobrzy ludzie, że naświetlę wam najpierw prawną stronę tej sprawy. Wbrew pozorom nie jest ona wcale taka skomplikowana. - Wyjął rękę z kieszeni i, pokazując palcem na Hugh Millera, ciągnął: - Nierozważne działania firmy Southern Valley doprowadziły do tragicznej śmierci Jimmy'ego Skinnera, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Southern Valley nawet się tego nie wypiera. Jej pracownicy weszli bezprawnie na teren posiadłości Louisy Mae. Nie postawili tablic informujących, że chodnik kopalni wypełniony jest gazem stwarzającym śmiertelne zagrożenie dla każdego, kto tam wejdzie. Zaniedbali tę sprawę świadomie, bo wiedzieli, że dopuszczają się przestępstwa. Teraz natomiast chcą wykorzystać tragedię Louisy Mae, żeby przejąć jej ziemię. Prawo stanowi wyraźnie, że nikomu nie wolno czerpać korzyści z popełnionego przez siebie przestępstwa. A z taką właśnie próbą mamy tutaj do czynienia. - Aż do tej chwili mówił powoli i spokojnie. Teraz, wciąż wskazując palcem na Hugh Millera,

podniósł nieco głos.

- Przyjdzie taki dzień, że Bóg rozliczy winnych śmierci młodego człowieka. Ale waszym zadaniem jest dopilnowanie, żeby ci ludzie ponieśli karę już dzisiaj. - Cotton popatrzył po przysięgłych, zatrzymał wzrok na George'u Davisie i kontynuował, zwracając się bezpośrednio do niego: - Przejdźmy teraz do kwestii czysto ludzkich, nieregulowanych przez prawo, bo w nich chyba tkwi sedno sprawy. Southern Valley przyszła do was, kusząc workami pieniędzy, obiecując, że uratuje całe miasto, wyciągnie je z zapaści. Ale przypomnijcie sobie, że to samo mówili wam ci od wyrębu lasów. Mieli tu osiąść na zawsze. Pamiętacie? Ale dlaczego obozy drwali poruszały się po szynach? Czy to nie sugerowało tymczasowości? I gdzie są teraz? O ile mi wiadomo, Kentucky nie jest częścią stanu Wirginia. - Spojrzał na Millera. - Firmy węglowe obiecywały wam wiele. A co zrobiły? Przyszły tutaj, wzięły, co chciały, i zostawiły was z wydrążonymi górami, z czarnymi od węglowego pyłu płucami i z marzeniami o dobrobycie, marzeniami, które zamieniły się w koszmar. Teraz Southern Valley intonuje tę samą śpiewkę w związku z gazem. To jeszcze jedna szpila wbita we wrażliwy organizm gór. Kolejne bogactwo naturalne, które trzeba wyssać do cna! - Cotton spojrzął na salę. - Ale tu nie chodzi o Southern Valley, o węgiel ani o gaz. Tu chodzi o was. Oni zetną bez trudu wierzchołek góry, dowiercą się do gazu, pociągną swoje wspaniałe bezszwowe stalowe rurociągi i będzie to trwało dziesięć, piętnaście, może nawet dwadzieścia lat. A po ich upływie wszystko się skończy. Tym rurociągiem gaz popłynie do innych miejsc, tak jak odpływał stąd pociągami węgiel, jak rzeką odpływały wycinane lasy. A dlaczego, jak myślicie? - Zawiesił głos i rozejrzał się po sali. - Powiem wam, ludzie, dlaczego. Bo to tam, w tych innych miejscach, kwitnie prawdziwy dobrobyt. A przynajmniej dobrobyt w rozumieniu Southern Valley. I wy wszyscy dobrze o tym wiecie.

Te góry kryją w sobie to, czego im potrzeba, żeby podtrzymać ów dobrobyt, a sobie napęłnić kieszenie. I dlatego przybyli tutaj, żeby wydrzeć bogactwo gór. Dickens w stanie Wirginia nigdy nie będzie Nowym Jorkiem i, wierzcie mi, nie macie czego żałować. Sporo już w tym kraju wielkich metropolii, lecz coraz mniej zakątków takich jak ten. Eksploatując zasoby naturalne tych gór, nigdy się nie wzbogaciecie. Ci, którzy wam to wmawiają, są jak Southern Valley, pragną wydrenować tę ziemię ze wszystkiego, co ma, i nie dać nic w zamian. Szukacie kogoś, kto was uratuje? Spójrzcie na siebie. Tak, tak, liczcie tylko na siebie. Tak jak przez całe życie czyniła to Louisa Mae. Farmerzy są uzależnieni od kaprysów pogody i ziemi. Jednego roku przegrywają, innego wynagradzają sobie porażkę. Ale dla nich bogactwo gór nigdy się nie wyczerpie, bo nie wydzierają im duszy. A w nagrodę mogą wieść prawe, uczciwe życie bez lęku, że ludzie, którym zależy tylko na zbijaniu fortuny, przyjdą do nich z wielkimi obietnicami, a kiedy skończy się to, na czym tak im zależy, przeniosą się gdzie indziej, zostawiając po sobie zdewastowaną krainę. – Wskazał na siedzącą na sali Lou. – Ojciec tej dziewczynki pisał o tych stronach piękne opowieści, opisywał w nich tę ziemię i ludzi, którzy na niej żyją. Na kartach powieści Jacka Cardinala to miejsce trwać będzie wiecznie. Tak jak góry. A miał wyjątkową nauczycielkę, bo Louisa Mae żyła tak, jak powinniśmy żyć my wszyscy. Pomagała wielu z was, niczego nie żądając w zamian. – Tu Cotton spojrzał na Buforda Rose'a, a potem na jeszcze kilku zasłuchanych farmerów. – I wy też pomagaliście jej w potrzebie. Dobrze wiecie, że ona nigdy nie sprzedałaby swojej ziemi, bo uważa ją za takiego samego członka rodziny jak swoje prawnuki. Nie wolno wam dopuścić, żeby Southern Valley ograbiła ją z członka rodziny. Ludzie tutejsi mają tylko siebie i swoją ziemię. Nic więcej. Tym, którzy tu nie mieszkają, i tym, którzy chcą jedynie niszczyć te góry i lasy, wydawać się może,

że to niewiele. Ale niech będą spokojni... dla ludzi nazywających te góry swoim domem nie ma na świecie nic cenniejszego. – Cotton wyprostował się przed przysięgłymi na całą wysokość i spokojnym głosem zakończył swoje wystąpienie: – Nie musicie być ekspertami w dziedzinie prawa, żeby podjąć w tej sprawie właściwą decyzję. Wystarczy, że posłuchacie głosu serca. Niech Louisa Mae Cardinal pozostanie na swej ziemi.



Lou patrzyła przez okno swojej sypialni na wspaniałą panoramę pól rozciągających się aż do podnóży gór i na zalesione zbocza za nimi, gdzie zieleniły się już tylko drzewa iglaste. Z innych wszystkie liście opadły; stały nagie i majestatyczne, przywodziły na myśl skromne nagrobki na mogiłach tysięcy zmarłych, którzy niewiele po sobie pozostawili.

- Powinieneś być tu wrócić, tato - powiedziała do gór, które ojciec uwieczniał słowami i których do końca życia nie odwiedził.

Kiedy ława przysięgłych udała się na naradę, ona wróciła z Eugene'em na farmę. Nie chciała być obecna przy ogłaszaniu werdyktu. Cotton obiecał, że po zakończeniu rozprawy przyjedzie i przekaże im decyzję sądu. Powiedział, że to raczej nie potrwa długo. Nie zdradził, jakiego werdyktu się spodziewa, ale nie tryskał optymizmem. Teraz Lou pozostawało tylko czekać. A nie było to łatwe, bo o tym, czy cały jej świat jutro się nie zawali, zadecydować miała grupka obcych. No, może nie do końca obcych. W jej składzie znajdował się bowiem ktoś znajomy, ktoś będący ich śmiertelnym wrogiem.

Przesunęła palcem po inicjałach wrytych przez ojca na blacie biurka. Poświęciła listy matki w intencji cudu, który się nie zdarzył, i to jeszcze bardziej ją przygnębiało. Zeszła na dół i zatrzymała się przed izbą Louisy. Przez otwarte drzwi widać było stare łóżko, małą komódkę, a na niej miskę z dzbankiem. Izba była niewielka, skromna jak całe życie Louisy. Lou zakryła dłońmi twarz. To niesprawiedliwe. Weszła do kuchni, żeby zająć się przyrządzaniem

posiłku.

Wyciągając garnek spod zlewu, usłyszała za sobą jakiś szmer. Odwróciła się. W drzwiach kuchni stał Oz. Otarła szybko łzy, bo chciała uchodzić w jego oczach za osobę z charakterem. Kiedy jednak zobaczyła wyraz twarzy brata, zdała sobie sprawę, że nie musi się już o niego troszczyć. Coś go odmieniło. Nie wiedziała co, ale nigdy jeszcze takim go nie widziała. Wziął ją bez słowa za rękę i pociągnął za sobą korytarzem.

Przysięgli weszli na salę rozpraw. Było ich dwunastu, pochodzili z gór i z miasta. Cotton liczył, że przynajmniej jedenastu z nich opowie się po jego stronie. Obradowali długo, dłużej niż się spodziewał. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Przeciwno sobie miał przecież desperację, a to groźny oponent, bo mógł pociągnąć za sobą tych, którzy ciężką codzienną pracą walczyli o przetrwanie, albo tych, którzy nie widzieli tu już dla siebie przyszłości. Cotton zdawał sobie sprawę, że może przegrać. Ale niech to się wreszcie skończy.

- Czy ława przysięgłych uzgodniła werdykt? - spytał Atkins.

Przewodniczący wstał. Był to człowiek z miasta, właściciel małego sklepiku, o brzuchu wzdętym od nadmiaru ziemniaków i mięsa... i z niedostatku ruchu.

- Tak, Wysoki Sądzie - powiedział cicho.

Mało kto opuścił salę rozpraw po udaniu się ławy przysięgłych na naradę. Teraz wszyscy zamarli i nadstawili uszu. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

- I co uzgodniliście?

- Opowiadamy się... za Southern Valley. - Przewodniczący spuścił wzrok, tak jakby przed chwilą wydał wyrok śmierci na kogoś bliskiego.

Sala rozbrzmiała wrzawą - jedni wiwatowali, inni wprost

przeciwnie. Balkon groził zarwaniem. Hugh Miller i George Davis kiwnęli sobie głowami; uśmiechali się tryumfalnie.

Cotton siedział zdruzgotany. Rozprawa dobiegła końca, szkoda tylko, że sprawiedliwości nie stało się zadość.

Miller i Goode podali sobie dłonie. Miller chciał pogratulować Wheelerowi, ale ten się odwrócił na pięcie i odszedł.

- Cisza, cisza, bo każę opróżnić salę! - Atkins stuknął kilka razy młotkiem i wrzawa ucichła. - Przysięgli są wolni. Dziękuję wam za spełnienie obywatelskiego obowiązku - powiedział niezbyt przychylnym tonem.

Jakiś mężczyzna wszedł na salę, poszukał wzrokiem Cottona, zbliżył się i szepnął mu coś na ucho. Cotton jeszcze bardziej się przygarbił.

- Wysoki Sądzie - odezwał się Goode - pozostaje nam teraz powołać kogoś, kto będzie reprezentował interesy panny Cardinal i przejmie opiekę nad dziećmi.

Cotton podniósł się powoli z krzesła. Stał przez chwilę ze zwieszoną głową, przyciskając rękę do boku.

- Wysoki Sądzie, doniesiono mi przed chwilą, że Louisa Mae Cardinal zmarła.

Na sali znowu rozpętała się wrzawa i tym razem sędzia Atkins nie próbował nawet przywołać zebranych do porządku. Uśmiechnięty szeroko Davis podszedł do Cottona.

- Niech mnie kule biją - powiedział - tylu dobrych wieści jednego dnia jeszcze nie słyszałem.

Cotton na moment oniemiał, potem chwycił Davisa pełną garścią za przód koszuli i uniósł pięść do ciosu. W ostatniej chwili opamiętał się jednak i z odrazą odepchnął od siebie farmera.

- Wysoki Sądzie - oświadczył Goode - wszystkim nam bardzo przykro z powodu śmierci panny Cardinal. Mam tu listę bardzo szanowanych osób, mogących reprezentować osierocone dzieci

podczas sprzedaży ziemi, której własność przechodzi teraz na nie.

- A ja ci życzę, żebyś szczeł za to w piekle - zawołał Cotton i podbiegł do stołu sędziowskiego. Goode pospieszył tam za nim.

Cotton rąbnął pięścią w blat z taką siłą, że zaniepokojony Fred postąpił krok w ich stronę.

- George Davis przekupił całą ławę przysięgłych! - ryknął Cotton.

- Wiem, że dolary Southern Valley przepalają mu kieszeń.

- Daj spokój, Longfellow, pogódź się z porażką - rzucił Goode.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi na otwierające się drzwi sali rozpraw.

- Nigdy, Goode, niedoczekanie twoje! - wykrzyczał mu w twarz Cotton.

- Przypominam, że zgodziłeś się podporządkować decyzji ławy przysięgłych.

- Obawiam się, że on ma rację - stwierdził Atkins.

Tryumfujący Goode obejrzał się na Millera i zdębiał.

- Ależ Henry - zaczął błagalnym tonem Cotton. - Proszę cię, te dzieci. Powierz mi nad nimi opiekę. Ja...

Atkins nie zwracał uwagi na Cottona. On też z otwartymi szeroko ustami gapił się na salę.

Cotton odwrócił się powoli, żeby zobaczyć, co tak zainteresowało Atkinsa, i kolana się pod nim ugięły. Nie wierzył własnym oczom.

W przejściu między ławkami stali Lou i Oz.

A między nimi, podtrzymywana przez dzieci, Amanda Cardinal.

Lou nie odrywała od matki oczu od chwili, kiedy Oz zaciągnął ją do matczynej sypialni. Amanda leżała na łóżku z szeroko otwartymi oczyma. Uśmiechając się przez łzy, wyciągnęła do dzieci drżące ramiona.

Teraz Cotton nie mógł oderwać wzroku od tej kobiety. Ale miał przecież na tej sali coś jeszcze do załatwienia. Roztrzęsionym, łamiącym się głosem powiedział:

- Wysoki Sądzie, mam zaszczyt przedstawić Amandę Cardinal. Prawowitą i naturalną opiekunkę swoich dzieci.

Morze milczących teraz ludzi rozstąpiło się, by przepuścić Cottona. Zbliżył się na miękkich nogach do matki i jej dzieci. Łzy wzruszenia płynęły mu po policzkach.

- Pani Cardinal - zaczął - moje nazwisko.

Amanda uniosła rękę i dotknęła jego ramienia. Była bardzo osłabiona, ale głowę trzymała wysoko. Odezwała się głosem cichym, lecz wyraźnym:

- Wiem, kim pan jest, panie Longfellow. Słuchałam pana często.

# Dzisiaj

Wysoka kobieta idzie przez łąkę falujących na wietrze traw. W tle rysuje się górskie pasmo. Kobieta ma siwe włosy, sięgające jej do pasa. W rękę trzyma długopis i brulion. Siada na ziemi i zaczyna pisać.

Być może sprawiła to studnia życzeń. A możliwe, że wystarczyły słowa dziewczynki zapewniającej matkę o swej miłości. Trudno dociec. Najważniejsze, że nasza matka wróciła. W tym samym dniu, w którym odeszła od nas ukochana Louisa Mae. Mieliśmy Louise tylko przez krótką chwilę, a przecież tak niewiele brakowało, żebyśmy w ogóle jej nie poznali.

Kobieta wstaje, rusza dalej, zatrzymuje się przy dwóch granitowych nagrobkach z wykutymi na nich nazwiskami Cotton Longfellow i Amanda Cardinal Longfellow. Siada i znowu zaczyna pisać:

*Moja matka i Cotton pobrali się rok później, Cotton zaadoptował Oza i mnie i kochaliśmy ich oboje po równi. Przeżyli ze sobą w tych górach czterdzieści szczęśliwych lat i zmarli w odstępie tygodnia. Nigdy nie zapomnę Cottona. Był człowiekiem wielkiego serca; schodząc do grobu, będę miała świadomość, że wykorzystaliśmy z matką maksymalnie daną nam drugą szansę.*

*Mój młodszy brat wyrósł na postawnego mężczyznę i jeszcze bardziej wyrobił sobie i tak już silną rękę. Pewnego pamiętnego jesiennego dnia Oz Cardinal wspinałym rzutem zdobył mistrzostwo kraju dla nowojorskiej drużyny Yankees. Jest teraz nauczycielem*

w Nowym Jorku i pomaga odnaleźć się w życiu zakompleksionym dzieciom. Nieśmiertelnego misia odziedziczył po nim jego wnuk. Bywają dni, że najbardziej na świecie pragnęłabym przytulić znowu do piersi tamtego małego chłopczyka, pogłaskać go po główce, dodać mu otuchy. Mojemu Tchórzliwemu Lwu. Ale dzieci szybko dorastają. I ani się obejrzałam, jak mój mały braciszek stał się mężczyzną. Siostra jest z niego dumna.

Eugene ma teraz własną farmę, rodzinę i mieszka niedaleko. Po dziś dzień pozostaje jednym z najlepszych moich przyjaciół. A po jego wystąpieniu tamtego dnia na sali rozpraw nie słyszałam już, żeby ktoś, mówiąc o nim, używał przezwiska Za Cholerę.

A ja? Podobnie jak ojciec opuściłam góry. Ale, w odróżnieniu od Jacka Cardinala, wróciłam. Wyszłam tutaj za męża, założyłam rodzinę i mieszkam w domu wybudowanym na ziemi, którą zostawiła nam Louisa Mae. Każdego lata odwiedzają mnie moje wnuki. Opowiadam im o tamtych czasach. O Louisie Mae, Cottonie i o moim drogim przyjacielu Diamencie Skinnerze. Oraz o wszystkich, z którymi zetknął mnie los. Robię to, bo uważam, że powinny wiedzieć takie rzeczy o swojej rodzinie.

Przeczytałam wiele książek, aż w końcu zaczęłam pisać własną. Tak mi się to spodobało, że napisałam ich jeszcze czternaście. Opowiadałam histone o szczęściu i miłości. O bólu i strachu. O walce z przeciwnościami losu i tryumfie. O tej ziemi i ludziach na niej żyjących. Tak jak mój ojciec, chociaż nie zdobyłam tylu nagród, iloma on mógł się poszczycić, to moje książki trochę lepiej się sprzedawały.

Mój ojciec pisał, że odwagę, nadzieję i hart ducha życie może wystawić na ciężką próbę. Ale w górach Wirginii zrozumiałam, że dopóki człowiek nie traci wiary, dopóty nigdy nie zostaje sam.

Tu jest moje miejsce. Jak dobrze wiedzieć, że tutaj umrę i tu mnie pochowają. I wcale nie lękam się śmierci. Zrozumielibyście, co

*napawa mnie takim optymizmem, gdyby dane wam było zobaczyć te piękne widoki, które się stąd roztaczają.*



# Przypisy

[1](#) W wolnym tłumaczeniu Bawełna Drągal.

[2](#) Dziewiętnastowieczny poeta amerykański.

[3](#) Jednostka powierzchni stosowana w USA; 1 stopa deskowa = 0,0236 metra kwadratowego tarcicy.